

# teksty

D R U G I E

6  
2006

## Literatura wobec doświadczenia

**Bogusław BAKUŁA**

Polski dyskurs kresoznawczy

**Zbigniew MAJCHROWSKI**

Literaci polscy  
nocą 12/13 maja 1935 roku

**Dariusz ŚNIEŻKO**

Jak czytało staropolskie ciało?

**Ryszard NYCZ**

Literatura nowoczesna  
wobec doświadczenia

**Umberto ECO**

Doświadczenie przekładu

**Paweł DYBEL**

Histeria kobiet

**Edward BALCERZAN**

Późna przyjaźń

6 [102]  
**2006**  
cena 15,00- PLN  
(w tym 0% VAT)

## Wstęp

**Włodzimierz BOLECKI** 6 Doświadczenie i modernizm

## Szkice

- Bogusław BAKUŁA** 11 Kolonialne i postkolonialne aspekty polskiego dyskursu kresoznawczego (zarys problematyki)
- Zbigniew MAJCHROWSKI** 34 Literaci polscy nocą 12/13 maja 1935 roku
- Dariusz ŚNIEŻKO** 43 Jak czytało staropolskie ciało? Somatyczne doświadczenia lektury
- Ryszard NYCZ** 55 Literatura nowoczesna wobec doświadczenia

## Roztrząsania i rozbiory

- Teresa DOBRZYŃSKA** 71 Genologia zintegrowana
- Aleksandra UBERTOWSKA** 76 Poetyka i polityka
- Anna KRZYWANIA** 83 „ja – teoretyk różnych sposobów teatralnych”
- Maciej URBANOWSKI** 89 Bolecki innego kalibru
- Michał LAREK** 95 Upragniony stan: autonomia

## Prezentacje

- Umberto ECO** 103 Doświadczenie przekładu  
Przeł. Remigiusz Rzyński

## Dociekania

- Paweł DYBEL** 123 Histeria – „inny język” kobiecości?
- Andrzej W. NOWAK** 137 *Methodenstreit*, podmiot, *phronesis*. Wpływ sposobu interpretacji opozycji „humanistyka a przyrodoznawstwo” na rozumienie etyki, polityki i podmiotu
- Ewa BIŃCZYK** 147 Steven Pinker vs Michael Tomasello w sporze o status kompetencji językowych

## Interpretacje

- Piotr SOBOLCZYK** 165 Hermetyczne pornografie Białoszewskiego

## Opinie

- Danuta DANEK** 182 Jakim prawem? Z lektury przekładów
- Ryszard KOZIOŁEK** 192 Szeregowy pracownik nauki o literaturze, o sobie samym, języku i wielkim cmentarzu literatury

## Pożegnania

- Edward BALCERZAN** 202 Późna przyjaźń. Pamięci Andrzeja Litworni (1943-2006)

207 Listy do Redakcji

210 Noty o Autorach

## Foreword

- Włodzimierz BOLECKI** 6 Experience and modernism

## Essays

- Bogusław BAKUŁA** 11 Colonial and postcolonial aspects of the Polish borderland-science discourse: an outline
- Zbigniew MAJCHROWSKI** 34 Polish men and women of letters in the night of 12<sup>th</sup>/13<sup>th</sup> May 1935
- Dariusz ŚNIEŻKO** 43 How did the Old-Polish flesh read written texts? On somatic experiences of the reading exercise
- Ryszard NYCZ** 55 Modern literature facing the experience

## Discussions and analyses

- Teresa DOBRZYŃSKA** 71 Genology integrated
- Aleksandra UBERTOWSKA** 76 Poetics and politics
- Anna KRZYWANIA** 83 „Me, theoretician of various theatrical methods ...”
- Maciej URBANOWSKI** 89 Bolecki of a different calibre
- Michał LAREK** 95 Autonomy: a longed-for condition

## Presentations

- Umberto ECO** 103 The experience of translation  
Trans. Remigiusz Rzyziński

## Investigations

- Paweł DYBEL** 123 Hysteria: the 'other language' of femininity?
- Andrzej W. NOWAK** 137 *Methodenstreit*, subject, *phronesis*. Interpretation of the opposition „humanities vs. science” and its effect on understanding ethics, politics and the subject
- Ewa BIŃCZYK** 147 Steven Pinker vs. Michael Tomasello in a dispute on the status of linguistic competencies

## Interpretations

- Piotr SOBOLCZYK** 165 Miron Białoszewski's hermetic pornographies

## Opinions

- Danuta DANEK** 182 By what right? Reading some translations
- Ryszard KOZIOŁEK** 192 A rank-and-file literary-science employee on himself, language, and a great cemetery of literature

## In memoriam

- Edward BALCERZAN** 202 Late-date friendship. (In the memory of Andrzej Litwornia, 1943–2006)

- 207 Letters to the publisher

- 210 Author's biographical notes

# Doświadczenie i modernizm

*Doświadczenie jest jednym z najważniejszych problemów literatury (kultury) modernizmu. Tym ważniejszym, że bardzo rzadko werbalizowanym jako problem historyczny, światopoglądowy, estetyczny czy teoretyczny. Rozmawiając, nie musimy przecież mówić o zawartości tlenu w powietrzu.*

*Mniej więcej do końca XIX wieku zakres ludzkiego doświadczenia pokrywał się z tym, co widzialne, z tym, co można poczuć, dotknąć, usłyszeć oraz – opisać i opowiedzieć. Stendhal i Balzak, James i Conrad, Prus, Reymont czy Dąbrowska – mimo że należeli do różnych pokoleń i uprawiali różne warianty pisarstwa realistycznego, zgadzali się, że literatura przechadza się po gościńcu życia i że jej powinnością jest wymierzanie sprawiedliwości widzialnemu światu.*

*Ten świat dla pisarzy realistów był rzeczywiście widzialny, a jego obraz odpowiadał sprawozdaniu naszych zmysłów empirycznych. Dotyk, słuch, smak, a przede wszystkim wzrok (koń, jaki jest, każdy widzi) gwarantowały przedstawienia rzeczywistości, które każdy mógł zweryfikować we własnym zakresie i za pomocą instrumentów, w które wyposażyla go natura.*

*Jednak mniej więcej w tym samym czasie gwałtowny rozwój poszczególnych nauk doprowadził do zakwestionowania takich przekonań. Matematyka, chemia, fizyka, medycyna, językoznawstwo, a nawet psychologia i filozofia (rozumiana jako nauka) zaczęły konstruować obrazy świata, których nasze zmysły nie tylko nie potwierdzały, ale – co gorsza – do których straciły dostęp. Okazało się nagle, że żadnymi zmysłami nie zobaczymy bakterii i wirusów, elektronów (i innych mikrocząstek podzielonego atomu), związków chemicznych, cech dystynktywnych fonemów, struktur fizycznych i mentalnych, nie mówiąc o odkryciu względności czasu i przestrzeni, i tak dalej, i tak głębiej w poszukiwaniu co raz to mniejszych mikroelementów. Jednym słowem, okazało się nagle (czyli w ciągu kilkunastu lat), że życie zbiorowości i jednostek decyduje się i rozgrywa w takich rejonach, do których nie sposób dotrzeć posługując się tylko wzrokiem, słuchem czy dotykiem.*

*Pisarze (i inni artyści) odpowiedzieli na ten problem (oczywiście, nie wprost i nie w tym samym czasie) na kilka sposobów. Przede wszystkim uznali, że realizm w sztuce, oparty na bezpośrednim doświadczeniu jest nienowoczesny, ponieważ jest nie prawdą o rzeczy-*

*wistości, lecz złudzeniem. Słowem, że nie ma żadnego świata widzianego przez wszystkich tak samo, a na dodatek to, czego doświadczamy zmysłami, jest nie tylko mylące, ale przede wszystkim nie dociera do rzeczywistych procesów, składników czy jakości materii – a także życia. Turner i Cezanne, Malarre i Miciński, Matisse i Kandinsky, Picasso i Chagall, Chlebnikow i Peiper, Leśmian i Schulz oraz dziesiątki innych artystów-modernistów (a każdy inaczej!) uznali, że sztuka nowa i nowoczesna (czyli modernistyczna) musi pokazać te wymiary świata, które są nierozpoznawalne zmysłami empirycznymi i niewyraźne za pomocą dotychczasowych konwencji przedstawiania. Sztuka – równocześnie z nauką – od końca XIX wieku zaczęła więc analizować świat, czyli rozkładać go na coraz to mniejsze elementy, drobiny i drobinki, części, cząstki i cząsteczki tak aż stał się – by sparafrazować Gombrowicza – „mały, malutki, maluchny, malusi, malenki, malenieczki, malusienki i tak dalej”. A gdy to nie wystarczyło, to zaczęto je wszystkie deformować (kubizm nazywano jednak „malarstwem analitycznym”). Równocześnie zaczęto poszukiwać istoty życia poza wszystkim, co mogłoby się kojarzyć z jego materialnością i substancjalnością – a więc w procesach, relacjach, układach, tonacjach, rytmach, energiach, podświadomościach, „chuciach” i innych „elanvitalach”.*

*Jedni wyciągnęli z tego wniosek, że literatura reprezentująca konwencję naszego kontaktu ze światem dobiegła swego kresu i dlatego nie ma już czego szukać w obszarze sztuki zwanej nowoczesną. Być modernistyczną (nowoczesną) zaczęło bowiem oznaczać – mieć świadomość (wkrótce podpartą teoriami), że narzędzia sztuki to jedynie konwencje reprezentacji i przedstawiania świata. A więc, że to tylko zapisy dźwięków (a nie same dźwięki), kolory farby (a nie rzeczywiste barwy natury), słowa i teksty (a nie faktyczne myśli czy zdarzenia), płótna (a nie widoki), schematy kultury (a nie spontaniczne reakcje), opowieści o rzeczywistości lub jej imitacje (a nie sama rzeczywistość), i tak dalej, i tak dalej. (Notabene z tego elementarza wczesnego modernizmu później o kilka dekad postmodernistyczni epigoni uczynili swój kamień filozoficzny). Sztuka nowoczesna (modernistyczna) programowo więc zaczęła się przemieszczać z obszarów skażonych naiwnością mitemizmu w sfery różnych eksperymentów – od językowych, dźwiękowych, muzycznych (serializm A. Schönberga, punktualizm i muzyka aforystyczna A. Weberna) po rozmaite warianty surrealizmu, mityzacji i wszelkich światów alternatywnych.*

Nienazwanym, a zarazem ukrytym, składnikiem tej ewolucji literatury było przekonanie, że reprezentacja świata oparta na jego doświadczaniu poprzez zmysły empiryczne (świat, jaki jest, każdy widzi) jest nieistotna i bez analizy, a nawet destrukcji dotychczasowego medium tej reprezentacji (czyli jej języka) dyskwalifikująca dla sztuki nowoczesnej.

Dwie były – mówiąc w uproszczeniu większym niż dopuszczalne – biegunowo różne konsekwencje tego przekonania. Pierwsza prowadziła do eliminacji doświadczenia z obszaru sztuki (literatury), za której właściwe zadanie, jako sztuki nowoczesnej, uznano analizę jej własnego języka, jej własnej specyfiki, jej medium i wszelkich związanych z nim ograniczeń. Mówię tu, rzecz jasna, o najważniejszej tradycji modernizmu, czyli o sztuce awangardowej. Druga prowadziła w kierunku przeciwnym – do zapisywania doświadczeń, dla których w języku sztuki (literatury) nie tylko nie było nazwy, a które w ogóle nie były kojarzone z jakimkolwiek doświadczeniem. Jeśli przykładem pierwszej tendencji mogą być lingwistyczne eksperymenty w typie namopaników Wata, to przykładem drugiej Przybosiówce analizy percepcji czy debiutanckie opowiadania Gombrowicza.

Kłopoty z takim traktowaniem przez literaturę doświadczenia zaczęły się, co prawda, już w okresie międzywojennym, ale kłopot rzeczywisty pojawił się dopiero po drugiej wojnie światowej – tym bardziej, że do dziś nie został jeszcze dobrze rozpoznany jako teoretyczny problem literatury modernizmu. Sztuka awangardowa Dwudziestolecia wymięła bowiem bardzo zręcznie (być może nieświadomie) podstawowe doświadczenia milionów Europejczyków, którym była najpierw rzeź w okopach pierwszej wojny światowej, a zaraz potem ludobójstwo – dość wspomnieć na przykład rewolucję bolszewicką w Rosji sowieckiej i w Chinach. Mówiąc inaczej – inkorporując do języka sztuki nowoczesnej konsekwencje najważniejszych odkryć naukowych (od fizyki, poprzez językoznawstwo do psychologii), sztuka ta (literatura) usunęła de facto poza obszar nowoczesności problematykę takiego doświadczenia historycznego, które uznano za „wypadek przy pracy” na rzecz postępu i nowoczesności. Dziesiątki książek poświęcono wrażliwości artystów europejskiej awangardy i ich nadzwyczajnej wirtuozerii, ale dziwnym zbiegiem okoliczności ta awangardowa wrażliwość i wirtuozeria artystyczna nie dotknęła ani razu (a w każdym razie w sposób zauważalny) doświadczenia masowych zbrodni i okrucieństw, które towarzyszyły ówczesnie wytłamaniu się z odmetów historii na przykład Rosji sowieckiej, Europy i Turcji. Nie inaczej było w Polsce, gdzie krwawa wojna polsko-bolszewicka, dzięki której i Polska, i Europa Zachodnia dotrwały do roku 1939, a więc dramatyczne doświadczenie historyczne setek tysięcy młodych Polaków (i nie tylko ich) w ogóle zostało wyrzucone poza obszar zainteresowania nowoczesnością w literaturze i w sztuce.

A problem ten – sztuka nowoczesna wobec doświadczenia historycznego – powrócił ze z wielokrotną siłą po zakończeniu drugiej wojny światowej. Podstawowy nurt literatury, który zdefiniował nowoczesność jako świadomość konwencyjności języka i konieczność jego analizy poprzez eksperymenty obnażające tekstowość i językowość przedstawianego świata, został ponownie skonfrontowany z doświadczeniem milionów Europejczyków. Najpierw z doświadczeniem Holocaustu, a wkrótce potem z doświadczeniem ludobójstwa w ZSRR. I podobnie jak po pierwszej wojnie światowej cała koncepcja nowoczesności wypracowana przez artystów europejskich awangard okazała się – w konfrontacji z doświadczeniem dwudziestowiecznego totalitaryzmu – niewarta funta kłaków. Czy ktoś zna

futurystę, surrealistę, dadaistę, formistę etc., który w poetyce tak rozumianej nowoczesności opisywałby doświadczenie nazistowskich czy sowieckich obozów koncentracyjnych lub doświadczenie codziennego życia w tych systemach? Pytanie retoryczne. Chyba tylko Aleksander Wat, jako jedyny z wielkich awangardzistów, przemysłał ten problem, uznając – po fakcie – swoje doświadczenie historyczne (sowiecki komunizm) za metajęzyk opisu swoich futurystycznych eksperymentów<sup>1</sup>.

Ale tego doświadczenia, choć typologicznie było podobne do rzezi podczas pierwszej wojny światowej, literatura tym razem nie mogła już ominąć. Ci, którzy postanowili się z nim zmierzyć (w literaturze polskiej na przykład A. Wat, T. Różewicz, G. Herling-Grudziński, T. Borowski, J. Mackiewicz, W. Odojewski, później M. Białoszewski) rozpoczęli więc demontaż tych tradycji literatury nowoczesnej, które sflaczały w konfrontacji z doświadczeniem historycznym. Okazało się więc, że zmierzenie się z tym doświadczeniem wymaga w literaturze przywrócenia intersubiektywności świata empirycznego, pozatekstowego porozumienia pomiędzy autorem a czytelnikiem czy odwołania się do kategorii prawdy i wspólnotowości doświadczenia.

W literaturze polskiej powrót literatury nowoczesnej do rzeczywistości pozatekstowej – w sensie pokoleniowego manifestu artystycznego – zawdzięczamy pokoleniu Nowej Fali. Ten niezwykle program likwidacji „świata nie przedstawionego w literaturze PRL” odslania swoje faktyczne historycznoliterackie znaczenie dopiero w perspektywie szerszej – tj. w naszkicowanej tu relacji doświadczenia i modernizmu w literaturze XX wieku.

Rekonstrukcję doświadczenia historycznego i potocznego w literaturze, utraconego przez sztukę radykalnego modernizmu w pierwszej połowie XX wieku, w skali masowej spowodowało dopiero piśmiennictwo nt. Holocaustu i ludobójstwa podczas drugiej wojny światowej. Właśnie piśmiennictwo (szeroko rozumiane), a nie literatura czy sztuka w wąskim, stricte artystycznym znaczeniu. Niezależnie bowiem czy odwoływało się ono do najprostszych mimetycznych gatunków narracyjnych (jak kronika, wspomnienie, relacja, list, opowieść, opowiadanie) czy do wirtuozeryjnych i wyrafinowanych narracji w rodzaju Czarnego potoku Leopolda Buczkowskiego lub opowiadań o Auschwitzu Tadeusza Borowskiego, warunkiem wszystkich tych zapisów było założenie o pozatekstowości doświadczenia historycznego, a zatem nienaruszalność kategorii prawdy weryfikującej nie tyle wartości, co podstawowy sens tego piśmiennictwa.

Od początku wieku XX tezy teorii względności, konwencjonalizmu, sytuacjonizmu, kulturalizmu czy nieoznaczoności w badaniach naukowych sztuka modernistyczna (i spora część humanistyki) zamieniała na idee o nieistnieniu prawdy, o niemożności weryfikowania interpretacji, o nieograniczonym subiektywizmie i względności wszystkich racji i relacji, choć te same tezy w nauce służyły i służą założeniom dokładnie odwrotnym.

Dziwne to doświadczenie – żyć w czasach, w których prawdy doświadczenia musi strzec kara za kłamstwo oświęcimskie.

Włodzimierz BOLECKI

<sup>1</sup>/ Pisałem o tym przed laty w artykule pt. *Od „postmodernizmu” do „modernizmu”: Wat – inne doświadczenie*, „Teksty Drugie” 2001 nr 2, s. 29–39.

Wstęp

## Abstract

**Włodzimierz BOLECKI,**  
**The Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences**  
**(Warszawa)**

### Experience and modernism

Having assumed that analysis of the language of art and divulgence of the conventionality of representations of the reality are the determinants of modernity in the arts, the avant-garde has virtually eliminated historical experience as part of its area of interest. As a result, the language of literature and modern (avant-garde) art proved impotent against the major historical experience of the twentieth century, that is, mass-scale genocide initiated by the Bolshevik revolution. The experience, once lost for the radical (post)modernist art in the former half of the century, has only been reconstructed through writings on the Holocaust and World-War-II genocides. The condition for all those records has namely been the assumption of extra-textuality of historical experience, entailing inviolability of the category of the truth that verifies the basic sense, rather than a value, of any such writings. Historical experience proves to be the key element making the eastern-European modernism different from the American or western-European modernism.

## Bogusław BAKUŁA

### Kolonialne i postkolonialne aspekty polskiego dyskursu kresoznawczego (zarys problematyki)

„Zbyt często literatura i kultura są uważane za politycznie,  
a nawet historycznie niewinne;  
moim zdaniem jest dokładnie odwrotnie...”

(E.W. Said, *Orientalizm*<sup>1</sup>)

### „Kresoznawcza” eksplozja w Polsce

Minął już okres wielkiego zainteresowania literaturą należącą do tzw. kresowego dyskursu, jak również czas gwałtownego rozwoju myśli kresoznawczej w takich dziedzinach, jak historia, literaturoznawstwo, etnologia, socjologia. Przedrukowano niemal wszystko, co w tej materii było cokolwiek warte, a ukazało się na emigracji. Trudno zliczyć konferencje, seminaria, tomy zbiorowe oraz prace indywidualne odnoszące się do różnych aspektów tego zjawiska. A przy tym temat „kresów” zagarnia nie tylko obszary wschodnie – staje się hasłem wywoławczym w programach różnych konferencji dotyczących kwestii pogranicza. Nadal pojawia się wiele nowych tekstów literackich, wspomnieniowych, naukowych i popularnonaukowych należących do nurtu czerpiącego z kresowej pamięci. Kilkadziesiąt witryn „kresofanicznych” w Internecie stanowi w tej chwili osobne zjawisko komunikacyjne. „Kresy” otaczają nas już z wszystkich stron, choć zarazem znaj-

---

<sup>1</sup>/ E.W. Said *Orientalizm*, przeł. M. Wyrwas-Wiśniewska, Wydawnictwo Zysk i s-ka, Poznań 2005, s. 63.

dują się w centrum naszej zbiorowej wrażliwości. Zdaje się, że multiplikacja i hiperbolizacja „kresów” w stosunkowo niedużym społeczeństwie oraz państwie wykracza poza jego realne doświadczenia i możliwości, jak również uzasadnienia geograficzne, etniczne i polityczne, będąc wyrazem nieokiełzanych sił mityzacji. Tutaj się Polacy realizują najpełniej i we własnej opinii, najpiękniej. „Kresom” są bardziej wierni niż państwu, umiarkowanej polityce czy pragmatycznej ekonomii. Ta skłonność nie pozostaje niezauważona.

Rewitalizująca funkcja „kresów” w polskiej świadomości zbiorowej znajduje oparcie nie tylko w nostalgii literackiej. Jej realnym wyrazem jest kresoznawcza literatura naukowa, popularnonaukowa i wspomnieniowa. Z przyrastającego korpusu tekstów wyłania się charakterystyczny obraz świata, forma języka i kierunek myśli. Warto się zastanowić, jakim językiem mówi się o „kresach”, w jakich źródłach znajduje oparcie wyłoniony obraz świata. Termin „kresy” należy do szerszej struktury myśli i obrazu posiadającej swoisty magiczno-mitotwórczy charakter i wywierającej znaczny wpływ na postawy społeczno-polityczne zbiorowości polskiej. „Kresy” bowiem w tej perspektywie są tym, co najbardziej polskie, choć (bo) utracone; tym co nobilituje *ex definitione* każdego, kto o nich mówi. I odwrotnie – każda krytyka może się tu spotkać z ostrą reakcją, a nawet z oskarżeniem o narodową zdradę.

### „gołosłowna potęga dyskursu...”

Wybitny francuski historyk Daniel Beauvois, autor pracy *Trójkąt ukraiński. Szlachta, carat i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793-1914*<sup>2</sup>, zastanawia się nad zaskakującą żywotnością kresowego mitu, ujętego w ramy obrazu arkadyjskiego i katastroficznego. Wskazuje na ścisły związek między nimi: „Nuta idylliczna dominowała w polskim mówieniu o Ukrainie i najlepiej stwierdzić od razu, że było to źródło katastrofalnych najczęściej stosunków między Ukraińcami i Polakami”<sup>3</sup>.

Francuski historyk, mówiąc o nostalgicznych postawach Polaków, nie kryje zdziwienia: „...prawdę mówiąc – nie jest jasne, dlaczego Ukraina nadal wypełniała duszę przeciętnego Polaka nostalgią i czarem nawet za czasów komunistycznych”<sup>4</sup>.

Beauvois jest sceptyczny wobec wartości poznawczych kresowego dyskursu literackiego w kulturze polskiej. Pisze: „...imponująca biblioteka kresoznawcza niezdolna jest dać wyobrażenie o źródłach nieporozumień. Gołosłowna potęga dys-

kursu prawie zawsze zagłusza wymowę dokumentów, co czasami prowadzi – jak wypadku *Krzemieńca* Ryszarda Przybylskiego – do jawnego zwichnięcia rzeczywistości”<sup>5</sup>. Owa „gołosłowna potęga dyskursu”, stanowiąca rodzaj duchowej władzy, staje się wyrazem nadrzędnej świadomości odbierającej siłę racjonalnym argumentom.

Beauvois unika terminu kolonializm, nie chcąc wkraczać na niezręczny dla niego obszar sporu. Pisze, że: „Chodzi raczej o świadome ignorowanie drugiej strony medalu, o ustawiczne budowanie mitu o harmonijnej wielokulturowości dawnej Rzeczypospolitej. A właśnie ten typ literatury się rozmnożył po roku 1989. Mit ma to do siebie, że proponuje drugą naturę, czasem mocniejszą niż rzeczywistość”<sup>6</sup>.

W takich wypadkach podkreśla się rolę literatury. Nadrzędnym dyskursem spełniającym rolę wiedzy źródłowej o tzw. „kresach” w polskiej opinii publicznej ostatnich co najmniej stu lat była mityzująca rzeczywistość literacka fikcja, wypierająca racjonalną ocenę historyczną, zwłaszcza w czasach rozbiorów, a potem komunistycznego izolacjonizmu; fikcja ta budowała mitologię utraconej ojczyzny, cierpienia, ofiary. Warto przy tym zauważyć, iż pozycja literatury jako źródła wiedzy historycznej, politycznej, patriotycznej – to nie jakaś aberracja świadomości polskiej, maniakalnie przywiązanej do „kresów”, tylko psychologiczny efekt k o m p l e k s u o d c i ę c i a, zwłaszcza w okresie komunistycznym, i konieczności oparcia się na jedynym źródle, którego nie można było do końca zafałszować – na literaturze narodowej. Na emigracji nieunikniona idealizacja przeszłości tworzyła jeszcze silniejszy impuls, którego skutkiem był k u l t z i e m u t r a c o n y c h, nie biorący pod uwagę racjonalnych przesłanek historycznych. Jednak skutki owego literackiego przywiązania do „kresów” wtrącają zbiorową świadomość w strefę mitu, gdzie możliwe jest każde roszczenie. Jeszcze dziś formuła *gentes Ruthenus, natione Polonus* wydaje się wielu Polakom najpiękniejszą z możliwych koncepcją tożsamości na „kresach”<sup>7</sup> i nie dopuszczają oni myśli o jej kolonialnym charakterze.

W nawiązaniu do Beauvois, jednak mocniej niż on chce w tym szkicu pokazać pewne cechy polskiego dyskursu kresowego, które wiążą się z kolonialną formą świadomości, aczkolwiek już pozbawioną przedmiotu kolonizowania, formą sytuującą się w sferze używanego języka, przywoływanych obrazów, stereotypów, stylu roztrząsań popularnonaukowych i naukowych. Szczęśliwie dzisiaj dyskurs kresowy, który pełni rolę specyficznej supernationalnej świadomości historycznej, nie prowadzi do niewolenia kogokolwiek poza samymi Polakami. Nie oznacza to, iż jest on odbierany tylko jako niegroźna polska obsesja. Byłe „kresy” odpowiadają bowiem na ich ciągłe „ukresowanie” zdecydowaną negacją.

<sup>2/</sup> D. Beauvois *Trójkąt ukraiński. Szlachta, carat i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793-1914*, przeł. K. Rutkowski, Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu i Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2005, s. 813.

<sup>3/</sup> Tamże, s. 11.

<sup>4/</sup> Tamże.

<sup>5/</sup> Tamże, s. 19.

<sup>6/</sup> Tamże, s. 17.

<sup>7/</sup> „Dobrowolna polonizacja kilku arystokratycznych rodów rusińskich dawała prawo do takich spekulacji” – pisze Beauvois, tamże, s. 12.

## „Polskie kresy” – symbol wykluczenia

Słowa „kresy” używam w cudzysłowie, ponieważ mam świadomość, że dawniejsi i zwłaszcza obecni mieszkańcy tego obszaru nie życzą sobie być polskimi „kresami” w żadnym wypracowanym przez Polaków rozumieniu, a więc że jest to słowo niepoprawne politycznie i determinuje ten typ stosunków, który może być odbierany jako symboliczny polski kolonializm. W czasach pewnej nadwrażliwości na kwestie historii, tożsamości, odrębności etnicznej, kulturalnej, politycznej, znacznie ochładza to pragmatyczny dialog. Nikt w Polsce nie pyta, czy Litwini, Białorusini, Ukraińcy chcą być, metonimicznie, „kresami” Polski w jej historycznych i dzisiejszych granicach, i co o tym myślą. Dyskurs kresowy gromko obwieszczany jako forma dialogu i przede wszystkim wielokulturowości już na tym pierwszym etapie rozpoznania ukazuje swoją pustkę. Nie ma w nim miejsca na dyskusję. „Kresowość”, „kresoznawstwo” są zresztą zarezerwowane dla Polaków, rzadko spotkać tu można aktywnych Litwinów, Białorusinów, Żydów czy Ukraińców.

Znany i ceniony badacz Jacek Kolbuszewski publikuje świetną, popularną pracę pt. *Kresy* w serii „A to Polska właśnie”. Píše w niej o wielkiej, choć już minionej, polskiej kulturze na ziemiach obecnej Litwy, Białorusi i Ukrainy. Nie ma tu większych wzmianek o historii i kulturze wymienionych krajów. Jest tylko historyczna Polska. Niech nie zdziwi nas, że w opinii obywateli tych państw praca Kolbuszewskiego może być odbierana jako próba dominacji lub wykluczenia ich kultur, podporządkowania i lansowania zmytizowanej (nie)prawdy o wspaniałości „polskich kresów”. Współczesny Ukrainiec, Białorusin czy Litwin reaguje na to dzieło emocjonalnie, albowiem świat tam opisany w jego rozumieniu ani kresami, ani Polską, w dodatku „właśnie” – nie był i nie jest! Być może zdziwieni tego typu reakcją Polacy równie gwałtownie odniosą się pracy niemieckiego badacza pod zmyślnym tu tytułem *Nasze kresy* w hipotetycznej serii „A to Niemcy właśnie” o Śląsku, Pomorzu i Mazurach. Wiele pełnych swoistej hipokryzji pułapek, ukrytych w pozorach efektownych skrótach myślowych, wciąż kryje się we współczesnej świadomości polskiej (i nie tylko, rzecz jasna), w jej języku i zwyczajach.

Od co najmniej stu lat słowo „kresy” (w szerokim rozumieniu „kresy wschodnie”, inne geograficzne wskazania, na przykład „kresy zachodnie” etc. mają charakter drugorzędny) zajmuje jedno z centralnych miejsc w narodowym i państwowym dyskursie mitotwórczym. „Kresy” były miejscem szczególnej konfrontacji politycznej i walki o polskość, to znaczy *de facto* o utrzymanie polskiego stanu posiadania. Kryje się w tym słowie nietajona wielka siła lokalnego patriotyzmu (przerzuconego w dwudziestolecie międzywojennym i w ostatnim czasie na patriotyzm państwowy), egzotyizmu, inności, barwności, niezwykłości, która przyciąga nie tylko Polaków. Z drugiej strony jest w tym słowie ukryta pewna tonacja obniżania rangi, swoisty przekaz wskazujący na peryferyjność „kresów” jako świata z dala od polskich centrów, a przecież nie tylko polskiego (z obu przyczyn termin „kresy” był i jest atakowany na Ukrainie, odrzucany jako absurdalny na Litwie).

W perspektywie, którą wyznaczył Edward W. Said pracą *Orientalizm*<sup>8</sup>, słowo „kresy” byłoby typowym leksemem należącym do słownika kolonialnego dyskursu, choć praktyka tego „kolonializmu” jest wyłącznie już historyczna albo, inaczej mówiąc, nie posiada ona desygnatu, jej światem są wyłącznie słowa i symbole. Dowodzi to siły konstrukcji mityzujących doświadczenie historyczne, ukrytych w języku komunikacji społecznej, a zwłaszcza w literaturze, przekazach dokumentalnych i politycznych. Anachroniczne słowo „kresy” żyje w społecznych emocjach. Oto nawet bezdyskusyjny, zdawałoby się, autorytet, Jan Paweł II, staje w obliczu krytyki lub osobliwych relacji. W trakcie „kresowej” konferencji Ryszard Kiersnowski otwarcie krytykuje wypowiedź Papieża, który mówił o Litwinach polskiego pochodzenia (tzn. obywatelach Litwy pochodzenia polskiego)<sup>9</sup>, a nie o uciśnionych Polakach. Kiersnowski włączył tych Polaków do świata „kresów”, wyłączając ich z Litwy jako państwa macierzystego, stworzył dla nich na Litwie odrębny świat wybaczenia, bezdyskusyjny świat wartości wyłącznie pozytywnych, jakąś uciśnioną Polskę, domagającą się, w imię „kresowych” świętości, odrębnego traktowania. Z kolei katolicycy obywatele nie tylko katolickiego grodu Przemyśl zamknęli przed najwyższym włodarzem tego wyznania drzwi garnizonowej świątyni, która miała zostać przekazana ukraińskim grekokatolikom w imię dobrosąsiedzkiej wspólnoty. „Kresy” mają być wyłącznie polskie. Podobnie jak kościoły. Jeśli nie są polskie, czyli wyłącznie nasze, to nie mają prawa do istnienia. I żaden papież nie może tego zmienić.

„Kresy” oznaczają przeanielony obraz dobra, raj, utraconej wspólnoty, harmonii. A równocześnie stanowią symbol cierpienia i ofiary. „Kresy” to klucz do narodowej martyrologii i świętych, niekwestionowanych prawd. Każdy, kto wydaje tęskny głos w sprawie „kresów”, jest prawdziwym Polakiem. Inni to właśnie wyłącznie Inni. Zabieranie głosu w sprawie „kresów” sytuuje mówiącego w centrum narodowego dyskursu polskiego, potwierdzając narodową tożsamość niemal na zasadzie magicznego zaklęcia. Jest to jednak taka definicja tożsamości, która wyklucza Innych.

## Kresy i pogranicza

Problematyka „kresów” jest oczywiście związana z problematyką pogranicz etniczno-kulturowych. Różnica między tymi dwoma zagadnieniami polega jed-

<sup>8/</sup> E.W. Said *Orientalizm*.

<sup>9/</sup> R. Kiersnowski *Kresy przez małe i przez wielkie „K” – kryteria tożsamości, w: Kresy – pojęcie i rzeczywistość*, red. K. Handtke, Instytut Sławistyki PAN i Towarzystwo Naukowe Warszawskie, Warszawa 1997, s. 109-118. „...renesans kresowy otrzymał ciężki cios z najmniej spodziewanej strony. Fatalne słowa Jana Pawła II wypowiedziane w wileńskim kościele dominikanów, iż gromadzą się tam «Litwini polskiego pochodzenia» zaciążyły jak wyrok na tożsamości kresowych Polaków. Bo skoro *Roma locuta*, i to ustami papieża-Polaka, to sprawa została definitywnie zamknięta, koniec polskiej obecności na Kresach, a tym samym i koniec Kresów” (s. 118).

nak na tym, że „kresy” traktuje się jako zjawisko z dziedziny zbiorowej pamięci oraz – przede wszystkim – narodowej aksjologii<sup>10</sup>, podczas gdy termin „pogranicze” jest w zasadzie neutralny i nie wzbudza tego typu skojarzeń. Pogranicza są wokół, w miejscach styku z sąsiadami, „kresy” natomiast, należąc do sfery świadomości oraz narodowej ideologii – znajdują się jednocześnie w centrum i wszędzie. Każde pogranicze może dziś otrzymać dowartościowujący je pakiet „kresowości”<sup>11</sup>. Będzie wtedy rubieżą, linią obrony polskości. W polu znaczeniowym terminu nadal ważną rolę odgrywają elementy militarne – walka, danina krwi, etos rycerski, pilnowanie granic, jak w skautowskiej pieśni „o rycerzach znad kresowych stanic”<sup>12</sup>. Innym, paradoksalnym efektem ideologizacji „kresów” jest sytuacja, w której pogranicze jest wspólne (tj. wielonarodowe), a „kresy” są wyłącznie polskie. Dzieje się tak w zwrotach „polskie kresy”, „nasze kresy”, „utracone kresy” – należą one bowiem tylko do polskiego dominium, nawet jeśli dzisiaj jest to obecność symboliczna.

Socjolog Krzysztof Kwaśniewski wyodrębnił te cechy „kresów”, które – jego zdaniem – wyrażają zdobywczość, ekspansywność, agresję:

1. strefowość, rozumiana jednak bardziej jako kierunek niż jako obszar, 2. akcent bardziej na peryferyjność niż na centrum, zwłaszcza ściśle etniczne, 3. ofensywność i rozszerzanie państwowego stanu posiadania (przewaga myślenia państwowego nad narodowym, państwowej asymilacji nad narodową kontrakulturacją), 4. jednostronność i poczucie siły, przewagi, automatyzm przynależności do etnoklasy wyższej, uprawnionej nawet do arogancji, 5. satysfakcja ze zdobyczy, 6. pierwotny związek z młodością i męskością, z przygodą, 7. satysfakcja z pozyskiwania obcych a wiernych realizatorów własnych dążeń. W przeciwieństwie do pogranicza kresy nie są uznane z obu stron za kresy, a do terytorium etnicznego nawet nie muszą bezpośrednio przylegać. Ich oddziaływanie mitotwórcze może jednak modyfikować wyobrażenia i dążenia związane z określe-

<sup>10/</sup> J. Kolbuszewski *Kresy*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996, s. 128.

<sup>11/</sup> Z naukowego punktu widzenia jest inaczej. Jak pisze M. Koter: „Nie każde jednak pogranicze zasługuje na to, aby nazwać je kresami, wręcz przeciwnie” (M. Koter *Kresy państwowe – geneza i właściwości w świetle doświadczeń geografii politycznej*, w: *Kresy – pojęcie...*, s. 9. Inaczej widzi rzecz S. Uliaz: „Kresy jawią się przeto jako wspólnota cierpiących i wygnañców, jako szaniec polskości albo wręcz przeciwnie jako świat arkadyjski, są też postrzegane jako wspólnota wspólnot” (*Kresy jako przestrzeń kulturowa*, w: tamże, s. 136).

<sup>12/</sup> Etos kresowy – „etos trwania na zagrożonym posterunku granicznym w obronie ojczyzny i wiary” (M. Koter *Kresy państwowe...*, s. 31); mit przedmurza chrześcijaństwa to „mit jedności narodowej w obrębie Rzeczypospolitej za sprawą polskiej świadomości, integrującej jakoby, niby dzieci jednej matki – Korony Polskiej – różne zamieszkujące ją nacje, czego konsekwencją były uparte marzenia o Polsce „od morza do morza” (tamże); „Od czasu XIX w. dokonała się w Polsce interferencja pojęć Kresów i Ukrainy, stały się one niemal synonimami. Ale sfera znaczeń i wartości pojęcia „polskie kresy państwowe” powinna być rozszerzona i na inne obszary o podobnych cechach i rodowodzie historycznym” (tamże).

niem terytorium narodowego na zewnątrz i z określeniem własnego centrum kultury wewnątrz.<sup>13</sup>

Autor wskazuje również na swoistą postawę mentalną kresowej tożsamości: „Do tego potrzebne jest poczucie wyższości, przewagi, ofensywności, jednostronności dążeń zawłaszczających, aneksjonistycznych czy agresywnych, niewspółmierności siły napotykanego oporu”<sup>14</sup>.

## Polski dyskurs kolonialny?

...Rzeczpospolita na ponad sto lat zniknęła całkowicie z mapy Europy, istniejąc jedynie – jak by powiedział Said – w „geografii imaginacyjnej”. Większą część dwóch ostatnich stuleci Polska spędziła więc w niewoli jednego lub drugiego mocarstwa. Trudno o bardziej imponujące postkolonialne referencje.<sup>15</sup>

– pisze amerykańska polonistka Clare Cavannagh. Tę stronę medalu poznaliśmy głęboko i boleśnie. Drugą ukazuje nam Daniel Beauvois w cytowanej tu pracy *Trójkąt ukraiński*. Nigdzie bowiem nie jest powiedziane, że skolonizowana zbiorowość nie może przejawiać cech kolonizatorskich. Dlatego Polacy doskonale wiedzą, jak wygląda świat skolonizowanych i kolonizujących zarazem. Wiedzą, ale nie są zainteresowani myśleniem w kategoriach odpowiedzialności za tę dychotomię.

Na podstawie znanych prac Edwarda W. Saida, Gayatri Spivak, Homi Bhabha można sformułować szeroką definicję „dyskursu kolonialnego”, która będzie uwzględniać powyższe doświadczenia. Byłby to nurt językowych, potocznych oraz instytucjonalnych (literackich, naukowych, politycznych) przekonań wskazujących na uzasadnione, we własnym dyskursie, poczucie wyższości oraz prawa do panowania nad innymi obszarami, ludami, kulturami, a także poczucie misji wobec nich. Nierzadko te przekonania są połączone z odmawianiem kolonizowanemu zdolności do samoistnego bytu (niedojrzałość społeczno-polityczna, tzw. niehistoryczność, niski poziom cywilizacyjny). Dyskurs kolonialny cechuje paternalizm, przekonanie o niepodważalnej dominacji własnego świata, dopuszczenie do głosu tzw. multikulturalizmu, czyli sterowanej wielokulturowości. Said twierdzi, że kolonialny dyskurs nie odnosi nas do korpusu tekstów wyrażających wprost ideologię kolonialną, ale raczej do zestawu praktyk i reguł, które produkują teksty i są metodologiczną organizacją ich zawartości myślowej.

<sup>13/</sup> K. Kwaśniewski *Spoleczne rozumienie relacji kresów i terytorium narodowego*, w: *Kresy – pojęcie...*, s. 80.

<sup>14/</sup> Tamże, s. 69. W innym miejscu Kwaśniewski pisze: „Pojawia się mentalność *sahiba*, czyli pana i zdobywcy (dla swego kraju) i obrońcy (zwykle jednak przeciw tym samym, na których dokonał podboju, ale czasem równie dobrze i przeciw konkurencyjnemu zdobywcy” (s. 72).

<sup>15/</sup> C. Cavanagh *Postkolonialna Polska. Biała plama na mapie współczesnej historii*, „Teksty Drugie” 2003 nr 2-3.

Do tej pory nie pytano wprost w Polsce, czy tzw. „powieść kresowa” lub masowo drukowane kresowe wspomnienia sprzed roku 1939, potem wydawane na emigracji, to przejaw świadomości kolonialnej? Czy pojawiały się ówczesnie reakcje antycypujące dzisiejsze myślenie w kategoriach postkolonialnych? Jeśli nie pytano, to i nie było odpowiedzi. Już w okresie międzywojennym mieliśmy do czynienia z napięciem wyrażanym przez relację tekstów w typie *Pożogi* (1922) Zofii Kosak-Szczuckiej i *Buntu rojstów* (1938) Józefa Mackiewicza. Pierwszy z nich wyrażałby postawę kolonialną, drugi słabszą, bo mniej słyszalną – postawę antykolonialną. O ile późniejszy poemat Andrzeja Kuśniewicza *Słowa o nienawiści* (1956) stanowić może ideologiczny (z tego powodu zafałszowany) obraz postawy antykolonialnej, to z kolei emigracyjne wspomnienia ks. Waleriana Meysztowicza *Poszło z dymem* (1973), a także prozę artystyczną Zbigniewa Haupta zaliczylibyśmy do terenu zagospodarowanego przez emigracyjny dyskurs kolonialny. Celowo nie sięgam do wieku XIX, na przykład do *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej, gdyż rozumienie polskości i jej prawa do istnienia jest tam inne niż w okresie państwowym. Pomiędzy tymi ekstremami sytuuje się *Wysoki Zamek* (1966) Stanisława Lema – jedna z nielicznych polskich powieści rozgrywających się we Lwowie lub Galicji, akceptowana przez ukraińskich czytelników.

Wielka seria kresowych pamiętników jest problemem odrębnym, szczególnym. Przykładem wstęp do wspomnień znanego reżysera Janusza Majewskiego, wywodzącego się z Lwowa – *Retrospektywka*. Zwłaszcza podany niżej fragment:

...nasza kolejna służąca, Ukrainka. Nazywała się chyba Wikta, a może Olena. Na pewno była to jedna z tych „ruskich małanek” – jak je nazywał ojciec – które przewinięły się przez nasz dom. Ta, którą zapamiętałem, usiłowała mnie nauczyć czytania – niestety myliły się jej litery łacińskie z cyrylicą. [...] Podejrzewam, że moje niewątpliwie uzależnienie od Wikty miało nieświadomione podłoże erotyczne, bo lubiłem, kiedy mnie przyciskała do swych wielkich jak bochny wiejskiego chleba, piersi.<sup>16</sup>

Oto kolonialny obraz w formie niemal krystalicznej. Młody panicz z miasta a przy nim służąca, Ukrainka, wtajemniczająca go nie tyle w dobra kultury czy cywilizacji, ile w sekrety biologicznych doznań erotycznych (choć nieświadomych). W zasadzie niepiśmienna lub słabo znająca pismo. Widać tu wpływ literacko-artystyczno-społeczny stereotypu „pańskiej” literatury sprzed kilkudziesięciu lat. Być może na wyobraźnię Majewskiego podziałał dziewiętnastowieczny stereotyp literacki? Narrator nie zapamiętał dokładnie imienia, zapamiętał niski poziom wykształcenia, pogardliwe określenie kobiety „ruska małanka”, sugerujące niewybredną raczej rozrywkę (*małanka*, ukr. – karnawałowa zabawa), stereotypowe doznania erotyczne. Obrazek przepełniony życzliwością, ale jest to życzliwość, którą się kieruje wobec niższych bytów, protekcyjna, z tą dozą wyższości, która była potrzebna autorowi do samoutwierdzenia się, do pokazania hierarchii w rodzinnym domu, w środowisku, w wielonarodowym mieście Lwowie.

Edward W. Said opisał cechy świadomości wyprodukowanej w dziewiętnastym stuleciu przez uczonych i pisarzy, którzy skutecznie wytworzyli obraz Orientu postrzeganego bardziej jako składnik wiedzy zachodniej niż jako społeczeństwa i kultury funkcjonujących we własnych warunkach. Obraz Orientu został odpowiednio skonstruowany po to, żeby potwierdzał pozytywny obraz społeczeństwa brytyjskiego, a nie odwrotnie. Warto by zapytać, w jakim celu powstawał polski obraz Kresów, zwłaszcza w XIX i XX wieku? Czy nie w tym samym? I dlaczego portret ukraińskiej służącej w *Retrospektywkach* jest tak wyraźnie stereotypowy? Odpowiedź nasuwa się sama – potwierdza on przekonanie o polskiej wyższości.

Prezentacje Wschodu w literaturze anglosaskiej – zdaniem Saida – były konstruowane stosownie do oczekiwanych wartości, wskazywały jednocześnie na idylliczność, dawność, zażyłość, odwieczność i familiarność zawsze takiej samej relacji między kolonizującymi i kolonizowanymi. Skolonizowana kultura była też odróżniana od kultury kolonizującej poprzez reprezentowanie jej jako istniejącej w innym układzie czasowo-przestrzennym. Umieszczając skolonizowany kraj w odległych czasach lub gdzieś obok (na przykład ukraińska czy białoruska wieś) autorzy tekstów kolonialnych stosowali szczególny rodzaj czasu, który Said nazywa „etnograficzną teraźniejszością”. Można ją przyrównać do rezerwatu. Podobna czasoprzestrzeń otacza postać Ukrainki we wspomnieniu Majewskiego.

Z takich elementów – twierdzi amerykański badacz – powstaje narodowa epopeja o misji cywilizacyjnej, o wyższości własnej kultury, o obronie wartości i norm moralnych, o obowiązku szerzenia przekonań religijnych lub wyższego niż kolonizowany stylu życia.

## Krytyka postkolonialna

W Polsce krytyka postkolonialna jeszcze nie ma swojej tradycji<sup>17</sup>. Zresztą tutaj widać nie tyle słabość naukową, ile mentalną. Polacy, którzy w swojej ideologii narodowej mają silne poczucie bycia ofiarą historii, niedocenienia, którzy chętnie przebywają w regresywnych utopiach, mówiących o ich historycznej wielkości, którzy z uporem odbudowują swój potrzaskany dyskurs historyczny, nie akceptują głosów mogących ten zrekonstruowany gmach nadważyć. Tymczasem krytyka postkolonialna jest przede wszystkim demaskacją języka, w tym głębszych struktur świadomości zbiorowej ukrytych w tekstach literackich i nieliterackich. Dobrze wiemy, jak niełatwo pozbyć się tak silnych struktur, nawet w krytycznie nastawionej nauce. Wyraźna literacka tradycja szyderców, zwłaszcza z drugiej poło-

<sup>17/</sup> Wydaje się, że dopiero publikacja w Polsce pracy E.M. Thompson *Trubadurzy imperium. Literatura rosyjska i kolonializm*, przeł. A. Sierszulska, Universitas, Kraków 2000 znacznie ożywiła dyskusję wokół teorii postkolonialnej, wzmacniając ją metodologicznie. Warto odnotować ciekawą w kontekście niniejszych rozważań pracę E. Konończuk *Literatura i pamięć na pograniczu kultur (Erwin Kruk – Ernst Wiechert – Johannes Bobrowski)*, Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza, Białystok 2000.

wy XX wieku (Gombrowicz, Mrożek, Kisielewski i inni) wskazane kwestie omija szerokim łukiem. Z kresowej historii nikt wprost „szydzić” nie chciał i nie potrafił. Byłoby to zbyt bolesne.

Podstawowym zadaniem teorii postkolonialnej w Polsce byłoby odślanianie w życiu publicznym (literatura, nauka, polityka etc.) tych form językowych, obrazowych, tekstowych, które w mniej lub bardziej zawołowany sposób przechowują i akceptują przekonania upośledzające, różnicujące, wykluczające, akceptujące dominację etniczną czy kulturową. W szczegółowym planie krytyka postkolonialna podkreśla: 1) weryfikowanie apriorycznych żądań wysuwanych przez część literatury, krytyki, humanistyki, która oczekuje uznania dominującej pozycji jej świata wobec innych etnosów czy kultur; 2) badanie przesądu o niższości Wschodu, wszystkiego, co znajduje się na wschód od nas; 3) ujawnianie przesądów pozwalających na przedstawianie Innych niż zachodni Europejczycy jako egzotycznych lub niemoralnych Innych; 4) badanie języka literatury, nauki, który zawiera w sobie te przekonania i ukrywa aprioryczne, kolonialne struktury myślenia; 5) podejście do osoby i osobowości jako posiadającej tożsamość podwojoną, mieszaną, złożoną jakby z części skolonizowanej i kolonizującej; 6) nacisk na interakcje kulturalne, na badanie reprezentacji innych kultur w literaturze i nauce; 7) odślanianie językowej hipokryzji literatury i nauk humanistycznych, stosujących inne kryteria wobec swoich oraz Innych; 8) odkrycie pierwszoplanowego znaczenia różnicy kultur i różnorodności; 9) analizę celebrowanej hybrydyczności i kulturowej wielowartościowości, zwłaszcza w sytuacji, gdy osoby lub grupy należą jednocześnie do więcej niż jednej kultury; 10) badanie stanów marginesowości Innego postrzeganych jako źródła energii i potencjalnej zmiany.

Teoretycy krytyki postkolonialnej podkreślają znaczenie badań, których celem będzie ujawnienie ustalonych i znaturalizowanych systemów reprezentacji, będących w istocie kreacją rzeczywistości z perspektywy dominującego i uznanego za naturalny dyskursu etnicznego, kulturalnego, politycznego; całkowite podważenie takich ideologemów, jak etnos, historia czy nawet tożsamość; nieufność do wypracowanych na własnym gruncie językowych konstrukcji, odrzucanie tych kategorii, w których przejawia się intencja marginalizowania innych kultur; podkreślanie lokalności każdej kultury. „Podstawą postkolonializmu jest dekolonizowanie myśli”<sup>18</sup> – pisze w znakomitym szkicu Dorota Kołodziejczyk. Jest to chyba najtrudniejsze zadanie, jakie czeka każdego polskiego użytkownika narodowego dyskursu, w centrum którego znajduje się magiczne słowo „kresy”.

## Na pograniczu dyskursu kolonialnego i postkolonialnego

Zatrzymam się chwilę przy tekście Władysława Panasa (1947-2005), ogólnie szanowanego twórcy monografii o literaturze polsko-żydowskiej, znawcę proble-

matyki Wielkiego Księstwa Litewskiego, którego osobiście uważam za jedną z najbardziej niezwykłych postaci polonistyki ostatniego ćwierćwiecza. Panas wygłosił na forum Zjazdu Polonistów (Warszawa 1995), tej najważniejszej samorządowej instytucji wyznaczającej kierunki rozwoju filologii w Polsce, tekst pt. *O pograniczu etnicznym w badaniach literackich*<sup>19</sup>. Opublikowana następnie w materiałach pozjazdowych praca Panasa prezentuje pewien stan świadomości badawczej, zrealizowanej i postulowanej, w której spierają się dwie postawy wobec problemu „kresów”. Panas zaczyna swój artykuł od stwierdzenia, że w Polsce

narasta i w ostatnich kilku latach kulminuje proces rewindykacyjny o charakterze historyczno-kulturowym, który wstępnie da się określić jako odzyskiwanie kontekstu, wielkiego kontekstu. Wspólne, najszerze i najogólniejsze miano owego kontekstu brzmi: Rzeczpospolita Obojga Narodów. [...] W literaturze i eseistyce literackiej, w publicystyce i opracowaniach historycznych, w dyskursie badaczy kultury i historyków sztuki, w zaiste rozległej modzie (mówi się też o „epidemii”!) na „kresową” tematykę – odbywa się przypominanie i odkrywanie organizmu politycznego o takiej nazwie, jego państw-krajów składowych, Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego, jej, jego i ich narodów, języków, religii, kultur.<sup>20</sup>

Ów „proces rewindykacyjny”, ten „dyskurs” polega, zdaniem badacza, na przypomnieniu pewnej prawdy: „Można już dzisiaj stwierdzić, że «najoczywistszą nieoczywistością», jaką ów dyskurs odkrył – i nadal odkrywa – jest zobaczenie w Rzeczpospolitej «ojczyzny nie tylko Polaków»”<sup>21</sup>. Zatem zobaczenie Innego, rozpoznanie Inności „jawi się jako jedno z największych osiągnięć polskiej refleksji humanistycznej, nie tylko w ostatnim okresie i nie tylko w wymiarze czysto poznawczym”<sup>22</sup>. Jakby nie dziwiły te słowa o „jednym z największym osiągnięć polskiej refleksji humanistycznej”, to zjawisko zainteresowania „kresami” stało się faktem. W pozycji kluczowej Panas stosuje termin „pogranicza”, a nie termin „kresy”, traktowany przezeń jako oboczny, słabszy synonim. Badacz wyczuwał zapewne tę dwuznaczną semantykę, o której mówiłem wcześniej, choć do tej kwestii nie nawiązuje. Z pewnych sformułowań można jednak wywnioskować, że stosuje oba terminy zamiennie.

Dla Panasa ideałem wielokulturowości i zarazem przykładem historycznej doskonałości jest kultura „Rzeczpospolitej wielu narodów”: „Słowem, literatura w perspektywie rodzinnej Rzeczpospolitej. [...] Wśród rozmaitych sąsiedztw i korespondencji, w jakich lokuje się literatura, jest i takie, które bierze się z pogranicza etnicznego, zwłaszcza zamykającego się w jednym systemie kulturo-

19/ W. Panas *O pograniczu etnicznym w badaniach literackich*, w: *Wiedza o literaturze i edukacja. Księga referatów Zjazdu Polonistów*. Warszawa 1995, red. T. Michałowska, Z. Goliński, Z. Jarosiński, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 1996, s. 605-613.

20/ Tamże, s. 605.

21/ Tamże, s. 606.

22/ Tamże.

18/ D. Kołodziejczyk *Trawerses przez glob: studia postkolonialne i teoria globalizacji*, „Er(r)go” 2004 nr 1(8), s. 22.

wym”<sup>23</sup>. Warto zapamiętać popularne w Polsce stwierdzenie mówiące o tym, że dzieje Polaków, Białorusinów, Ukraińców, Żydów, a zapewne także innych Innych, tworzących etniczne pogranicze, zamykało się w „jednym systemie kulturowym”. Teza o potrzebie sprowadzenia dziejów i kultury Białorusinów, Litwinów, Ukraińców, Żydów i Polaków do jednego systemu kultury, nigdzie poza Polską niepotwierdzona, nie wytrzymuje dzisiaj krytyki. Jednocześnie Panas dostrzega i podkreśla ogromne, pozytywne konsekwencje odkrycia rzeczywistości etnicznego i kulturowego pogranicza, jakie wynikają dla literatury polskiej, dla jej opisu i interpretacji. Dalej autor wypowiada tezę niezwykle znamioną, kluczową dla wymowy swego tekstu:

Z jednej strony pojawia się możliwość poszerzania pojęcia literatury polskiej – a przez to i pojęcia kultury polskiej – poza granice wyznaczone językiem. Można powiedzieć, iż byłaby to perspektywa „polonizacji” Innych, w tym także „polonizacji” wypowiedzi w innym niż polski języku.<sup>24</sup>

Wyraźniej powiedzieć nie można. Postulat polonizacji Innego będzie w perspektywie krytyki postkolonialnej jedną z najmocniejszych tez programowych dyskursu kolonialnego w artykule Panasa. Badacz uzupełnia ten pogląd:

Chodzi o takie sytuacje, gdy Inny przemawia po polsku w literaturze, i w jaki sposób – mniej lub bardziej widoczny – tę swoją odmienność manifestuje, kiedy jego polskie dzieło przywołuje, w rozmaitym zakresie, rzeczywistość, z której „przychodzi”. [...] twórca oświadcza, iż pisze po polsku, ale nie jest Polakiem. Wydaje się, że właśnie w takich przypadkach można mówić wprost o literaturze pogranicza etnicznego.<sup>25</sup>

Oznacza to, iż autor piszący po ukraińsku, białorusku, litewsku, w jidysz, już do literatury pogranicza nie należy. Zdaniem Panasa są to

pisarze polsko-ukraińscy na czele z metropolitą Petro Mohyłą i jedynym świętym prawosławnym pisującym po polsku, św. Dymitrem Rostowskim. Jest literatura polsko-litewska i polsko-białoruska. Jest „odkrycie” ostatniej dekady: literatura polsko-żydowska. Można (i trzeba) to wliczenie rozciągnąć także na jeszcze inne pogranicza etniczne, zwłaszcza polsko-niemieckie.<sup>26</sup>

I dalej następuje stwierdzenie, które można by zaliczyć wręcz do kanonu dyskursu kolonizatorskiego, którego najsilniejszym instrumentem był język. Polakom, jako byłym włodarzom „kresów”, z powodów historycznych pozostał tylko język i ten fakt dla konstytuowania obrazu pogranicz-kresów jest u Panasa najważniejszy:

Podstawowym wykładnikiem tego zjawiska jest kształtowanie się takiej formacji intelektualnej, dla której polszczyzna nie oznacza opcji narodowościowej. Słowem, odseparowanie języka od narodowości i uznanie, że możliwe jest wyrażanie swojej tożsamości, w tym także tożsamości narodowej, w jakimś innym języku – w tym przypadku chodzi o język polski.<sup>27</sup>

Zatem w rozumieniu Panasa polszczyzna to „kresowa *lingua franca*”, uniwersalny, jednocyfrowy kod. Eliminuje to na przykład wybitnych pisarzy, którzy żyjąc na „kresach”, pozostali jednocześnie przy swoim języku narodowym, a ich utwory nigdy nie zostały przełożone na język polski. Oczywiście, że badacze-poloniści nie muszą się nimi zajmować, ale ci z nich, którzy zaglądają w stronę Kresów – powinni. Odróżniałbym „kresy” jako formę polskiej ideologizacji przeszłości i Kresy jako różnokulturową, równoprawną formę współistnienia narodów na terenach byłej I Rzeczypospolitej, a potem na styku państw, narodów, jakże w XIX i pierwszej połowie XX wieku przemieszanych.

Opisawszy projekt polonistyki i kresoznawstwa z dominującej pozycji kultury polskiej, Panas odwraca się od sformułowanych poglądów, uznając konieczność innych rozwiązań: „W praktyce oznacza to, że polonista oprócz kompetencji literaturoznawczo-polonistycznej musi dysponować odpowiednią kompetencją lituanistyczną, rutenistyczną (w obu wariantach: białoruskim i ukraińskim), judaistyczną, wielkoksiażęco-krajową itp.”<sup>28</sup>. Znakomity postulat, postulat-marzenie. Lecz takich badaczy w Polsce dzisiejszej (już) jeszcze nie ma. Żaden ze znanych mi polonistów, badaczy „kresów”, nie czyta literatury w języku jidysz (wyjąwszy nieodżałowanego Panasa). Mało kto z wielu polonistów rozlewnie rozpisujących się dzisiaj o Europie Środkowo-Wschodniej potrafi płynnie porównywać dzieła choćby z dwóch języków i literatur „kresowych”: białoruskiej, ukraińskiej, żydowskiej, litewskiej i jeszcze odnieść je do literatury polskiej. Kresy stawiają ogromne wymagania badawcze. Jesteśmy więc skazani na k r e s o z n a w c z e p a r s p r o t o t o. Większość badaczy bezwiednie polonizuje wielokulturową perspektywę „kresów” czy pogranicz. W Polsce bardzo łatwo o tych tematach się pisze. Wystarczy znać język polski. Problem w tym, że do dnia dzisiejszego również niewielu lituanistów, ukrainistów i białorutenistów przekroczyło tę barierę. Na przeszłości staję zamknięty, narodowy charakter badań – oficjalnie pod hasłem wielokulturowości. Panas ostrożnie przekracza tę granicę w drugiej części swojej pracy<sup>29</sup>. Odsłania zatem dwie postawy i dwa postulaty badawcze w odniesieniu do dzieł Rzeczypospolitej Obojga Narodów: polonizować, sprowadzać do wspólnego mianownika – rozpoznawać Inność, uczyć się jej różnorodności, akceptować,

<sup>23/</sup> Tamże, s. 607.

<sup>24/</sup> Tamże (podkr. moje – B.B.).

<sup>25/</sup> Tamże, s. 608.

<sup>26/</sup> Tamże, s. 609.

<sup>27/</sup> Tamże, s. 610.

<sup>28/</sup> Tamże, s. 612.

<sup>29/</sup> Ogromny ważny problem metodologiczny – za pomocą jakich środków naukowych przedstawiać literaturę kraju, państwa, obszaru wielojęzycznego i wielokulturowego? – siłą rzeczy wykracza poza niniejszy artykuł.

nawet gdyby okazała się niesprowadzalna do polskiego mianownika. Pierwszy postulat sytuuje się w klasycznym polu dyskursu kolonialnego – drugi po stronie postkolonialnej krytyki.

## Dzieła kresoznawcze

Poważna liczba prac traktujących o „kresach” stanowi czytelnicze wyzwanie. Postanowiłem przyjrzeć się pewnej ich części, tej, która w tytule ma rzeczownik „kresy”, z perspektywy krytyki postkolonialnej. Siłą rzeczy mogę tutaj przedstawić tylko wnioski. Oto klasyczny zestaw tych dzieł: *Kresy w literaturze. Twórcy dwudziestowieczni* pod red. Edwarda Kasperskiego i Eugeniusza Czaplejewicza<sup>30</sup>; Eugeniusz Czaplejewicz, Edward Kasperski, *Królestwo różnorodności. Teoria i literatura w sytuacji ponowoczesności*<sup>31</sup>; Jacek Kolbuszewski, *Od Pigalle po Kresy. Krajobrazy literatury popularnej*<sup>32</sup> i Jacek Kolbuszewski, *Kresy*<sup>33</sup>; *O dialogu kultur wspólnot kresowych*, pod red. Stanisława Uliasa<sup>34</sup>; Zbigniew Frasz, *Galicja*<sup>35</sup>; Stanisław Uliasz, *Literatura kresów – kresy literatury. Fenomen Kresów Wschodnich w literaturze polskiej dwudziestolecia międzywojennego*<sup>36</sup>; Bolesław Hadaczek, *Kresy w literaturze polskiej. Studia i szkice*<sup>37</sup>; Tadeusz Chrzanowski, *Kresy, czyli obszary tęsknot*<sup>38</sup>. Jedną z najwcześniejszych prac dotyczących, jak mówiono eufemistycznie: „szkoły południa”, Ewy Wiegandt *Austria felix, czyli o micie Galicji w polskiej prozie współczesnej*<sup>39</sup> termin „kresy” eksploatuje niezbyt często. Miejsce polskiego dyskursu kolonialnego zajmował tam mit habsburski, pozbawiony cech rewindykacji, artystowski, deka-

<sup>30/</sup> *Kresy w literaturze. Twórcy dwudziestowieczni*, red. E. Kasperski, E. Czaplejewicz, Wiedza Powszechna, Warszawa 1996.

<sup>31/</sup> E. Czaplejewicz, E. Kasperski *Królestwo różnorodności. Teoria i literatura w sytuacji ponowoczesności*, DiG, Warszawa 1996.

<sup>32/</sup> J. Kolbuszewski *Od Pigalle po Kresy. Krajobrazy literatury popularnej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1994.

<sup>33/</sup> J. Kolbuszewski *Kresy*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996.

<sup>34/</sup> *O dialogu kultur wspólnot kresowych*, red. S. Uliasz, Wydawnictwo WSP w Rzeszowie, Rzeszów 1998.

<sup>35/</sup> Z. Frasz *Galicja*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1999.

<sup>36/</sup> S. Uliasz *Literatura kresów – kresy literatury. Fenomen Kresów Wschodnich w literaturze polskiej dwudziestolecia międzywojennego*, Wydawnictwo WSP w Rzeszowie, Rzeszów 1994.

<sup>37/</sup> B. Hadaczek *Kresy w literaturze polskiej. Studia i szkice*, Wojewódzki Ośrodek Metodyczny, Gorzów Wielkopolski 1999.

<sup>38/</sup> T. Chrzanowski *Kresy, czyli obszary tęsknot*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001.

<sup>39/</sup> E. Wiegandt *Austria felix, czyli o micie Galicji w polskiej prozie współczesnej*, Wydawnictwo UAM, Poznań 1988.

dencki, katastroficzny. Na jawne użycie „kresowych” epifanii było jeszcze za wcześnie z przyczyn cenzuralnych. Dopiero lata dziewięćdziesiąte przyniosą kresofaniczny boom, trwający do dnia dzisiejszego.

Nie wchodząc w materię tych prac, uogólnię ich wspólne cechy, które składają się na formułę dyskursu kresowego po roku 1989. Prace te cechuje: 1) idealizacja multikulturowości z Polską w centrum jako środkiem i jedynym kluczem wyjaśniającym tamten świat w całości; 2) zaniechanie języków uznanych za kresowe i mniejszościowe (nawet jeżeli mniejszość ta stanowi na kresach i pograniczach większość); 3) demonizacja, egzotyzacja lub idealizacja Innego, nie-Polaka; 4) traktowanie zjawiska kresowości jako składnika koncepcji polskiej misji historycznej i cywilizacyjnej; 5) unikanie rzeczywistego, realnego kontaktu z Innym (nie-Polakiem) poprzez barierę pozornego dialogu, to znaczy dialogu, który w istocie jest monologiem polskości nadrzędnej; 6) kresowość jako pluralizm pozorny, ponieważ skoncentrowany wokół najważniejszej wartości, jaką jest kultura polska; 7) paternalizm; 8) polonizowanie kulturowej różnorodności pogranicz i kresów; 9) narzucanie Innemu własnej perspektywy, terminologii i kultury kresowej.

Generalizacje zawsze fałszują perspektywę, toteż można dodać, iż nie wszystkie z wymienionych prac ściśle pasują do zarysowanego modelu. Jednak w żadnej z nich nie udaje się znaleźć konkretnych odwołań do innych kultur, żyjących obok polskiej kultury kresowej. Nie znajdziemy tu przypisów, w których badacze powołaliby się na poglądy Innego (badacza), choć w ich pracach termin „wielokulturowość” należy do kanonu naukowego słownika. Kultura polska w zupełności zaspokaja ten problem, jednostronnie prezentując te obrazy Innego, które wypracowała i przechowała. Zastanawia ostentacyjny wręcz brak ciekawości jak ta, po tylekroć opisywana z polskiej perspektywy, „wielokulturowość” wygląda w oczach Innych, w ich stanie badań, w ich dialogu z polską literaturą i kulturą.

Trudno się dziwić, że Inni, nasi sąsiedzi, nie chcą uczestniczyć w wielokulturowej „przygodzie kresów”, bo to nie jest ich „przygoda”. Chętnie natomiast uczestniczą w projektach dotyczących Galicji, Europy Środkowej i tym podobnych...

Prawdopodobnie nie ma dzisiaj w Polsce pracy literaturoznawczej i kulturoznawczej, choćby tylko ocierającej się o „kresy”, która by pomijała milczeniem termin „wielokulturowość”, i nie istnieje prawdopodobnie współczesna praca, która by tę wielokulturowość uczyniła rzetelnym przedmiotem badań, ze znajomością języków, historii, obyczajów, i z uwzględnieniem perspektyw Innych, czyniących dyskurs wiarygodnym oraz rzetelnym.

Dość nieśmiało są próby pokazywania, że w pewnych sytuacjach kultura polska zachowuje się wciąż jak kultura kolonizatorska. Ale ponieważ od dawna nie ma przedmiotu kolonizowania, zatem mamy tu do czynienia z nostalgicznym teatrem gestu, teatrem cieni, w którym celebrytuje się obrzęd Przypominania, skutkujący niczym innym, jak tylko ożywianiem gasnącej pamięci. Kolonialny dyskurs, bazujący w Polsce na wspominaniu przeszłości, polegałby w tej sytuacji na centralizowaniu i sprowadzaniu całej wielokulturowości „kresów” do perspektywy polskiej widzianej jako uniwersalna i dlatego wyjaśniająca całość zagadnienia,

z niemal całkowitym pominięciem innych perspektyw, źródeł. Towarzyszy temu nostalgia, paternalizm, idealizacja. Jeżeli jednak wydaje nam się to tylko niewinną złudą pamięci, pozostajemy w błędzie. Przede wszystkim z tej przyczyny, iż utrudnia to, a nawet uniemożliwia dialog między kulturą polską a sąsiednimi. W rezultacie osłabia to jej pozycję.

### Teoria postkolonialna i polskie uwarunkowania

Do niedawna zjawiska kolonialnego dyskursu i teorii postkolonialnej odbierano w Polsce jako egzotyczne. Dzisiaj prace Ewy M. Thompson, Marka Pawłyszyna i Mykoły Riabczuka uświadomiły znaczenie problemu z perspektywy Rosji i Ukrainy<sup>40</sup>. Wydaje się nieodzowne przyłożenie postkolonialnej perspektywy do polskiej historii „kresowej”. Polacy w „kresach” widzą istotną część swojej tożsamości i historii. Piszą historię swojego literackiego imperium linearnie, w kategoriach etnicznego postępu, który rozumieją jako rozwój państwa, interesu narodowego, jako drogę wiodącą od i do wolności narodu polskiego na tychże „kresach”. Za tym idzie niechęć do weryfikacji kanonu własnych ocen i postaw wobec „kresów”. W perspektywie teorii postkolonialnej dokonuje się prób rewizji historii kanonicznej, jak też jej obocznych nitek czy nurtów odsłaniających inne aspekty przeszłości. Ważnym tematem studiów postkolonialnych jest zagadnienie m a p y, jej, jak pisze Guattari, „detyerytorializacja i reterytorializacja”, a także g r a n i c y, niekoniecznie tylko w rozumieniu politycznym. „Kresy” to świat zorientowany na kanonizowanie mapy i usztywnianie granicy, na likwidację różnicy – „kresy” są przeciwieństwem pogranicz.

Kultura polska stworzyła pewien obraz, którego fikcyjność nie ma dla niej większego znaczenia, wciąż rozprawia się o nim jak o realnej, przedmiotowej, rzeczywistości. Fikcje mają jednak swoją siłę. Reprezentują wariant dyskursu władzy, polegającego na utwierdzeniu mitów i dysponowaniu poprzez nie zbiorową wyobraźnię oraz emocjami. W tej perspektywie nasze kresoznawstwo to sposób dominowania, restrukturyzowania i posiadania utraconej władzy na „kresach”, to sposób na rozpamiętywanie tej władzy i jej symbolicznego utwierdzenia w zbiorowej pamięci. Historia „kresów” wykazuje daleko idącą spójność z celami historiografii polskiej, a całkowity brak spójności z historiografią litewską, białoruską, ukraińską. Istnieją kresy romantyków, kresy sienkiewiczowskie, kresy Piłsudskiego i 5 Dywizji Kresowej, kresy „prozy kresowej” wreszcie, ale w zasadzie nigdy nie było czegoś takiego jak czyste kresy, jak „idea” kresów, nie było też i nie ma „kre-

<sup>40</sup>/ M. Pawłyszyn *Kanon ta ikonostas*, Kijów 1997. Przekład fragmentu tej pracy pt. *Ukraiński postkolonialny postmodernizm*, w: *Odkrywanie modernizmu*, red. R. Nycz, Universitas, Kraków 2004. Prace M. Riabczuka: *Od Małorosji do Ukrainy*, oprac. i wstęp B. Berdyczowska, przeł. O. Hnatiuk, K. Kotyńska, Universitas, Kraków 2002; *Dylemy ukraińskiego Fausta: hromadianske suspiłstvo i „rozbudowa derżawy”*, Kijów 2000; *Dwie Ukrainy*, przeł. M. Dyhas i in., Kolegium Europy Wschodniej, Wrocław 2006.

sów” Szewczenki, Maironisa, Kupały, Alejchemy. Dodajmy, iż struktura tak gęstego dyskursu, jakim jest dyskurs kresowy, przetrwała dzięki pamięci i władzy. Te właśnie czynniki wypchnęły ów dyskurs na poziom wiedzy, dzięki czemu uzyskał on wysoki status i znów połączył się z poziomem władzy, którą w pewnym sensie również legitymizował. Kresoznawstwo zakłada porządek obiektywnego wyjaśniania, istnienie praw historii, prawidłowości, wzorów kultury, czyli utwierdza tzw. porządek teoretyczny, wykazując tym samym określone cechy perspektywy kolonialnej, wskazującej na dominację (intelektualną, ideową, polityczną, moralną nawet) polskiego „centrum” nad „peryferiami” zaludnionymi przez Innych.

Pojawiają się w kresowym dyskursie dwa kluczowe pojęcia i zarazem terminy: autentyczność rozumiana jako narodowa tożsamość oraz wielokulturowość. Oba, jak wykazuje teoria postkolonialna, są ważnymi składnikami dyskursu kolonialnego. Tożsamość w dyskursie kresowym jest zawsze zagrożona, nigdy triumfująca, wymaga więc szczególnych wysiłków i środków uzasadniających podjęte działania. Poczucie zagrożenia rozgrzesza, pozwala na traktowanie różnicy kulturowej jako zjawiska niebezpiecznego, uderzającego w narodowo-państwową spójność. „Kresowość” wiąże się współcześnie z multikulturalizmem w dość osobliwy sposób. Wydaje się, że jest on podszyty pewnym protekcyjnym wyrazem polityki większości wobec mniejszości czy inności. Nadużywanie terminu w spolszczonej wersji „wielokulturowość” dowodzi istnienia uświadomionych podziałów, odmienności, natomiast wcale nie oznacza, że wiadomo, jak im zaradzić. „Wielokulturowość” oznacza w pewnym sensie akceptowanie podziałów na większość/niejszość, swojszość/cudzość, lepszść/gorszość w jakoby kulturowo nienacechowanej strefie myślenia humanistycznego. Jest to zapewne niechciany skutek owego szlachetnego „pochylania” się nad Innymi, jakże niekiedy ich upokarzającego.

Stąd ostatni wniosek: termin „kresy”, dodatkowo wyposażony w pojęcie brzionej tożsamości narodowej z jednej strony, a z drugiej w pojęcie multikulturalizmu, dawno już utracił swoje geograficzne znaczenie, a zyskał przede wszystkim status ideologiczny.

### Inni o polskim dyskursie kresowym

Wykluczenie to słowo w tej historii najważniejsze. Wykluczenie z odrębności, z różnicy, a więc w zasadzie upodobnienie, asymilacja. Czy nie jest tak, że w myśl pierwszego z projektów przedstawionych przez Panasa należy traktować wszystkich mieszkańców wschodnich obszarów Rzeczypospolitej tylko jako członków nadrzędnej formacji „polskich kresów”? Oznaczałoby to, że wykluczeniu z własnej domeny, a włączeniu w świat polski, czy tego chce czy nie, podlegać będzie kultura ukraińska, białoruska, litewska etc. Zdaje się, że tutaj właśnie widzi miejsce dla swojego „projektu komparatystyki wewnętrznej” Kwiryna Ziembas<sup>41</sup>. Pisze o tym także Edward Said: „...pisemna wypowiedź istnieje dla czytelnika dzięki wyklu-

<sup>41</sup>/ K. Ziembas *Projekt komparatystyki wewnętrznej*, „Teksty Drugie” 2005 nr 1-2, s. 72-82.

czeniu, wyparciu, uczynieniu zbytecznym czegoś takiego jak *p r a w d z i w y Orient*<sup>42</sup>. Kresoznawstwo jest produktem polskiej kultury i polskiego myślenia o „wspólnocie”. Realizuje ideologiczne zamówienie tej kultury, a jednocześnie skrywa jej mniej lub bardziej uświadomiony cel: przyporządkowanie<sup>43</sup>.

Jak niechętnie są reakcje naszych sąsiadów, niegdyś współsąsiadów, na „kresowy” polski mit i związaną z tym ideologicznym projektem polską koncepcję istnienia na Wschodzie wskazują choćby ukraińskie reakcje z lat ostatnich, zdawałoby się pozwalających myśleć o dialogu. Emigracyjny pisarz ukraiński Ostap Tarnawski drukuje w roku 1995 wspomnienia z okresu II wojny światowej pt. *Literacki Lwów*, które ukazały się w Polsce<sup>44</sup>. Te wspomnienia całkowicie dementują idylliczny urok „kresowości” roztaczanej przez polskich pisarzy i eseistów (pomijając już fakt, że Lwów to żadne „kresy”). Ukraiński pisarz tylko mimochodem wspomina o formach wykluczania ukraińskiej społeczności, o braku perspektyw, o poczuciu beznadziejności, o wynikającej stąd skłonności zachodnioukraińskich intelektualistów do antypolonizmu. To wyjaśnia ich postawę w czasie wojny. Polacy w ocenie tych wydarzeń najczęściej mylą przyczyny ze skutkami.

Znakomity harwardzki ukrainista i sławista, George G. Grabowicz jest autorem glosy do polskiego dyskursu kresowego – artykułu *Mitologizując Lwów/Lwów: echa obecności i nieobecności*<sup>45</sup>. Autor wyodrębnia dwie perspektywy polskiego widzenia Lwowa: koncyliacyjną, współodczuwającą perspektywę *Mojego Lwowa* (1946) Józefa Wittlina, *Wysokiego zamku* Stanisława Lema, tomu Adama Zagajewskiego *Jechać do Lwowa* (1985) oraz wpisujących to miasto wyłącznie w polski narodowy kontekst, z całkowitym wykluczeniem innych nacji i kultur, opracowań Stanisława Jaworskiego, Stanisława Wasylewskiego, Witolda Szolginii, Kazimierza Schleyena i dziesiątków ich naśladowców eksploatujących narodowy mit Lwowa, Galicji, „kresów”. „Widać tu podstawowe zadanie podejścia esencjalistycznego: dematerializację Innego. Z czasem stanie się ona coraz bardziej ostra i brutalna” – pisze Grabowicz, na myśli mając polską politykę wobec Ukra-

inców w Małopolsce, zwłaszcza w okresie międzywojennym. Słabością momentami bardzo celnego artykułu Grabowicza jest to, że atakuje on niektórych polskich lwowskich mitologistów z początku XX wieku, a następnie polską emigrację za jej chyba zrozumiałą tęsknotę do Lwowa, a zwłaszcza te grupki emigrantów, które nie uznawały jałtańskiego podziału Europy Środkowej i Wschodniej; ponadto zapomina, że lata 1939-1989 były czasem nieuniknionych wynaturzeń spowodowanych sytuacją polityczną; niezbyt także uważnie wnika w ogromny stan badań narastający po roku 1989, a tam znalazłby na pewno niejedno potwierdzenie swoich tez. Grabowicz traktuje polski sentyment do Galicji i Lwowa jako przejaw nieomal rewizjonizmu historycznego. Ukraiński badacz ma za złe, że Polacy w ogóle się interesują Lwowem, i że to zainteresowanie jest tak głębokie, emocjonalne, i, niestety, eliminujące z pola widzenia dzisiejszych gospodarzy. Akceptuje natomiast wykluczanie wszelkiej polskiej tradycji we Lwowie w ukraińskich pracach literackich i naukowych. Tak więc mamy tu do czynienia z pewnego rodzaju rewanżem za polską politykę wykluczeń – wyrzucanie Innego (Polaka) znajduje przecież zrozumienie w pracy ukraińskiego historyka literatury, akceptującego wyłącznie ukraiński mit Lwowa.

W tonie ostrej polemiki politycznej postrzegają problem „kresów” autorzy książki *„Schidni kresy” – pid znakom polskoho orla*<sup>46</sup> dotyczącej okresu 1919-1939 przedstawianego jednakże z perspektywy współczesnych ocen i potrzeb ukraińskich. Już notka na karcie tytułowej wiele mówi o punkcie widzenia przyjętym w pracy. Piszemy w niej o walce „przeciwko polskiemu okupacyjnemu reżymowi na «kresach wschodnich», o wyzwolenie ze społecznego i narodowego ucisku, z obcej niewoli”. Praca ta jest typowym dziełem propagandy, łączy elementy narodowe i komunistyczne w zdecydowanie niechętnym Polsce i Polakom obrazie „ucisku narodu ukraińskiego”. Podkreśla się asymilacyjną politykę II Rzeczypospolitej, z wykorzystaniem do tego celu prawosławia, jej współpracę z Rosją: „Zarówno odrodzona Polska, jak i białogwardyjska Rosja w jednakowym stopniu były zainteresowane w tym, żeby raz i na zawsze zetrzeć z mapy niezależną Ukrainę”<sup>47</sup>. Później autorzy wskazują na współpracę Polaków z bolszewicką Rosją w tłumieniu ukraińskich dążeń niepodległościowych. Autorzy polemizują z polityką Polski międzywojennej, jakby była to polityka współczesna, gorąca, zagrażająca istnieniu Ukrainy. Może to dziwić tym bardziej, że w obecnej polskiej historiografii nie pojawiają się w zasadzie żadne poważne próby usprawiedliwienia rządów sanacji wobec kwestii ukraińskiej. Historia ukraińskiej mniejszości jest przedstawiona w kijowskiej pracy jako dzieje ruchu narodowyzwoleńczego, z wszystkimi niemal cechami dyskursu marksistowsko-antykolonialnego, zatem klasowo-narodowego. Wzięty w cudzysłów termin „kresy wschod-

42/ E.W. Said *Orientalizm*, s. 56.

43/ „Orientalizm bardziej ulegał wpływowi kultury, która go stworzyła, niż domniemanemu celowi swoich badań, również stworzonemu przez Zachód, stąd jego historia wykazuje zarówno spójność, jak i wyraźne związki z kulturą dominującą w jego otoczeniu” (tamże, s. 57).

44/ Zob. polskie wydanie: O. Tarnawski *Literacki Lwów. Wspomnienia ukraińskiego pisarza z lat 1939-1944*, przeł. A. Chraniuk, wstęp, red. i przyp. B. Bakuła, Bonami, Poznań 2004.

45/ G.G. Grabowicz *Mitologizując Lwów/Lwów: echa obecności i nieobecności*, przeł. B. Bakuła, „Porównania” 2004 nr 1, s. 51. Artykuł ukazał się najpierw w angielskiej wersji: *Mythologizing Lviv/Lwów: Echoes of Presence and Absence. Lviv: A City in the Cross-currents of Culture* („Harvard Ukrainian Studies” 2000 [2002] t. XXIV, s. 313-342), a później w kijowskiej „Krytyce” (2002 nr 7-8, s. 11-17) oraz w książce tegoż autora *Teksty i maski* (Kijów 2005).

46/ O.W. Własiuk, B.J. Sidoruk, W.M. Ciatko *„Schidni kresy” pid znakom polskoho orla*, Riwne 2005, s. 135.

47/ Tamże, s. 13, przekł. mój – B.B.

nie” ma eksponować dystans, brak wiarygodności, uzurpację, okupację (terminy „okupanci”, „polski szowinizm” są tu nader chętnie stosowane) ziem ukraińskich, takich jak Wołyń, Podole, Galicja.

Stosunek ukraińskich badaczy, zarówno historyków, jak i literaturoznawców, zwłaszcza z Ukrainy Zachodniej, do treści terminu „kresy” utożsamianego z dyskursem kolonizatorskim jest zdecydowanie negatywny. Dopuszczalne w ukraińskich publikacjach, co najwyżej ironiczne użycie terminu ma podważać jego wartość jako kategorii z zakresu historiografii czy literaturoznawstwa. Mimo różnej orientacji badawczej oraz światopoglądowej badacze ukraińscy zdecydowanie odrzucają termin „kresy”, jak i większość prac kresoznawczych, czyniących z ich kultury abstrakcyjne *egzemplum*, służące wyłącznie polskiej kulturze.

Innym przypadkiem jest książka Stefani Andrusiw *Modus nacjonalnoji identyczności: Lwivskyj tekst 30-ch rokiv XX st.* (Lwów 2000). Praca ta zdenerwowała nawet złośliwego wobec polskich, zwłaszcza emigracyjnych, fascynacji Lwowem Grabowicza. W istocie programowość wykluczenia polskiej części historii Lwowa przybrała tu wymiar ekstremistyczny. Co ciekawe, w najbardziej antypolskich fragmentach autorka odwołuje się do poglądów ukraińskiej emigracji. Ważniejsza jednak od emigracji jest perspektywa semiotycznej tożsamości i semiotycznej wielokulturowości *à la* „tekst lwowski”. Píše Andrusiw:

Jest podstawa, by mówić o lwowskim tekście w ukraińskiej kulturze. Lwów „mówi” swoimi ulicami (już nawet historia przemianowania ulic Lwowa tworzy odrębny tekst), prospektami, budowlami, pomnikami, historią, ideami i może być odbierany jako określony heterogeniczny tekst dwójako: miasto jako przestrzeń i miasto jako nazwa. Lwów jako przestrzeń znajdował się w dość trudnych relacjach z Ziemią; z jednej strony, był izomorficzny wobec ukraińskiej Ziemi w nieukraińskim państwie, w pewnym sensie ucieleśniał, reprezentował to nieistniejące państwo (był państwem ducha), całą Galicję i w ogóle Zachodnią Ukrainę, był idealizowanym modelem ukraińskiego wszechświata, zwłaszcza w latach trzydziestych, i leżał z centrum tego wszechświata, wówczas występując jako tymczasowe centrum (zamiast Kijowa), z drugiej był na zewnątrz tej przestrzeni, do jakiej należał – Polski – pozostając również i wówczas polskim Lwowem (w pewnej mierze – żydowskim), co mogło by sprzyjać wytworzeniu syntezy kultur, ale w ówczesnej sytuacji politycznej i społeczno-psychologicznej spowodowało tylko ich przeciwstawność i zaostrzenie egzystencjalnego kodu lwowskiego tekstu, opozycji nasz/nie-nasz (tak w ukraińskiej jak i w polskiej semiozie miasta, która istnieje do dnia dzisiejszego).

„Lwów ukraiński! Lwów – nasz!” – nie tylko dlatego, że my go tak nazywamy. Lwów nie jest polski i polskim nigdy nie będzie, bez względu na to, iż Polacy go na każdym kroku sobie przywłaszczają!

– kończy powyższy akapit ukraińska badaczka cytatem z tekstu emigracyjnego autora<sup>48</sup>. Na tym też kończą się w omawianej pracy jakiejkolwiek związki Lwowa z Polską. Przypomina to „lwowski tekst” autorstwa polskiego historyka Witolda

Szolginii, który całkowicie wyrugował najmniejsze bodaj sugestie związane z Lwowem ukraińskim<sup>49</sup>.

## Nowe propozycje

Przejdźmy jednak na podwórko polskiego literaturoznawstwa, pozostawiając na boku spory o niekresowy, stołeczny przecięż, Lwów.

Panas w swoim artykule z jednej strony bezwiednie formułował tezy należące do dyskursu kolonialnego, z drugiej obalał je, podważał, wygłaszając opinie i postulaty należące już częściowo do teorii postkolonialnej. Można powiedzieć, że jego tekst oddaje dość typowy dzisiaj w Polsce sposób myślenia, który usiłuje pogodzić, mówiąc językiem semiotyki, strach zawłaszczania i wstyd z powodu jego konsekwencji. Jest to również stan typowy dla polskiego kresoznawstwa, które znajduje się w pół drogi między dwoma dyskursami.

„Kresoznawczy” polski izolacjonizm (uszlachetniany zwłaszcza teoriami Michaiła Bachtina, których używa się w roli argumentu rozstrzygającego o naukowej zasadności podejmowanej refleksji), zakładający jako główną perspektywę polską, jest wciąż popularny i ma swoją wartość, ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że akceptacja teorii postkolonialnej w badaniach nad Kresami, „kresami” i pograniczami zmieni te proporcje, pozwoli nam uświadomić sobie to, czegośmy nie wiedzieli o naszym myśleniu, o naszym języku, o naszej zbiorowej i jednostkowej świadomości. Gdyby ktoś tym wszystkim poważnym i godnym szacunku badaczom powiedział, że ich prace reprezentują ślady dyskursu kolonialnego, zapewne bardzo by się oburzyli, a nawet obrazili. Jesteśmy przyjaciółmi Ukrainy, Białorusi, Litwy, tradycji żydowskiej etc. – powiedzieliby stanowczo. Nie należy w to wątpić. Gdzie więc leży problem? Nie w deklaracjach, których szczerości nikt nie podważy – lecz w strukturach języka, w obrazach, w nakreślonych ścieżkach badawczych, w metodzie, w świadomości przechowującej wciąż ten sam postulat „polonizacji” wielonarodowego dziedzictwa historycznego.

W Polsce działa tylko kilku znawców literatury i kultury polskiej z kompetencją lituanistyczną, kilkoro także solidnie wykorzystuje źródła ukraińskie (ale nie do badania „kresów”, bo jak tylko wejdą w świadomość literatury ukraińskiej, to zaraz im przechodzi na to ochota). Żaden znany polonista nie próbował, jak dotąd, podejmować zagadnień białoruskiej literatury i kultury w perspektywie kresoznawczej. Nikt do tej pory w Polsce nie zdołał pokusić się o próbę skonfrontowania kilku literatur „kresowych”. W dziedzinie badań porównawczych polska historiografia ma zdecydowanie poważniejsze osiągnięcia niż literaturoznawstwo.

Twierdzę, że zagadnienie kultury „kresów” i pogranicz domaga się nowego języka naukowego w Polsce, a mógłby to być język teorii porównawczej. Dyskurs postkolonialny jest z założenia teorią komparatystyczną, a także interdyscyplinarną. Zbliży się w tę stronę koncepcja komparatystyki integralnej, zgło-

<sup>48</sup>/ S. Andrusiw *Modus identyczności: Lwivskyj tekst 30-ch rokiv XX st.*, Lwów 2000, s. 123, przekł. mój – B.B.

<sup>49</sup>/ W. Szolginia *Tamten Lwów*, t. I-VI, Sudety, Wrocław 1993-1994.

szona przeze mnie w pracy *Historia i komparatystyka*<sup>50</sup>. To komparatystyka narzuca dziś nowe standardy metodologiczne i edukacyjne, demokratyzuje, uczy myślenia paralelnego i pozbawionego narodowego solipsyzmu. Nie zmienimy naszego, postsowieckiego świata, jeśli nadal będziemy pozostawać w strefie skażenia ideologią kolonialną i w poczuciu nieufności, obawy wobec Innych. To minie, jeśli język, którym będziemy się porozumiewać, umożliwi autentyczny dialog. Polski dyskurs kresowy jest ciągle dialogiem pozornym, w istocie narodowym monologiem z obrazami przeszłości, w których Inni grają rolę statystów lub wrogów. Opracowania z dziedziny badań tę sytuację powtarzają. Tymczasem sens ma tylko wspólne odczytywanie Kresów, bez wzajemnych wykluczeń, potraktowane jako rozpoznawanie wspólnego dziedzictwa na zasadzie nieupodrzednianych porównań, z obowiązkiem uwzględniania innych racji. By to osiągnąć, trzeba będzie poczekać na nowy język, w którym sprzeczne doświadczenia wszystkich podmiotów historii Kresów nie będą nas od siebie odwracać, ale znajdą racjonalne, głębokie wytłumaczenie na płaszczyźnie innej niż solidarność plemienna. Wiele zależy od tych, którzy zamiast odzyskiwać „polskie kresy” na papierze czy nieustająco renegocjować ukraińskie, białoruskie itp. krzywdy, mogliby tworzyć autentyczne płaszczyzny dialogu o Kresach – w przyszłym języku komparatystyki i teorii postkolonialnej.

## Abstract

**Bogusław BAKUŁA,**  
**Adam Mickiewicz University (Poznań)**

### Colonial and postcolonial aspects of the Polish borderland-science discourse: an outline

This article analyses colonial and postcolonial aspects of so-called Polish borderland discourse as comprised in a series of literary-scientific and culturological papers as well as memoirs published after 1989. The Author argues that the language of several such Polish papers contains unconscious linguistic constructs, image clichés superimposing their image of the world and determining the inclination to have (the) Others precluded, although much is said on dialogue, multiculturalism and understanding in terms of scientific and/or ideological or similar intents. This testifies to an extremely strong prevalence of colonialist forms of memory whereas the subject of colonising (i.e. Ukrainian, Byelorussian, Lithuanian lands and cultures) is unattainable in realistic terms, if not intentionally undesirable. The article also discusses the Ukrainian forms of rendering Poles precluded from the territory and culture of the Ukraine, with a memory of former colonisation as their basis, along with the presently strong postcolonial response being associated with the national revival. The Author proposes an 'integral comparative studies' project as coupled with a postcolonial theory as the starting point for interdisciplinary studies on the so-called 'borderland' [Polish, *kresy*] transgressing the invisible and visible borders of scientific awareness connected with the colonial discourse.

<sup>50</sup>/ B. Bakula *Historia i komparatystyka. Szkice o literaturze i kulturze Europy Środkowo-Wschodniej XX wieku*, Poznańskie Studia Polonistyczne, Poznań 2000.

## Zbigniew MAJCHROWSKI

### Literaci polscy nocą 12/13 maja 1935 roku

Nocą z 12 na 13 maja 1935 roku, przed świtem, literatura polska wyszła na ulicę. Nie pierwszy raz i nie ostatni. Tym razem pisarze i poeci ruszyli nie tyle „na”, co „pod” Belweder. Opuścili salon warszawski – mieszkanie Zofii Nałkowskiej na Marszałkowskiej nie opodal placu Unii Lubelskiej – i znaleźli się przy parku Łazienkowskim. Przyjęcie imieninowe u znanej pisarki (przełożone na niedzielę poprzedzającą 15 maja) przerwała wieść o śmierci Józefa Piłsudskiego.

Znanych jest co najmniej siedem pisarskich relacji uczestników wieczoru: zapis diaryistyczny Marii Dąbrowskiej datowany 12 maja 1935 roku, zapis diaryistyczny Zofii Nałkowskiej z 14 maja 1935 oraz wspomnienia Marii Kuncewiczowej (*Nałkowska jaką pamiętam*), Witolda Gombrowicza (*Wspomnienia polskie*), Kazimierza Wierzyńskiego (*Pamiętnik poety*), Alfreda Łaszowskiego (*Nałkowska a styl życia*) i Antoniego Słonimskiego (*Alfabet wspomnień*)<sup>1</sup>. Sama gospodyni wieczoru odnotowuje, że obecni byli też Adolf Rudnicki, Tadeusz Boy-Zeleński, Jan Par-

dowski oraz kilku mniej znaczących literatów, publicystów, redaktorów, Gombrowicz w swoim wspomnieniu wymienia jeszcze dwie pisarki („może Szelburg-Zarembina, może Melcer-Rutkowska”), a Łaszowski szacuje, że na przyjęciu zjawili się „co najmniej osiemdziesiąt osób” – „ministrów, generałów oraz młodych i starszych pisarzy”. „Było jeszcze tłumniej niż zwykle” – wspomina Kuncewiczowa; „ledwie można było się przecisnąć” – przytakuje Gombrowicz. „W trzech mieszczkańskich pokoikach zebrała się elita rządu i literatury” – pisze Słonimski.

Kto jest kim tej nocy? Pięćdziesięcioletnia Zofia Nałkowska jest jedyną kobietą-członkiem Polskiej Akademii Literatury, w roku 1935 wydaje *Granice*. Maria Dąbrowska ma lat czterdzieści pięć, zdążyła już opublikować *Noce i dnie*, w roku 1935 odmawia przyjęcia Złotego Wawrzynu PAL. Maria Kuncewiczowa niedługo skończy czterdziestkę, w 1935 roku „Kurier Poranny” drukuje w odcinkach jej *Cudzoziemkę*. Antoni Słonimski, niespełna czterdziestolatek, w 1935 roku wydaje tom poetycki *Okno bez krat*. Kazimierz Wierzyński ma czterdzieści lat i otoczone nimbem olimpijskiej sławy nazwisko. Witold Gombrowicz, trzydziestolatek, zdążył jedynie zadebiutować *Pamiętnikiem z okresu dojrzewania* (1933) i pisuje właśnie artykuły i recenzje do „Kuriera Porannego”. Najmłodszym ze wszystkich jest Alfred Łaszowski, dwudziestolatek, student Uniwersytetu Warszawskiego, który próbuje sił na łamach „Robotnika” i „Lewego Toru” (by wkrótce przejść na stronę „Prosto z Mostu”).

Jako pierwsza chwyta za pióro Maria Dąbrowska – jej zapis w dzienniku jest najkrótszy, najbardziej lapidarny, niemal telegraficzny:

Wieczorem byłam na dużym towarzyskim zebraniu u Nałkowskiej – i tam przyszła telefoniczna wiadomość o śmierci Piłsudskiego. Wszyscy goście rozpięchli się momentalnie jak kuropatwy. Pobiegłam do domu. Na mieście jeszcze nie wiadano. W restauracjach grały muzyki. Chociaż bałam się o Stacha, ale powiedziałam mu. Do drugiej blisko słuchaliśmy komunikatów żałobnych przez radio.

Poza jedynym porównaniem „jak kuropatwy” zdania wyglądają na stylistycznie neutralne, emocjonalnie nienacechowane. Można odnieść wrażenie, że wszystko rozgrywa się pomiędzy aparatem telefonicznym a odbiornikiem radiowym, rekwizytami zapewniającymi dystans – dla Dąbrowskiej śmierć Piłsudskiego ma pozostać, przynajmniej tej nocy, jedynie faktem medialnym. Paradoksalnie ta, która jako pierwsza chwyta za pióro, wycofuje się jako pisarka; nie podejmuje roli uczestniczącego świadka, nie daje świadectwa własnej wersji zdarzeń wieczoru, pozostaje bierną słuchaczką radiowych komunikatów.

A co robią inni po opuszczeniu salonu? Gombrowicz „z Adolfem Rudnickim i kilkoma innymi” gośćmi ruszają pod Belweder jako jedni z pierwszych; wśród nich jest też Kuncewiczowa („Wyszedł z Adolfem Rudnickim”). Wierzyński tak-sówką udaje się najpierw do redakcji „Gazety Polskiej” na Szpitalną, potem dopiero idzie pod Belweder, po drodze mija się z powracającymi już stamtąd Światopełkiem Karpińskim i Januszem Minkiewiczem. W opustoszałym salonie na Marszałkowskiej pod numerem czwartym osamotnionej Nałkowskiej dotrzymuje to-

<sup>1/</sup> Wszystkie cytaty z wymienionych wspomnień według następujących wydań: M. Dąbrowska *Dzienniki 1933–1945*, wyb., wstęp i przyp. T. Drewnowski, Czytelnik, Warszawa 1988, s. 101–102; Z. Nałkowska *Dzienniki IV 1930–1939. Część 2 (1935–1939)*, oprac., wstęp i kom. H. Kirchner, Czytelnik, Warszawa 1988 (s. 10–11); M. Kuncewiczowa *Nałkowska jaką pamiętam*, w: *Wspomnienia o Zofii Nałkowskiej*, Czytelnik, Warszawa 1965, s. 167, 172; W. Gombrowicz *Dzieła*, red. nauk. J. Błoński, J. Jarzębski, t. XV: *Wspomnienia polskie. Wędrowki po Argentynie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1996, s. 131–135; K. Wierzyński *Pamiętnik poety*, red., wstęp i przyp. P. Kądziała, Interim, Warszawa 1991, s. 354–355; A. Łaszowski *Nałkowska a sztuka życia*, w: tegoż *Literatura i styl życia. Szkice, wspomnienia, rozmowy*, Pax, Warszawa 1985, s. 159–162, pierwodruk: „Kierunki” 1965 nr 44; A. Słonimski *Alfabet wspomnień*, wyd. 2 uzupeł., PIW, Warszawa 1989, s. 18–19.

warzystwa jedynie Łaszowski (a przynajmniej on sam tak utrzymuje w swym wspomnieniu).

Podążam tu oczywiście za relacjami samych uczestników, ulegając pokusie rekonstrukcji wydarzeń wieczoru, szukam tego, co referencyjne, ale znajduję głównie rozbieżności. Przede wszystkim podawane są różne pory telefonu, odmiennie też identyfikowany jest odbiorca telefonicznej wiadomości. Dąbrowska, która sporządziła notatkę w dzienniku bezpośrednio po zdarzeniu, jest najbardziej oględna: „przyszła telefoniczna wiadomość o śmierci Piłsudskiego”; w szczególności wdaje się natomiast – po latach! – Kuncewiczowa: „Koło ósmej wieczór odwołano do telefonu ministra Korsaka. W salonie zrobiło się cicho, nawet straszno. Po chwili okazało się, że umarł Piłsudski”. Tymczasem wedle Słonimskiego: „było już nad ranem, gdy telefon zadzwonił, i nagle wszyscy umilkli. [...] Pamiętam panią Rayską – jak szlochała głośno, trzymając się firanki okiennej, za którą już świt przeglądał”. A zatem: „koło ósmej wieczór” – jak utrzymuje Kuncewiczowa, czy „już nad ranem”, tuż przed świtem – jak chce Słonimski? Z kolei wedle Wierzyńskiego to właśnie „Słonimski dostał telefoniczną wiadomość od Juliusza Sakowskiego, podówczas urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, i oznajmił ją zebrany”. Z pamięcią Kuncewiczowej kłóci się też wspomnienie Alfreda Łaszowskiego, który podaje, że Nałkowska wydała przyjęcie „o dziewiątej wieczór”. Ale wspomnienie Łaszowskiego przeczy również temu, co zapamiętał Słonimski, jak i temu, co o Słonimskim zapamiętał Wierzyński; „akurat w tym momencie, gdyśmy już mieli zacząć jeść – pisze Łaszowski – przy drzwiach nagle zadzwonił telefon. Pani Zofia podniosła słuchawkę, a wysłuchawszy słów paru w tym gwarze, zwróciła się oto ku nam i opuściła ją z hukiem na ziemię”. Tak, Kuncewiczowa myli się ewidentnie w kwestii godziny ósmej, skoro wedle oficjalnego komunikatu śmierć Marszałka nastąpiła kwadrans przed dziewiątą wieczór. Ale kto jest bliższy prawdy: Łaszowski, Słonimski czy Wierzyński? Kto odebrał telefon i przekazał zebranym żalobną wiadomość? Minister Korsak? Antoni Słonimski? Zofia Nałkowska? Najbardziej prawdopodobne, że słuchawkę podjęła sama gospodyni, ale bardzo możliwe, że uprzedził ją ktoś ze służby, a wówczas mógł otrzymać konkretne polecenie przywołania kogoś z gości (na przykład ministra Korsaka, na przykład Antoniego Słonimskiego). Zapis w dzienniku samej Nałkowskiej ewentualnie wyłącza z gry Korsaka, ale w sumie o niczym nie rozstrzyga: „Wiadomość o tym przyszła tutaj w chwili, gdy dom pełen był obcych ludzi. [...] Korsak i Zamorski zniknęli przed przyjściem tej wiadomości”.

Wprawdzie „to się złożyć nie może”, niemniej we wszystkich spisanych relacjach występują elementy, które uznać można za swoiste miejsca wspólne. Prawdopodobnie odebrano tego wieczoru kilka różnych telefonów od różnych informatorów i różne osoby przekazywały zgromadzonym usłyszaną wiadomość, ale w każdym z przekazów mowa jest o jednym telefonie, który gwałtownie odmienia nastroj spotkania i powoduje szybkie rozejście się towarzystwa. Daje temu wyraz nawet tak powściągliwa w zapisie Dąbrowska: „Wszyscy goście rozpięchli się momentalnie jak kuropatwy”; podobnie Wierzyński: „Rozeszliśmy się natych-

miast”; podobnie Słonimski: „Tłoczno zrobiło się w przedpokoju”; podobnie Gombrowicz: „nakładano pośpiesznie okrycia”; „już wszyscy wychodzili, żegnano się po cichu, pośpiesznie...”; podobnie Łaszowski: „cały tłum ministrów i generałów rzucił się hurmem do drzwi. Ubierali się na wyścigi. Wielu wybiegło bez płaszczy. Z Nałkowską nie zdążyli się nawet pożegnać”; podobnie Nałkowska: „to był prawie popłoch”.

Georg Simmel zwrócił uwagę, że *Ostatnia wieczerza* Leonarda rozgrywa się w kilku momentach czasowych:

Wyrazista gestykulacja poszczególnych grup przedstawia efekt i niesłabnące wrażenie decydujących słów Chrystusa w różnych odstępach czasu od chwili, gdy słowa te padły. Grupa po prawej stronie usłyszała je już parę minut temu, widzimy migawkę z już wszczętej dyskusji; niektórzy uczniowie siedzą pogrążeni w zadumie, pierwsze wrażenie mają już za sobą; Judasz zaś zdradza pierwsze, momentalne zaskoczenie [...]. Nie tylko każda dusza odpowiada tu na najgłębszy życiowy wstrząs w sposób ujawniający nam całą formułę jej bytu, ale także w czasie działania wstrząsu wybrano moment, w którym owo ujawnienie może dokonać się najpełniej i najbardziej wyraziście. A nie dla wszystkich dzieje się to w pierwszym momencie. [...] *Ostatnia wieczerza* łamie jedność czasową, za to jedność napięć psychicznych osiąga tu szczytowy punkt estetycznego oddziaływania.<sup>2</sup>(s. 153–154)

Można by powiedzieć, że mediolański fresk Leonarda to modelowe przedstawienie doświadczenia grupowego w sposób uwzględniający zindywidualizowaną skalę doświadczeń osobistych. Coś podobnego uchwyciła Nałkowska w dziennikowym zapisie o rozprzestrzenianiu się wiadomości podczas wieczoru imieninowego: „Przełamana w różnych reakcjach, w różnych twarzach, ruchach i słowach. Szła z pokoju do pokoju, od grupy do grupy, nie wiadomo dłaczego szeptem – po całej skali wrażenia, po wszystkich jego szczeblach i odcieniach”. Uderzająco podobnie zapamiętał tę scenę Gombrowicz:

Przyjęcie dochodziło do swego apogeum, gdy nagle... coś się stało. Nie mogłem uchwycić w pierwszej chwili na czym polegała nagła, a tak wyraźna, zmiana, naokoło mnie, przy bufecie, ludzie rozmawiali z kieliszkami, talerzykami w dłoni – a jednak w ogólnym szumie i gwarze nastąpiło jakby załamanie.

Naraz widzę, że z salonu wychodzi ktoś z pisarek – może Szelburg-Zarembina, może Melcer-Rutkowska – zapłakana. Łzy ściekały jej po policzkach. Co to było? Czyżby ją kto obraził?

Gdy wtem jeszcze dwie kobiety wychodzą głośno szlochając, a za nimi kilku mężczyzn z wyrazem twarzy dramatycznym. I naokoło cisza zaczęła wypierać hałasy przyjęcia. Znow kilka osób ruszyło do wyjścia, nakładano pośpiesznie okrycia.

Na koniec zrozumiałem: Piłsudski. Już od kilku dni wiadomo było, że stan jego jest bardzo niepokojący...

<sup>2/</sup> G. Simmel *Most i drzwi. Wybór esejów*, przeł. M. Łukasiewicz, Oficyna Naukowa, Warszawa 2006, s. 153–154.

Narracja Gombrowicza ma charakter zgoła inscenizacyjny. To odczucie teatralności utrwaliło się zresztą w kilku przekazach. Gombrowicz zapamiętuje mężczyznę „z wyrazem twarzy dramatycznym”, we wspomnieniu Słonimskiego nagle wszyscy zastygli „w niemal scenicznych pozycjach”, a u Nałkowskiej w dzienniku czytamy: „Cały ten wieczór jak jakieś widowisko, w którym byłam bardzo samotna”.

Wszystkie te relacje, mimo że cechuje je różny dystans czasowy i zróżnicowane formy podawcze, przynależą do kategorii dyskursu osobistego i układają się w rodzaj wielotekstu (czy polilogu) – ich równoległa lektura scala je w konstelację i ustanawia jeden wielopodmiotowy i wieloidiomatyczny przekaz. Przekaz wewnętrznie skłócony w konkretyzowaniu okoliczności, niekonsekwentny. Przy wszystkich niezgodnościach, a niekiedy wręcz rażących rozbieżnościach faktograficznych łączy jednak autorów wspólne doświadczenie – i tu właśnie rodzi się pytanie: co to za doświadczenie? Przecież nie sama śmierć Marszałka, bo ta ma formę „wiadomości”. Tym, czego zgromadzeni doświadczają realnie, jest nagle – wskutek teźże wiadomości – zerwanie towarzyskiego układu i konieczność zredefiniowania sytuacji. Teraz spotkanie towarzyskie (a więc z pogranicza prywatności i życia publicznego) musi przybrać nową formułę. Najpierw następuje szybkie przegrupowanie zgromadzonych: wojskowi osobno, literaci osobno... W jednej chwili „pułkownicy, generałowie, ministrowie” oraz dyplomaci powracają do swych oficjalnych ról („z tymi urzędowymi, żałobnymi minami” – notuje Nałkowska; „wielu wybiegło bez płaszczy” – pisze Łaszowski), ale co mają czynić artyści, a zwłaszcza pisarze? Przekształcić imieniny w stypę? salon literacki w dom żałobny?

Zważmy: wiadomość nadchodzi w trakcie towarzyskiego zgromadzenia w artystyczno-inteligenckim salonie, gdy wskutek mniej czy bardziej konwencjonalnego zaangażowania w salonową grę interpersonalną czasowo ulega osłabieniu związek zarówno z indywidualnym porządkiem prywatnej egzystencji, jak i z powszechnym porządkiem życia zbiorowego. Sposób bycia czy raczej przebywania w salonie to utrzymywanie osobowości w stanie zawieszenia (niejako wzięcie jej w nawias). Wiadomość o historycznym ciężarze trafia więc na słabo zdefiniowany, labilny grunt. W jakim rejestrze ją przyjąć? Prywatnym czy publicznym? – to pytanie, na które musi odpowiedzieć sobie każdy z uczestników spotkania. Dyskomfort tej nieoczywistej sytuacji wyraźnie odczuwa Zofia Nałkowska: „Wiadomość o tym przyszła tutaj w chwili, gdy dom pełen był obcych ludzi”. W jednej więc chwili zaproszeni goście imieninowi stają się dla gospodyni „obcymi ludźmi”! A przecież wcześniej tego wieczoru – opieram się teraz na wspomnieniu Słonimskiego – przed tymi samymi ludźmi nie kryła się z domowymi pamiątkami, przeciwnie: „Pokazała nam z dumą przechowywaną w gablotce szklankę, z której Piłsudski pił u niej kiedyś herbatę”. Najpierw dzieliła się widokiem pamiątkowego przedmiotu (który teraz, wraz ze śmiercią Marszałka, nabywał znamion narodowej relikwii), ale ubolewa, że przyszło jej dzielić z innymi osobistą reakcję na funeralną wieść. Trzeba jednak liczyć się i z tym, że Słonimski dopuścił się kontaminacji wspomnień i epizod z celebrowaniem szklanki miał miejsce przy jakiejś innej okazji.

Tak czy inaczej, obok sfer wojskowych i rządowych właśnie pisarze są pierwszymi wtajemniczonymi. Zauważa to zarówno Dąbrowska w drodze do domu („Na mieście jeszcze nie wiadomo. W restauracjach grały muzyki”) jak i Gombrowicz w drodze pod Belweder: „Zaledwie dwa czy trzy samochody stały przed pałacem, a na ulicy przed bramą wjazdową tylko garstka ludzi wyczekiwała – wiadomość jeszcze nie obiegła miasta, my należeliśmy do najwcześniej poinformowanych”. Pisarze zostają nagle postawieni wobec konieczności (by nie rzec: powinności?) przewartościowania (nowego nacechowania) sytuacji. Niewątpliwie tej nocy wszyscy zdają sobie dobrze sprawę z tego, co tak dobitnie wyrazi wkrótce w druku Bruno Schulz: „Mit Piłsudskiego gotowy był już za jego życia. Wisiał nieuformowany w powietrzu, wchodził i wychodził z oddechem piersi. Był to mit potencjalny, mit-żywiół, sama nieuformowana dynamika do wielkiej legendy”<sup>3</sup>. Teraz nadeszła chwila przesilenia owego mitu potencjalnego w mit usankcjonowany. Wielu pisarzy udzielać się będzie w przekształcaniu żywej legendy w legendę pośmiertną, jak chociażby Józef Wittlin w artykule *W godzinie żalu*<sup>4</sup>, który trudno dzisiaj odczytywać bez zażenowania. Dyskursywne formowanie mitycznego żywiołu zacznie się jednak od jutra. Tej nocy nie wszyscy z literatów chcą być literatami, a przyjmowane przez nich strategie zachowań są bardzo zróżnicowane.

Maria Dąbrowska właściwie znika z pola widzenia, kryje się w domu i słucha radia. Inni prędzej lub później stawiają się pod Belwederem, gdzie Witold Gombrowicz – jako jeden z pierwszych – zajmuje pozycję rzecz by można strategiczną: podpatruje zachowania kolegów po piórze:

Skłamałbym twierdząc, że śmierć Marszałka nie wstrząsnęła mną głęboko [...] Ale widok tej śmietanki polskiej inteligencji, skupionej oto przed Belwederem jak garść kuropatw, kornej, drżącej, przerażonej, przygwożdżonej, jakby to nie człowiek umarł, a nadczłowiek, zirytował mnie równie niespodziewanie, co gwałtownie. Niechby tak to przeżywali wojskowi, urzędnicy, zwykli obywatele... ale intelektualści, filozofowie, artyści?...

Nawiasem mówiąc, zastanawiającą rolę odgrywają tu kuropatwy, występujące przecież – jak pamiętamy – i w relacji Marii Dąbrowskiej („Wszyscy goście rozpierchli się momentalnie jak kuropatwy”); ciekawe, że Dąbrowskiej kuropatwy kojarzą się z rozproszeniem, a Gombrowiczowi – ze skupieniem!

Maria Kuncewiczowa wystrzega się gromadnych emocji i chociaż nie wyrzeka się środowiskowej tożsamości, wyraźnie oddziela poszczególne role, wypowiadając swoje literackie *désintéressement*: „Poszliśmy w Aleje Ujazdowskie i usiedli na ławce naprzeciw Inspektoratu – politycznie obojętni, pisarsko w temat nie zaangażowani, osobiście mimo wszystko dotknięci”. Kazimierz Wierzyński, przeciwnie, robi obrachunek twórczy i dąży właśnie do zintegrowania rozdzielonych

<sup>3</sup>/ B. Schulz *Powstają legendy. Trzy szkice wokół Piłsudskiego*, wstęp i oprac. S. Rosiek, Oficyna Literacka, Kraków 1993, s. 29.

<sup>4</sup>/ J. Wittlin *W godzinie żalu*, „Wiadomości Literackie” 1935 nr 23.

(w pamięci Kuncewiczowej) porządków życia obywatelskiego, literackiego i egzystencjalnego:

Patrzyłem przez żelazne ogrodzenie na wartownika, na oświetlone podwórko i ciemny dom. W pewnej chwili poczułem, że ktoś przysuwa się do mnie i dotyka mnie ramieniem. Był to Wojciech Jastrzębowski. Długo tak staliśmy przy sobie. [...] Kiedy wracaliśmy z Jastrzębowskim do miasta, powiedziałem mu, że mam kilka wierszy o Piłsudskim. „Wyдай je zaraz” — odrzekł. Nie było to takie proste. Wiersze te pisałem w różnych czasach, nie myślałem, że kiedykolwiek złożą się na jednolitą całość i przygotowanie zbioru przeciągnęło się do następnego roku. Taki był początek *Wolności tragicznej*.

Wierzyński (i właściwie tylko on jeden z całego grona) wpisuje zdarzenia tej nocy w swoją biografię poety – całe wspomnienie prowadzi ku genezie tomu poezji *Wolność tragiczna*, wydanego w 1936 roku.

Skupienie się pod Belwederem to drugi – obok telefonu przerywającego przyjęcie – topos w przekazach z tej nocy. Nocny obraz pałacyku Łazienkowskiego obecny jest niemal we wszystkich tekstach. Słonimski: „Nie umawiając się, małymi grupkami, wszyscy w milczeniu szliśmy pod Belweder. Staliśmy przed zamkniętą kratą pałacu wpatrzni w parterowe okna, gdzie światła nie zgaszzone czerwieniły się w łazienkowskiej mgle”; Gombrowicz: „Biały front pałacu, doskonale widoczny w świetle latarń, był tajemniczy i cichy...”; Wierzyński: „Brama Belwederu była zamknięta. Stało przy niej kilkadziesiąt milczących osób [i dalej – jak wyżej:] Patrzyłem przez żelazne ogrodzenie na wartownika, na oświetlone podwórko i ciemny dom”; Łaszowski: „Belweder był oświetlony. Przed bramą szczelnie zamkniętą stał luźno rozproszony szereg ledwie widocznych w żółtawym mroku – żołnierzy”...

I właśnie pod Belwederem dochodzi do prowokacji ze strony Gombrowicza:

Naraz sznur Cadillaców jął wjeżdżać na dziedziniec — to był rząd z premierem Składkowskim na czele, po raz ostatni meldujący się u Marszałka. [...] Spojrzałem ze złością na blade oblicza kilku kolegów pisarzy i powiedziałem głośno, przed siebie: — Jakie ładne samochody!

Łatwo sobie wyobrazić efekt... Najżyczliwsi tłumaczyli innym, mniej życzliwym, że jestem trochę wariat, a trochę aktor, że to poza, zgrywanie się na cynizm i brak taktu.

Jak już przy innej okazji zauważyła Maria Janion: „Nieważne zresztą, czy to prawda, czy nieprawda – to, co Gombrowicz ma nam do wyznania; istotna jest aura interpretacyjna, jaka tym wstydlivo-bezczelnym (w rozumieniu autora) konfesjom towarzyszy”. Tak często w jego pisaniu jak i w jego działaniach stosowana mistyfikacja to wedle Marii Janion „wspaniałe ludyczne dziedzictwo awangard dwudziestowiecznych, a w szczególności surrealizmu”<sup>5</sup>. Czy jednak w tym wypadku, w majową noc u bram Belwederu, Gombrowicz chce być dynamitardem powstającej właśnie legendy? Czy raczej pragnie tym sposobem – czyli swoją kontr-

reżyserią – spotęgować i uwyraźnić dramaturgię tej nocy, w sprzeciwie wobec narzucających się standardowych scenariuszy?

O kryzysie związanym ze śmiercią Piłsudskiego można oczywiście mówić wprost, „otwartym tekstem”, jak to czyni Maria Kuncewiczowa („Miało się wrażenie, że umarła ta cała epoka, jesteśmy w pustce i nie wiadomo co zrobić”), a i Gombrowicz, rzecz jasna, tak potrafi formułować („umierał z nim pewien okres naszego bytowania, kraj pozbawiony jego twardej ręki wkraczał w Nieznane, najeżone groźbami...”). Ale Kuncewiczowa ulega ostatecznie pokusie literackiego wzmocnienia i kończy swoje wspomnienie zdaniem uwikłanym w dość pretensjonalną symbolikę: „Literatura, imieniny, oczy pani Zofii stopniały – została czarna kałuża: śmierć”. Inaczej Gombrowicz: wie przecież doskonale, że retoryka tekstu będzie upominać się o swoje i nie da się uniknąć hiperboli, toteż w paradoksalny sposób pisarz uzyskuje jeszcze większy efekt przez prowokacyjne osłabienie patosu „nieprzystojnym” zwróceniem uwagi na sznur samochodów. Jakby pragnął związać emocje tej nocy z czymś bardzo materialnym, twardym, czymś „nie na miejscu”, ostentacyjnie niesymbolicznym, by siłą kontrastu tym skuteczniej zachować doświadczenie w pamięci.

Postawiłem wcześniej pytanie: kto jest bliższy prawdy: Łaszowski, Słonimski czy Wierzyński? Pytanie było oczywiście źle postawione, bo pytałem niejako o prawdę materialną: kto odebrał telefon i przekazał zebranym żalobną wiadomość? Jeśli jednak kategorię prawdy bądź faktu zastąpimy kategorią doświadczenia, optyka ulegnie radykalnej zmianie. To, co niespójne, niekonsekwentne, niepewne w porządku faktograficznym, daje się odczytać w innej perspektywie – jako idiomatyczne reprezentacje dzielonego z innymi doświadczenia. Wygląda na to, że reprezentacje domagają się nasycenia konkretem, ale nie wymagają prawdziwości tego konkretnego, równoprawnie dopuszczając konfabulacje czy mistyfikacje. Dla Kuncewiczowej będzie to „koło ósmej wieczór”, dla Słonimskiego – „już nad ranem”... Wróć jeszcze do wspomnienia Alfreda Łaszowskiego:

w sąsiednim pokoju czekał na nas zimny bufet. Po wojnie nigdzie już nie widziałem aż tylu złościście opiekanych kur, monstrualnie utuczonych indyków, gęsi i kaczek, mistrzowsko ugarnirowanych, spoczywających tu w bezpośrednim sąsiedztwie karpi i szczupaków na długich srebrnych półmiskach. [...] Ten moment pamiętam dokładnie. Nałkowska w czarnej aksamitnej sukni, ogromna, tęga i blade, mocno wydekoltowana, stała przy długim stole, pełnym przepysznie przyrządzonych, a przez nikogo jeszcze nietkniętych smakolyków.

Oczywiście, znów pojawia się wątpliwość, bo wedle Gombrowicza „ludzie rozmawiali z kieliszkami, talerzykami w dłoni”, zatem doszło już do zainicjowania konsumpcji. A przecież trzeba przyznać, że najpewniej nie do końca świadomie udało się Alfredowi Łaszowskiemu coś na podobieństwo Gombrowicza. Podobnie jak scena z podejżdżającymi sznurem wytwornymi cadillacami, tak i ten obraz zalegających na stole, nietkniętych, „monstrualnie utuczonych” indyków – to znakomite figury reprezentacji doświadczenia kryzysu. Jakby te dwa piramidalne obra-

<sup>5</sup>/ M. Janion „Ciemna” młodość Gombrowicza, w: *Gombrowicz i krytycy*, wyb. i oprac. Z. Łapiński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984, s. 495.

## Szkice

zy automobilowego i gastronomicznego przepychu swoim nadmiarem miały za-  
pełnić tanatyczne spustoszenie.

Oczywiście, zawsze możliwe jest rozwiązanie, które – w całkiem innym, rzecz  
jasna, położeniu – wybierze Gustaw Herling-Grudziński w *Dzienniku pisanym nocą*  
z 1981 roku:

Maisons-Laffitte, 13 grudnia

Ani słowa. Prócz daty, ani słowa.

## Abstract

**Zbigniew MAJCHROWSKI,**  
**University of Gdańsk**

### **Polish men and women of letters in the night of 12<sup>th</sup>/13<sup>th</sup> May 1935**

In the night of 12<sup>th</sup>/13<sup>th</sup> May 1935, at a name-day party held at Zofia Nałkowska's salon in Warsaw, the crowd of attending writers are receiving a telephone message about Józef Piłsudski's death. The attendees get all of a sudden confronted against a necessity to re-define their social situation, the behavioural strategies assumed by them appearing quite varied. Basing upon a total of seven literary accounts of the participants (incl. diarist records by Maria Dąbrowska and Zofia Nałkowska; recollections by Maria Kuncewiczowa, Kazimierz Wierzyński, Antoni Slonimski, Witold Gombrowicz, Alfred Łaszowski), the Author has attempted at reconstructing the evening's events – looking for what is referential whilst what he effectively finds is mostly discrepancies. Nonetheless, whatever appears incoherent, inconsistent, uncertain as regards the facts, can be read in a different perspective: namely, as certain idiomatic representations of an experience.

## Dariusz ŚNIEŻKO

### Jak czytało staropolskie ciało? Somatyczne doświadczenia lektury

Powiedział kiedyś Alan Ginsberg, że poezja to układ słów, który sprawia, że ciarki przechodzą nam po plecach. Nie jest to zapewne literaturoznawcza definicja poezji, tylko potoczny sposób na rozpoznanie jej po tym, jak na nas działa, czyli po charakterystycznych symptomach. Może nawet lepiej powiedzieć – zdiagnozowanie, skoro już symptom, jako termin, odsyła do dyskursu medycznego. Są zatem teksty, które sprawiają, że ciarki chodzą nam po plecach, a także inne (lub czasem te same), które stawiają nam włosy na głowie, przyprowadzają o śmiech, płacz, mdłości, ziewanie, wypieki na twarzy lub erotyczną ekscytację. Każda z tych reakcji ma charakter odruchowy, zatem – choć wyzwolona przez pracę umysłu – nie podlega jego kontroli lub podlega z najwyższą trudnością. Ciało, umożliwiając jakiegokolwiek akt lektury, czyta po swojemu, nie zawsze elegancko i nie zawsze, jak chcieli sądzić zwłaszcza dawni autorzy, godziwie. Stawia przy tym własne wymagania, na przykład co do elementarnej wygody i oświetlenia, sugeruje preferencje, jak w znanym akademickim porzekadle *plenus venter non studet libenter*, narzuca ograniczenia, reglamentując okresy czuwania i skupienia, których nie potrafiła rozciągnąć w nieskończoność nawet benedyktyńska pracowitość.

Ciało, najczęściej przemilczane w literackich sprawozdaniach z lektur, które chciały być nade wszystko seansami duchowymi, przypomina o sobie niekiedy we frazeologii, gdy przeczytaliśmy coś „jednym tchem” lub kiedy – przeciwnie – móżół czytania sprawił, że siedzenie (nazywając eufemistycznie tę część ciała) robi się od krzesła „kwadratowe”. Senność lub rześkość, sytość lub głód i inne tego rodzaju kategorie ustanawiają związek pomiędzy lekturą a fundamentalnymi potrzebami ciała, niezależnymi od jego ewentualnej czytelniczej aktywności. Ciało

świadczy wysiłek niezbędny czytaniu, ale bywa, że w trakcie lektury samo doznaje odprężenia.

Można by sądzić, że jego współpraca i reakcje – z grubsza rzecz biorąc – są uzależnione od trzech (z góry przepraszam za trywialność tego podziału) czynników: przekazu, nośnika i okoliczności. Tak przynajmniej wynika nie tyle z rozpoznania psychofizjologii lektury, dziedziny, która nie jest najważniejszym przedmiotem mojej uwagi, ile głównie literackich (w bardzo szerokim rozumieniu) sprawozdań i opisów, a zatem także zwierzeń i deklaracji emfatycznych, snobistycznych, amplifikowanych, parodystycznych lub w inny sposób powiązanych z konwencjami uznanymi za atrakcyjne bądź wiążące. Niektóre z rejestrowanych literacko reakcji nie wykraczają poza repertuar codziennego doświadczenia, inne zależne są od uprzedniej metaforyzacji samego aktu lektury. Wierzmy Stanisławowi Hozjuszowi, że *Sylwy* Stacjusza mogą przyprawić o znużenie i ziewanie, mniej wierzmy Wacławowi Potockiemu, że czytanie marnych wierszy może kogokolwiek doprowadzić do torsji, jasne jednak, że ten motyw jest wariantem stopizowanej metafory książki-pokarmu.

Ciarki chodzące po plecach, śmiech, płacz, fizyczne symptomy strachu lub podniecenia, bezsenność lub senność właśnie, odruchy zniechęcenia, znużenia (przy dłuższym tekście) lub obrzydzenia – to jedne z bardziej typowych efektów *p r z e - k a z u*, obejmującego, co oczywiste, całokształt sytuacji komunikacyjnej, w tym sensie, że jego oddziaływanie zależne jest przecież także od kontekstu i relacji łączącej nadawcę z odbiorcą. Najbardziej charakterystyczne efekty *n o ś n i k a* byłyby zależne, po pierwsze, od jego rodzaju: czego innego od ciała wymaga rozwijanie zwoju, czego innego wertowanie kodeksu lub odczytywanie kamiennej inskrypcji, woskowej tabliczki (na przykład pokrywanej zieloną powłoką dla wygody wzroku) czy pliku cyfrowego, który zresztą pod niektórymi względami przypomina starożytny zwój, tyle że rozwijany „pionowo”. Nośniki mają swoją trwałość, zapach, ciężar, wymiary i – co dla oka najważniejsze – stopień czytelności. Kodeksy zapamiętują na zawsze swoje fizyczne spotkania z czytelnikami, zwłaszcza tymi zakochanymi:

Nie wydaje mi się bowiem – pisał Erazm z Rotterdamu – że kochają książki ci, którzy zachowują je nietknięte i ukryte w skrzyniach, lecz ci, którzy dotykając ich zarówno w nocy, jak i w ciągu dnia brudzą je, marszczą i niszczą, którzy marginesy wszędzie zapiskami, i to różnego rodzaju, plamią; którzy wolą widzieć ślady wydrapanego przez siebie błędu niż tekst błędny, a dobrze wyglądający.<sup>1</sup>

Wpływ i rodzaj *o k o l i c z n o ś c i* obcowania z księgami są najbardziej kłopotliwym materiałem dla jakiegokolwiek typologii. Godziny, jakie trzeba lub warto poświęcić czytaniu – ich liczba i pora dnia – łatwo podlegały literackiej stereotypizacji. *Otium* i *negotium*, w szczególności instytucjonalne przymusy czytania (szkolny, klasztorny), lektura indywidualna lub zbiorowa, głośna lub cicha, domowa, bi-

blioteczna lub podróżna, przy jedzeniu lub przed jedzeniem (miało to dla autorów staropolskich pewne znaczenie) w postawie siedzącej, leżącej, stojącej lub klęczącej, przy świetle naturalnym lub sztucznym – to przecież tylko niektóre z wymagań, jakie zewnętrzne, by tak powiedzieć, okoliczności stawiają kręgosłupowi, palcom i oczom. Do tego dochodzą uwarunkowania samego organizmu, czyli przede wszystkim wiek, stan zdrowia i wzroku, a nietrudno wymienić jeszcze wiele innych. Na przykład acedia, chrześcijańska, ciężka odmiana melancholii opisywana przez św. Nila (*De octo spiritibus malitiae*), nie sprzyjała czytelniczemu skupieniu chorego:

przerywa mu niepokój i zaraz też zasypia; albo pociera twarz obiema dłońmi, prostuje palce i, porzucając książkę, kieruje wzrok na ścianę; wracając do książki, przebiega kilka linijek, mrużąc końcówkę każdego słowa, które czyta; zarazem wypełnia sobie głowę jakimiś próżnymi rachunkami, liczy ilość stron i kartek w swych zeszytach; i nabierając nienawiści do liter i pięknych rycin, które ma przed oczyma, zamyka książkę i podkłada ją sobie pod głowę; zapada wówczas w krótki i lekki sen, z którego budzi go uczucie ssania i nagłego głodu.<sup>2</sup>

Można sobie wyobrazić, że szczególnie dwa ostatnie aspekty lektury: nośnik i okoliczności złożyłyby się na temat książki zatytułowanej *Alchemia czytania*, która przynajmniej w części stanowiłaby symetryczny odpowiednik *Alchemii słowa* Jana Parandowskiego, poświęcony warunkom – niekiedy typowym, a niekiedy osobliwym – skutecznego i przyjemnego kontaktu z książką. Niektórzy są szczególnie wrażliwi na jej zapach, inni na rodzaj papieru i oprawę; są tacy, którym poezja smakuje tylko w nocy, a gazeta tylko do śniadania. Z ciekawostek szesnastowiecznych warto wymienić specjalną maszynę biblioteczną, przypominającą młyńskie koło podające kolejne książki, zaprojektowaną przez Agostina Ramellego dla tych czytelników, którym choroba ograniczyła swobodę ruchów (*La diverse et artificieuse machine del Capitano Agostino Ramelli*, Paris 1588).

Wyodrębnione wcześniej trzy aspekty lektury somatycznej spotykają się, rzecz jasna, w każdym czytelnicznym przedsięwzięciu. Niektóre efekty, na przykład magiczne, mogły wymagać szczególnie dobitnie nie tylko odpowiedniego przekazu, lecz również nośnika czy okoliczności. Jak ironicznie świadczył Rabelais, czytanie żywotu św. Małgorzaty miało przynosić ulgę kobietom w połogu. Gdy opętanemu bohaterowi szesnastowiecznej historii o Franciszku Spierze czytano pasję, miotał się na łóżku i ryczał jak lew, prosząc, by zaprzestano lektury<sup>3</sup>. Wreszcie, o czym świadczą *Gesta Romanorum*, odpowiednie pismo może (nawet nieczytane) odebrać ochotę na miłowanie, byle je zawczasu umieścić pod prześcieradłem<sup>4</sup>.

<sup>2/</sup> Cyt. za M. Bieńczyk *Melancholia. O tych, co nigdy nie odnajdą straty*, Sic!, Warszawa 2000, s. 97-98.

<sup>3/</sup> S. Murzynowski „*Historija żalosna a straszliwa o Franciszku Spierze*” oraz „*Ortografia polska*”, oprac. J. Małłek i F. Peplowski, Pojezierze, Olsztyn 1974, s. 93.

<sup>4/</sup> *Gesta Romanorum. Historie rzymskie*, spolszczył P. Hertz, Iskry, Warszawa 2001, s. 185.

<sup>1/</sup> Cyt. za J.S. Gruchała *Iucunda familia librorum. Humanisci renesansowi w świecie książki*, Universitas, Kraków 2002, s. 172.

Zarazem właśnie lektura może stać się sama potrzebą cielesną, potrafi bowiem uzależnić. Tak właśnie o swoim rzekomo najzupełniej fizycznym głodzie książek pisał – z entuzjazmem i egzaltacją – Petrarca; z goryczą o rujnującym nałogu czytania wspominał także nasz Franciszek Karpiński. Z tego rodzaju pisarską auto-kreacją korespondowały popularne wśród humanistów metafory spożywania czy wręcz pożerania książek. Cycero mówił o Katonie, że to *helluo librorum*, pożeracz książek; a tak samo nazywał Andrzeja Krzyckiego Stanisław Hozjusz<sup>5</sup>, którego zresztą nie inaczej nazywali jego biografowie – ponoć już za młodu ojciec musiał chować przed nim książki w obawie o zdrowie syna<sup>6</sup>. Nawet jeśli podobne wypowiedzi nasiąknęły emfazą, to nie była ona przecież przypadkowo dobranym tropem. Skoro bowiem uzależnienie od tekstów miałooby mieć naturę wyłącznie duchową, to przecież pozwala się ono przedstawić i opisać tylko w języku paramedycznym, jak gdyby lektura dostarczała specyficznych endorfin, „hormonów szczęścia”, których brak przyprawia o syndrom odstawienia, znany równie dobrze miłośnikom czekolady, jak i tym, co „poza książkami świata nie widzą”. Petrarca utrzymywał, że ślęczenie po nocach przedkłada nad sen i spoczynek; podobno też, gdy lekarze zabronili mu książek, dostał migreny i gorączki<sup>7</sup>; nasz Piotr Tomicki, na starość znękany chorobami i przemęczeniem, lekceważył zakazy medyków, wzbraniających lektury<sup>8</sup>.

Można by się spodziewać, że tropy te wiodą do przyjemności i rozkoszy tekstu, jako kategorii badawczej i czytelniczego doświadczenia. Roland Barthes wyznawał: „rozkoszuję się tekstem!”<sup>9</sup>. Ale i my nie gęsi, skoro Mikołaj Rej powiadał: „Czytanie wielka rozkosz”<sup>10</sup>. I zaraz, jak zwykle, rozwijał przed człowiekiem pocziwym zachęcającą wizję:

Ażaż nie rozkosz, jesliże czytać umiesz, układszy się pod nadobnym drzeweczkiem między rozlicznymi pięknymi a woniąjącymi kwiataczki albo zimie na nadobnym a rozkosznym łódeczku swoim, iż się rozmówisz z onymi starymi mędracy, z onymi rozlicznymi filozofy, z których najdziesz wielkie pociechy starości swojej, w których znajdziesz naukę ku każdej rozważnej sprawie swojej?<sup>11</sup>

Rej nie raz zachęcał do budującej, pożytecznej lektury, ale ta rozkosz, która w języku pisarza znaczy nie więcej niż powszednia przyjemność, jest nie tyle wy-

posażeniem udatnego tekstu, ile raczej wartością wynikającą z pomyślnego zbiegu okoliczności lekturowych, a także (lub nawet przede wszystkim) konieczności fizjologicznych. Mowa tu o leżeniu z książką, a towarzyszące akapitowi marginalium stawia kropkę na i: „Z czytania rozkosz staremu”. Wmawiana rozkosz czytania w miejsce utraconej rozkoszy obłapiania czy polowania, wymuszona wiekiem przyjemność wylegiwania się, przez samego Reja nazwana „pociechą starości”, nie są celem; brak im na pewno tego pierwiastka bezinteresownej radości, jaki zawiera francuskie słowo *jouissance*. To tylko wabik, słodzik ułatwiający wypicie mdłego lekarstwa budujących lektur, wskazujących najprostszą drogę do Pana.

Łatwo ten przykład wpisać w staropolski, a tak charakterystyczny dla Reja topos życia jako czterech pór roku. Zima-starość i zima-sezon oferują podobne rozrywki. Zdaniem staropolskich autorów, takich jak Andrzej Zbylitowski, właśnie lektura i picie pozwalały wypełnić nadmiar zimowego czasu<sup>12</sup>. Jak radził siedemnastowieczny encyklopedysta Jakub Kazimierz Haur, „Do tak potrzebnego czytania biblioteki będzie sposobna sama zima przy swej długiej nocy, której przespać niepodobna”<sup>13</sup>. Otóż zarywać noce, by czytać a czytać, bo nie da się już dłużej spać – to różnica, która ziemiańskich czytelników skutecznie zabezpieczała przed uzależnieniem od ich skromnych bibliotek<sup>14</sup>, a jeśli nawet takowe się przytrafiało, to próżnującym damom „modziastym”, jak je nazywa Haur, rozczytującym się namiennie, dniami i nocami, nie w duchowej, lecz świeckiej literaturze, czyli – właśnie – wygadającym ciału, jak gdyby dopominającemu się o swoją porcję romanów i plotek<sup>15</sup>. W katalogu męskich rozrywek „zabawa z księgami” zajmowała podrzędną pozycję i wśród pań reprezentujących u Hieronima Morsztyna światowe rozkosze próżno by szukać Panny Lektury. „Czymże też nieukowie bawią się mężczyźni?” – pytał Wacław Potocki i odpowiadał:

Piją; karty, warcaby na przemiany tłuką;  
Psy karmią i tą szkolnej wetują nauką.  
Drugi, przyszedzszy z gumna, choć przez okulary,  
Nie mając co, kalendarz ślabizuje stary.<sup>16</sup>

A podobne sądy powtarzali inni, na przykład Sebastian Petrycy z Pilzna czy Wespazjan Kochowski.

5/ S. Hozjusz *Pochwała Filipa Kallimacha, męża doświadczonego* [...], w: tegoż *Poezje*, przeł. A. Kamińska, wstęp W. Odyniec, Pojezierze, Olsztyn 1980, s. 6-7.

6/ B. Bieńkowska *Staropolski świat książek*, Ossolineum, Wrocław 1976, s. 62.

7/ J.S. Gruchała *Iucunda familia librorum*, s. 138-139.

8/ B. Bieńkowska *Staropolski świat książek*, s. 62.

9/ R. Barthes *Przyjemność tekstu*, przeł. A. Lewańska, KR, Warszawa 1997, s. 36.

10/ M. Rej *Żywot człowieka pocziwego*, oprac. J. Krzyżanowski, t. 2, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, De Agostini Polska, Wrocław-Warszawa, 2003, s. 599.

11/ Tamże.

12/ A. Zbylitowski *Wieśniak*, w: *Staropolska poezja ziemiańska. Antologia*, oprac. J.S. Gruchała i S. Grzeszczuk, PIW, Warszawa 1988, s. 173-174.

13/ J.K. Haur *Skład abo skarbiec znakomitych sekretów oekonomijey ziemiańskiej*, Kraków 1693, s. 166.

14/ Zob. P. Kowalski *Theatrum świata wszystkiego i poćciwy gospodarz. O wizji świata pewnego siedemnastowiecznego pisarza ziemiańskiego*, Wydawnictwo UJ, Kraków 2000, s. 90-96.

15/ Tamże.

16/ W. Potocki *Odjemek herbów szlacheckich*, w: tegoż *Dzieła*, t. 3: *Moralia i inne utwory z lat 1688-1696*, wstęp B. Otwinowska, oprac. L. Kukulski, PIW, Warszawa 1987, s. 480.

Wypada zapewne zgodzić się z poglądem, że podczas gdy dla większości współczesnych czytelników akt lektury wydaje się całkowicie zinternalizowanym procesem bezcielesnej komunikacji z tekstem (lub jego autorem), w szesnastym i siedemnastym stuleciu czytanie, intensywne, często wielokrotne i adnotowane, było praktyką w znacznie większym stopniu świadomą własnej fizyczności, powiązaną nawet z tradycją retorycznej gestykulacji i dawną wiedzą anatomiczną (tzw. „rączki” zamieszczane na marginesach miały wskazać miejsca istotne, a zarazem „utrzymać” tekst, czyli pomóc w jego zrozumieniu)<sup>17</sup>. Z drugiej strony nie wydaje się, by nasi przodkowie przywiązywali specjalną uwagę do cielesnych uwarunkowań i skutków czytania – materiał staropolski, jeśli sądzić z wyrywkowych przeglądów, okazuje się w tym zakresie mniej niż skromny; to samo, choć w pewnej proporcji, można powiedzieć o europejskich (XV, XVI w.) refleksjach na temat fizjologii czytelniczej percepcji<sup>18</sup>. Gromadząca relacje z brytyjskich doświadczeń czytelniczych (za lata 1450-1945) internetowa baza danych<sup>19</sup> nie udostępnia jeszcze swoich zbiorów ze względu na zbyt małą liczbę rekordów. Jest też rzeczą godną uwagi, że książki, tak chętnie antropomorfizowane w topicznym motywie rozstania z autorem<sup>20</sup>, były zwykle przedstawiane jako bezcielesni przyjaciele lub wyłącznie duchowe potomstwo, zresztą w staropolskich przedmowach czy dedykacjach samo słowo „książka” oznaczało najczęściej właśnie przekaz, a nie przedmiot<sup>21</sup>.

Nic więc dziwnego, że najwięcej zachowanych wzmianek dotyczy efektów samego przekazu, mówią więc one o reakcjach, jakie powodują na przykład utwory komiczne lub miłosne. Świadectwa te, i tak ilościowo skromne, mogły się przynajmniej wylegitymować horacjańską refleksją (*List do Pizonów*, w. 99-105) o pożądanej korespondencji pomiędzy przedstawieniem i reakcją: podobne budzi podobne, płacz prowadzi do płaczu, śmiech pobudza do śmiechu, „Panuje miłość miłością zwabiona” – jak to ujął naśladowca Horacego, Łukasz Opaliński<sup>22</sup>. Do tej

17/ W.H. Sherman *Toward a History of the Manicule*, w: *Owners, Annotators and The Signs of Reading*, ed. by R. Myers, M. Harris and G. Mandelbrote, Oak Knoll Press & The British Library 2005, s. 23-26, 35-36.

18/ J. Gruchała *Iucunda familia librorum*, s. 173.

19/ M. Hammond *The Reading Experience Database 1450-1945 (RED)*, w: *Owners, Annotators and The Signs of Reading*.

20/ Zob. D.C. Maleszyński *Człowiek w tekście. Formy istnienia według literatury staropolskiej*, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2002 (rozdz. *Książki, które mówią*).

21/ B. Bienkowska *Polscy pisarze i uczeni XVI-XVII wieku wobec problematyki książki*, w: *Dawna książka i kultura. Materiały międzynarodowej sesji naukowej z okazji pięćsetlecia sztuki drukarskiej w Polsce*, red. S. Grzeszczuk i A. Kawecka-Gryczowa, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1975, s. 309.

22/ Ł. Opaliński *Poeta nowy*, w: tenże *Poeta nowy. Coś nowego*, Universitas, Kraków 2003, s. 9.

grupy należy też popularny, a wywodzący się od Salustiusza topos historiograficzny o tym, jak czyni przodków sprowadzają na czytelników rodzaj fizycznego pobudzenia do podobnych przewag. Inną grupą świadectw (od Andrzeja Krzyckiego do, powiedzmy, Wacława Potockiego) są fizjologiczne skutki obcowania z utworem – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – grafomańskim. Dominuje w nich obrazowanie skatologiczne. Tu też trzeba uwzględnić przypadki śmiechu niezamierzonego lub snu, o jakie przyprawia grafomańska wzniosłość. Obydwie kolekcje wzmianek używają motywów fizjologicznych w celu zdyskredytowania tekstu lub jego autora, wypada je więc uznać nie tyle za zapis doświadczeń lekturowych, ile – przede wszystkim – za wartościujące amplifikacje. Jeszcze skromniejszy poczet stanowią świadectwa na temat somatycznych konsekwencji wynikających z charakterystyki nośnika i okoliczności towarzyszących lekturze.

Czy Sarmaci w ogóle mieli ciało? – pytał w znanym eseju Tadeusz Chrzanowski i uprzedzał: „Odpowiedź nie jest łatwa, jako że przekazów w tej materii niewiele, a dowody na istnienie takowego nie są nie do zbicia”<sup>23</sup>. Z jednej strony, rozwijający poglądy Hipokratesa i Galena, oparty na analogii pomiędzy mikro- i makrokosmosem dyskurs medyczny zakładał holistyczne podejście do fizycznej i psychicznej natury człowieka<sup>24</sup>. Proporcje humorów warunkowały typ temperamentu, fizjonomię i predyspozycje do chorób; tutaj było miejsce i dla początków biblioterapii, tak intensywnie dzisiaj rozwijanej. Wśród mnogich remediów na melancholię, tę najmodniejszą dolegliwość epoki, odnajdziemy zatem – obok wina, przejażdżki, upuszczania czarnej żółci czy nacinania hemoroidów – także rozweselającą lekturę. Franciszek Rabelais, z wykształcenia medyk, twierdził półżartem, że jego księgi przynoszą znaczną ulgę francowatym i podagrykom, a także innym chorym i udręczonym, którzy akurat autora, lekarza, nie mają na swe usługi<sup>25</sup>. „Co uciesznego czytać i słuchać” zalecał też melancholikom nasz barokowy polihistor, Jakub Kazimierz Haur<sup>26</sup>.

Nie trzeba dodawać, że i na odwrót, nadmiar czytania mógł zaszkodzić, bo jak pouczał Eklezjastes (w tłumaczeniu Marcina Bielskiego), „Długie czytanie ciężką pracą ciału czyni”<sup>27</sup>. Co prawda – konkludował autor renesansowego poradnika medycznego – natura dała człowiekowi w zadku dwie poduszki, aby długie siedze-

23/ T. Chrzanowski *Ciało sarmackie*, w: tegoż *Wędrowki po Sarmacji Europejskiej. Eseje o sztuce i kulturze staropolskiej*, Znak, Kraków 1988, s. 224.

24/ Zob. W. Jaeger *Paideia. Formowanie człowieka greckiego*, przeł. M. Plezia i H. Bednarek, Fundacja Aletheia, Warszawa 2001 (rozdz. *Grecka medycyna jako paideia*).

25/ F. Rabelais *Gargantua i Pantagruel*, przekł i kom. T. Żeleński (Boy), PIW, Warszawa 1973, t. 1, s. 158; t. 2, s. 15.

26/ Zob. J. Partyka *Humor w encyklopedii J. K. Haura*, w: *Śmiech i łzy w kulturze staropolskiej*, red. A. Karpińskiego, E. Lasocińskiej i M. Hanusiewicz, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2003, s. 115.

27/ M. Bielski *Kronika, to jest historyja świata [...]*, Kraków 1564, k. 82.

nie uczynić znośniejszym<sup>28</sup>, ale ta wygoda nie zabezpieczała przed groźniejszymi konsekwencjami. Ten sam autor, Andrzej Glaber z Kobylina, przestrzega przed czytaniem po obiedzie, i w ogóle nadmiarem lektury, bo wówczas naturalne ciepło nie opuszcza się do żołądka, aby posłużyć trawieniu,

a tak ona karmia, zostawszy w świeżości a będąc opuszczona, zagnije się i obraca w wilgoty zle i niestrawne, a których rozmaite choroby przychodzą. Dlatego ludzie, wiele nad księgami siedzący, rzadko tłuści bywają, a pospolicie bladzi albo jednak chorzy, a to dla złego trawienia pokarmu, które sobie psują długim siedzeniem; stąd znać, iż kto ma tłusty brzuch, ten się niewiele uczy (chyba iżby to miał z przyrodzenia).<sup>29</sup>

Ten stereotyp wycieńczających lektur podtrzymywał później Szymon Maricius z Pilzna, gdy wywodził, że „Praca uczonych, zwłaszcza profesorów, nie jest lżejszą od jakiejkolwiek innej pracy, ponieważ (jak na to się zgadzają wszyscy lekarze) szkodzi zdrowiu i sprowadza ciężkie choroby, niszczy siły i przyspiesza starość”<sup>30</sup>. W dziele Vergiliusa Polidorusa *De inventoribus rerum libri tres* (Paryż 1505) zamieszczono drzeworyt przedstawiający uczonego przy pracy, w raczej niestereotypowej pozie: w geście zniechęcenia odchylony od pupiltu, na którym spoczywa zamknięta księga, przeciera chustką zmęczoną twarz<sup>31</sup>. Wiemy też od Cervantesa, że bohaterowi jego arcypowieści wysechł mózg od nieumiarkowanej konsumpcji romanów rycerskich, podobnie u Charlesa Sorela znajdziemy motyw pasterza szalonego, któremu romanse niezdrowo zamieszały w głowie<sup>32</sup> – a jak wskazywał Leo Spitzer, w języku epoki należałoby tu mówić o patologii humoralnej wynikającej z ilościowego nadużycia<sup>33</sup>.

Z drugiej przecież strony ciało, w szeregu z szatanem i światem, było jednym z antybohaterów piśmiennictwa religijnego i parenetycznego, stawianym regularnie do kąta nie tylko przez autorów ascetycznych, ale też tych – zdawałoby się – tak dbałych o jego wygody, jak Rej. Stąd hierarchia odruchowych reakcji, także tych lekturowych. Najwyżej cenione były łzy, czy raczej ich dar, bo płacz, zwłaszcza płacz skruchy i pokuty (najlepszym przykładem Maria Magdalena), był aktem, w którym ciało, by tak rzec, potępiło samo siebie.

<sup>28/</sup> Andrzej z Kobylina *Gadki o składności członków człowieczych z Arystotelesa i też inszych mędrców wybrane*. 1535, wyd. J. Rostafiński, Kraków 1893, s. 61.

<sup>29/</sup> Tamże, s. 108-109.

<sup>30/</sup> Szymon Maricius z Pilzna *O szkołach czyli akademiach ksiąg dwoje*, w: *Wybór pism pedagogicznych Polski doby Odrodzenia*, oprac. J. Skoczek, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1956, s. 168.

<sup>31/</sup> Reprodukacja w: B. Bieńkowska, *Staropolski świat książek*, s. 66.

<sup>32/</sup> Ch. Sorel *Przygody Francjona. Opowieść ucieszna*, przeł. J. Arnold, wyb. i wstęp K. Choiński, Czytelnik, Warszawa 1986, s. 226.

<sup>33/</sup> E. Auerbach *Zaczarowana Dulcinea*, w: tegoż *Mimesis. Rzeczywistość przedstawiona w literaturze Zachodu*, przekł. i wstęp Z. Babicki, wstęp do drugiego wyd. M.P. Markowski, Prószyński i S-ka, Warszawa 2004, s. 341.

Co innego śmiech, zwłaszcza ten spontaniczny, niepohamowany, w którym nie-sforne, wymykające się spod kontroli wyższych części duszy, ciało dokonywało swojej autoafirmacji, broniąc się przed szkodliwymi humorami. Za śmiech odpowiadała śledziona, „Gdyż – jak notował nieoceniony Glaber – w niej jest miejsce melan-koliej, która czyni smutek, przeto gdy przydzie ku słodzinie radość, rzecz przeciwna smutkowi, tedy ją porusza tak, iż się musi trząść: bowiem rzeczy przeciwne zawsze z sobą walczą”<sup>34</sup>. Sam ten odruch jest jednak jakoś bliski szaleństwu, któremu się przeciwstawia, a człowiek skłonny do śmiechu z byle czego ma nie tylko szczególnie okazałą śledzionę, ale i „bywa taki grubego rozumu i też pokarmu, prosty, próżny a niestateczny, rychło wierny, nietajemny, ale na posługę powolny”. I przeciwnie, ludzie powściągliwi w śmiechu są baczni, stateczni i dobrego rozumu (choć skąpi i nieufni)<sup>35</sup>. Zrozumiałe więc, że średniowieczne reguły klasztorne poddawały śmiech ścisłej reglamentacji<sup>36</sup>. Humanizm, przywracając śmiechowi godność za Arystotelesem (*O częściach zwierząt*, ks. III, 10) dla którego człowiek był jedynym zwierzęciem zdolnym do tego odruchu, nie rezygnował z myśli o nieopanowanej autonomii śmiechu. Jak pisał Antonio Riccoboni w traktacie o dziele komediowym, śmiech jest fizycznym wyrazem radości, który bierze się z rozluźnienia ducha: „Widać, jak piersi, usta, żyły, twarz, oczy zostają zdobyte przez obraz rzeczy wesołej, który zyskuje przewagę nad siłą obejmującą duchowe wnętrza [...]”<sup>37</sup>. A podobnie i nasz Górnicki, uważając samą psychofizjologię śmiechu za rzecz dość tajemniczą, podkreślał jego niemożliwość do okiełznania suwerennością: „Ale co to jest śmiech, gdzie się chowa, jako się z prędką wyrwie, iż człowiek, by najbardziej chciał, strzymać go nie może, więc skąd to pochodzi, iż wnidzie w twarz, w oczy, w usta, w żyły, w boki, jakoby tedyż człowiek spukać się miał, niechaj o tym Democritus dysputuje [...]”<sup>38</sup>. Szanowane odmiany poezji podlegały królestwu ducha. Autor renesansowej poetyki, Lionardo Salvati, utrzymywał, że szlachetna skądinąd medycyna, zajmująca się leczeniem ciała, pozostaje w tyle za poezją, która zajmuje się leczeniem umysłu; „Medycyna – pisał – wymaga bardzo często ręcznego spełniania niegodnych posług, zaś sztuka poetycka daleka jest od wszelkiego działania cielesnego i działa jedynie przy pomocy samego umysłu”<sup>39</sup>. A miał on przecież na myśli poezję

<sup>34/</sup> Andrzej z Kobylina *Gadki o składności członków człowieczych...*, s. 59

<sup>35/</sup> Tamże, s. 152.

<sup>36/</sup> E.R. Curtius *Literatura europejska i łacińskie średniowiecze*, przeł. A. Borowski, Universitas, Kraków 1997, s. 432.

<sup>37/</sup> A. Riccoboni *O dziele komediowym – na podstawie nauk Arystotelesa*, w: *Poetyka okresu renesansu. Antologia*, wyb., wstęp i opracowanie E. Sarnowska-Temierusz, przyp. J. Mańkowski i E. Sarnowska-Temierusz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1982, s. 392.

<sup>38/</sup> Ł. Górnicki *Dworzanin polski*, oprac. R. Pollak, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1954, s. 199.

<sup>39/</sup> L. Salvati *Poetyki wykład pierwszy*, s. 332.

poważną i wysoką. Stąd, jak można się spodziewać, niższa ranga utworów komicznych; nie tylko z uwagi na podrzędnych bohaterów i prosty styl, lecz także ze względu na adresata zamierzonych efektów, bo nie duch nim był, nie umysł, lecz ciało ze swoimi odruchami i proporcją żywiołów: wszak tekst humorystyczny to taki, który – etymologicznie rzecz biorąc – koresponduje z humorami, z płynami ustrojowymi i przywraca ich właściwą proporcję.

Utwory pisywane dla relaksu realizowały szeroko rozumianą funkcję *delectare* i odwoływały się do *ethosu* (afektów spokojnych), podczas gdy dzieła wzniosłe (funkcja *movere*) apelowały do *pathosu* (afektów wzburzonych i gwałtownych). Nadmiar tego ostatniego, skumulowanego w rezultacie zbyt intensywnych lektur, podobnie jak zmęczenie zbyt wielkim wysiłkiem intelektualnym, mogły być uleczone odpowiednią dawką rozrywki aplikowaną we fraszce czy intermedium, zmniejszającą ryzyko popadnięcia w melancholię. Był to w polskim renesansie często podnoszony walor gatunków ludycznych, zwłaszcza w autokomentarzach Mikołaja Reja<sup>40</sup>, który przekonywał:

Aż nie wiesz, iż duch smętny kiedy kogo ruszy,  
Mędrzec pisze, iż kości i krew barzo suszy.  
Bo kiedy by ludzie wszystko by w kłozie siedzieli,  
Tylko myśląc, a bez żartów, wszak by poszaleli.<sup>41</sup>

Choć zatem teoria temperamentów równie skutecznie (i na gruncie tego samego systemu pojęciowego) objaśniała smutek i wesołość, to jednak refleksja teoretyczna styl dobitny i dowcipny wiązała przede wszystkim z wrażeniami zmysłowymi; również w niektórych wypowiedziach samych poetów rozróżnienie pomiędzy duchem i ciałem pokrywa się z opozycją pomiędzy twórczością serio i literaturą rozrywkową. O tej różnicy w tak właśnie zatytułowanej fraszce (*Różnica*) pisał Wacław Potocki:

Dobry jest do zabawy żart podany wierszem;  
Ale kładę na miejscu nabożeństwo pierwszem:  
Tamten ciało, ten duszę swym konceptem cieszy.  
Wždy do żartów co żywo, minąwszy to, spieszy,  
Zwłaszcza gdy milej śmiać się, niżli płakać, komu,  
Choć lepiej, niż do śmiechu, wnieść do płaczu domu.<sup>42</sup>

Powtórzył też w kolejnym utworze, że fraszki „ciało cieszą, chociaż duszy wadzą” (*Większy gust ludzie mają w fraszkach niż w rzeczach nabożnych*), miał także za złe swoim czytelnikom, że wolą posilać ciało śmiechem niż ducha westchnieniem (*Na*

*poważne wiersze do czytelnika*), nie wydaje się więc, by tę „cielesność” fraszek eksponował przypadkowo. A jak wynika z innych wypowiedzi poety, zaprzyjaźniona szlachta domagała się od niego wierszy jak lekarstwa (*Do przyjaciela, posyłając księgę wierszów*), „dla melancholii w głowie rozerwania” (*Każda rzecz ma swój czas*) lub nawet środka nasennego, który wreszcie uspokoi młodą i wymagającą żonę (*Słuchanie wierszów sen przywodzi*). Co ciekawe, tej usypiającej skuteczności wierszy nie uważano za wadę; mawiano, że dobre wiersze sen sprowadzają, choć sam autor nie znajdował w tym satysfakcji (*Do śpiącego, słuchając wierszów*).

Co zatem czytało staropolskie ciało? O co się dopominało? O wesołe epigramaty, wytrąsające z śledziony melancholię, aplikowane jak lekarstwo lub – dla zdrowych – serwowane na przystawkę. Znana śródziemnomorska metafora słowa, książki jako pokarmu i lektury jako spożywania w odniesieniu do twórczości ludycznej zabarwia się jakby metonimiczną realnością. Gdy Potocki nie raz powtarzał, że do czytania fraszek trzeba przystępować w odpowiedniej predyspozycji, tak jak do jedzenia trzeba mieć sposobny żołądek, trzymał się jeszcze granic metafory (tu rozwinętej w porównanie), jednak, wyczuwamy to przecież, skracając dystans pomiędzy jej tematem i nośnikiem. Kiedy jednak czytano gościom te fraszki? Właśnie Potocki (w paru przykładach) świadkiem, że przed obiadem, zanim kapłan nie doszedł, dla zabicia czasu, a i tak trzeba było niektórych przekonywać, że „Lepsza to niżli w karty, z warcaby zabawa”<sup>43</sup>. Jest ten motyw i u Hiacynta Przetockiego, w kulinarnym dziełku pt. *Postny obiad albo zabaweczka*:

Bracie, co przed obiadem gwizdasz przechadzając,  
A suszysz darmo język i gardziel spluwając,  
Czytaj te wiersze proste; tęskno cię nie będzie,  
Nim obiad z kuchni na stół gotowy przybędzie<sup>44</sup>.

Nocne lektury zimowe, zaleganie z książką na starość, przymusy szkolne, tak nieprzyjazne profesorskim ciałom kwerendy uniwersyteckie, odganianie melancholii czy wreszcie ziemiańskie przedobiednie posilanie się fraszkami – w każdym z tych czytelnicznych zatrudnień dostrzec można rodzaj takiej czy innej konieczności, niezależnie od tego, czy książka trzusi, czy przychodzi z pomocą. Humanisci, jeśli im wierzyć, po horacjańsku czytali dniami i nocami, ale miało to być rodzaj szlachetnego uzależnienia, czyli znów jakiejś determinacji. To zarazem niewielki wycinek tego, co można powiedzieć (i co już powiedziano) o stosunku dawnej kultury do książki, i perspektywa dość szczególna. Ciało staropolskie, gdy zapytać je o czytanie, okazuje się raczej małomówne. Gdy już zechce się odezwać, opowiada przede wszystkim o własnych ograniczeniach.

<sup>40/</sup> Zob. B. Otwinowska *Afekty*, hasło w: *Słownik literatury staropolskiej*, red. T. Michałowska, przy udziale B. Otwinowskiej, E. Sarnowskiej-Temierusz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1998, s. 15.

<sup>41/</sup> M. Rej *Ku temu, co czyść będzie ty fraszki*, w: *Mała Muza od Reja do Leca. Antologia epigramatyki polskiej*, wyb. i oprac. A. Siomkajło, PIW, Warszawa 1986, s. 15.

<sup>42/</sup> W. Potocki *Dzieła*, t. 1: *Transakcja wojny chocimskiej i inne utwory z lat 1669-1680*, wstęp B. Otwinowska, oprac. L. Kukulski, PIW, Warszawa 1987, s. 385.

<sup>43/</sup> Cadasyłan Nowohracki na Krempaku *Sakwy [...]*, w: *Antologia literatury sowizdrzańskiej XVI i XVII wieku*, oprac. S. Grzeszczuk, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1985, s. 327.

<sup>44/</sup> H. Przetocki *Do starego i młodego czytelnika*, w: tenże *Postny obiad albo zabaweczka*, oprac. S. Cegieła i in., oprac. nauk. J. Malicki i A. Tułowiecka, Biblioteka Śląska, Katowice 2005.

## Abstract

**Dariusz ŚNIEŻKO,**  
**University of Szczecin**

### **How did the Old-Polish flesh read written texts? On somatic experiences of the reading exercise**

The subject of this sketch is Old-Polish literary accounts of somatic experience of the process of reading. The quantitatively modest resources available have been tentatively set in order by physiological reactions generated through a message, a carrier and the circumstances determining the act of reading. Attention is drawn to how the issue is immersed in a medical and paramedical discourse, a trait so characteristic to early periods: from humanistic reading addictions to healing effects of ludic literature, the latter being particularly appreciated in the landed-gentry writers' circle.

## Ryszard NYCZ

### Literatura nowoczesna wobec doświadczenia

I.

Teza o „upadku” czy kryzysie doświadczenia w dobie nowoczesności – sformułowana po raz pierwszy bodaj przez Waltera Benjamina (Benjamin 1970), a potem wielokrotnie potwierdzana, między innymi przez Theodora W. Adorna, Hannah Arendt, Giorgio Agambena – bez wątpienia trafnie wskazuje na malejące znaczenie oraz marginalizację pozycji *t r a d y c y j n e j* koncepcji doświadczenia dla czasów nowoczesnych oraz modernistyczno-awangardowej literatury i sztuki. Warto jednak zdać sobie sprawę z tego, iż teza ta nie odnosi się (by ograniczyć się tu do obszaru literatury) do wielu, bogatych i zróżnicowanych odmian tradycjonalistycznie pojętych sposobów uprawiania literatury w tym czasie, jak również do dynamicznie się wówczas rozrastającej literatury popularnej (masowej) czy też – co tu będzie właśnie przedmiotem uwagi – do *i n n y c h* (w szczególności: nowych) postaci doświadczenia, których możliwość i potrzeba artykulacji ogniskowały zainteresowania i inwencję najwybitniejszych twórców nowoczesnej literatury. Jeśli jednak w tych dwóch pierwszych przypadkach wypracowane wcześniej sposoby artykulacji doświadczenia (tradycyjnie pojętego) stawały się składnikami repertuaru spetryfikowanych konwencji literatury i znakami jej stereotypowo rozumianej fikcjonalności, to w przypadku trzecim mamy do czynienia z istotnie nową sytuacją. Profuzja nowych, niepokojących odmiennością, „beziemiennych” początkowo doświadczeń nie tylko doprowadziła do prób ich wchłonięcia, uchwycenia i wypowiedzenia przez literaturę, ale też spowodowała zmianę pozycji samego doświadczenia (na osi język sztuki – rzeczywistość) i w konsekwencji wywołała przemianę literatury (a w każdym razie nowoczesnej koncepcji jej pojmowania i uprawiania).

Zauważyć ponadto wypada, że wszystkie tytułowe pojęcia – literatura, nowoczesność, doświadczenie – obciążone są tak chroniczną wieloznacznością, że żąd-

na pojedyncza, nawet opasła monografia wybranej kategorii nie jest w stanie wieloznaczności tej poskromić (*vide* na przykład wartościowe prace o doświadczeniu – Berman 2006, Jay 2005). Wspominam o tym, by uzasadnić, dlaczego uwagi te traktuję jako dalszy ciąg pracy nad nowoczesną literaturą, kulturą i doświadczeniem, których znaczenia określiłem wstępnie już gdzie indziej (zob. zwłaszcza: Nycz 2002) – i dlaczego tu pozwalam sobie zrezygnować z ich definiowania. Ów obraz gigantycznego palimpsestu najróżnorodniej definiowanych znaczeń dodatkowo gmatwa inna okoliczność: oto określenia te używane bywają z reguły jako nienacechowane, na pozór samo-przez-się zrozumiałe, łudząc *quasi*-oczywistością consensu co do ich rozumienia albo też – nie mniej często – bywają one ekwiwalentyzowane przy użyciu najrozmaitszych innych terminów tak, że faktyczny zakres i odmiany ich występowania muszą w efekcie być mozolnie rekonstruowane z tych obszarów myśli i dyskursu, gdzie *explicite* się nie pojawiają.

Ten ostatni przypadek dotyczy zwłaszcza terminu doświadczenie, który został wykluczony z wielu słowników nowoczesnych filozoficzno-estetyczno-teoretycznych orientacji (jak choćby tradycji anglosaskiej analitycznej filozofii), co wszakże nie oznacza wykluczenia sygnowanej przezeń problematyki. Kiedy na przykład Nelson Goodman chce sparafrazować *dictum* Kanta: „pojęcia bez doświadczenia są puste, a doświadczenia bez pojęć są ślepe”, to powiada: „wprawdzie pojęcia bez własności są puste, ale percepcje bez pojęć są ślepe” – i dodaje komentarz, który dostarcza pewnego uzasadnienia dla tego wykluczenia: „Predykaty, obrazy, inne znaki i schematy trwają nawet bez zastosowań, ale pozbawiona formy percepcja – znika. Nasze słowa mogą obyć się bez świata, ale nasze światy nie mogą obyć się bez słów bądź innych symboli” (Goodman 1997, 15). Uwagi Kanta i Goodmana odnoszę (co też wielu zrobiło przede mną) do podjętego tu problemu, który sformułowałbym następująco: literatura pozbawiona więzi z doświadczeniem stać by się musiała pustą, samozwrotną grą; a z kolei doświadczenie pozbawione prób (choćby negatywnego czy śladowego) pojęciowego uchwycenia i językowej artykulacji, w tym zwłaszcza nieuformowane sztuką literackiego wypowiedzenia, nie doszłoby do swego statusu jako doświadczenia, nawet w swych najbardziej rezydualnych (sensorycznie, somatycznie) postaciach (Gadamer 1993, Agamben 1996).

Literatura nowoczesna zaś z pewnością ma do czynienia z doświadczeniem – z wielu przyczyn i pod wieloma względami; zarówno wtedy, gdy określana jest jako reakcja na upadek doświadczenia (tradycyjnie pojętego), gdy charakteryzowana jest jako zapis czy ekspresja bogactwa nowych doświadczeń (wówczas też sama nowoczesność określana jest po prostu jako nowy rodzaj doświadczenia), jak i wtedy, kiedy definiowana jest przez swą autonomię, brak zainteresowania czy izolację wobec ogółu ludzkich doświadczeń. Biorąc pod uwagę to ściśle a nawet wzajemne związanie pomiędzy obu kategoriami, można by nawet zaryzykować hipotezę, że nowoczesna literatura jest literaturą doświadczenia (w jego nowych, nowoczesnych wariantach właśnie), a nie na przykład reprezentacji rzeczywistości czy autonomicznej fikcji. W poniższych uwagach chciałbym uzasadnić operacyjną wartość tej hipotezy dla refleksji o statusie i specyfice

nowoczesnej literatury (i sztuki do pewnego stopnia) poprzez opisanie przemieszczenia, przemiany i rozwarstwienia doświadczenia w jego nowoczesnych postaciach oraz zarysowanie elementarnej typologii (czy zespołu kluczowych wariantów) literatury nowoczesnej w kategoriach doświadczenia.

## 2.

Przemieszczenie owo – będące rezultatem zasadniczej zmiany w percepcji rzeczywistości oraz w postrzeganiu siebie przez jednostki w relacji do natury, życia, świata zewnętrznego, zmiany, jaka zaszła na przełomie XIX i XX wieku – stosunkowo najłatwiej można uchwycić przy porównaniu założeń realistycznej konwencji reprezentacji rzeczywistości (w literaturze i sztuce) z założeniami i praktykami poetyk modernistyczno-awangardowych. Przemiana ta była wielokrotnie opisywana, ograniczę się więc do zasygnalizowania jej cech zasadniczych. Konwencja realistyczna zakłada, że rzeczywistość (naturalna, społeczna czy psychiczna) istnieje uprzednio i niezależnie od reprezentacji, a nadto, że jest stabilna, neutralnie postrzegalna i racjonalnie poznawalna. Narrator opowiada o realnym świecie, który istnieje niezależnie od jego percepcji, a czas (podobnie jak przestrzeń w malarstwie) jest neutralnym, homogenicznym, przejrzystym medium dla reprezentacji. Tę stabilność oraz rozumową uchwytność naturalnego porządku zapewnia właśnie *autorytet* tradycyjnie pojętego *doświadczenia*, które staje się tu synonimem źródłowej, niezapośrednionej wiedzy o rzeczywistości, narzędziem rozumienia siebie i innych (w tym zwłaszcza określania tożsamości postaci w kategoriach charakteru, a więc zespołu stałych i rozpoznawalnych dla innych dyspozycji), rezerwuarem skryptów zachowaniowych i mentalnych, sposobem przewidywania prawdopodobnych wydarzeń i zachowań czy dokonywania antycypacji przyszłego działania.

Doświadczenie to ma charakter kumulowanej w czasie i komunikowanej innym kolektywnej wiedzy wynikłej z interakcji między podmiotem a światem; wiedzy uformowanej pojęciowo i przekazywalnej językowo, która osadzana na tle tradycji i dzielona z innymi kształtuje całościowe rozumienie rzeczywistości, uznawane w obrębie danej wspólnoty czy społeczności za praktycznie oczywiste i normatywnie obowiązujące. Tak pojęte doświadczenie utożsamia się więc z jednej strony z historią uporządkowaną narracyjnie (przynajmniej potencjalnie: doświadczyć = móc opowiedzieć), z drugiej strony zaś z wspólnie podzielaną wiedzą o rzeczywistości, dzięki czemu „świat rzeczywisty, jak go rozumiem, to świat doświadczenia” (Oakeshott 1999, 250; zob. też Wolska 2006), by przywołać lapidarną formułę filozofa. Stąd właśnie sam realizm słuszniej jest uznać za powszechnie akceptowaną metodę reprezentacji – a nie sposób doświadczenia – świata; i dlatego też poetyki modernistyczne, zorientowane na artykulację doświadczeń uznanych za należące do obszaru ludzkiego pojęcia świata traktowanego jako głęboko niewspółmierny z „niehumaną” prawdziwą naturą rzeczy, zawiązują z kategorią nowoczesnie a przy tym samoistnie pojętego doświadczenia o wiele ściślejsze związki.

Cywilizacyjno-kulturowe przemiany doby nowoczesności prowadzą, jak wiadomo, do dezintegracji czy może nawet swego rodzaju implozji zarówno owego szczerze umeblowanego świata stabilnych przedmiotów, jak i spójnego doświadczenia funkcjonalnie powiązanych przebiegów zdarzeń. Czas i przestrzeń (jak zauważa Dilthey) odsłaniają swe kulturowe uwarunkowanie; neutralna, obiektywna perspektywa (perspektywa wszechwiedzącej narracji w prozie, linearna perspektywa w malarstwie) oglądu spektaklu ludzkiego życia i postrzegania rzeczywistości okazuje się iluzją i zastępowana jest spersonalizowaną perspektywą świadka czy uczestnika. Autorytet zaś doświadczenia upada – okazuje się ono niekumulatywne i nieprzekazywane, nie pozwala uogólnić się w postać wspólnotowej samowiedzy dotyczącej prawidłowości, prawdopodobieństwa czy przewidywalności działań, postaw, zachowania. Kryzys, jaki staje się udziałem tradycyjnej narracji, pozbawionej życiowej wiarygodności i światopoglądowej legitymizacji, wynika stąd, że – by posłużyć się spostrzeżeniem Adorna – „rozpadowi uległa tożsamość doświadczenia, życie spójne w sobie i wyartykułowane, będące jedynym przyzwoleniem dla postawy narratora” (Adorno 1990, 176).

A jeśli kultura – zauważmy na marginesie – nie umożliwia już dłużej uogólniania i komunikowania społecznego doświadczenia, to sama się „prywatyzuje”, rozpada na enklawy społecznych mikroświatów, wspólnotowych kręgów zorientowanych na podkreślanie jednocześnie własnej integralności i odrębności od innych (odpowiednikiem tej tendencji w sztuce byłoby eksponowanie kwestii technicznych, a także hermetyzacja przekazu i elitarność oddziaływania). W rezultacie również samo doświadczenie staje się subiektywne, zindywidualizowane, nieprzekazywalne – tracąc status wiarygodnej i pożytecznej wiedzy wyniesionej z bezpośredniego kontaktu z rzeczywistością. Człowiek nowoczesny pojmując, że rzeczywistości, którą sam nie jest, nie potrafi już doświadczyć bezpośrednio, a tylko w tej postaci, w jakiej uformowana ona zostaje przez ludzkie władze doświadczenia i poznawania (zmysły, przeżycia, pojęcia), media języka i przedstawiania. Stąd już dla pierwszych nowoczesnych (jak dla Baudelaire’a) ów dawniej naturalny, uchwytne racjonalnie ładu zaczyna się wymykać ich poznawczym władzom, oddala się, zatracą i znika pod powierzchnią nieprzejrzystej gmatwaniny zdarzeń, cofa na pozycję ukrytego porządku. Rzeczywistość dostępna natomiast staje się światem ludzkiego doświadczenia – w nowym tym razem (nowoczesnym właśnie) jego rozumieniu – to znaczy światem, który nie ukazuje się nigdy w pełni, a tylko w tym stopniu, w jakim „indagowany” jest przez człowieka.

Jednostka bowiem widzi świat zawsze z perspektywy uczestnika (a nie niez zaangażowanego obserwatora), zawsze fragmentarycznie czy aspektowo, z jakiegoś (określonego, ograniczonego) punktu widzenia, wobec którego przedmioty nie istnieją niezależnie, lecz pozostają zrelatywizowane czy kontekstowo uwarunkowane. Nie oznacza to oczywiście, że dla nowoczesnych rzeczywistość sama w sobie, niezależna od punktu widzenia, nie istnieje. Chodzi o to, że jest dostępna zawsze tylko z jakiejś perspektywy, a poznanie jej uwarunkowane jest punktem widzenia,

z którego jest obserwowana. W rezultacie doświadczenie traci status bezpośredniej wiedzy o rzeczywistości, stając się nie tylko synonimem nieuchronnej mediatyzacji ludzkiego kontaktu z realnością, ale też przyjmując postać rzeczywistości pośredniej (i pośredniczącej), przesłaniającej, osłaniającej czy izolującej człowieka od rzeczywistości „in crudo”. Techniki nowoczesnej – modernistyczno-awangardowej – literatury i sztuki od początku z wielką inwencją odsłaniają, wypowiadają i definiują to nowe doświadczenie, pokazując na coraz to nowych przykładach, iż rzeczywistość i jej przedmioty nie istnieją niezależnie od medium, w którym są reprezentowane; że wiedza o przedmiocie okazuje się sytuacyjnie uwarunkowana, zależna od pozycji zajmowanej przez podmiot, jego wrażliwości, kulturowego wyposażenia, perspektywy; że wreszcie media przedstawienia przedmiotu nigdy nie są przezroczystym, neutralnym nośnikiem – nie tylko bowiem oddziałują na postrzegane cechy przedmiotu, kształtują jego obraz, ale aktywnie formują konstytutywne (dla nas) znamiona jego tożsamości.

Najpoważniejszą konsekwencją tych procesów – i najtrudniejszą do kompleksowej analizy – jest zmiana obiektu przedstawienia. Ryzykując nieuchronne uproszczenie można powiedzieć, iż w literaturze i sztuce tego czasu przedmiotem przedstawienia przestaje być społecznie zobiektywizowana rzeczywistość, a staje się jej doświadczeniowa obserwacja i rozumienie; spersonalizowane, kontekstowo uwarunkowane formy jej zmysłowego doznawania i przeżywania, sposoby pojęciowej kategoryzacji, dyskursywnego opisu i interpretowania (wystarczy przywołać paradygmatyczny w tym względzie incipit *Ozimy*). Ta „wymiana” przedmiotu – z realności do obserwacji i mediacyjnych struktur doświadczenia, które nabierają znaczenia instancji samoistnej i „nieprzechodniej” – stanowi jeden z kluczowych wyróżników modernizmu (Vargish, Mook 1999, 77), dla którego centralnym problemem nie jest rzeczywistość po prostu czy „sama w sobie”, lecz natura naszego jej postrzegania, obserwowania, poznawania; relacji, w jakie z nią człowiek wchodzi, sposobów, na jakie może ją kontrolować, reprezentować czy rejestrować.

W rezultacie tych procesów ludzkie doświadczenie przemieszcza się – „odklejając się” od realności (postrzeganej teraz jako niepojmowalna domena nieludzkiego), ukazuje swój charakter „zinstytucjonalizowanej subiektywności” (Berger i Luckman), pośredniej społecznej rzeczywistości, która raczej formuje czy modeluje niż odtwarza czy reprezentuje dostępną człowiekowi postać realności. Po wtóre, doświadczenie z mienia swą naturę – wyzbywając się dotychczasowych cech spójności, całościowości, poznawczej neutralności, przybiera rozmaite nowe postaci, odznaczające się ścisłym powiązaniem pomiędzy medium czy narzędziami percepcji i poznania a cechami czy aspektami ujętych przez nie przedmiotów – ścisłym do tego stopnia, że bez przedstawienia nie byłoby (dla nas) przedstawionego albo też (by określić to w sposób bardziej pozytywny), że przedstawienie czy językowe (zwłaszcza poetyckie) wypowiedzenie umożliwia nam dostęp do tego, co przed jego pojawieniem się w pewnym sensie nie istniało (w ujętej przez nie postaci). By przywołać klasyka tej nowoczesnej tradycji myślenia o języko-

wym doświadczeniu poety: „Dociera on do stosunku słowa do rzeczy. Wszelako stosunek ten nie jest związkiem między rzeczą z jednej a słowem z drugiej strony. Samo słowo jest stosunkiem, który tak zatrzymuje zawsze w sobie rzecz, że «jest» ona rzeczą” (Heidegger 2000, 122).

Oznacza to, dopowiedzmy w sposób najbardziej schematyczny, odwrócenie hierarchicznych relacji pomiędzy słowem i rzeczą w stosunku do założeń realistycznych poprzez przyznanie znaczenia a nawet pewnej autonomii przedstawieniu wobec przedstawionego, medium wobec przedmiotu, co przynosi w konsekwencji zarówno poczucie kryzysu poznania (z powodu niemożności oddzielenia wpływu warunków na rezultaty poznania), jak i uznanie autorefleksyjnej tematyzacji medium jako pełnoprawnego obiektu przedstawienia i poznania. Po trzecie, doświadczenie to nie tylko się zmienia i różnicuje, ale też *r o z w a r s t w i a*: pomiędzy tym, co przedstawione w przedstawieniu a przedmiotem, nieludzką realnością, otwiera się przestrzeń trudna do przebycia dla intelektu; podczas bowiem gdy to pierwsze poddaje się, to drugie opiera się racjonalnemu poznaniu – co wszakże nie znaczy, że owa niedostępna realność, wymykając się pojęciu i przedstawieniu aktywnie, acz w trybie negatywnym, nań nie oddziałuje.

Zauważmy, iż w ten sposób model nowoczesnego doświadczenia rzeczywistości, oparty na opozycji powierzchni i głębi, wprawdzie dalej zachowuje swoje znaczenie, lecz „obrotowo” odwraca charakterystykę poziomów: poczucie, że chaotyczna nieprzejrzystość zdarzeń i procesów na powierzchni przesłania ukryty porządek, wypierać zaczyna przeświadczenie, iż to specyficzna i krucha racjonalność zjawisk (owych dawnych „pozorów” wobec prawdy „istoty”) – w postaci choćby dyskursywno-instytucjonalnej obiektywizacji społecznych praktyk – na powierzchni doświadczanej rzeczywistości tłumi czy maskuje irracjonalność ukrytych sił życia (*vide* Nietzsche, Marks, Freud). O ile w pierwszym przypadku reprezentacja oraz język stanowią barierę i czynnik zniekształcenia wobec autentycznego porządku rzeczy, w drugim to one właśnie są odpowiedzialne za stabilizację – i substancjalizację – obrazu rzeczywistości oraz ochronę czy izolację przed bezpośrednim kontaktem z nieludzką (potworną, bolesną) stroną realności.

### 3.

Przyjmując hipotezę wyłonienia się owego pośredniczącego świata ludzkiego doświadczenia jako nowoczesnej wersji realności, stanowiącej przedmiot artykulacji i przedstawienia dla literatury modernistycznej, chciałbym zastanowić się teraz nad możliwością przyporządkowania kluczowych form nowoczesnego doświadczenia głównym typom dyskursów literatury modernistycznej. Będą to oczywiście jedynie wstępne, sumaryczne charakterystyki możliwych uporządkowań i problematykacji.

Niewątpliwie najtrudniejszy przypadek z tego punktu widzenia stanowi awangardowo-modernistyczny model literatury jako autonomicznej fikcji, której nowatorskie poszukiwania formalne interpretowano z reguły jako rezultat świadomego

i radykalnego odizolowania sztuki od świata ludzkich przeżyć, doświadczeń i możliwości potocznego zrozumienia; Ortega pisał z tego właśnie powodu o jej „nieludzkości” (i „dehumanizacji”), Irzykowski i Adorno o „niezrozumiałości”, Barthes o „nieczytelności”, a ostatnio Vargish i Mook nawet o „epistemicznej traumie”, na którą narażeni zostają czytelnicy dzieła, które jest z założenia niekompletne informacyjnie, podaje nieadekwatne dane dla identyfikacji i zrozumienia zjawiska etc., a ogólnie biorąc: celowo trudne (przeciw-intuicyjne), obce (zdrowemu rozsądkowi) i nieprzejrzyste (dla przedmiotu przedstawienia – problemem odbiorcy staje się uchwycenie i określenie, „o co chodzi”, co jest przedmiotem). Jeśli jednak uznać, że mamy do czynienia w tym przypadku z świadomością (i obowiązkiem nieomal) ponawianym zabiegiem twórców tej orientacji, który funkcjonuje zarówno jako dyrektywa estetyczna, jak i „sztuczna” bariera percepcyjna, pozwalająca określić orientacji tej odmienną oraz wymusić inny typ reakcji odbiorcy na doświadczanie, to rodzi się możliwość dostrzeżenia nie tylko autotelicznych, ale i poznawczych walorów owej koncepcji – jako „laboratoryjnego” eksperymentu.

Pojęcie *literatury eksperymentalnej* funkcjonuje wprawdzie od dawna w literaturze przedmiotu, ale głównie w charakterze metafory dla formalnej inwencyjności sięgającej od świadomości, a czasem nawet systematycznie wprowadzanych zabiegów konstrukcyjnych do bricolage’owej gry bez reguł (jak u Lyotarda). Adorno dostrzegał w tym zakresie wewnętrzną ewolucję pojęcia artystycznego eksperymentu o podobnej skali: „pierwotnie znaczyło ono jedynie, że wola świadoma siebie samej sprawdza nieznane lub nie usankcjonowane metody”, czemu towarzyszyła „utajona wiara, że wtedy okaże się, czy rezultaty dorównują temu, co ustalone, i czy się uprawomocnią” – potem zaś pojęcie to oznaczało „coś jakościowo nowego: to, że podmiot artystyczny korzysta z metod, których rzeczowego wyniku nie może ogarnąć” (Adorno 1994, s. 45).

Idąc tym tropem, chciałbym z jednej strony odnowić analogiczność artystycznego eksperymentu do standardowego rozumienia tego pojęcia w praktyce badań empirycznych – jako stworzonej w sztucznych warunkach powtarzalnej procedury, prowadzącej do odkrycia prawidłowości, uchwytnej jednak tylko dzięki tej procedurze i jej narzędziom. W moim przekonaniu eksperymenty nowoczesnej literatury odpowiadają pod istotnymi względami kryteriom poznawczej odkrywczości, zwłaszcza w zakresie artykulacji doświadczenia czasowości oraz ukazywania natury rozmaitych zjawisk o czasowym charakterze. Tak na przykład sztucznie (tu: literacko) wytworzone konwencje przedstawiania monologu wewnętrznego, strumienia świadomości, przeżycia symultaniczności, nie stanowią wprawdzie w pełni powtarzalnej procedury, przekształciły się z czasem w schematy przedstawieniowe uznawane (w paru reprezentatywnych wariantach) nie tylko za naturalne, neutralne i adekwatne *sposoby prezentacji* tych zjawisk psychicznych (i to również poza terytorium literatury), ale i za właściwe ich wyglądy czy *postaci*. Podobną uwagę można odnieść do eksperymentów z percepcyjnym doświadczeniem przestrzeni i prawami perspektywy w awangardowym malarstwie (*casus* kubizmu).

Z drugiej strony, trudno zaprzeczyć, że eksperymentalna praktyka w swoich późnonowoczesnych (czy ponowoczesnych) formach istotnie wybiega daleko poza możliwość kontroli (weryfikacji, powtarzalności...) standardowych literacko metodycznych procedur, stając się niepowtarzalnym doświadczaniem języka (jego granic, oporu, możliwości), a także szczególnym eksperymentowaniem ze światem (poprzez wypróbowywanie, nakładanie, kontaminowanie jego różnych dyskursywnych modeli). Ten rodzaj „robienia doświadczenia” za pomocą improwizowanych interwencji w świat, w których współdziałają z sobą w jednym akcie komponenty materialne, pojęciowe, dyskursywne i estetyczne, i który instauruje wydarzenie się doświadczenia, a zarazem inicjuje otwarty proces jego rozwoju, przemian, oddziaływania w obszarze rzeczywistości, Krzysztof Ziarek obejmuje formułą „doświadczenia jako zdarzenia”, traktowaną jako przeciwstawną koncepcji tradycyjnej i niesprowadzalną do dychotomicznego modelu poznania (Ziarek 2001). W obu jednak przypadkach rzeczywistość doświadczeniowa zapisuje się niejako na instrumentach i technikach literatury; nie da się tu oddzielić medium od przedmiotu i przekazu; techniki przedstawienia są zarówno sposobami dochodzenia do cech niezależnego od nich (ale wprost nieuchwytnego) zjawiska, jak też nośnikami kształtowania się jego dostępnych dla nas postaci. Nie tyle zatem chodzi tu o to, czym jest rzeczywistość, ale przede wszystkim o to, jakie cechy uzyskuje/ukazuje dzięki technikom artystycznej obserwacji, mediom jej przedstawiania i wypowiadania.

Inna wyrazista formuła uprawiania literatury nowoczesnej wiąże się z wyeksponowaniem znaczenia indywidualnego subiektywnego przeżycia, wypierającego wspólnotową postać tradycyjnie pojętego doświadczenia z roli kluczowej kategorii potocznego doświadczenia rzeczywistości i z funkcji głównego obiektu przedstawienia. Jak pamiętamy, według Simmla dla człowieka nowoczesnego świat udostępnia się i przyjmuje postać uformowaną w kategoriach wewnętrznego przeżycia – „przeżywania i interpretowania świata według reakcji naszego wnętrza” – nieustannego przepływu zmiennych, fragmentarycznych, niepowiązanych z sobą, bezrefleksyjnie przyjmowanych stanów i zjawisk – „roztopienia stałych treści w płynnym elemencie duszy z którego wypłukano wszelką substancję i która formę znajduje jedynie w ruchu” (Simmel 2006, 228). Wydana dokładnie pół wieku później *Kondycja ludzka* Hannah Arendt (esej Simmla pochodzi z książki wydanej w roku 1908, książka Arendt wyszła po raz pierwszy w 1958) uwzględnia tę charakterystykę jako wykładnik ogólniejszej pozycji filozoficznej będącej konsekwencją wczesnonowoczesnej postawy poznawczej („przekonania, że prawda obiektywna nie jest człowiekowi dana i że może on poznać tylko to, co sam wytwarza”), a prowadzącej do „utrąty świata” przez filozofa, który „nie odwraca się już od zwodniczego świata rzeczy nietrwałych ku światu wiecznej prawdy, lecz odwraca się od obu i wycofuje w siebie”. Ponadto, w obszarze wewnętrznego Ja nie odkrywa wizerunku, którego trwałość można oglądać i kontemplować, ale przeciwnie, nieustanny ruch percepcji zmysłowych i będącą również w stałym ruchu aktywność umysłu (Arendt 2000, 317).

Wedle Benjamin'a zaś te nowe cechy doświadczanej rzeczywistości kulminują w przeżyciu szoku, czyli nagłego, nowego, punkowego zdarzenia, którego obcość wobec struktur i schematów dotychczasowego doświadczenia uniemożliwia integrację, opanowanie i oswojenie tego zdarzenia przez świadomość jednostki, czyniąc je nietematyzowalnym „obcym ciałem”. Traumatyczna natura tego ostatniego tyleż bezustannie, co bezskutecznie wzywa jednostkę do powtórnego przeżycia, ponawiania prób zrozumienia czy sublimowania. Benjamin zwraca uwagę, iż w zjawisku tym należy odróżnić przeżycie szoku od doświadczenia szoku. Podczas gdy to pierwsze ma charakter destrukcyjny, dezintegrujący i blokowane jest przez ochronną funkcję świadomości, to drugie (z którym mamy do czynienia wówczas, gdy szokujące doświadczenie przedrze się i bodaj częściowo zasymiluje czy przetworzy w obrębie świadomości) może stać się czynnikiem produktywnym, konstruktywnym, swego rodzaju kapitałem symbolicznym, który jednostka może wyzyskiwać w toku swego życia i działania (zob. Różanowski 1997, Frydryczak 2002).

Zauważmy, iż ta „warstwowa” struktura szokującego zdarzenia jako przeżycia i/lub doświadczenia bardzo przypomina strukturę traumatycznego zdarzenia, którą Freud analizuje w przypadku hysterii; jednak tym, co tu zostaje represjonowane, nie jest rzeczywistość (sama w sobie), lecz pamięć jednostki o rzeczywistości, a więc pośredniczący świat doświadczenia, który może zostać „rozbrojony” i zasymilowany przez świadomość lub pozostawać niedającą się zaleczyć czy choćby znieczulić raną. Także i w tym przypadku zatem to doświadczenie traci status wyłącznie predyskursywnego i prepojęciowego doznania, poprzez które rzeczywistość mogłaby odcisnąć się na świadomości, by ta z kolei mogła je uczynić źródłem znaczenia, obiektem przedstawienia czy podstawą wyobrażenia; staje się natomiast palimpsestowym zapisem, złożonym ze składników ewokujących otwarty horyzont heterogenicznych kontekstów, zawsze już choć w pewnym stopniu preformowanych pojęciowo i językowo.

Ogólnie biorąc, literatura przeżycia wewnętrznego (jak z braku lepszego miana można by ją określić), obejmuje zarówno formy standardowo literackie (poetyckie, dramaturgiczne, prozatorskie), jak intymistyczno-autobiograficzne, a koncentruje się na artykulacji złożonej tekstury tej postaci doświadczenia. Literatura ta ma swe konwencje konstrukcyjne (budowane zwykle w opozycji do prawideł organizacji fabularnej oraz reguł tradycyjnej struktury narracyjnej), topikę pamięci, sposoby opisu i techniki odkrywania kluczowych (zwykle traumatycznych) przeżyć, stanowiących czasem materiał dla pracy narracji tożsamościowej, czasem zaś tworzących ośrodki o własnej organizacji semantycznej i centra enklaw wewnętrznych czasoprzestrzeni o charakterze kolekcji chwil, punktowych przeżyć szczególnych doświadczeń czasowych, które rozrastają się raczej w głąb (synchronicznie czy simultanicznie), niż rozwijają konsekwentnie, a nadto zdają się wykluczać wszelką transcendencję.

Trzecią istotną (i reprezentatywną) postacią doświadczenia, na którą chciałbym zwrócić uwagę, a której zgłębianiem zaprzątnięta jest niemała część nowoczesnej literatury, jest świadczenie i jego wytwór: świadectwo (traktowane jako

kluczowa – acz nie jedyna oczywiście – forma literackich dokumentów). Literackie świadectwo doczekało się u nas ostatnio ciekawych i inspirujących ujęć – przede wszystkim w tekstach Małgorzaty Czerwińskiej, a ostatnio także w książce Marie Delaperrière. Nawiązując tu do nich, radbym wszakże wprowadzić jeszcze innego „świadka” przemawiającego na rzecz statusu i znaczenia świadectwa jako istotnej modalności dyskursu nowoczesnej literatury: Shoshanę Felman (Felman, Laub 1992). Chciałbym się tu odnieść tylko do jednej istotnej kwestii – i to takiej, z której rozwiązaniami w wymienionych polskich studiach trudno mi się pogodzić (choć rozumiem pokusy ich wprowadzenia): to znaczy na odróżnieniu świadectwa od śladu przez Małgorzatę Czerwińską (Czerwińska 2006) oraz świadectwa od dokumentu osobistego, i tzw. literatury faktu przez Marie Delaperrière (Delaperrière 2006).

Najogólniej mówiąc, intencją dystynkcji wprowadzonej przez Małgorzatę Czerwińską (oraz z nieco innej perspektywy Marie Delaperrière) jest odróżnienie świadomego aktu świadczenia na rzecz kogoś lub czegoś od bezrefleksyjnego, mimowolnego dowodu dokumentującego zajście jakiegoś zdarzenia bądź też świadectwa drugiego stopnia, niebędącego doświadczeniem samego podmiotu opowiadającego. Różnica ta jest niewątpliwie istotna i warta zachowania (jako różnica pomiędzy wymiarami tego samego złożonego przedmiotu), ale wydaje się zwodniczo oczywista i tylko na pozór trafnie opisująca odmienne zjawiska. Kłopot bowiem polega na tym, że w praktyce taka ekskluzja śladu przez świadectwo nie daje się zazwyczaj przeprowadzić (nie mówiąc o tym, że ślad nie daje się wyodrębnić jako samodzielne zjawisko językowo-semantyczne), chyba dlatego głównie, że śladowe rezydualne pozostają wpisane w intencjonalną strukturę świadectwa, jak też w nieintencjonalne cechy świadczącego podmiotu – niekiedy zresztą o wiele silniej świadczące o nie dającej się pojąć czy przedstawić rzeczywistości, niż dyskursywnie formułowane orzeczenia czy proklamacje.

W moim przekonaniu o odrębnym statusie świadectwa stanowi, przede wszystkim, indeksalna natura jego odniesienia, dokonującego się zarówno przez medium podmiotu należącego do tej i tamtej strony rzeczywistości, jak i przez indeksalny wymiar semiotyczno-symptomatologicznego uposażenia tekstu – a nie dzięki zachodzeniu jakiegokolwiek korespondencji czy odpowiedniości pomiędzy świadectwem a stanem rzeczy. Można by powiedzieć nawet, iż bez swej rezydualnej warstwy indeksalnego śladu, świadectwo utraciłoby walor unikatowego (bo niezastępowalnego) dowodu, w obrębie którego jawna intencjonalność świadectwa przesłania nierzadko istotniejszą „motorykę” jego skutecznego działania jako zobowiązania i powołania przez coś nieintencjonalnego – nieświadomego, nieludzkiego (Agamben 1999). Na specyficzny charakter tej relacji zwraca uwagę Shoshana Felman, gdy mówi o Shoah jako o „zdarzeniu bez świadków”, któremu świadectwo usiłuje sprostać, oraz o powinowactwie świadczenia z performatywnym aktem. Ogólnie biorąc, w zjawisku świadectwa mamy, jak sądzę, do czynienia z procesem specyficznego połączenia indeksalności z performatywnością właśnie (przy osłabieniu, a czasem nawet wyeliminowaniu standardowo pojętego referencjalnego odniesienia).

Proces ten prowadzi do przywołania owego nieuchwytnego na zwykłej drodze doświadczenia rzeczywistości określonym szlakiem, omijającym intencjonalne struktury odniesienia oraz korespondencyjne warunki prawdziwości. Wiedzie on od niejaskomych śladowych symptomów wzywających do odpowiedzi na pozapojęciowy „zew” doświadczanej rzeczywistości – do jej swoistej, spersonalizowanej ewokacji, wyprowadzającej z otchłani niepowiedzanego (czy niewypowiadalnego) i „zdarzeniowo” ustanawiającej na powierzchni języka i świadomości stan rzeczy za sprawą osobistej „atestacji” (Delaperrière mówi ładnie o „atencji”, ale to jednak za mało). Tego performatywnego aktu „przyświadczenia” (czasem również pozapojęciowego) dokonuje podmiot, występujący nie jako sprawca, źródło czy nadrzędna instancja kontrolna, ale – będę się upierał – jako medium, narzędzie i pełnomocnik czy delegat owej nieobecnej rzeczywistości. W centrum uwagi literatury świadectwa tego rodzaju, obejmującej, rzecz jasna, nie tylko literackie formy wypowiedzi, znajdują się oczywiście różne formy artykulacji doświadczeń granicznych ze szczególnym uwzględnieniem literatury holokaustowej. Nie ograniczają się one jednak, wbrew pozorom, do literatury drugiej połowy XX wieku. Shoshana Felman trafnie mówi w tej perspektywie, iż cały wiek XX jest „wiekiem świadectwa”, dając przykłady między innymi pisarstwa Kafki i Camusa oraz wskazując na dyskursywno-egzystencjalne wymiary tej formuły literackiej wypowiedzi.

Ostatni wariant doświadczenia, który chcę tu przywołać jako istotny wyróżnik praktyki literackiej czy ogólniej pisarskiej, najłatwiej będzie mi opisać przez wskazanie na relatywnie późny objaw jego aktywności. Michel Foucault – uznawany nie bez racji za jednego z najbardziej zagorzałych przeciwników zajmowania się pojęciem doświadczenia i zarazem zwolenników zastępowania go pojęciem dyskursu/dyskursywnej praktyki – jest też autorem spostrzeżenia oddającego sprawiedliwość przynajmniej jednej, specyficznej jego postaci. W jednym z późnych wywiadów (Foucault 1991, zob. też Jay 1998 i Kwiek 1999), zauważył, iż w swoim życiu pisał albo książki o metodzie, albo książki-eksploracje; książki-prawdy albo książki-doświadczenia. Te drugie to były nie tyle dzieła-wytwory, co dzieła-procesy; procesy transformacji obejmujące jego jako piszącego, który stawał się kimś innym – w toku eksploracji nieznanego, terytoriów niedających się objąć żadną przewidywalną procedurą czy metodą eksplanacyjnego wyjaśniania. Te dzieła-procesy podobnie oddziałują na czytelnika, który również, za sprawą ich lektury, miał sposobność doświadczyć na sobie takiej przemiany.

Jeśli potraktować tę formułę „książek-doświadczeń” jako znak rozpoznawczy nie tylko jednostkowego przypadku, ale szerszego zjawiska literatury jako doświadczenia, to należałoby się zastanowić, czy jego zakres nie mógłby objąć szerokiego kręgu różnorodnych koncepcji, sięgających od „sztuki jako doświadczenia” Deweya, przez Heideggera, Bataille’a, Blanchota, późnego Barthes’a i Derridę, Kristevę, Nancy’ego, aż po „poezję jako doświadczenie” Lacoue-Labarthe’a (nie wspominając już o bogatej literackiej tradycji poszukiwań tego rodzaju). Te skądinąd bardzo odmienne koncepcje, łączy, jak sądzę, po pierwsze, przeświadczenie, iż sztuka, literatura, poezja, jest specyficzną, istotną (acz często

negatywną) i faktyczną postacią doświadczania realności (a nie owego doświadczenia odtworzeniem, reprezentacją czy wtórnym utrwaleniem); postacią, bez której „głuche masy niesformułowanego w nas” (by posłużyć się określeniem Schulza) nie doszłyby nigdy do progu świadomości i pojęciowo-językowego uformowania własnej określoności (czy tożsamości).

Po drugie, to dostrzeżenie ekwiwalencji w pozycji i charakterystyce podmiotu oraz tekstu/dzieła sztuki w relacjach ze światem. W tym duchu, jak sądzę, pisze Adorno (za Benjaminem) o „niesygnifikatywnej mowie dzieł sztuki” w obliczu tego, co nie może przybrać postaci zjawiska, rzeczy wyrażonej czy wypowiedzianej, w obliczu tego, co pozbawione głosu: „wyraz jest spojrzeniem dzieł sztuki. Ich mowa jest jednak w stosunku do języka sygnifikatywnego czymś starszym, ale niespełnionym; jak gdyby dzieła sztuki, upodabniając się do podmiotu swoją spójnością, powtarzały sposób, w jaki on się poczyną i wyłania. Wyraz mają one nie tam, gdzie przekazują podmiot, ale tam, gdzie „drżą prehistorią podmiotowości, prehistorią uduchowienia” (Adorno 1994). A po trzecie, to uznanie, iż nieuchronna (zbawien-na i nieszczęsna) dyskursywizacja doświadczenia nie oznacza koniecznie wykluczenia czy stłumienia jego zmysłowych, bezrefleksyjnych i bez-znaczeniowych wymiarów. W „książkach-doświadczeniach” (jak – w inny sposób – w pozostałych tu wskazanych wariantach nowoczesnej literatury), które transcendują to, co możliwe do pojęcia i wypowiedzenia, osadzone są one czy zaszyfrowane w nieświadomości tekstu (niestematyzowanym potencjale semantycznym jego materii semiotycznej), podlegając reaktywacji w doświadczeniu czytelnika.

## 4.

Wolfgang Iser, w niedawnym studium o antropologii literatury, najpierw (za Geertzem) sytuował jej miejsce w „informacyjnej luce”, na jaką skazany jest i którą wypełnić próbuje człowiek – rozpostarty pomiędzy tym, co mówi mu jego ciało włączone w materię realności, a tym, co próbuje objąć, poznać i kontrolować rozumem – a potem charakteryzował jej specyfikę (trochę podobnie do Foucaulta) przez odróżnienie właśnie eksploracyjnych (odkrywczych) od eksplanacyjnych (wyjaśniających, właściwych nauce) sposobów jej wypełniania (Iser 2006). Koncepcja literatury jako doświadczenia stanowi z tego punktu widzenia późne stadium dochodzenia literatury do dojrzałej formy samowiedzy o własnej pozycji i specyfice. W przedstawionym tu skrótowno przeglądzie jej nowoczesnych wariantów jest, obok literatury eksperymentu, literatury przeżycia wewnętrznego i literatury świadectwa, jej odmianą dopełniającą i nie mniej (od innych wymienionych) reprezentatywną dla kluczowych dla niej poszukiwań. W każdym razie, próbując tu spojrzeć na literaturę nowoczesną w kategoriach doświadczenia, starałem się pokazać, że nie tylko (wbrew jej manifestacyjnym deklaracjom oraz uznanym teoretycznym wykładniom) pozwala się w tych kategoriach opisać, ale i – mam wrażenie (i mam nadzieję) – sama wówczas odsłania swe nieco inne oblicze.

Ogólnie biorąc, można powiedzieć, iż nowoczesna literatura, jakkolwiek istotnie nie czyni tradycyjnie pojętego doświadczenia podstawą i warunkiem swej sztuki, to jednak może być traktowana jako literatura doświadczenia właśnie, i to bodaj z lepszym niż w przypadku literatury realistycznej uzasadnieniem (choć za cenę zaakceptowania nowych postaci interakcji pomiędzy organizmem a środowiskiem jako nowych postaci doświadczenia). Dzieje się tak, jak sądzę, z kilku głównych powodów: (1) uznania form doświadczenia za sferę mediacyjnych struktur egzystencjalno-poznawczych; (2) usamodzielnienia się owej domeny mediacyjnej jako odrębnego rodzaju rzeczywistości; (3) uczynienia z niej głównego (generalnego) przedmiotu reprezentacji, opisu, krytycznej artykulacji w literaturze (i sztuce). W rezultacie modernistyczna literatura, choć dalej funkcjonuje w ramach dycho-tomicznego modelu poznawczego (podmiot – przedmiot, język – doświadczenie/rzeczywistość, znaczenie – przedmiot odniesienia), to jednak dzięki temu, że przy-biera on tu dwójako specyficzną postać (4) „niedychotomicznej” relacji pomiędzy rzeczywistością doświadczenia a doświadczoną rzeczywistością oraz dycho-tomicznej „nierelacji” pomiędzy doświadczoną rzeczywistością a niedoświadczalną real-nością – literatura, która w obszarze tym funkcjonuje, nie tylko istotnie zmienia swą charakterystykę, ale też znacząco osłabia moc dualistycznej ontologii.

Jak pokazują zasygnalizowanie tu, „prototypowe” warianty uprawiania literatury w kategoriach doświadczenia, to właśnie jego nowoczesne postaci dają sposobność, a może nawet zmuszają do wyjścia poza wspomniany dualistyczny styl myślenia. Dla nowoczesnych bowiem kategoria doświadczenia zdaje się obejmować terytorium, w którym granice między wnętrzem i zewnątrzem mają charakter względny (czy jednostronny), relacje zaś pomiędzy indywidualnym i wspólnotowym, myślanym i przeżywanym, dyskursywnym i rzeczywistym nie dają się już wpisać w system statycznych opozycji i sztywnych granic, lecz raczej w sieć dynamicznych, płynnych zróżnicowań, w *continuum* procesów translacji i reinterpretacji. I choć nie jest to oczywiście terytorium zarezerwowane wyłącznie dla literatury, chodzi właśnie o to terytorium, któremu ona podlega i na które oddziałuje, które penetruje i formuje. Jest to również ten obszar, w którym uprawomocnia ona ostatecznie swój status, (relatywną) specyfikę i kulturowe znaczenie.

## Bibliografia literatury przedmiotu przywoływanej w tekście

(pierwsza cyfra oznacza rok wydania, druga – lokalizację cytatu lub przywołania):

- Adorno 1990 – T.W. Adorno *Sztuka i sztuki. Wybór esejów*, przeł. K. Krzemień-Ojak, wyb. i wstęp K. Sauerland, PIW, Warszawa 1990.  
 Adorno 1994 – T.W. Adorno *Teoria estetyczna*, przeł. K. Krzemieniowa, PWN, Warszawa 1994.  
 Agamben 1996 – G. Agamben *Infancy and History. The Destruction of Experience*, transl. by L. Heran, Verso Books, New York 1996.  
 Agamben 1999 – G. Agamben *Remnants of Auschwitz*, transl. by D. Heller-Roazen, Zone Books, New York 1999.

- Arendt 2000 – H. Arendt *Kondycja ludzka*, przeł. A. Łagodzka, Aletheia, Warszawa 2000.
- Benjamin 1970 – W. Benjamin *O kilku motywach u Baudelaire'a*, przeł. B. Surowska, „Przegląd Humanistyczny” 1970 nr 5–6.
- Czermińska 2006 – M. Czermińska *Świadectwo, ślad i milczenie wobec doświadczeń Historii*, w: *Tężejność i pamięć przeszłości. Rozumienie historii w literaturze polskiej XX i XXI wieku*, red. H. Gosk i A. Zieniewicz, Dom Wyd. Elipsa, Warszawa 2006.
- Delaperrière 2006 – M. Delaperrière *Świadectwo jako problem literacki*, w: tejeż *Pod znakiem antynomii. Studia i szkice o polskiej literaturze XX wieku*, Universitas, Kraków 2006.
- Felman, Laub 1992 – S. Felman, D. Laub *Testimony. Crises of Witnessing in Literature, Psychoanalysis, and History*, Routledge, New York 1992.
- Foucault 1991 – M. Foucault *How an Experience Book is Born*, w: tegoż *Remarks on Marx. Conversations with Duccio Trombadori*, transl. R.J. Goldstein, J. Cascaito, New York 1991.
- Frydryczak 2002 – B. Frydryczak *Świat jako kolekcja. Próba analizy estetycznej natury nowoczesności*, Wydawnictwo Fundacji Humaniora, Poznań 2002.
- Gadamer 1993 – H.-G. Gadamer *Prawda i metoda*, przeł. B. Baran, Wyd. Baran i Suszczyński, Kraków 1993.
- Goodman 1997 – N. Goodman *Jak tworzymy świat*, przeł. M. Szczubiałka, Aletheia, Warszawa 1997.
- Heidegger 2000 – M. Heidegger *W drodze do języka*, przeł. J. Mizera, Wyd. Baran i Suszczyński, Kraków 2000.
- Iser 2006 – W. Iser *Czym jest antropologia literatury? Różnica między fikcjami wyjaśniającymi a odkrywającymi*, przeł. A. Kowalcze-Pawlik, „Teksty Drugie” 2006 nr 5.
- Jay 1998 – M. Jay *Granice doświadczenia granicznego: Bataille i Foucault*, przeł. M. Kwiek, w: „Nie pytajcie mnie kim jestem...” *Michel Foucault dzisiaj*, red. M. Kwiek, Poznań 1998.
- Jay 2005 – M. Jay *Songs of Experience. Modern American and European Variations on a Universal Theme*, Univ. of California Press, Berkeley and Los Angeles 2005.
- Kwiek 1999 – M. Kwiek *Książki-doświadczenia i książki-prawdy*, w: tegoż *Dylematy tożsamości. Wokół autowizerunku filozofa w powojennej myśli francuskiej*, Wyd. Naukowe IF UAM, Poznań 1999.
- Nycz 2002 – R. Nycz *Literatura nowoczesna: cztery dyskursy*, „Teksty Drugie” 2002 nr 4.
- Oakeshott 1999 – M. Oakeshott *Poezja i jej głos w rozmowie ludzkości*, w: tegoż *Wieża Babel i inne eseje*, przeł. Ł. Sommer, Warszawa 1999.
- Różanowski 1997 – R. Różanowski *Szok i przeżycie, albo „odrażające doświadczenie epoki wielkiej industrializacji”*, w: *Pisanie miasta – czytanie miasta*, red. A. Zeidler-Janiszewska, Wydawnictwo Fundacji Humaniora, Poznań 1997.

- Simmel 2006 – G. Simmel *Most i drzewi. Wybór esejów*, przeł. M. Łukasiewicz, Oficyna Naukowa, Warszawa 2006.
- Vargish, Mook 1999 – Th. Vargish, D.E. Mook *Inside Modernism. Relativity Theory, Cubism, Narrative*, Yale Univ. Press, New Haven and London 1999.
- D. Wolska 2006 – D. Wolska *Doświadczenie – ponownie rzeczywista kwestia humanistyki*, w: *Nowoczesność jako doświadczenie*, red. R. Nycz i A. Seidler-Janiszewska, Universitas, Kraków 2006.
- Ziarek 2001 – K. Ziarek *The Historicity of Experience. Modernity, the Avant-garde, and the Event*, Northwestern University Press, Evanston Illinois 2001.

## Abstract

**Ryszard NYCZ,**  
**The Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences**  
**(Warszawa)**

### Modern literature facing the experience

The thesis advocating a 'bankruptcy' or crisis of experience at the verge of 20<sup>th</sup> century, as first formulated by W. Benjamin and subsequently reconfirmed several times, aptly identifies a diminishing significance of the *traditional* concept of experience for the modern time and a modernist literature alike. It does not refer, however, to any *other* forms of experience, the need and possibility of articulating which having been the focus and source of creativity to certain most outstanding authors in modern literature. This article provides a synthetic characteristic of four main options of such writing quest, including: literature of experiment, literature of internal experience, literature of testimony, and, literature as experience, arguing, in consequence, in favour of validity of consideration of the entire modern literature as a literature of experience (in the modern forms assumed by the latter).

Szkice

# Roztrząsania i rozbior

## Genologia zintegrowana

Kiedy Michaił Bachtin dostrzegł istnienie mniej lub bardziej zdeterminowanych wzorców wypowiedzi – „gatunków mowy” – regulujących zachowania dyskursywne użytkowników języka w całym obszarze jego sposobów użycia<sup>1</sup>, pojawiła się możliwość badania form komunikacji wcześniej traktowanych jako zjawiska amorficzne, na przykład funkcjonujących w życiu codziennym, a także dokonania systematycznego opisu różnych form gatunkowych stosowanych w poszczególnych stylach funkcjonalnych, w komunikacji ustnej i pisemnej, w wypowiedziach monologicznych i dialogowych, w tekstach literackich i nieliterackich.

Poglądy Bachtina w omawianych tu kwestiach wywołały żywy i twórczy odzew w kręgach humanistów, co widoczne jest także w polskim środowisku, zwłaszcza lingwistycznym. Powstawać zaczęły prace dyskutujące podstawy teoretyczne jego koncepcji genologicznej i reinterpretujące ją zgodnie z aktualnym stanem badań językoznawczych – zwłaszcza w obrębie teorii tekstu, semantyki i pragmatyki<sup>2</sup>. Wykorzystując zbliżony zespół założeń metodologicznych, zaczęto też opracowywać charakterystyki poszczególnych gatunków mowy i – co szczególnie istotne –

<sup>1/</sup> Por. zwłaszcza studia zebrane w tomie: M. Bachtin *Estetyka słownego twórczości*, Moskwa 1979; przekład polski: M. Bachtin *Estetyka twórczości słownej*, przeł. D. Ulicka, oprac. przekł. i wstęp E. Czaplewicz, PIW, Warszawa 1986.

<sup>2/</sup> Zob. zwłaszcza: A. Wierzbicka *Genry mowy*, w: *Tekst i zdanie*, red. T. Dobrzyńska, E. Janus, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1983; T. Dobrzyńska *Gatunki pierwotne i wtórne (Czytając Bachtina)*, w: *Typy tekstów*, red. T. Dobrzyńska, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 1992. Ten nurt badań omawiam szerzej w pracy: *Bachtinowska koncepcja gatunków mowy i jej polskie kontynuacje*, w: *Poetyka – polityka – retoryka. Księga jubileuszowa dla Profesora Michała Głowińskiego*, red. W. Bolecki, R. Nycz (w druku).

repertuaru gatunków różnych stylów funkcjonalnych<sup>3</sup>. Studia w tym zakresie pogłębiły wiedzę nad formami komunikacji w obrębie jednej tradycji kulturowej, otworzyły też możliwość porównywania repertuaru wzorców gatunkowych różnych kultur<sup>4</sup>.

Dynamiczny rozwój badań nad gatunkami mowy, jaki obserwować można w ostatnich latach, przyniósł już znaczące rezultaty, ale w tych spontanicznych, wieloautorskich działaniach na rzecz nowej dyscypliny zarysowało się też niebezpieczeństwo dezintegracji w zakresie metod badawczych i uzusu terminologicznego. Rodzi się więc potrzeba wyartykułowania założeń metodologicznych tego kierunku i dokonania krytycznego oglądu jego programu<sup>5</sup>, a także skonfrontowania go z szerszym kontekstem teoretycznym i praktyką dyskursywną – wprowadzenia do tej dyscypliny różnych ważnych wątków współczesnej humanistyki, które wiążą się z tekstotwórczą aktywnością człowieka, z perspektywą poznawczą podmiotu i z tendencjami dialogicznymi w kulturze.

Odpowiedzią na te zapotrzebowania jest książka Bożeny Witosz *Podstawy genologii lingwistycznej*<sup>6</sup>, która stanowi udaną próbę zarysowania podstaw teoretycznych i całościowego programu nowej dyscypliny genologicznej w obrębie językoznawstwa. Oprócz patronatu Bachtina, opracowanie to ma też, jak podkreśla autorka, polskie antecedeny – w koncepcjach genologicznych Stefanii Skwarczyńskiej.

Wykład genologii lingwistycznej prezentowany w tej pracy poprzedzony został dobrym rozpoznaniem jej dotychczasowego stanu badań oraz wskazaniem innych nurtów badawczych istotnych dla nauki o gatunkowym zróżnicowaniu wypowiedzi. Przedstawiana w książce dziedzina wiedzy budowana jest przede wszystkim na fundamencie językoznawczych badań nad tekstem i dyskursem. Wykorzystuje dokonania teorii komunikacji i pragmatyki lingwistycznej, a także komunikacyjnej teorii dzieła literackiego oraz genologii literaturoznawczej. Autorka, mająca duże doświadczenie w prowadzeniu badań z pogranicza lingwistyki i lite-

raturoznawstwa (przypomnę tu jej wybitne dokonania z zakresu teorii deskrypcji i narratologii oraz stylistyki<sup>7</sup>), była szczególnie predestynowana do podjęcia arcytrudnego zadania, jakim jest nakreślenie syntetycznego obrazu dyscypliny ogarniającej oba te obszary badawcze – i zrealizowała swój cel w sposób niezwykle udany. Książka stanowi doskonale wprowadzenie w problematykę badań gatunków mowy. Wykład jest znakomicie wyważony: na tle przywoływanych dyskusji i prezentowanych postaw badawczych zarysowuje spójną propozycję metodologiczną, która stanowi świadomy wybór spośród różnych alternatyw. Ze znajomością rzeczy Autorka konfrontuje różne stanowiska, nie gubiąc zarazem zasadniczego wątku. W swoich opiniach wykazuje odwagę i niezależność myślową, podejmując niekiedy dobrze uargumentowaną polemikę z uczonymi z najbliższego środowiska.

Przejrzenie skomponowana książka w *Uwagach wstępnych* ukazuje sytuację, w której wyłoniła się nowa dyscyplina, dowodzi jej autonomii oraz przedstawia zespół kierunków eksplorujących pobliskie, częściowo wspólne pola badawcze.

Główny tok wykładu podzielony jest na dwa obszernie rozdziały. W *Części pierwszej (Teoretyczne konteksty genologii lingwistycznej)* Bożena Witosz przedstawia instrumentarium pojęciowe omawianej dyscypliny, koncentrując się na kluczowym dla niej pojęciu „gatunku mowy”. Przywołuje wypowiedzi badaczy, którzy w największym stopniu przyczynili się do wykrystalizowania się koncepcji genologicznych w myśleniu o zachowaniach językowych człowieka (M. Bachtin i rozwijająca jego idee A. Wierzbicka; L. Wittgenstein). Ukazuje różne koncepcje kategoryzacji i klasyfikacji stosowane w badaniach nad formami wypowiedzi, opowiada się przy tym za nową formą systematyzacji, wypracowaną w ramach kognitywizmu – typologią, która buduje otwarte kategorie naturalne, skoncentrowane wokół prototypu i rozprzestrzeniające się radialnie na zasadzie „podobieństwa rodzinnego”. Ta część wykładu, choć uzasadniona potrzebami samej genologii lingwistycznej, ma znacznie szerszy adres odbiorczy: jest prezentacją pewnego sposobu porządkowania wszelkich zjawisk podległych ludzkiemu doświadczeniu – porządkowania uwzględniającego zmienną perspektywę podmiotową i rolę stereotypów pojęciowych w postrzeganiu rzeczywistości. Oparcie się na takiej koncepcji uzasadnia prezentowane w dalszych rozważaniach stanowisko wykluczające ostro rozgraniczone układy hierarchiczne w przestrzeni genologicznej. Autorka w wielu miejscach wywodu i w wielu analizach konkretnych zjawisk podkreśla adekwatność takiej typologii wobec empirii tekstowej, jako że typologia ta chwyta w sieć luźnych i zmiennych

<sup>3/</sup> Por. zwłaszcza badania inicjowane przez Uniwersytet Śląski, których wyniki zebrane zostały w tomach z serii „Gatunki mowy i ich ewolucja”, t. I: *Mowy piękno wielorakie*, red. D. Ostaszewska, Wydawnictwo UŚ, Katowice 2000; t. II: *Tekst a gatunek*, red. D. Ostaszewska, Wydawnictwo UŚ, Katowice 2004. Charakterystyki gatunków w obrębie jednego stylu funkcjonalnego opracowane zostały m.in. dla stylu publicystycznego – por.: M. Wojtak *Gatunki prasowe*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2004.

<sup>4/</sup> Na możliwość badań w tym zakresie i ich wagę dla kontaktów międzykulturowych wskazywała A. Wierzbicka (*Genry mowy oraz Cross-cultural pragmatics. The semantics of human interaction*, Mouton–W. de Gruyter, Berlin–New York 1991).

<sup>5/</sup> Próbę syntetycznego ujęcia rezultatów badań w zakresie genologii lingwistycznej podjął w formie krótkiego wykładu S. Gajda (*Gatunkowe wzorce wypowiedzi*, w: *Współczesny język polski*, red. J. Bartmiński, Lublin 2001).

<sup>6/</sup> B. Witosz *Podstawy genologii lingwistycznej*, Wydawnictwo UŚ, Katowice 2005.

<sup>7/</sup> Por. m.in. prace B. Witosz: *Opis w prozie narracyjnej na tle innych odmian deskrypcji. Zagadnienia struktury tekstu*, Wydawnictwo UŚ, Katowice 1997; *Kobieta w literaturze. Tekstowe wizualizacje (od fin de siècle'u do końca XX wieku)*, Gnome, Katowice 2001; *O wielości „języków” interpretacji w badaniach stylistycznych – konsekwencje teoretyczno-metodologiczne*, w: *Wielojęzyczność w perspektywie stylistyki i poetyki*, red. M. Ruszkowski, Wydawnictwo Akademii Świętokrzyskiej, Kielce 2004; *Styl indywidualny w perspektywie genologii lingwistycznej*, „Stylistyka” 2005 nr XIV.

relacji wzorce gatunkowe będące wiązką radialnie zorganizowanych cech; pozwala też ukazywać wielokierunkowe powiązania form i zmienne konstelacje – nawet w przypadku struktur odległych, przynależnych do różnych rejestrów funkcjonalnych dyskursu.

W *Części drugiej* (*Podstawy kategoryzacji universum mowy*), w której wcześniej zarysowane koncepcje stają się tłem dla decyzji metodologicznych i wyborów terminologicznych Autorki, charakteryzuje ona swój sposób ujmowania podstawowych narzędzi pojęciowych omawianej dyscypliny, takich jak tekst i gatunek. Uzasadniając ich traktowanie jako kategorii o nieostrych granicach, przedstawia stereometryczny projekt typologii, opartej na wielokierunkowych relacjach wzorców gatunkowych w sieci. Podkreśla konieczność oddzielenia badań wzorców gatunkowych na poziomie bytów idealnych – funkcjonujących w świadomości społecznej (wykrystalizowania się stereotypów) i składających się na kompetencję komunikacyjną czy kulturową mówiącego – od badań nad obecnością wzorców gatunkowych w konkretnych użyciach języka. W dwóch ostatnich rozdziałach tej części książki w obszerny sposób przedstawia najpierw problem ewolucji form gatunkowych obserwowanej na poziomie modeli, a następnie interferencje różnych wzorców gatunkowych w jednym tekście artystycznym – w prozie Andrzeja Stasiuka *Jadąc do Babadag* (co w badaniach intertekstualnych określane byłoby jako odniesienie danej wypowiedzi do warunkujących jej formę architekstów). Oba te rozdziały przynoszą wiele interesujących refleksji nad kierunkiem zmian współczesnych form dyskursu w różnych jego obszarach. Stanowiąc ilustrację możliwości analitycznych dyscypliny, prezentują zarazem rozległą panoramę zjawisk mownych, odzwierciedlających procesy społeczno-kulturowe, zmiany technologiczne i ideologiczne. Wnikliwa analiza tekstu Stasiuka wprowadza problematykę relacji form artystycznych i gatunków użytkowych, ukazuje konstelację form, które – wpływając na ukształtowanie tego tekstu – umożliwiły wyartykułowanie postawy podmiotu mówiącego, jego punktu widzenia, swoistej aksjologizacji przedstawianego świata. W tym właśnie punkcie genologia lingwistyczna okazuje się atrakcyjna dla badań literaturoznawczych, jako że proponuje metodologię, która wrażliwość na zjawiska językowe usytuowane w poszczególnych tekstach łączy z umiejętnością globalnego spojrzenia na ich funkcję w tekście, w spetryfikowanych formach dyskursu; umożliwia interpretację zachowań dyskursywnych podmiotu wypowiedzi, stanowiących wykładnik jego ról społecznych czy postaw światopoglądowych.

W *Zakończeniu* Autorka wypowiada przenikliwe opinie na temat współczesnej kultury, sumując główne rysy obrazu, jaki wyłania się z obserwacji zjawisk genologicznych. Mówi o transgresywnym charakterze zachowań mownych, o permanentnym przekształcaniu wzorców gatunkowych, o hybrydyzacji form – nie tylko literackich. Wskazuje, że takiemu stanowi rzeczy odpowiadać musi metodologia badań uwzględniająca otwartość kategorialną, mgławicowe kontury podziałów typologicznych, dynamiczny model relacji. Taka właśnie koncepcja genologii – adekwatna wobec opisywanego pola badawczego – zarysowana została w rozprawie.

*Podstawy genologii lingwistycznej* Bożeny Witosz to książka znakomita, dojrzała metodologicznie, prezentująca w sposób wnikliwy i kompetentny instrumentarium pojęciowe dyscypliny i jej możliwości analityczne. Jako opracowanie o wysokich walorach zarówno naukowych, jak i dydaktycznych, ma szansę stać się szeroko wykorzystywanym podręcznikiem uniwersyteckim.

**Teresa DOBRZYŃSKA**

## Abstract

**Teresa DOBRZYŃSKA,**  
The Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences  
(Warszawa)

### Genology integrated

Review of Bożena Witosz's book *Genologia lingwistyczna. Zarys problematyki* ['Linguistic genology. An outline'], Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego [Silesian University Press], Katowice, 2003.

According to the reviewer, the book is a successful attempt at outlining a comprehensive programme of genological research situated within linguistics whilst also referring to the achievements of linguistic pragmatics, communication theory of text and literary-scholarship genology. The book presents the state-of-play as regards the research in question and the discipline's notional tools, shows various categorisation concepts, discusses the issue of evolution of the genre forms. Moreover, it builds a genre typology model of its own. On top of all that, a certain terminological custom is proposed.

## Poetyka i polityka

Prace poświęcone różnym aspektom twórczości Tadeusza Różewicza utworzyły okazałą bibliotekę przedmiotową, sukcesywnie wzbogacaną o kolejne pozycje (spośród najnowszych ważnych publikacji warto wymienić wznowioną i poprawioną wersję monografii Tadeusza Drewnowskiego, książki Roberta Cieślaka, Ireny Górskiej, Andrzeja Skrendo, Lidii Wiśniewskiej<sup>1</sup>). Ten przyrost opracowań historycznoliterackich wymusza wewnętrzna dynamika pisarstwa autora *Regio*, a zwłaszcza publikacja kolejnych tomów poetyckich. Ostatni wspinały twórczy okres w biografii twórczej Różewicza zainicjowała *Płaskorzeźba*, a zakończyły istotne (choć w opinii niektórych krytyków dość zróżnicowane, by nie powiedzieć nierówne pod względem poziomu) zbiory *Szara strefa* i *Wyjście*. Zarzuty nieusatisfakcjonowanych krytyków (by odwołać się tu do recenzji Piotra Michałowskiego, opublikowanej w jednym z ostatnich numerów „Kresów”<sup>2</sup>) można oczywiście łatwo odeprzeć, przypominając fundamentalną dla badaczy tekstów Różewicza prawdę o „laboratoryjnym” charakterze jego pisarstwa, które określa gest odrzucenia idei dzieła sztuki jako doskonałego, skończonego wytworu, „językowego gadżetu”, i sprzężo-

ny z gestem tym ruch deziluzji, odsłaniania faz pisania, poprzedzających w tradycyjnych poetykach moment ukonstytuowania się dzieła literackiego. Ta filozofia twórcza, wymierzona przeciwko pojmowaniu wiersza jako swego „artefaktu, ładnego przedmiotu” zyskuje na znaczeniu w epoce wszechogarniającego konsumpcjonizmu, kiedy to literatura coraz częściej staje się produktem zmyślnych strategii marketingowych, wypadkową rynkowej gry interesów wydawców i sztucznie tworzonej potrzeb czytelników.

Książka Tomasza Kunza *Strategie negatywne w poezji Tadeusza Różewicza. Od poetyki tekstu do poetyki lektury*<sup>3</sup> bezpośrednio odnosi się do przywołanych tu kwestii. Znamionuje ją przede wszystkim wiedza o tym, z jakiej pozycji, z jakiego miejsca w historii literatury przemawia dziś interpretator, przymierzający się do opisu Różewiczowskich tekstów. Autor ma głęboką świadomość uwikłania współczesnego literaturoznawcy we wspomnianą wcześniej przestrzeń „różewiczologicznej biblioteki”, której mądre ogarnięcie i uporządkowanie wymaga odrębnej, czasochłonnej pracy intelektualnej i zróżnicowanych kompetencji. Krakowski literaturoznawca wielokrotnie powraca do ujęć, które zyskały status kanonicznych, mają swoją ustaloną pozycję w historii i teorii literatury (prace Zbigniewa Siatkowskiego, Jana Błońskiego, Ryszarda Nycza, Krzysztofa Kłosińskiego, Janusza Sławińskiego), często wchodzi z nimi w spór, nie po to, by obnażyć ich „anachroniczność”, lecz przeciwnie, poddać orzeźwiającej konfrontacji ze zjawiskami, które zaznaczyły swoją obecność w ciągu ostatniej dekady, w tym również z pracami młodszych badaczy (Zbigniew Majchrowski, Dorota Wojda, Andrzej Skrendo). Czasami można jednak odnieść wrażenie, że ta, słuszna skądinąd, praktyka badawcza bywa w książce Kunza nadużywana; zbyt często autor porusza się w horyzoncie, wytyczonym przez wspomnianych autorów, nie zaznaczając wystarczająco wyrażenie swojego stanowiska w omawianych kwestiach (poprzez, chociażby, dobór innych, rzadko interpretowanych wierszy Różewicza). Jest to szczególnie widoczne tam, gdzie autor bada opisane już wcześniej zależności czy inspiracje płynące ze strony Awangardy Krakowskiej i poezji Przybosa, chociaż z dzisiejszej perspektywy ciekawsze i bardziej pożądane byłyby próby osadzenia Różewicza w innych kontekstach historycznoliterackich. Mam tu na myśli relacje niekoniecznie przebiegające w porządku inspiracji czy zapożyczeń; na przykład w rozdziale poświęconym różnym instancjom podmiotowym, a właściwie multiplikacji podmiotowych ról i kreacji (w tym również przejawom dezindywidualizacji podmiotu/anonima), przebiegających na różnych poziomach organizacji tekstu wręcz oczywistym obszarem porównawczym wydają się „podmioty mediumiczne” Miłosa, przejawiające się w postaci powtarzalnych, silnie „wdrukowanych” w wyobraźnię poetycką autora *Trzech zim* archetypicznych person (Mistrz/Uczeń, Pielgrzym, Poeta, Anima/podmiot kobiecy), podlegającym regule stałej wymienności ról i pozycji (o czym pisali swojego czasu Aleksander Fiut i Marek Zaleski). Jest to poety-

<sup>1/</sup> T. Drewnowski *Walka o oddech biopoetyka. O pisarstwie Tadeusza Różewicza*, WAiF, Warszawa 2002; R. Cieślak *Oko poety. Poezja Tadeusza Różewicza wobec sztuk wizualnych*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 1999; I. Górka *Dramat jako filozofia dramatu na przykładzie twórczości Tadeusza Różewicza*, Wydawnictwo UAM, Poznań 2004; A. Skrendo *Tadeusz Różewicz i granice literatury. Poetyka i etyka transgresji*, Universitas, Kraków 2002; L. Wiśniewska *Między biegunami i na pograniczu. O „Białym małżeństwie” Tadeusza Różewicza i poezji Zbigniewa Herberta*, Wydawnictwo Uczelniane WSP w Bydgoszczy, Bydgoszcz 1999.

<sup>2/</sup> P. Michałowski *Od milczenia do logorei*, „Kresy” 2005 nr 3.

<sup>3/</sup> T. Kunz *Strategie negatywne w poezji Tadeusza Różewicza. Od poetyki tekstu do poetyki lektury*, Universitas, Kraków 2005.

ka pod wieloma względami odmienna od tej, którą uprawia Różewicz, ich zestawienie i porównanie odsłania jednak ciekawe kontrapunktowe napięcia, ukazujące, być może, dwa bieguny konstruowania podmiotów lirycznych w polskiej poezji współczesnej.

Rozprawa Tomasza Kunza wypełnia istotną lukę w obrębie literatury przedmiotu, poświęconej twórczości Różewicza. Wydano bowiem sporo publikacji omawiających w sposób syntetyczny dorobek dramaturgiczny pisarza, wiele jest w „różewiczologicznej bibliotece” monografii o wąsko zakrojonej (w znaczeniu tematologicznym bądź formalnym) problematyce (intertekstualność, „traumatyczność”, transgresyjny charakter dzieła Różewicza), odczuwało się jednak dotkliwy brak kompetentnego studium poświęconego specyficznym właściwościom poetyki autora *Plaskorzeźby*. Studium Kunza doskonale wpisuje się w to zapotrzebowanie; zamierzeniem autora było wszak, by zacytować fragment rozdziału wstępnego, „dokonanie opisu i analizy zasadniczych cech poetyki Tadeusza Różewicza w oparciu o całość jego poetyckiego dorobku przy zastosowaniu metod krytycznych odwołujących się do teorii odbioru dzieła, teorii jego budowy retorycznej, teorii aktów mowy” (str. 7). Kunz poddaje drobiazgowej i systemowej analizie poszczególne aspekty i poziomy organizacji wierszy Różewicza (stylistyka, wersyfikacja, konstrukcja podmiotu lirycznego, kompozycja, instancje odbiorcze), sytuując je na tle istniejącego stanu badań z zakresu teorii literatury. Pokazuje w ten sposób rozległość i formalne zróżnicowanie Różewiczowskich tekstów i strategii poetyckich, zagarniających najistotniejsze zagadnienia i punkty sporne, które stały się przedmiotem głośniejszych debat w obrębie polskiej nauki o literaturze. Jest to zarys nieco „podręcznikowy”, na pewno silnie osadzony w tradycji strukturalistycznej, Kunzowi udało się jednak przekształcić go w czytelną ramę, porządkującą analityczne rozpoznania w sposób przejrzysty i badawczo płodny.

Kunz zresztą za każdym razem w interesujący sposób przeformułowywa tradycyjną problematykę teoretycznoliteracką, którą następnie przedstawia i rozwija w porządku „nicowania samooczywistości”, odsłaniania wewnętrznych ambiwalencji, skrywanych pod pozorem tradycyjnych, akademickich ujęć. Rozbija w ten sposób fundament, przyczyniający się do utrwalania nawyków interpretacyjnych, których ofiarą padały teksty Różewicza, zwłaszcza w ramach egzegezy szkolnej. Przegląd stanowisk w omawianych kwestiach, od którego rozpoczyna się niemal każdy z rozdziałów prowadzi niejednokrotnie do formułowania konstatacji odkrywczych, stawia w nowym świetle ustalone, zdawałoby się, stwierdzenia na temat Różewiczowskiej poetyki. Dzieje się tak choćby w rozdziale pierwszym, poświęconym wersyfikacji, w którym rozpoznania autora wiodą do następującej konkluzji:

Mówienie o systemie wersyfikacyjnym [tzw. IV systemie] wydaje się nieuzasadnione w przypadku poety, który z premedytacją rezygnuje z wszelkich dostępnych sposobów urozmaicenia rytmicznej struktury swojego wiersza i ogranicza się w praktyce delimitacyjnej do jednego w zasadzie kryterium: logiczno-składniowego, rozkładając na dodatek pauzy wersyfikacyjne na najłabszych działach składniowych. (str. 45)

Podobnie rzecz można o rozpoznaniach, sformułowanych przy końcu rozdziału drugiego (poświęconego stylistyce), mówiących o zastąpieniu „języka adekwatnych nazw” – „siatką rozplenających się horyzontalnie znaków” (str. 63).

Nie negując oczywistych walorów rozprawy Kunza, chciałoby się jednak zaznaczyć polemiczny stosunek wobec wielu zastosowanych przez niego metod badawczych i interpretacji. W trakcie lektury książki krakowskiego autora towarzyszyło mi niejasne poczucie, że stojące u jej podstaw założenia – „redukcjonistyczne”, ograniczające pole badawcze do kwestii z zakresu poetyki – w pewien sposób sprzeniewierzają się najważniejszym zasadom patronującym twórczym poczynaniom Różewicza. Jego poezja bowiem – to bodaj najbardziej znamienity jej rys – wyłamuje się spod władzy metateorii, niejednokrotnie przejmując jej przywileje czy kompromitując uroszczenia; można by powiedzieć, że Różewicz postępuje w duchu wczesnej filozofii Derridy, skutecznie rozmontowując „metafizyczne opozycje” między literaturą a filozofią (teorią, metatekstem), o czym pisał w swojej książce, nieco inaczej rozkładając akcenty, Andrzej Skrendo. U Kunza teoretyczne dociekania tworzą autonomiczny świat, podlegają „samozwrotnej dynamice” i w pewnym sensie odrywają się od swojego przedmiotu. Trudno pojąć również sens innych redukcji, przybierających formę odcinania analiz od kontekstów filozoficznych, etycznych itp., zwłaszcza że Różewicz zawsze ujmuje istotę literatury „holistycznie”, jako „coś więcej (powiedzielibyśmy nawet, znacznie więcej) niż literackość”, jakkolwiek by jej nie pojmować – widzi ją jako część wielkiej przestrzeni dyskursywnej i z pewnością sytuuje na przecięciu tekstu i doświadczenia.

Wydaje się więc, że zarówno omówienie pewnych kwestii teoretycznoliterackich, jak i analizy konkretnych Różewiczowskich tekstów w książce Kunza domagają się poszerzonego ujęcia. Na przykład konkluzje wieńczące rozdział czwarty (o podmiocie) wiele zyskałyby, gdyby osadzić je na tle współczesnych filozoficznych koncepcji subiektywności, w ujęciu Rolanda Barthes’a, Michela Foucaulta, Jacquesa Lacana (z czego, trzeba uczciwie przyznać, tłumaczy się autor w końcowych fragmentach rozdziału).

Jednym z powodów nieustającej aktualności dzieła Różewicza, przywołującego ciągle nowe interpretacje jest, jak sądzę, jego niezwykła „profetyczność”, zdolność do antycypowania dyskursów i metod badawczych czy nawet nurtów myślowych, które wyłania współczesność. W tym sensie moglibyśmy powiedzieć, że Różewicz napisał *Opowiadanie traumatyczne* wtedy, kiedy nie istniało jeszcze odpowiednie instrumentarium pojęciowe i badawcze, które pozwoliłoby nam w pełni zrozumieć wszystkie treści antropologiczne, jakie tekst ten w sobie zawiera; w jakimś sensie więc autor *Wyjścia* zaprojektował przestrzeń dyskursywną, która pojawiła się dopiero dwadzieścia lat później. Ujmując rzecz inaczej, kluczowe pojęcia z Różewiczowskiego słownika (trauma, nic/nicość, negatywność, wojna/Holokaust) w ciągu minionych dziesięcioleci rozwinęły się w rozbudowane dyskursy; chciałoby się wiedzieć, jak krakowski badacz sytuuje się wobec nowych sposobów rozumienia wspomnianych pojęć. I tak, zdanie Kunza „wiersz [Różewicza] jest traumą i klęską” (str. 114) wydaje się zarówno skrótem myślowym, jak i nieuprawnionym

poszerzeniem znaczenia słowa „trauma”, biorącym w nawias współczesne ważne artykuły i książki Cathy Caruth<sup>4</sup>, Dori Laub, Shoshany Felman<sup>5</sup>. Trauma nie jest po prostu synonimem okaleczenia, jest to okaleczenie szczególne, które ma swoją etiologię, wewnętrzną logikę rozwojową (z okresem latencji, zawieszenia, o którym pisał już Freud), ujawniające się za pośrednictwem określonego zespołu artikulacji. Wiersz (zwłaszcza w ramach metodologii, którą operuje Kunz) nie bardzo może „być traumą”; trauma wszakże zawsze ma swój podmiot, rozwija się w obrębie określonej biografii.

Kolejnym obszarem dyskursywnym, który zaznaczył swoją obecność w ciągu ostatnich dziesięcioleci, potwierdzając tym samym trafność Różewiczowskich intuicji wydaje się współczesny namysł nad sensem i myślowym dziedzictwem Holocaustu. Spowodował on istotne przegrupowania, „przesunięcia tektoniczne” w ramach różnych dyscyplin naukowych, wymuszających reinterpretacje wielu ważnych zagadnień, w tym również tych, do których nieustannie powraca Różewicz (i o których pisze Kunz). Myślę tu zwłaszcza o ważnych wierszach poświęconych Hölderlinowi, a zainspirowanych eseistyką Martina Heideggera. Jak to przekonująco wykazał w swojej znakomitej książce Victor Farias, esej *Hölderlin i istota poezji*<sup>6</sup> – niezmiennie popularny wśród polskich humanistów, widniejący na listach lektur obowiązkowych w ramach studiów polonistycznych – to tekst wykładu wygłoszonego przez Heideggera w roku 1936 w Instytucie Germańskim w Rzymie w trakcie wieczoru uświetniającego współpracę między reżimem Mussoliniego i nazistowskim państwem Hitlera; powstał zatem w okolicznościach, które całkowicie zmieniają jego wymowę. Nieuzasadniona wydaje się więc teza Tomasz Kunza, który zarysowuje tradycję myślową, wieszczącą kres zachodniej metafizyki i pewnej estetyki „sprzed doświadczenia Auschwitz”, wiodącą od Heideggera poprzez Lévinasa do Lyotarda i Lacoue-Labarthe’a. Ci trzej ostatni wpisują się raczej w linię „estetyki po Oświećcieniu”, zainicjowanej przez Theodora W. Adorno, bliską również Różewiczowi. Kunz wpisuje Heideggera w tradycję opisywania świata „po Zagładzie, po Końcu, po czasie marnym” (str. 109), tymczasem określenia te nie są wcale równoważne. Pozorne powinowactwo skrywa różnice, których nie można pogodzić, pomiędzy którymi nie może dojść do „pojednania” (*Versöhnung* – co za wyświechtane i naznaczone hipokryzją słowo!). Świat po Zagładzie opisują (i oplakują) Adorno, Lévinas, Lyotard, Derrida, Blanchot; „czas marny” natomiast, o którego nadejściu dwuznacznie i obłudnie orzeka Heidegger jest raczej „czasem mar-

nym” Celine’a i Ezry Pounda, czasem „skarlenia” starych, arystokratycznych społeczeństw, które w opinii konserwatywnych myślicieli, poddały się dyktatowi nowoczesności, demokracji, artystycznych awangard – nowoczesności, której niezmiennie ważnym składnikiem była asymilacja europejskich Żydów.

Różewicz zresztą nieustannie spiera się z Heideggerem wyszydza jego karkołomne koncepty stylistyczne. Wypowiedzi poświęcone Heideggerowi są, jak sądzę, w dużej mierze „psychomachią”, próbą odebrania, „przekodowania” Heideggerowskich interpretacji Hölderlina (zmienia je zresztą kontekst *Ocalonego, nożyka profesora*, poematu *recykling*).

Piszę o tym wszystkim po to, by unaocznic ograniczenia płynące z przyjęcia optyki tak silnie zawężonej do kwestii z zakresu poetyki. Można domniemywać, że silniejsze uruchomienie tropów, wiodących w stronę współczesnych, poststrukturalistycznych debat filozoficznych, etycznych – a zatem choćby „przeczytanie” „Heideggerowskich” wierszy Różewicza przez „sprawę Paula de Mana” czy konsekwencje zwrotu etycznego – mogłoby przyczynić się do zupełnie innego oświetlenia zagadnień, którymi zajmuje się w swojej książce Tomasz Kunz (na przykład kwestii szeroko rozumianej podmiotowości czy „stylów lektury”). Nie ukrywam, że te polemiczne dygresje mają po części charakter osobisty, pozostają w związku z moimi własnymi doświadczeniami lekturowymi i interpretacyjnymi, których obiektem były niegdyś Różewiczowskie teksty. Polemika jest więc w tym przypadku również auto-korektą, próbą naprawienia „niedoczytań”, zafałszowań interpretacyjnych, które uwidaczniają się z pewnego dystansu, przez pryzmat odmiennych lektur i inaczej sprofilowanej wiedzy o literaturze.

Aleksandra UBERTOWSKA

4/ Zob. C. Caruth *Introduction*, w: *Trauma. Explorations in Memory*, ed. and introd. by C. Caruth, John Hopkins University Press, Baltimore 1995; A. Bielik-Robson *Słowo i trauma*, „Teksty Drugie” 2004 nr 5.

5/ S. Felman, D. Laub *Testimony. Crises of Witnessing in Literature, Psychoanalysis and History*, Routledge, New York 1992.

6/ V. Farias *Heidegger i narodowy socjalizm*, przeł. P. Lisicki, R. Marszałek, Fundacja Aletheia, Warszawa 1997, s. 34-35.

## Abstract

**Aleksandra UBERTOWSKA,**  
**University of Gdańsk**

### Poetics and politics

Review of a book by Tomasz Kunz entitled *Strategie negatywne w poezji Tadeusza Różewicza. Od poetyki tekstu do poetyki lektury*, ['Negative strategies in Tadeusz Różewicz's poetry. A poetics of the text into a poetics of the reading'] (Universitas publishers, Cracow 2005).

T. Kunz's book is an authoritative analysis of certain specific characteristics of Różewicz's poetics. The author's juxtaposes the existing extensive literature on the subject against the most recent readings of the Polish poet's works and relevant literary-theoretical currents. A juxtaposition of this sort enables one to view the 'canonical' readings of the Różewicz oeuvre from a different perspective. As the book's reviewer and interpreter of the poet's oeuvre in one, Ms. Ubertowska has pointed out to certain difficulties occurring when it comes to describe the poet's output from the poetics' standpoint alone.

## „ja – teoretyk różnych sposobów teatralnych”<sup>1</sup>

Twórczości Tadeusza Różewicza poświęcono wiele publikacji, lecz większość naukowych opracowań dotyczy jego poezji. Tym bardziej warto sięgnąć po książkę Grzegorza Niziołka, zatytułowaną *Ciało i słowo. Szkice o teatrze Tadeusza Różewicza*<sup>2</sup>. Praca ta jest próbą kompleksowego spojrzenia na dramaturgiczną twórczość Różewicza. Kluczem do ogarnięcia tej dziedziny twórczej aktywności poety są niezmierne ważne dla niego kategorie ciała i słowa. Autor monografii konsekwentnie udowadnia ich nierozzerwalność oraz bada relacje między nimi w poszczególnych tekstach autora *Kartoteki*. Podtytuł może być nieco mylący, ponieważ Grzegorz Niziołek dokonuje nie ogólnej, lecz dogłębnej analizy oraz interpretacji dramatów, bada ich formę, możliwe odczytania i sposoby zaistnienia na scenie.

Książka podzielona jest na dziewięć rozdziałów, których tytuły są cytatami z twórczości Różewicza<sup>3</sup>. Kompozycja *Ciała i słowa* została oparta na dwóch powiązanych ze sobą układach: chronologicznym i tematycznym. W ten sposób autor pokazuje rozwój sztuki dramaturgicznej Różewicza, jego poszukiwania form wyrazu i zmieniające się obszary zainteresowań. Przedstawia ją jako pewną całość. Omawiając poszczególne dramaty, zaznacza, gdzie należy szukać źródeł obecnych w nich wątków bądź rozwiązań formalnych i które z nich pojawiają się także w późniejszych tekstach. Ponieważ tematy oraz wyznaczniki rodzajowe i gatun-

<sup>1/</sup> W ten sposób określił się T. Różewicz w rozmowie z K. Braunem w *Językach teatru*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1989, s. 24.

<sup>2/</sup> G. Niziołek *Ciało i słowo. Szkice o teatrze Tadeusza Różewicza*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004.

<sup>3/</sup> Tytuł przedostatniego rozdziału to początek modlitwy *Ojcze nasz*.

kowe przenikają się w całej twórczości Różewicza, Niziołek przywołuje także jego poezję i prozę<sup>4</sup>.

Na marginesach stron znajdują się hasła, które wskazują omawiany właśnie temat i w ten sposób dodatkowo podkreślają jego znaczenie w twórczości Różewicza. Pozwala to na łatwe wyszukanie konkretnego problemu, by porównać, jak został ujęty w różnych utworach<sup>5</sup>. Faust, motywy faustowskie, kondycja Anonima, milczenie, motyw ręki, motyw ofiary, człowiek/zwierzę, małe martwe natury, teatr Arystofanesa, teatr wewnętrzny – hasła te odnoszą się zarówno do motywów często powracających w tekstach Różewicza, jak i do jego poszukiwań w zakresie formy wyrazu.

Punktem wyjścia *Ciała i słowa* jest próba odpowiedzi na pytanie, co skłoniło poetę do sięgnięcia po formę dramatyczną. Okazuje się, że nie można jednoznacznie tego stwierdzić. Niziołek przywołuje sprzeczne opinie na ten temat i uznaje, że warto raczej zastanowić się, jakie możliwości daje Różewiczowi forma dramatu. Utwór tego rodzaju w szczególny sposób przeznaczony jest do realizacji scenicznej i zwykle z myślą o niej pisany. Dzięki temu twórca otrzymuje dodatkowe środki wyrazu. Po pierwsze, w teatrze może dojść do przekroczenia świata przedstawionego i wejścia „w realną przestrzeń społeczną”<sup>6</sup>. W *Kartotece* służy temu milczenie Bohatera, które każdy może uzupełnić własną historią. Po drugie, teatr pozwala posłużyć się materią, jaką jest ciało aktora uobecniające graną postać. I po trzecie, na scenie słowa bezpośrednio mierzą się z życiem.

A jednak *Kartotekę* Różewicz nazywa nie dramatem, lecz opowiadaniem. Niziołek, analizując tę kwestię, dopatruje się tutaj nie tylko gatunkowych eksperymentów, na co wskazuje wielu badaczy, ale dostrzega w tym geście wysiłek autora, który ma na celu oderwanie uwagi odbiorcy od takich kategorii, jak literatura, dramat czy teatr. Formalne niejasności mają służyć skoncentrowaniu się na istocie teatru, który staje się po prostu „miejscem żywej obecności i żywej mowy człowieka”<sup>7</sup>. Autor *Ciała i słowa* przypomina też, że w latach pięćdziesiątych Tadeusz Różewicz intensywnie szukał formy, za pomocą której można by opisać sytuację człowieka i jego dochodzenie do prawdy o sobie. Kształt *Kartoteki* jest rezultatem tych poszukiwań i ze wszystkich tekstów poety ten właśnie utwór najmocniej dotyka problemu społecznych więzi.

Według Różewicza człowiek jako jednostka społeczna żyje w rozdarciu. Musi przestrzegać narzuconych z góry reguł, a każda próba ich złamania ma bolesne konsekwencje – pretensje reszty społeczności (Franz z *Pułapki*), przymusowa resocjalizacja (Henryk z *Wyszedł z domu*), wykluczenie (Waluś z *Do piachu...*). Niziołek wskazuje ponadto na wagę więzi międzyludzkich w sztukach Różewicza.

4/ Pisanie o teatrze Różewicza w oderwaniu od jego poezji i prozy niewątpliwie zubożyłoby interpretację.

5/ Być może takie rozwiązanie zastosowano z myślą o studentach.

6/ G. Niziołek *Ciało i słowo*, s. 9.

7/ Tamże, s. 8.

Przykład Walusia reprezentuje potrzebę życia we wspólnocie, zwłaszcza w warunkach wojennych, w poczuciu zagrożenia. Bohater *Do piachu...* chciałby nadal należeć do partyzanckiego oddziału, włączyć się do wspólnoty narodowej i religijnej. Jednak paradoksalnie jest zawsze poza nimi. W innych dramatach Różewicz porusza kwestię więzi rodzinnych. Ich rozpad powoduje bowiem osłabienie więzi społecznych.

Przez wszystkie rozdziały przewija się motyw przewodni książki. Autor pokazuje, jak ciało i słowo współlistnieją w twórczości Różewicza. Podobnie jak inni badacze, Grzegorz Niziołek pisze o braku indywidualizacji języka, o sloganach, wytartych zwrotach, gazetowym żargonie, cytatach, o trudnościach bohaterów w wyrażaniu uczuć i myśli. Ale ta mowa – podkreśla Niziołek – jest nierozzerwalnie związana z ciałem. W *Kartotece* Bohater niechętnie podejmuje dialog, ma problemy z wypowiadaniem się własnymi słowami, to znów ktoś przeszkadza mu dokończyć, co powoduje, że jego opowieść jest poszarpana, chaotyczna, a zdania w połowie urwane. W pozornie nic nieznaczących czynnościach Bohatera (typu: leżenie, czytanie gazety, oglądanie ręki, odwracanie się do ściany...) nabiera wyrazu jego cielesność. Z jednej strony właśnie te proste gesty, a z drugiej okaleczony język Bohatera są reakcją na pojawiające się postaci i próbą odcięcia się od kłopotliwych bądź traumatycznych wydarzeń z przeszłości. Autor *Ciała i słowa* zwraca uwagę, że w *Akcie przerywanym* Różewicz idzie jeszcze dalej w przedstawieniu bólu, jaki niesie ze sobą fizyczna wręcz niemożność artykulacji. W ten sposób poeta wskazuje na sam akt mówienia, na jego cielesny wymiar, na to, że człowiek dzięki mowie poniekąd przekracza swą zwierzęcą naturę.

Dramat języka przeżywają bohaterowie także innych sztuk Różewicza. Waluś (*Do piachu...*) buduje zdania nieskładne i pełne wulgaryzmów. Z kolei wypowiedzi Bianki (*Białe małżeństwo*) to mieszanka różnych stylów, poszukiwanie dokładnego wyrazu uczuć, które kończy się niepowodzeniem, bo dziewczyna nie może opisać dramatu swego fizycznego i duchowego dojrzewania. W *Na czworakach* język nieustannie ciąży ku tematyce cielesności, ulega degradacji, zamienia się w bełkot. Paradoksalnie w tym chaosie słów i stylów, jak zauważa badacz, zdarza się, że wyrazy bądź rezygnacja z mówienia nabierają wagi. Prymitywne wypowiedzi Walusia mają przecież także charakter poetycki, a milczenie Bianki w scenie finałowej podkreśla tragizm gestu odmowy.

Niziołek dokładnie analizuje język postaci. W jego niezindywidualizowanej formie doszukuje się przeznaczenia człowieka do roli anonima, niczym niewyróżniającego się członka społeczeństwa. Pokazuje, jak w języku wyraża się rozdarcie bohaterów, ich nieumiejętne próby zmiany własnej kondycji. Niektóre osoby Różewicz obdarza monologiem poetyckim, który jako forma wypowiedzi nieczęsto pojawia się w jego sztukach. Zwykle posługują się nią kobiety<sup>8</sup> i ci „niegodni”, na

8/ H. Fillipowicz w *Laboratorium form nieczystych* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001) pisała z kolei o negatywnych, stereotypowych obrazach kobiet w dramatach Różewicza.

przykład Waluś. W *Świadkach albo malej stabilizacji* akt mowy wspiera się na pracy ciała, gdy bohaterka wypowiada swój pełen rozpaczny monolog zgodnie z naturalnym oddechem. Owo współdziałanie ciała i słowa także rzadko występuje w teatrze Różewicza. Przykładem solidarnej ich koegzystencji jest tytułowa postać utworu *Stara kobieta wysiaduje*, bohaterka, której rola wiele mówi o cielesności i jej sile.

Oprócz słowa istotną rolę w dramatach Różewicza odgrywa milczenie, które również jest przedmiotem analizy Niziołka. Kiedy trud aktu mówienia jest zbyt ciężki bądź nieefektywny, postaci przestają mówić. Szukają schronienia w ciszy. Wtedy zwykle odzywa się ciało. Jest to szczególnie widoczne w osobie Franza (*Pulapka*), gdyż mową jego ciała są choroba i fizyczne cierpienia. Bywa, że milczenie istnieje w tym samym czasie, co słowo. Jawi się wówczas jako kondycja postaci dramatycznej i to w niej rodzi się dramat i mowa. Przywołane są w książce wysiłki Różewicza zmierzające do napisania sztuki o Walerianie Łukasińskim i o przymusowym milczeniu oraz cierpieniu, które z tego wynika. Utwór nie powstał do dziś, bo trudno poecie znaleźć formę, by wyrazić tajemnicę tak bolesnego doświadczenia.

Grzegorz Niziołek wskazuje na fascynację Różewicza innymi pisarzami i bohaterami ich tekstów oraz pokazuje, jak to zainteresowanie przekłada się na twórczość autora *Pulapki*. W oddzielnym rozdziale wnikliwie tropi oraz interesująco omawia literackie nawiązania Różewicza do twórczości Szekspira. Koncentruje się na *Kartotece* oraz na tekstach poetyckich *Rozmowa z księciem* i *Nic w płaszczu Prospera*, ale przywołuje też inne utwory. Znajduje w nich odniesienia przede wszystkim do *Hamleta* i *Burzy* oraz, w mniejszym stopniu do *Makbeta* i *Króla Leara*. Autor *Ciała i słowa* wskazuje zarówno na oczywiste aluzje, jak i te, które można odczytać, konfrontując ze sobą Różewiczowski i Szekspirowski sposób widzenia człowieka i świata.

Wiele nawiązań do *Hamleta* można odnaleźć zwłaszcza w *Kartotece*, na przykład w samej konstrukcji dramatu, podobieństwie głównych bohaterów, w cytatach i parodiach. Te odniesienia służą głównie poszukiwaniu prawdy o człowieku i jego istnieniu. Niziołek podkreśla, że dla poety nie najczęściej przyciągający uwagę polskich badaczy i krytyków wątek polityczny *Hamleta* jest najważniejszy. Wręcz przeciwnie, romantyczne i postromantyczne ujęcia tego aspektu historii królewicza duńskiego nie znajdują aprobaty u Różewicza, który zresztą w *Kartotece* traktuje tę sferę parodystycznie. Jest to zdecydowanie polemiczna konkluzja autora *Ciała i słowa* wobec innych odbiorów *Kartoteki*<sup>9</sup>.

Pisząc o *Rozmowie z księciem*, Grzegorz Niziołek prowadzi swoją interpretację kilkoma ścieżkami, które zbiegają się w jednym punkcie. Wyjaśnia postać Eliotowskiego Mr Prufrocka i jego rolę w poemacie Różewicza, szuka nawiązań do

*Kartoteki*, opisuje podmiot liryczny, czyli „współczesnego poetę” i ustala jego relację z *Hamletem* – obaj potrafią za pomocą słów przekazywać swoje emocje i myśli, obu zajmuje kwestia ciała. Złożoność *Rozmowy z księciem* może powodować pewien chaos interpretacyjny, ale wywód Niziołka jest przejrzysty. Poetyckie zabiegi Różewicza badacz traktuje jako przekraczanie mitu utrwalonego w kulturze, by dotrzeć do tego, co w doświadczeniu *Hamleta* pozostaje żywe.

Natomiast analiza tekstu *Nic w płaszczu Prospera* jest znakomitym pomysłem na wstęp do omówienia późniejszych dramatów poety. Niziołek przedstawia odniesienia tego utworu do *Burzy* Szekspira, kładąc nacisk na postać Kalibana, który jako jedyny stał się bohaterem wspomnianego wyżej wiersza. W tym człowieku-zwierzęciu badacz dostrzega postaci kolejnych sztuk Różewicza. Podobnie jak Kaliban nie przystają one do oczekiwań i wymagań, jakie stawia przed nimi ludzki świat i nie są winne sytuacji, w jakiej się znalazły. Ich język jest martwy, słowa nic nie znaczą, tylko ciała żyją i spełniają swe fizjologiczne funkcje.

Pisząc o dramatach Różewicza, Niziołek wnikliwie bada ich formę. Demaskuje narosłe wokół komedii stereotypy. Uzasadnia, dlaczego na przykład *Grupa Laokoona* nie jest satyrą, jak się ją często określa, ale farsą. Odwołuje się do cech gatunkowych analizowanych dramatów i pokazuje, w których sztukach istnieją elementy satyry, farsy czy groteski i czemu one służą. Zwraca uwagę na okrucieństwo obecne w komediach Różewicza. Opisuje ponadto wyznaczniki tragedii użyte przez autora *Kartoteki*, jak również samą kategorię tragizmu. Niziołek definiuje tragizm poety jako doznanie samotności w świecie. Bohaterowie nie potrafią odnaleźć się w rzeczywistości, w której przyszło im żyć, nie znajdują nigdzie ukojenia ani wsparcia. Nigdy jednak poeta nie podważa samej wartości życia.

Wśród wielu poruszanych w książce tematów Niziołek opisuje artystę, często go bohatera sztuk Różewicza, omawia problem wiary i niewiary, kwestię życia i pamięci, bunt przeciw cielesnej kondycji i jej afirmację, mityczne odniesienia i metaforykę zwierzęcą.

Wprawdzie książka *Ciało i słowo* nie zawiera oddzielnego opisu stanu badań, to jednak jej autor przywołuje w głównym tekście i przypisach opinie oraz konkluzje interpretacyjne innych badaczy, z którymi się zgadza bądź polemizuje. W swojej pracy Niziołek włącza się do dotychczasowej debaty o poecie, ale przede wszystkim podejmuje dialog z tekstami Różewicza. Potwierdzenia dla swoich hipotez interpretacyjnych szuka nie w opiniach innych interpretatorów, lecz w twórczości autora *Niepokoju*. Wskazuje na jej związki z tradycją literacką i teatralną; przedstawia, co kształtuje i jak ewoluuje teatr poety. Z pasją śledzi odmiany jego tekstów. Jeśli można wskazać jakieś niedociągnięcia, to trzeba zauważyć, że zabrakło w tej pracy odniesień do badań nad kluczowymi dla niej kategoriami ciała i słowa. Pomimo to książka Niziołka jest niewątpliwie oryginalnym, rzetelnym i erudycyjnym ujęciem dramaturgii Różewicza.

<sup>9</sup>/ G. Niziołek przywołuje stanowisko w tej sprawie J. Kotta i Z. Majchrowskiego oraz odsyła do artykułu M. Piwińskiej, która szerzej zajmowała się tym problemem (*Ciało i słowo*, s. 39).

## Abstract

**Anna KRZYWANIA,**  
**Independent researcher**

### **„Me, theoretician of various theatrical methods ...”**

Review of Grzegorz Niziolek's book *Ciało i słowo. Szkice o teatrze Tadeusza Różewicza* [‘The Body and the Word. Sketches on Tadeusz Różewicz's literary output’] (Wydawnictwo Literackie publishers, Cracow, 2004).

The book attempts at taking a comprehensive glance on the Różewicz output as a playwright. The key to a conceptual regard to these plays is the categories of the Body and the Word, being of crucial import to the poet. The monograph's author consistently proves to us how inseparable they are whilst analysing their mutual relations across Różewicz's texts. As strongly emphasised by the reviewer, the book's author has embarked on an in-depth analysis and interpretation of the plays, studying their form, possible readings, and ways of getting delivered on stage.

## Bolecki innego kalibru

Początki aktywności krytycznoliterackiej Włodzimierza Boleckiego przypadają na połowę lat siedemdziesiątych, jej moment szczytowy chyba na lata osiemdziesiąte, gdy jako Jerzy Malewski współpracował z niezależną prasą literacką, czego owocem były wydane w podziemiu książki *Widziałem wolność w Warszawie* oraz *Jedynie prawda jest ciekawa*, przedrukowane potem w jednym tomie nakładem londyńskiej „Polonii”. Ówczesny dorobek krytyczny Malewskiego słusznie został uznany, między innymi przez Andrzeja Horubałę, za najciekawszy i zarazem najbardziej wyrazisty przykład charakterystycznej dla lat osiemdziesiątych „krytyki stanu wojennego”.

Po 1989 roku aktywność Boleckiego jako krytyka literackiego rozumianego potocznie, a więc jako kogoś, kto systematycznie śledzi, opisuje i komentuje bieżącą „produkcję” literacką chyba maleje, choć nie można nie dostrzec ważnej roli, jaką odgrywa on w istotnej dyskusji o postmodernizmie w literaturze polskiej XX wieku – debata ta miała i ma przecież wpływ i na współczesnych pisarzy, i na ich czytelników. Mówię oczywiście o *Polowaniu na postmodernistów (w Polsce)*, ale pamiętam też o wydany w 1991 zbiorze esejów Boleckiego *Prawdy niemiłe* (ich bohaterami byli między innymi Władysław Terlecki, Ryszard Przybylski i Ryszard Schubert), jak i o licznych publikacjach komentujących i popularyzujących twórczość Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

O tym wszystkim przypominałem sobie, sięgając po opasłą, bo ponad pięćsetstronicową książkę Boleckiego zatytułowaną *Inna krytyka*<sup>1</sup>, książkę, która ukazała się jako czwarty tom redagowanej przez Martę Wykę serii *Krytyka XX wieku*. W ramach tego cyklu wydano do tej pory „wypisy z polskiej krytyki literackiej XX wie-

---

<sup>1</sup>/ W. Bolecki *Inna krytyka*, Universitas, Kraków 2006.

ku” pt. „Kartografowie dziwnych podróży” oraz dwie cenne monografie krytyczne: Tomasza Cieślaka-Sokołowskiego o Januszu Szuberze i Anny Czabanowskiej-Wróbel o Adamie Zagajewskim. Wspominam o tym, gdyż zarówno ów kontekst, jak i wiedza o krytycznej „przeszłości” Boleckiego, kazały oczekiwać, iż omawiany tu tom będzie jakimś nowym zbiorem szkiców poświęconych literaturze współczesnej. Tymczasem... nic z tego! Książka Boleckiego to rzeczywiście i n n a krytyka już z tej choćby racji, iż na blisko 180 zawartych w niej tekstów stosunkowo niewiele dotyczy tematów literackich czy nawet okołoliterackich, a jeszcze mniej tu uwag o książkach i pisarzach najnowszych, a jeśli takowe są, to składają się na całość tyleż niewyraźną, co – jak mi nie mam – zaskakującą. Mieszczą się w niej między innymi: *Jest* Dawida Bienkowskiego przedstawiana jako jedna z najwybitniejszych powieści lat dziewięćdziesiątych, Janusz Szpotański jako najwybitniejszy polski „satyryk” drugiej połowy XX wieku, Jan Walc jako jeden z najświetniejszych polskich pisarzy politycznych, *Tryptyk rzymski* Jana Pawła II jako głos w dyskusji z *Ofiarowaniem. Opowieścią biblijną* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, czy wreszcie *Bunt* Reymonta jako „pierwsza wersja” *Animal Farm* Orwella...

Ale takie – często intrygujące – rozpoznania stanowią, powtórzmy, pewien margines *Innej krytyki*. Co pozostaje? Prawdziwy l a s r z e c y! Uwagi na temat polityki i gospodarki mieszają się z tu z omówieniami filmów, opisami malarstwa, analizą fotografii (Sempolińskiego), zapisami z podróży po Norwegii, ale też na przykład refleksjami o inteligencji, pomnikach i... musztardówce. Na to nakłada się gatunkowa różnorodność *Innej krytyki*, zaiste imponująca, bo znajdziemy tu solidną analizę polityczną, mikroesej, felieton, recenzję, notatkę, glosę, relację, sprawozdanie, cytaty, „donos z rzeczywistości”, komentarz, dziennik, polemikę, portret, aforyzm etc., etc. Rzeczy lżejszego kalibru sąsiadują tu z tekstami jak najbardziej solidnymi, a ton serio (zob. poruszające zapiski po śmierci Jana Pawła II) raz po raz zderza się z ironią, autoironią, kpina, szyderstwem, a nawet igraszkami czystego dowcipu (na przykład w zabawnym szkicu o *Gombrowiczu w Sztokholmie*, czy swawolnymi uwagami o prasie literackiej pt. *Stojące, leżące*).

Z pewnością *Inna krytyka* – czytana jako całość – nie jest więc książką krytycznoliteracką. Czy jest w ogóle – jak chce autor – krytyką? Tak, jeśli uznać, iż zgodnie z etymologią tego słowa istotą (albo warunkiem) krytyki jest osąd, ocena, wartościowanie. Czego? Zważywszy na to, iż znakomita większość zgromadzonych w *Innej krytyce* tekstów powstała w początkowym (lata 1989-1993) i końcowym (2005) okresie III Rzeczypospolitej i o niej mniej lub bardziej wyraźnie mówi, ją właśnie można by uznać za główny przedmiot krytycznych dociekań, refleksji i trosk autora.

Można więc widzieć w *Innej krytyce* sylwę i czytać ją jako taką. Można po niej kapryśnie buszować, wybierając rozmaite smakowite kąski. Można – zważywszy na w zasadzie chronologiczne uporządkowanie zamieszczonych w niej tekstów – dostrzec w niej zapis przygód człowieka myślącego (w III RP). Można wreszcie – biorąc pod uwagę dominujący temat i postawę narratora tej książki – czytać ją jako r o z w a ż a n i a c z ł o w i e k a p o l i t y c z n e g o – o III RP i o współ-

czesnej kulturze. Ta ostatnia formuła wydaje mi się zresztą najbardziej precyzyjna i najlepiej odsłania oryginalność książki Boleckiego, która sytuuje się z tej perspektywy gdzieś obok prac współczesnych sobie krytycznych analityków III RP na przykład Krasnodębskiego, Śpiewaka, Legutkę, Michalskiego, czy Staniszkis, ale też która wpisuje się w znakomitą tradycję polskiej prozy politycznej, zaangażowanej w sprawy polskie, zainteresowanej polityką nie tyle w jej wymiarze bieżącym, taktycznym, ile w jej wymiarze strategicznym, gdzie stawką jest nie interes tej, czy innej partii, ale całej kultury narodowej i świadomości politycznej narodowej wspólnoty. To ten wymiar polityki, w którym – jak pisze obrazowo Bolecki – „społeczeństwa rozpoznają swą tożsamość i gwarancje swego istnienia” i który jest „tym, czym światło latarni morskiej dla statków walczących z morzem, ciemnością i niesprzyjającą pogodą”. Taka polityka często ma charakter maksymalistyczny i moralistyczny, zwykle polega na demaskowaniu intelektualnych stereotypów, skostnień, wmówień, czy *ready mades*, a tym samym jest wypowiedzianiem rozmaitych p r a w d n i e m i ł y c h narodowi i/lub kierującym nim elitom.

Mowa tu o nurcie dzisiaj jakby obumarłym w literaturze polskiej, a reprezentowanym między innymi przez pisarzy bliskich samemu Boleckiemu, że wymienię nie tylko najbardziej tu oczywistych Józefa Mackiewicza, ale też Aleksandra Wata czy nawet Witolda Gombrowicza i Wacława Berenta, wreszcie – gdy mowa o ostatnich jej ważnych przedstawicielach – Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Andrzeja Kijowskiego. Te nazwiska to także polityczni mistrzowie Boleckiego. Widać na przykład, że nie na darmo czytał Bolecki Mackiewicza, gdy utyskuje nad tchórzliwą postawą rządu Mazowieckiego wobec Bałtów i Niemiec, przestrzega przed brakiem rozliczenia się III RP z PRL-owską przeszłością albo oburza się na przejawy szowinizmu i ksenofobii. Nie przypadkiem też *Inna krytyka* dedykowana jest Janowi Walcowi, w czym należy widzieć wyraz hołdu dla autora *Wielkiej choroby*, ale też wskazanie na pewien bliski sobie styl politycznego myślenia o sprawach narodowych. Zdania, którymi opisuje Bolecki piarstwo Walca, chętnie więc włączylibyśmy do opisu postawy autora *Innej krytyki*, na przykład:

Nie doraźne wydarzenia były celem i namietnością jego piarstwa. Zajmowały go bowiem sprawy najpoważniejsze: państwo i prawo, ustroj i konstytucja, polityka i moralność, literatura i ideologia, historia i biografia [...]. Miał bowiem zdumiewający dar zauważania przypadkowych stwierdzeń czy faktów i traktowania ich jako ważnych znaków współczesnej mentalności. Traktował je zawsze z największą intelektualną pasją, a wówczas te na pozór mało znaczące wydarzenia stawały się punktem wyjścia dla znakomych mikroesejów o najważniejszych sprawach polskiego życia publicznego. (s. 286)

A jako dowód, że nie jesteśmy gołostowni, wymienilibyśmy zabawny szkic *Z dziejów musztardówki w Polsce* albo melancholijną przypowieść o *Propagandzie* czy świetne „żywoty równoległe” Ryszarda Matuszewskiego i Janusza Szpotańskiego.

Dodać też wypada, iż polityczność, tak jak ją zapewne rozumie, ale też praktykuje Bolecki, prowadzona jest z perspektywy po trosze outsidera, co sygnalizują już miejsca, z których obserwuje współczesność (emigracyjny „Puls”, „Kultura”

i „Tydzień Polski”, sporo też rzeczy niedrukowanych). To swoiste „pobocze” wskazuje na klerkowskie jakby oddalenie i rezerwę, które jest jednak nie tyle świadectwem dystansu wobec rzeczywistości, co raczej pragnienia, by na nią patrzeć *sine ira et studio*. Stąd kłopot tego, kto chciałby stosować wobec Boleckiego kryteria partyjne. Zapewne wielu, wskazując na przykład na pozytywny stosunek Boleckiego do dekomunizacji i lustracji, określić zechce autora *Innej krytyki* mianem człowieka prawicy, lekceważąc jego sympatie dla Adama Ciołkosza, o Herlingu-Grudzińskim nie mówiąc. Być może lepiej byłoby dostrzec w Boleckim konserwatystę, ale dość specyficznego, chciałoby się rzec „rewolucyjnego”, bo zarazem indywidualistę i obrońcę patriotyzmu lokalnego, wroga totalitaryzmu i centralizmu oraz demokratę, Europejczyka przypominającego, za Gadamerem, że cechą kultury europejskiej jest świadomość różnorodności i świadomość własnych korzeni, ale też wroga nacjonalizmu, wreszcie estetę marzącego o harmonijnym połączeniu nowoczesności z tradycją, czego poruszającym symbolem jest dlań przekształcona w restaurację, zapadająca się drewniana chatka w jakimś szwedzkim miasteczku. „W miejscu, w którym siedziałem – wspomina Bolecki w zamykającym tom pięknym eseju *Drewno* – mogłoby być kiedyś klepisko, spichlerz albo sąsiek. Teraz było w nim coś magicznego – niesamowite piękno i elegancja rzeczy najprostszych, czas zatrzymany w drewnie i w kształtach przedmiotów, metafizyka tego, co eksponując swą starość, stawiało opór przemijaniu”.

Ważnym rysem postawy autora *Innej krytyki* jest też, jak widać choćby z powyższych cytatów, to, co Karol Ludwik Koniński nazywał „wdzięcznością dziejową”, a na co składa się wierna pamięć o przeszłości (tu zwłaszcza o dziedzictwie „Solidarności” i emigracji), troska o zachowanie ciągłości tradycji i sprzeciw wobec historycznej amnezji oraz „imitacyjnej” postawy wobec Zachodu. Za Gombrowiczem też przypomina Bolecki, że europejskość to „swobodne bycie u siebie, życie własnym życiem, a nie marzeniem o naśladownictwie cudzych sukcesów”, to „być wolnym, to mieć swoje lokalne korzenie, to nie wypierać się swoich wad, klęsk i niedoskonałości, to nie dorównywać innym, którym i tak nie da się dorównać – to zatem mieć poczucie naturalnej odrębności, jak że i kot nie stanie się tygrysem, choćby nawet co noc mu się śniło, że kiedyś nim był”. Stąd też mocny sprzeciw autora *Innej krytyki* przeciw zapomnieniu o doświadczeniu komunizmu, który to sprzeciw między innymi tłumaczy niesłabnące – jak się wydaje – rozczarowanie pisarza III Rzeczypospolitej.

Temat komunizmu jest jednym z wiodących w *Innej krytyce* – Bolecki widzi w doświadczeniu komunizmu szansę polskiej kultury na wybiecie się na uniwersalność, ubolewa nad brakiem dyskusji na ten temat i przestrzega przed lekceważeniem PRL, bo – podkreśla – „komunizm był i jest sprawą poważną”. Równocześnie konsekwentnie i od początku pisze o potrzebie dekomunizacji niepodległej Polski, zwracając uwagę na to, co nazywa „komunizmem niewidzialnym”, tropiąc „zreformowaną peerelowską świadomość” w życiu umysłowym III RP, wchodząc w zdecydowany spór z tymi, którzy – jak Stanisław Lem czy Adam Michnik – relatywizują winy komunistów. Stosunek Boleckiego do III RP jest krytyczny, niesen-

tymentalny, więc przenikliwy. „Grzech pierwotny elit politycznych, które przejęły w 1989 roku w Polsce władzę – zauważał na przełomie 1992/93 – był dokładnym zaprzeczeniem tego, który zdarzył się naszym prarodnikom. Nie chciano gorzkiej wiedzy z Drzewa Wiadomości. Nie myślano ani o tym, jak sprawować władzę, czyli jak budować ustrój RP po upadku komunizmu, ani jak jej nie sprawować”. Od początku ubolewa na brakiem wyraźnej cezury między PRL a III RP: „Fatalne zatarcie granicy między winą a zasługą, karą a nagrodą, katem a ofiarą, przestępstwem a działalnością *pro publico bono* zatruty i nadal zatruwają atmosferę życia publicznego”. W 2005 pisze już o „duchowym przetrąceniu” jako efekcie t a k ż e ostatniego piętnastolecia i przestrzega przed „resowietyzacją” Europy Środkowej. Tego typu spostrzeżeń, nieraz bardzo gorzkich, czasem kasandrycznych, zwykle trafnych jest w *Innej krytyce* wiele. Niektóre wydają się dzisiaj może oczywiste, ale pamiętać warto, że w momencie ich pisania wcale takie oczywiste nie były i wymagały nie tylko wnikliwości, ale i odwagi. Wiele z nich ma chyba (i niestety) walor ponadczasowy, jak na przykład kapitalne uwagi o towarzyskim charakterze polityki polskiej, o grzechach pychy i hysterii polskich intelektualistów, czy o tym, co Bolecki określa mianem „polpatu”, a co jest „polską wersją platonizmu adaptowanego na użytek sporów politycznych”, charakteryzującą się u z n a w a n i e m „wszystkiego, co nam nie odpowiada, jako śmiertelnego zagrożenia «istoty» demokracji”. Jak się jednak wydaje, zasadniczy i powracający zarzut stawiany przez Boleckiego elitom budującym Polskę po 1989 roku dotyczy braku dwóch zasadniczych dlań cnót politycznych (i intelektualnych), a mianowicie – braku odwagi oraz braku wyobraźni. Odwaga, wyobraźnia to zresztą nie tylko słowa-klucze *Innej krytyki*, ale też główne jej postulaty.

Nie „sylwiczność”, nie „lekkość”, ale polityczność, o której tu piszę i którą staram się zrekonstruować decyduje więc o i n n o ś c i krytyki Boleckiego, co też nam odpowiada sam autor we wstępie do książki, widząc w niej – pół żartem, pół serio – odpowiedź na zadane mu kiedyś przez pewnego brytyjskiego profesora pytanie o istnienie w Polsce krytyki politycznej, przypominającej krytykę postkolonialną czy feministyczną. Przypominającej oczywiście do pewnego stopnia, bo na czym innym polega bycie krytykiem politycznym we współczesnej Polsce, między innymi dlatego, że inne są nasze kłopoty, o czym przypomina *Inna krytyka*, która w tym sensie jest dyskretną polemiką z rozmaitymi imitatorami zachodnich modeli krytyki zaangażowanej. Ale może i jest tak, że książka Boleckiego stanowi *votum separatum* wobec współczesnej polskiej krytyki literackiej, która jak ognia boi się posądzenia o polityczność i która być może dlatego jest tak często oskarżana o jałowość (*vide* najnowsze głosy Janusza Sławińskiego w „Europie” czy Antonia Libery w „Dzienniku”).

Czytelnik *Innej krytyki* zastanawiać się też może, czy książka ta odkrywa przed nim innego Boleckiego i jak sytuuje się w kontekście jego dorobku. We wspomnianym wstępie sam autor pisze, iż gromadzi w interesującym nas tomie szkice powstające n a m a r g i n e s a c h jego akademickich i teoretycznoliterackich

zatrudnień. Marginalia te jednak tylko w pierwszej chwili mogą zaskoczyć kogoś, kto zna inne książki Boleckiego. Nie myślę tu tylko o politycznych pasjach ujawnionych już przez Malewskiego, ale o jego konsekwentnych wyborach literackich, a szerzej – estetycznych. O tym na przykład, że „sztuka jest awangardą społecznego sumienia”, pisał Bolecki w 1977 roku i rozpoznaniu temu jest wierny do dzisiaj, tak jak wierny jest „poetyckiemu modelowi prozy”, który – to nie do końca żart – odcisnął swój ślad na brawurowej niekiedy stylistyce *Innej krytyki*.

Nie ma obaw – *Inna krytyka*, ten sam Bolecki.

**Maciej URBANOWSKI**

## Abstract

**Maciej URBANOWSKI,**  
**Jagiellonian University (Kraków)**

### **Bolecki of a different calibre**

Review of Włodzimierz Bolecki's book *Inna krytyka* ['A Different Criticism'] (Universitas publishers, Cracow, 2006)

The reviewer draws the reader's attention to the character of this new book by the illustrious literature historian and critic, proving so different from this author's previous releases. The diversity of concepts and subjects is emphasised, with special attention paid to Polish transformations of the recent two decades, as regards both social awareness and culture (literary and other), having been inspired by political events related to the political-system transition. Emphasis is also put on the book's colourful style, tinted with polemical passion, or even irony, at times – albeit always remaining full of wise reflection.

## Upragniony stan: autonomia

W polskim literaturoznawstwie trwa od pewnego czasu intrygujące ożywienie. Oto kanoniczna opowieść definiująca m.in. „Młodą Polską”, „modernizm”, „awangardę” zostaje poddana reinterpretacjom, przewartościowaniom i dekonstrukcjom. Opasła książka Joanny Orskiej<sup>1</sup>, badaczki znanej dotąd przede wszystkim z jej cennej działalności krytycznej i recenzenckiej, świadczy najprawdopodobniej o tym, że „odkrywanie modernizmu”, nieznanego u nas modernizmu, to proces nieodwracalny. Ów debiut książkowy, efekt sumiennej lektury i odważnej refleksji, to praca, której przemyślenie przynosi wiele poznawczych korzyści – dlatego też postanowiłem zanotować na jej marginesach kilka uwag, które, rzecz jasna, nie są w stanie zadośćuczynić wszystkim walorom tej niezwykle rozbudowanej propozycji.

Część pierwsza, *Problemy z pojęciem modernizmu*, zaczyna się od przypomnienia sformułowań, które dość stanowczo odróżniają modernę od postmoderny. Krytycznie analizując przede wszystkim myśl Zygmunta Baumana i Douwe’a Fokkema, autorka powątpiewa w słuszność takiego odgraniczania. Dlatego też pyta retorycznie: „Może więc modernizm w ogóle nie tworzy całościowego projektu sztuki?” i sugeruje, że „postmodernizm jedynie odzwierciedla ten «dziedziczny» stan niejasności modernizmu” i w związku z tym raczej zdaje się być „odbiciem słabości samej moderny” (s. 37). Myśl to bynajmniej nienowa, ale przy tej okazji badaczka wnikliwie analizuje punkty sporne obecne w dyskursach wspomnianych wyżej humanistów. Ten sceptyczny gest jest szczególnie cenny dla analizy teorii autora *Życia na przemiał*, który bardzo barwnie opisuje różnice zachodzące między nowo-

---

<sup>1</sup>/ J. Orska *Przełom awangardowy w dwudziestowiecznym modernizmie w Polsce*, Universitas, Kraków 2004.

czesnością a ponowoczesnością, między naiwną przeszłością a dojrzałą terażniejszością. Autorka zauważa na przykład kontrowersyjne dowartościowywanie drugiego nurtu kosztem pierwszego i podejrzane „«oczyszczenie pola badań», by móc tym jaśniej uprawomocnić przyjęte przez siebie koncepcje” (s. 44).

Również jestem przekonany, że warto spierać się z niezwykle pociągającą retoryką Baumana, ale jej charakterystyka dokonana przez Orską nie satysfakcjonuje do końca. Wszakże wielki socjolog wcale tak jednoznacznie nie komentuje obu formacji, mało tego – wyczuwalna jest w jego pismach nieustająca tęsknota za opisaną przez siebie moderną. Poza tym hiperboliczne deskrypcje profesora z Leeds chyba trafnie uprzytamniają, że intencje modernizmu i postmodernizmu bywają niekiedy odmienne. Może zatem nie warto całkowicie zacierać nieoczywistych w końcu granic, mimo że w ten sposób powołujemy do życia „nierozwiązywalne sprzeczności?”

Wrocławska literaturoznawczyni pisze w pewnym momencie: „Według Welscha więc, coś jest i jednocześnie nie jest modernizmem”. Trudno oprzeć się wrażeniu, że to słuszne stwierdzenie. Wszakże biblioteka związana z interesującymi autorkę zagadnieniami to istna Wieża Babel, nieustannie budowana przez dość zdezorientowanych badaczy, którzy boją się definitywnie spuentować własne rozważania. Orska podkreśla ów galimatias pojęciowy, ale próbuje jednak wyciągnąć zeń „konstruktywne” koncepty. Do najważniejszych należy zapewne pomysł na wyjaśnienie „stosunku pojęć modernizmu i awangardy”. Oto na marginesie książek zachodnich badaczy zauważa: „Rezygnuje się tu natomiast ze zdecydowanego odróżniania zjawisk uważanych za awangardowe i modernistyczne, traktując je jako równorzędne, choć często sprzeczne wyrazy tej samej formacji” (s. 59), a potem oznajmia:

Pragnę w tym miejscu postawić tezę, opartą na przekonaniach płynących z twierdzeń Astradury Eysteinssona, że awangarda od modernizmu oddzielić się nie da. Co więcej, spróbuję udowodnić, że awangarda jest najdalej posuniętą modernizmu konsekwencją; swoistą jego „chorobową” radykalizacją. (s. 72)

Awangarda więc traci swoje historyczne znaczenie, staje się raczej nazwą określającą te momenty w historii modernizmu, w którym do głosu dochodzi intensywne pragnienie eksperymentowania, skrajnych poczynań artystycznych. Kiedy narasta potrzeba buntu wobec tradycji i autorytetów, który rozpocząłby nową opowieść.

Owo przesunięcie semantyczne z pewnością odświeży na pewien czas rodzimą historię literatury. Tego rodzaju propozycje porządkowania są – mam wrażenie – potrzebne szczególnie dzisiaj, gdy zainteresowanie literackimi rewolucjonistami wzrasta. Kiedy jednak Orska tak odważnie krytykuje „kawałkowanie” procesu historycznoliterackiego na drobne epizody jako przejaw utopijnego myślenia, wówczas rodzi się podejrzenie, czy aby ona sama nie ulega jakiejś poznawczej fikcji. Bo czyż – zapytam – długotrwałe formacje nie przypominają nam „wielkich narracji”? Czyż one również nie są „machinami”, które produkują błędne odczytania pewnych dzieł? Chciałbym nieśmiało zwrócić uwagę, że ujednolicanie także zapozna nie tylko istotne różnice. Dla przykładu przywołajmy takich poetów, jak

Tadeusz Peiper, który zadebiutował na początku XX wieku i Tadeusz Pióro, który pierwszy tomik wydał na końcu tegoż stulecia. Umieszczenie ich książek na tej samej półce, nieważne teraz, czy na awangardowej, czy modernistycznej, czy na jeszcze innej, zamaże przecież – jak myślę – odmienne intencje obu autorów. Naturalnie, nie zamierzam negować wartości nowego sposobu wykreślania epok literackich, podszeptuję jedynie – w stylu Rorty’ego – wątpliwości, jakie odczuwam w stosunku do kolejnych badawczych metafor. Z tej zdystansowanej perspektywy chciałbym też pochwalić *Zakończenie*, które oryginalnie odtwarza dzieje „awangard” pojawiających się po 1989 roku, ale i zarazem zapytać, czy tego rodzaju działalność „onomastyczna” nie zamazuje nadmiernie różnic, w które jednak wielu z nas ciągle wierzy.

W drugiej części książki, poświęconej „paradoksom modernizmu”, naukowy dyskurs Orskiej, ze względu na swoją „filologiczność” przypominający niemiecki czołg, rozpędza się na dobre. Ta militarna nieco poetyka jest chyba dość trafna. Czytelnik bowiem w pewnym momencie uprzytamnia sobie, że młoda badaczka w gruncie rzeczy ma jeden podstawowy cel: zdekonstruować pojęcie autonomii. Wyszukać, ogłosić i przeanalizować wszelkie aporie, czyli jej ulubione, jak się zdaje, zjawiska. Ujawnić, że „autonomia stanowi dla modernizmu nigdy nieosiągalny, upagniony stan”; że „Pozostaje postulatem ideologicznym, wyrażonym [...] jako konieczność zniesienia sprzeczności i odnalezienia odrębności” (s. 288-289). Dodajmy: zdekonstruować efektownie i efektywnie. Raz na zawsze. Przed oczyma tegoż czytelnika przemaszerowuje mnóstwo ważnych postaci europejskiej humanistyki. Między innymi: Kant, Hegel, Baudelaire, Adorno, Horkheimer, Apollinaire, Eliot, Ortega y Gasset, Foucault, Burger, Habermas, Jauss. Przypominane są ich poglądy na atakowany temat. Zrekonstruowana zostaje historia czy historie autonomii. Dodatkowo Orska zabezpiecza swoją strzelecką pozycję rozległymi przypisami, skąd nadchodzą nieodzowne posiłki. Nadmienić trzeba jeszcze, że jej literaturoznawcze boje jest inspirowane przede wszystkim twórczością Astradury Eysteinssona, islandzkiego badacza, na którego bez przerwy się powołuje, znacząco nobilitując tym sposobem własną opowieść.

Do pewnego momentu te manewry są imponujące. Przynoszą wszakże rzetelny opis tytułowych paradoksów, jakie wpisane są w modernistyczną ideologię.

Samo więc modernistyczne dzieło – czytamy – jest bytem paradoksalnym: pragnie być autonomiczne, określając się negatywnie względem komunikacyjnej heteronomii. Jednak komunikacyjna heteronomia to konieczny punkt odniesienia dla autonomicznego języka, a ten, ze swojej strony, próbując ją przekształcić, dąży *de facto* do ponownego z nią zjednoczenia – do osiągnięcia statusu normy. Podążając tropem Habermasa, można by to zjawisko określić jako dążenie do „samopotwierdzenia” się autonomii poprzez odnalezienie własnych korzeni w przynależnych krytykowanej heteronomii, ustalonych przez tradycję kategoriach komunikacyjnych. (s. 173)

To kluczowe dla tej książki ustalenia, które na prawach refrenu wybrzmiewają raz po raz na kolejnych stronicach. Dostrzegam w tym wymownym fakcie pragnienie polemiki z bardzo modnymi dziś w Polsce, szczególnie w kręgach młodych

– jak to ironicznie niedawno ujęła Agata Bielik-Robson – wilczków awangardy, ideami nic niekomunikującego języka, nieobecności w dziele podmiotu, beztroskiej autoteliczności, nieodsyłających nigdzie tropów etc. Orska z punktu widzenia historyka literatury „zewnętrzny”, dość niechętny immanentnym sposobom badania tekstów, z całą mocą podkreśla utopijność, fikcyjność, życzeniowość tego rodzaju conceptów, przynajmniej jednak, niezwykle pociągających. Według niej autonomiczność dzieła nie istnieje, jego czystość, niezależność to tylko mit. Sztuka nie może egzystować poza zasadą *praxis*, mimo że często takie marzenia artykułuje. Sztuka jest po prostu skazana na odsyłanie do zewnątrz, na reprezentowanie własnych uwikłań. Owszem, może okazać się społecznie niefunkcjonalna, ale przecież taki los nie będzie rozgrywał się „na płaszczyźnie samego dzieła”, ale na płaszczyźnie „recepty, «zewnętrznej» normy odbioru, w obrębie której utworzy się nowa tradycja oczekiwań wobec dzieła sztuki, powiązana z jego historyczną ewolucją” (s. 219). Toteż autorka rozprawy niezwykle często podkreśla „ideologiczne uwarunkowanie autonomii” (s. 134), historyczność tego pojęcia. Co więcej, wskazuje na jeszcze jedno zjawisko: oto sztuka tak bardzo chce być suwerenna, tak bardzo chce być w swej estetyczności niepodległa, że przestaje być sztuką. W pewnym momencie, na przykład dadaistycznym, „już nie przedstawia życia, sztuka jest życiem, a dzieło sztuki w dosłowny sposób przedmiotem” (s. 220). Przekroczenie granic okazuje się jednak pozorne, bo „próba zniesienia idei sztuki jako dziedziny autonomicznej alienuje powtórnie krańcową jego subiektywizację, «uprywatnienie», które w końcu zaś prowadzi do skrajnej niezrozumiałości – hermetyczności właściwej sztuce autonomicznej” (s. 220).

Mora! Mimo że autonomia jest niemożliwa, nie uciekniesz przed nią, artysto. Na tym chyba polega zapowiadana w tytule paradoksalność. Dziwić może tylko – dodam z lekką zaczepnie – że Orska, epatując swoim imponującym odczytaniem, nie kwapi się przyznać, że w rodzimej refleksji takie puenty pojawiają się wcale często. Wystarczy przypomnieć sobie teksty marginalizowanego przez literaturoznawców Andrzeja Sosnowskiego, który z ironiczną kompetencją umie odnaleźć się w pojęciowym galimatiasie, wypowiadając nieoczywiste, ale jednak bardzo mądre uwagi; szkoda, że niedoceniane.

Trzecia, ostatnia, część rozprawy, wkracza na „krajowe” tereny. Inicjująca partia, zatytułowana *Modernizm i modernistyczna świadomość w polskim literaturoznawstwie*, jest niezwykle ciekawa. Stanowi bowiem coś w rodzaju polemicznego komentarza do dorobku tytułowej „instytucji”. I tutaj pojęcie autonomii okazuje się siłą napędzającą analizowany dyskurs. W dużej mierze jest to rozprawa ze strukturalizmem, którego strategia badawcza wykazuje – jak twierdzi „oskarżycielsko” wrocławska krytyczka

cechy typowe dla modernistycznej historiozofii, z jej prerogatywą autonomii, roszczeniami do ahistoryczności i naukowej obiektywności, przy okazji omijającej temat tzw. zadań literatury jako problemu dla badań (może poza badaniami krytyki), przy której to okazji jej język doznaje ostatecznie wyabstrahowania z innych dziedzin społecznej praktyki. (s. 232)

Ślady modernistycznych „występków” są pieczołowicie tropione także w pismach Irzykowskiego i Brzozowskiego. Ten pierwszy, sytuujący się pomiędzy ideą „sztuki dla sztuki”, a „sztuką dla społeczeństwa”, do której mu jednak bliżej, nie potrafi konsekwentnie dążyć do „upraktycznienia” literatury. Natomiast autor *Legendy Młodej Polskiej*, apologeta owego upraktycznienia, „im bardziej próbuje [...] zlikwidować granicę między sztuką a życiem, tym bardziej ta granica staje się widoczna” (s. 272). Co prawda, Orska przyznaje, że obaj badacze dokonują „pozytywnego przekroczenia sprzeczności”, ale natychmiast dopowiada: „Podobne przekroczenie jest możliwe tylko na płaszczyźnie ideologii, a motywowane pragnieniem zaprojektowania intelektualnej jedności rozdartego, wyobcowanego podmiotu i świata” (s. 274). Na swój krytyczny warsztat „wrzuca” też Ryszarda Nycza *Źęzyk modernizmu*. Przyznając mu ochoczo tytuł pioniera w badaniach nad nowoczesnością, wysuwa równocześnie zarzut, że

Nyczowski projekt funkcjonowania naszej korelacji pozostaje *de facto* w dużej mierze jednostronny; łączy się także ze sprowadzeniem dziedziny społecznych uwarunkowań literatury, którą usiłuje się tu przecież ożywić i konstruktywnie wykorzystać po raz kolejny, tyle że na inny sposób, do nie sfunkcjonalizowanej, osobnej płaszczyzny pewnego, arbitralnie wyłonionego, określonego zespołu „warunków początkowych”, wobec których sfera literackości daje się przedstawić jako wyłączona, niezależna sieć interakcji. (s. 288)

Nie sposób nie podziękować za tak wnikliwie i inspirujące przypomnienie historii polskiego literaturoznawstwa. Perspektywa socjo-semiotyczna, z której obserwuje autorka ową historię – świetnie uprzytamnia przygodność i niedoskonałość przytoczonych stanowisk. Znakomicie obala mity związane ze słynną i modną dzisiaj autonomią. Wybornie obnaża życzeniowy charakter ich teoretycznych tez. Jednakowoż jedna rzecz mnie zastanawia. Otóż kiedy Orska za Wyką podkreśla, że rodzime badania literackie zawsze były bardziej skupione na „elemencie ideologicznym” niż „estetycznym”, przyznaje przecież, że tym samym nigdy nie były immanentne. Że zawsze były nastawione na najrozmaitsze zewnątrz. Mało tego, przecież polski strukturalizm jest dumny z faktu, że nie zradykalizował się tak bardzo, jak zachodni. Wydaje mi się, że sytuacja wygląda inaczej, niż chce tego znawczyni polskiej poezji – w Polsce retoryczność literatury, jej autoteliczność, niepodległość, nieprzezroczystość były raczej zaniedbywane niż nadmiernie eksplorowane. Dlatego teraz, w dobie coraz agresywniejszych socjologicznych strategii interpretacyjnych, powinniśmy się cieszyć – mityczną co prawdą, ale co z tego? – autonomicznością sztuki. Dlatego chciałbym, niespodziewanie dla samego siebie, tym mocniej przypomnieć zasługi takich uczonych, jak Janusz Sławiński, który uczył całe rzesze młodych polonistów, że poezja „zawiera w sobie moment igraszki, zabawy i żonglerskiej sztuczki”. Warto przypomnieć z tej okazji pomocną frazę Sosnowskiego: „Dziwi trochę to, że tak bardzo lubi się widzieć pisanie w ryzach jakichś poprzedzających je zobowiązań, a nie w warunkach zupełnej wolności”.

Finalna część książki, zatytułowana *Awangardowe tradycje dla polskiej poezji*, jest kontynuacją krytycznego opisu dyskursów „proautonomicznych”. Nie można się

wobec tego oprzeć myśli, iż Orska pisze bezustannie o tym samym, tyle że co jakiś czas zmienia „materiał dowodowy”. To chyba znacząca słabość książki, dość irytująca, która sprawia, że autorka, niezwykle ufna w możliwość uchwycenia przez siebie „wszystkich sensów” zawartych w utworach, bardzo instrumentalnie i nazbyt apodyktycznie (jak na kogoś, kto dystansuje się od ducha modernistycznego) interpretuje teksty Tadeusza Peipera i Juliana Przybosia. Trzeba jednak pospieszyć z informacją, że padają tu ciekawe propozycje egzegetyczne inspirowane w dużej mierze myślą zachodnich badaczy, takich jak kultowa w pewnych kręgach Marjorie Perloff. Oto autor *Równania serca* staje się przedstawicielem polskiego wysokiego modernizmu. Miano awangardzisty zostaje mu odebrane, ponieważ w jego poezji

podtrzymywane są jeszcze pewne, typowo modernistyczne, czy nawet powiązane z romantycznym paradygmatem, „ośrodki spójności” tekstu – jakie zapewniają przekładalność postulatów zawartych w manifeście na tkanę poezji i zapewniają połączenie pomiędzy sferą powszechnej świadomości literackiej a alternatywą poetyckiej wypowiedzi. (s. 353)

W tym oświeceniu związku między Przybosiem a autorem *Tędy* rozluźniają się raptownie. Peiper wszakże to jednak awangardzista zawołany – w jego twórczości dochodzi bowiem „do podważenia wszystkich tradycyjnych ośrodków spójności” (s. 398). Ów fakt zwraca „całą uwagę odbiorcy [...] na autotelicznych, estetycznych funkcjach wiersza” (s. 389). Na pierwszy rzut oka zatem – sugeruje Orska – młodszy poeta dąży do przekroczenia autonomiczności, a starszy do okopania się w niej. Jednakowoż w ostatecznym rozrachunku „założenia poezji Peiperowskiej pozostają w gruncie rzeczy podobne jak u Przybosia” (s. 455). Dlaczego? Ponieważ ani wyjść poza autonomię, ani pozostać w jej obrębie niepodobna. Można jedynie „ciągle na nowo dokonywać krytyki *praxis* poprzez kwestionowanie norm komunikacyjnych i niesionych przez nie wartości” (s. 453). Obaj poeci taki właśnie mieli cel, różnicy należałoby raczej upatrywać w stopniu „odejścia od tradycji i zredukowaniu tradycyjnych ośrodków spójności w tekstach” (s. 454). No i w tym, że Peiper posunął się „w swojej radykalności o krok za daleko” (s. 455). To ważne i cenne spostrzeżenia, apeluję jednak, aby w porażkę i artystyczną degenerację namiętnego „papieża” nie wierzyć. W obszarze sztuki takie wyroki są jednak naiwne i po prostu czynione na wyrost. Puenta książki brzmi zaskakująco melancholijnie: „uczynienie właśnie z języka głównego bohatera wiersza, drażnienie wyłącznie jego autoreferencjalnych możliwości, musiało po jakimś czasie zrobić ze świątyni sztuki targowisko. [...] Z postaci modernistycznego artysty-kapłana uczyniono zaś śmieszna, staroświecką figurę retoryczną” (s. 456).

To zacytowawszy, zapytać tylko pragnę: czyżby?

Michał LAREK

## Abstract

Michał LAREK,  
Adam Mickiewicz University (Poznań)

### Autonomy: a longed-for condition

Review of Joanna Orska's book *Przełom awangardowy w dwudziestowiecznym modernizmie w Polsce* ['The Avant-garde Breakthrough in Polish Twentieth-Century Modernism'], Cracow, 2004.

Joanna Orska's debut-making book has resulted from a conscientious reading and daring afterthought over the issue of how such categories as the 'Young Poland', 'modernism', 'avant-garde' are reinterpreted, revaluated and/or deconstructed in our contemporary time. The reviewer quotes some of the book author's theses, making his own comments upon them.



**Paweł DYBEL**

Histeria – „inny język” kobiecości?

Powstanie Freudowskiej psychoanalizy w przedziwny sposób splata się z historią szerzącej się na przełomie XIX i XX wieku choroby psychicznej, na którą w tym czasie zapadały przede wszystkim kobiety. Nieprzypadkowo pacjentami leczonymi przez Freuda w tym okresie były histeryczki. To ich przypadki stanowiły dla niego główne źródło inspiracji w pracy nad założeniami własnej metody terapii. Jedną z takich pacjentek-histeryczek była Irma, czyli Emma Eckstein, którą Freud analizował we wczesnym okresie swojej terapeutycznej praktyki. Nieprzeciętna inteligencja i uroda tej kobiety, a zarazem krnąbrność wyrażająca się w niechęci do bezzwłódnego podporządkowywania się zaleceniom lekarza, jak też późniejsze dramatyczne okoliczności towarzyszące jej kuracji, wszystko to sprawiło zapewne, że jej postać zapadła autorowi *Objaśniania marzeń sennych* głęboko w pamięć. Do tego stopnia, że stała się ona główną bohaterką jednego z jego najbardziej zagadkowych przytoczonych w tej książce marzeń sennych, w którym tłumiona na co dzień erotyczna fascynacja osobą pacjentki spłótła się w przedziwny sposób z projekcją na jej ciało własnych kompleksów i uprzedzeń.

W tym marzeniu sennym dochodzi zarazem do głosu głęboki dramat Freuda, który wnikając w najbardziej intymne – i bolesne zarazem – zakamarki życia duchowego pacjentki staje się siłą rzeczy odpowiedzialny za wynik jej terapii. Jest to więc również sen o dramacie odpowiedzialności analityka wobec Innego, sen, w którym śniący wiedziony głębokim nieuświadomianym narcyzmem stara się obarczyć winą za własne niepowodzenia w terapii samą pacjentkę i kolegów-lekarzy. Na ten dramat nakładają się różne „skojarzenia” śniącego związane z zagadkową „naturą” samej kobiecości pacjentki. Rozpoznana w tym kontekście krnąbrność Irmy, nieakceptującej proponowanego jej przez analityka „rozwiązania”, pozostaje

je w ścisłym związku z jej histerią, chorobą niezrozumiałą z punktu widzenia racjonalności zachowań potocznych. Obie te cechy, krnąbrność i histeria, zdają się ponadto wypływać w swej zagadkowości z samej natury kobiecości i są jako takie praktycznie nieuleczalne.

Przekonanie, że w histerii jest coś głęboko tajemniczego i irracjonalnego, pozostającego w ścisłym związku z kobiecością, dochodzi wyrażnie do głosu już w pierwszych świadectwach kulturowych, jakimi dysponuje tradycja europejskiej myśli medycznej. Histeria jest traktowana w nich jako choroba, na którą zapadają przede wszystkim kobiety i której źródło wiąże się z anatomią kobiecego ciała. Zrazu więc upatruje się w niej przypadłość „wędrującej macicy” (czasy antyczne), później zaś tłumaczy się ją szczególną zażyłością (niektórych) kobiet z tym, co demoniczne (od średniowiecza po czasy nowożytne), przejawiającą się w upodobaniu do bycia penetrowanymi przez samego Diabła.

Pogląd ten powracał jednak również często, w bardziej lub mniej zawołowany sposób, w XIX-wiecznej, scjentystycznie zorientowanej tradycji medycyny i psychiatrii, która upatrywała źródeł histerii w czynnikach fizjologicznych, abstrahuje od kategorii płci. Ale swoją wyrazistą formułę znalazł dopiero w teorii Freuda, który powiązał histerię z kwestią „różnicy seksualnej”, czyli z odmiennym sposobem, w jaki kształtuje się kobieca i męska tożsamość seksualna. Według autora *Wstępu do psychoanalizy* w procesie kształtowania się tej tożsamości decydujące znaczenie posiadają pojawiające się już w pierwszych miesiącach życia dziecka nieświadome fantazje seksualne, związane z postrzeganymi przez nie różnicami w anatomii ludzkiego ciała.

Zestawione z Freudowską koncepcją histerii jej antyczne i średniowieczne teorie, których autorzy wiązali ją z tak czy inaczej rozumianą naturą kobiecości, jawią się niewątpliwie jako naiwne, ale też zarazem nie tak bardzo od niej odległe. Mają one status zbliżony do tego, jaki w myśli psychoanalitycznej Freuda posiadają teorie dziecięce na temat seksualności. Podobnie jak i te ostatnie są one próbą usensownienia, za pomocą różnego rodzaju wyobrażeń, tego, co w ludzkich zachowaniach jawi się jako niezrozumiałe i zarazem budzące lęki. Teorie te można nazwać rodzajem mitologii, które żyjący w tamtych czasach ludzie tworzyli na temat dziwnych zachowań kobiet, „porządkując” w ten sposób własny obraz świata.

W starożytnym Egipcie i Grecji taką mitologią były próby objaśniania zagadkowych i niepokojących objawów histerii poprzez wspomniane już nazwanie ją chorobą „wędrującej macicy”. Tłumaczenie to opierało się na wyobrażeniu, że organ ów jest ruchomy i zdolny do przemieszczania się w górne części kobiecego ciała. Dlatego też, lecząc tę chorobę, „starano się sprowadzić ten dziwny twór z powrotem w dół za pomocą przyjemnych zapachów przykładanych w okolice krocza, spychając go równocześnie od góry podawaniem do wdychania niemiłych woni” (Trillat, 1993, 9).

Zastanawiające w tej mitologii jest to, co w teorii psychoanalitycznej Freuda znajdzie jedynie swój zmodyfikowany wyraz: zidentyfikowanie źródeł histerii w narządzie ludzkiego ciała, który – rozpatrywany zarówno od strony anatomicznej,

jak i wyobrazeniowej – jest powszechnie uznawany za synonim tego, co kobiece. Nie bez znaczenia jest również fakt natury historycznej: kojarzenie w tym okresie histerii ze „sprawą kobiet”, to znaczy z wiedzą, jaką położne gromadziły o sztuce wydania na świat dziecka, o tajemnicach położu oraz o kobiecej płci jako takiej. Wynikałoby stąd, że histerię w przedziwny sposób wiązano w ramach tej tradycji z porodem, czyli z rolą, jaką pełni kobieta – i to zarówno w aspekcie duchowym, jak i cielesnym – w procesie narodzin człowieka. Wart podkreślenia jest również fakt, że twórcami tego typu teorii były same kobiety, podczas gdy pierwsze, poczynione ręką mężczyzn pisemne zapisy tych opinii, które znajdujemy w pracach Hipokratesa i Platona, stanowiły jedynie ich powtórzenie. Wynikałoby stąd, że teorie te nie były wynikiem projekcji męskich „patriarchalnych” wyobrażeń na kobiety i ich odrębny świat, ale zostały przejęte ze znacznie starszej tradycji medycznej, którą w sposób istotny współkształtowały same kobiety.

Więcej światła na przyjmowany przez starożytnych związek między histerią i anatomią kobiecego ciała rzuca sposób, w jaki wyobrażano sobie samą macicę. Upatrywano w niej „organizm żyjący na podobieństwo zwierzęcia, zdolny do pewnej samodzielności i obdarzony zdolnością do przemieszczeń” (Trillat 1993, 9). Mitologia histerii miała zatem swoje źródło w mitologii samej macicy. Tylko bowiem jako samodzielne i ruchliwe zwierzątko macica mogła w określonych okolicznościach podchodzić do góry, pod samo gardło kobiety, powodując duszności towarzyszące atakom histerii.

Macica jest synonimem tego, co kobiece, w dwojakim sensie. Z jednej strony symbolizuje ona kobiecość jako całość, z drugiej stanowi odrębną część kobiecego ciała, nad którą kobieta nie jest w stanie zapanować. Figura ta ma w sobie coś z metonimii i synekdochy zarazem. Macica jest kobietą, ale też i nią nie jest. Kobieta jest czymś więcej niż macica, która jest jej częścią, ale bez niej nie byłaby kobietą. W założeniu mamy zatem obraz kobiety jako istoty wewnętrznie rozdwojonej czy sprzecznej, której jej własna natura wymyka się spod kontroli. Kobieta stanowi zagadkę dla samej siebie, jej ciało bowiem zamieszkuje owo tajemnicze „coś”, jakiś dziwny organ-zwierzątko, który jest niby w najwyższym stopniu nią samą, ale też zarazem czymś od niej różnym, w określonych okolicznościach może się ono w jej ciele swobodnie przemieszczać, zyskując nad nią całkowitą władzę.

Świat antyczny starał się również wskazać na nieorganiczne przyczyny owej dolegliwości. Hipokrates na przykład stwierdzał, że „taka przypadłość występuje zwłaszcza u kobiet, które nie utrzymują stosunków płciowych lub są w dojrzalym wieku niż u młodych dziewcząt; ich macica jest w istocie lżejsza” (Hipokrates 1839-1881, 15). Jeśli twierdzenie o „lekkości” macicy u kobiet starszych oraz dalsze spekulacje Hipokratesa na temat przyczyn tej lekkości (nie cytuję ich tutaj) można zaliczyć do antycznej mitologii „wędrującej” macicy, to hipoteza, że związane z tym dolegliwości mają jakiś związek z zakłóceniami życia seksualnego jest w najwyższym stopniu godna uwagi. Upłynie bowiem z górą dwa tysiące lat, zanim to przypuszczenie zostanie wypowiedziane wprost przez współau-

tora *Studien über Hysterie*, z jedną wszakże zasadniczą modyfikacją: według niego bowiem nie kobiety starsze, ale młode panny i mężatki mają przede wszystkim skłonność do tej choroby.

Jednak w tym kontekście na szczególną uwagę zasługuje również cała późnośredniowieczna i renesansowa literatura na temat histerii. Występowanie tej choroby wiązano wówczas z obecnością diabła w ciele dotkniętych tą chorobą kobiet. Czymże bowiem innym jest ów diabeł, jak nie nowym fantazmatycznym wcieleciem „wędrującej macicy”, która przybrała teraz postać demoniczną – źródła różnych lubieżnych myśli? Tyle że wraz z tą nową mitologią zmienia się zasadniczo metoda leczenia. Kurację zapachową zastępują egzorcyzmy. Wędrująca macica przeobraziła się wszakże w siedlisko Szatana, którego należy wygnać z ciała kobiety.

Znowu rozpoznajemy figurę metonimii i synekdochy. Kobieta jest niby czymś innym niż Diabeł, który ją zamieszkał, ale przecież ma do niego szczególne upodobanie. Nic więc dziwnego, że w niektóre przedstawicielki tej szczególnie słabej płci Szatan wchodzi tak głęboko i silnie, że nie sposób go od nich oddzielić. Jeśli więc pali się histeryczki, to istnieją po temu głębokie i słuszne racje.

### Histeria – inny język kobiecości?

Dopiero w czasach nowożytnych i współczesnych podjęte zostają pierwsze próby uwolnienia wyobrażeń na temat histerii od demona seksualności i płci. Dokonuje się to w imię idei naukowego obiektywizmu, a ten każe stwierdzić, że po pierwsze, na histerię zapadają również mężczyźni, po drugie, że choroba ta ma zasadniczo somatyczne podłoże związane z funkcjonowaniem ludzkiego ciała jako całości, a nie tylko jakiejś jego części. I właśnie to podłoże należałoby przede wszystkim zbadać.

Ale również i w ramach tej tradycji nigdy nie następuje całkowite uwolnienie od poglądu, że histeria jest chorobą kobiecą i pozostaje w ścisłym związku z seksualnością. Nawet Charcot, jeden z najbardziej żarliwych zwolenników „obiektywnego” naukowego podejścia do histerii, nie pozbędzie się dwuznaczności w ocenie jej przejawów i źródeł. Z jednej strony więc stwierdza, że: „Jeśli o mnie chodzi, daleki jestem od sądenia, że lubieżność zawsze towarzyszy histerii: jestem nawet przeświadczony, iż jest przeciwnie. Nie jestem też wyłącznym zwolennikiem teorii, która umieszcza źródło całej choroby histerycznej w narządach płciowych ...” (cyt. za: Trillat 1993, 117), z drugiej strony jednak od razu dodaje: „niemniej uważam, iż dowiedziono w sposób przekonywający, że w pewnej specyficznej odmianie histerii – którą nazwę jajnikową – jajnik odgrywa istotną rolę” (cyt. za: Trillat 1993, 117).

A zatem nie macica, ale (niekiedy)... jajnik. Nie lubieżność, ale... co właściwie? Na to pytanie już jednak nie znajdujemy jednoznacznej odpowiedzi. Jakkolwiek bowiem Charcot w swoich pracach poświęconych histerii starał się za wszelką cenę wykazać jej czysto somatyczne uwarunkowania (choć zarazem świadom był całej emocjonalnej strony jej objawów), to w wąskim kręgu przyjaciół lekarzy i uczniów wypowiadał zgola inne, sprzeczne wręcz z oficjalnie głoszonymi

poglądy. Świadczy o tym chociażby relacja Freuda z pewnej rozmowy odbytej z Mistrzem w trakcie przyjęcia na jego zamku. Ten ostatni, opowiadając przypadek jednej ze swych pacjentek, która miała męża impotentą, miał stwierdzić: „W podobnych przypadkach jest to zawsze sprawa genitaliów, zawsze... zawsze” (Freud, G.W. XIV 1971, 78).

Prawdziwy przełom w podejściu do histerii przynoszą dopiero prace Freuda. Przełom ten nie polega jednak na tym, że zgodnie ze scjencyficznym nastawieniem współczesnej mu psychiatrii poszukuje przyczyn tej choroby w procesach somatycznych bądź psychicznych, które możliwe są do zaobserwowania zarówno u kobiet, jak i u mężczyzn. Wręcz przeciwnie. Koncepcja histerii stanowi nawiązanie do antycznych i średniowiecznych poglądów i powiela przekonanie, że jest to przede wszystkim choroba kobiet. Zupełnie inaczej jednak rozpoznał źródła tej choroby i zinterpretował jej symptomy.

Freud wiąże histerię przede wszystkim ze sposobem, w jaki, według niego, kształtuje się kobieca tożsamość seksualna. Wprawdzie nie wszystkie kobiety są histeryczkami, zdarzają się również przypadki histerii wśród mężczyzn, niemniej jednak już sam sposób, w jaki kobiety identyfikują siebie jako kobiety właśnie, sprawia, że są szczególnie na histerię podatne. U podstaw tej identyfikacji tkwi nieświadoma fantazja własnej kastracji i związane z nią poczucie mniejszej wartości w porównaniu z mężczyzną, poczucie, które kobieta może sobie zrekompenzować jedynie zastępczo: albo urodzeniem dziecka, w jej oczach substytutu penisa, albo negacją własnej kobiecości i kształtowaniem swojej tożsamości na wzór męski. W tym kontekście histeria jawi się również jako jedna z form kobiecej strategii radzenia sobie z własną ułomnością w stosunku do mężczyzny oraz z podrzędną rolą w kulturze. Histeria jest zatem innym językiem kobiecości; to poprzez niego w zamaskowany i pośredni sposób kobieta odrağowuje poniżenie własnego życia miłosnego w kulturze, a dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że „normalny” język mówienia o tym został jej wzbrowiony.

### Trzy założenia teorii „różnicy seksualnej” Freuda

Znamy wszyscy tę teorię i nie ma sensu streszczanie jej po raz kolejny. Wskazując na jej kluczowe znaczenie dla Freudowskiego rozumienia histerii, chciałbym jednak zwrócić uwagę na kilka problemów, które na ogół umykają uwadze interpretatorów.

1. U podstaw Freudowskiej teorii „różnicy seksualnej” tkwi założenie, że decydujące znaczenie w procesie kształtowania się męskiej i żeńskiej tożsamości seksualnej mają nieświadome fantazje dziecka związane z różnicami w kształcie sfer erogennych ludzkiego ciała. Jeśli więc nawet Freudowską koncepcję histerii traktować jako nową wersję antycznych i średniowiecznych poglądów na temat źródeł owej choroby, to trzeba wskazać zasadniczą różnicę: gdzie indziej autor *Wykładów ze wstępu do psychoanalizy* znajduje fantazmatyczne wyjaśnienie przyczyn badanej choroby. Mitologie „wędrującej macicy” czy kobiet opętanych przez siły nieczyste

zastępuje u Freuda mitologia kastracji kobiet i wynikającego stąd przekonania o ich podrzędnej roli w kulturze.

Mitologia ta będzie później wielokrotnie poddawana krytyce w tradycji psychoanalitycznej i myśli feministycznej. Ale nawet jej najzagorzalsi przeciwnicy, począwszy od Horney, poprzez Jonesa i Klein, po Irigaray, których wspólnym celem będzie „rehabilitacja” kobiecej seksualności, dzielą z Freudem jedno założenie: tożsamość seksualna mężczyzny i kobiety ma fantazmatyczne podłoże, problem tylko w tym, jak je rozpoznać i jak określić jego podstawowe rysy.

2. Innym fundamentalnym założeniem Freudowskiej teorii „różnicy seksualnej” jest przekonanie o istnieniu ścisłej korelacji między kształtującą się już w pierwszych miesiącach życia dziecka, opartą na odmiennych fantazmatycznych strukturach „mikromitologią” tego, co kobiece i męskie, a różnego rodzaju „makromitologiami” kobiecości i męskości, które powszechnie funkcjonują w danej społeczności i kulturze. Przekonanie to pozwoliło mu sformułować dodatkowy argument uzasadniający uniwersalną postać patriarchalnego modelu kultury: model ten jest wszakże – jego zdaniem – zakorzeniony już w pierwszych fantazjach dziecka na temat „różnicy seksualnej”, w których płeć żeńska jawi się jako obciążona zasadniczym brakiem.

Również i ten argument został w późniejszej tradycji psychoanalitycznej i feministycznej poddany druzgocącej krytyce. Zarazem jednak żaden z adwersarzy Freuda nie podważył jego przekonania o istnieniu wspomnianej korelacji. Przeciwnie, Freudowska diagnoza otworzyła przestrzeń do snucia różnego rodzaju rozważań i wykazywania różnorakich związków między tymi dwoma typami mitologii.

3. Twierdząc, że podział na płeć męską i żeńską przebiega wokół wyobrażeń związanych z posiadaniem penisa lub z jego brakiem, Freud ściśle związał proces kształtowania się tożsamości seksualnej kobiety i mężczyzny z kwestią dominacji i władzy. I to jest prawdziwie nowatorskie w jego myśleniu o „różnicy seksualnej”. Okazuje się bowiem, że dominacja jednej płci nad drugą nie da się oddzielić od procesu, w jaki kształtuje się samo pojęcie płci, ale stanowi jego immanentną część! Innymi słowy, nie jest tak, że uprzywilejowana pozycja, jaką mężczyźni zajmują w kulturze, bierze się wyłącznie z patriarchalnego modelu tej kultury jako takiej, a zatem jest wynikiem działania określonych czynników historycznych, nadbudowujących się niejako nad kategorią płci. Przeciwnie, pozycja ta już jest implikowana przez sposób, w jaki kształtuje się samo pojęcie płci męskiej i żeńskiej.

Jeśli więc w późniejszej tradycji psychoanalitycznej i w nawiązujących do niej koncepcjach feministycznych różni autorzy podejmą rozliczne próby zmodyfikowania czy wręcz obalenia postulowanego przez Freuda „rozdziału ról” w procesie kształtowania się tożsamości seksualnej kobiety i mężczyzny (K. Horney, H. Deutsch, J. Lacan, L. Irigaray i inni), to niezależnie od tego jak radykalna będzie ich krytyka, dzielić będą z Freudem (często tego nie dostrzegając) wspomniane założenie. W tym sensie Freud – rzecz zdawałoby się paradoksalna – jest jednym z ojców istotnego znaczenia, jakie kategoria *gender* zyskała w późniejszej tradycji

myśli feministycznej. (Szerokie omówienie kolejnych teorii różnicy seksualnej, jakie pojawiły się w psychoanalitycznej tradycji, por. Appignanesi, Forrester 1997 s. 454-481.)

## Dylemat Freuda. Krytyki Horney i Klein

Poglądy Freuda na genealogię kobiecej histerii, które kształtują się w świetle jego koncepcji „różnicy seksualnej”, można by ująć syntetycznie w taki oto sposób. Kobiety mają szczególną skłonność do histerii, ponieważ budując tożsamość seksualną wokół poczucia własnej ułomności, kształtują ją na wzór tożsamości ofiary, która zepchnięta przez świat męski do podrzędnej roli, często nie znajduje innego języka do wypowiedzenia własnych frustracji jak język histerycznych symptomów. Kobieta staje się histeryczką przede wszystkim wówczas, kiedy wszelkie formy kompensacji odczuwanego przez nią braku, jakie ma do zaoferowania świat społeczny i kultura, ulegają drastycznym ograniczeniom lub stają się dla niej niedostępne. Wtedy też symptomy histeryczne okazują się alternatywną formą odreagowania poniżenia jej życia miłosnego.

W świetle tego ujęcia podatność kobiet na histerię jawi się jako nieuchronne przeznaczenie, wpisane już w anatomię ich ciał i kształtujących się na tym podłożu „negatywnych” wyobrażeń na temat własnej płci.

Powstaje pytanie: jak w takim razie leczyć histerię kobiet? Skoro wrodzona skłonność kobiet do histerii ma swoje podłoże w „negatywnej” postaci, jaką przybiera ich tożsamość seksualna, to czy rola analityka nie sprowadza się praktycznie jedynie do usunięcia symptomów tej choroby, nie zaś jej przyczyn? Innymi słowy, czy terapia psychoanalityczna nie ogranicza się do uświadomienia histeryczkom wypartych przez nie traumatycznych scen z przeszłości, w których doświadczyły różnych form przemocy ze strony innych, nie zaś do przezwyciężenia przez nie własnej pozycji ofiary w obrębie owych scen?

Jest to dylemat, przed jakim stanął Freud już na samym początku swojej terapeutycznej praktyki i którego na dobrą sprawę nigdy nie rozwiązał. Myślę też, że tu gdzieś tkwi jedna z przyczyn jego połowicznych sukcesów czy wręcz porażek w procesie leczenia histeryczek, którym z jednej strony przywracał pamięć poniżenia ich życia seksualnego, z drugiej strony jednak traktował owo poniżenie jako nieodłącznie powiązane z kobiecością.

Aporia przed którą stanął Freud jako psychoterapeuta: jak leczyć pacjentki-histeryczki, skoro choroba ta jest symptomem ich kobiecości, wynika ze ścisłego powiązania przez niego źródeł histerii z fenomenem „różnicy seksualnej”. Problem tkwi nie w tym, że kobiety mają szczególną skłonność do histerii, ale w tym, że sama histeria jest kobietą. Próbę wyjścia z tej aporii podjęło wielu autorów na drodze radykalnego przeformułowania Freudowskiej koncepcji „różnicy seksualnej”. W późniejszej tradycji psychoanalitycznej możemy mówić o czterech kluczowych stanowiskach w tej kwestii.

Pierwsze stanowisko reprezentują Helene Deutsch i Karen Horney. Obie starają się, każda na swój sposób, dokonać „rehabilitacji” kobiecej seksualności, wychodząc od innego rozpoznania fantazmatycznej struktury, jaka tkwi u jej podstaw, niż przyjmuje to Freud. Wychodzą one z założenia, że dziecko ma od samego początku poczucie istnienia dwóch płci, a nie jednej, w związku z tym zazdrość o penis jest w procesie kształtowania się kobiecej seksualności fenomenem wtórnym, przesłaniającym poczucie własnej odrębności. W ten sposób podważony zostaje fundament Freudowskiej koncepcji „różnicy seksualnej”. Zarazem jednak obie autorki, starając się zdefiniować kobiecość w kategoriach pozytywnych, wskazują na masochizm jako na jej podstawowy wyznacznik. Według Deutsch kobieta ustanawia swą odrębność wobec płci męskiej poprzez „masochistyczne poddanie się członkowi”, badaczka utożsamia więc tym samym kobiecość z pasywnością i biernością (por. Deutsch 1925). Horney natomiast uznaje, że najbardziej pierwotną fantazją dziewczynki jest fantazja o byciu zgwałconą przez ojca, gdyż w ten sposób utwierdza się ona we własnej kobiecości (por. Horney 1997).

Podjęte w tym duchu próby rehabilitacji kobiecości okazują się zatem wysoce dwuznaczne w swych konsekwencjach. Sposób, w jaki obie autorki rozpoznają odrębną fantazmatyczną strukturę tkwiącą u podstaw kobiecości, opierając ją jednak na przekonaniu o ugruntowanym biologicznie masochizmie kobiety, dostarcza praktycznie kolejnego argumentu na rzecz podrzędnej roli kobiety w kulturze. Wspomniana powyżej aporia we Freudowskim podejściu do histerii zostaje w ich koncepcjach kobiecości jedynie utwierdzona, a nie przezwyciężona.

Znacznie dalej w krytyce Freudowskiej teorii różnicy seksualnej idzie Melanie Klein. Wiąże się to z centralną funkcją, jaką Klein w rozwoju tożsamości dziecka przyznaje postaci matki, podczas gdy ojciec zawsze jawi się w tle tej postaci, poniekąd jako „dodatek” do niej. W rezultacie przyjmowany przez Freuda kompleks kastracji u dziewczynek i korespondujący z nim kompleks Edypa u chłopców tracą w jej teorii swoją paradygmatyczną funkcję.

Równocześnie zyskują one całkiem inną postać i sens. I tak kompleks kastracji u dziewczynek nie ma nic wspólnego z poczuciem własnej ułomności, ale wiąże się z najbardziej pierwotnym kobiecym pragnieniem urodzenia dziecka. Jeśli więc stoi za nim pragnienie posiadania członka, którego kobiecie brakuje, to celem tego pragnienia nie jest już dziecko traktowane jako substytut owego członka, co u Freuda czyni z kobiety negatyw mężczyzny, ale po prostu dziecko jako takie.

Zupełnie inaczej zostaje też przez Klein zdefiniowana seksualność męska. Po pierwsze, podobnie jak u dziewczynki, w kształtowaniu się *superego* chłopca kluczową rolę odgrywa postać matki, a nie wyłącznie ojca. Po drugie zaś, drugą stroną poczucia przewagi nad dziewczynką u chłopca jest jego kompleks kobiecości: poczucie braku organów, które by mu pozwoliły urodzić dziecko (por. Klein 1975). Można więc powiedzieć, że proces rozwoju seksualności kobiecej i męskiej ześrodkowuje się według Klein wokół dwóch postaci braku, które są wobec siebie komplementarne. Jeśli jednak tak jest w istocie, to czy komunikacja między mężczy-

zną i kobietą ma wyłącznie postać brutalnej rywalizacji, w której obie strony „zadzroszczą” sobie nawzajem tego, czego nie posiadają?

Klein będzie próbowała odpowiedzieć na to pytanie, wprowadzając na powrót w świat dziecięcych wyobrażeń fantazmatyczną figurę ojcowskiego członka, ale zawsze już znajdującego się w łonie matki. Pojawienie się tej Freudowskiej figury kończy w jej ujęciu proces kształtowania się *superego* dziecka, zapewniając mu ostatecznie trwałość i stabilność. Świadczy to jednak o tym, że *superego* w ujęciu Klein rozpada się na dwie niewspółmierne części, matczyną i ojcowską, których funkcja jest odmienna w rozwoju dziecka. Jeśli dodamy, że pojawienie się w fantazjach dziecka figury zakazującego ojca stanowi w ujęciu Klein zwięźczenie procesu kształtowania się tożsamości dziecka, to czy nie jest to równoznaczne z restytucją „od kuchni” patriarchalnego modelu Freudowskiego?

Mimo tych wyraźnych pęknięć teorię Klein można jednak potraktować jako kolejny krok na drodze „rehabilitacji” kobiecej seksualności. Ta ostatnia nie stanowi już masochistycznego negatywu męskiej seksualności, ale przysługują jej wyraźne znamiona samoistności i aktywności. W rezultacie histeria nie jest już jednoznacznie identyfikowana z kobiecością, lecz okazuje się chorobą, na którą „ontologicznie” w równej mierze podatni są mężczyźni. Inna sprawa, że chorobie tej Klein nie poświęca zbyt wiele uwagi, zajmując się przede wszystkim obserwacją zaburzeń o charakterze psychotycznym, których źródeł upatruje na poziomie mikromitologii na temat własnej seksualności kreowanej przez dziecko w pierwszych miesiącach życia, a nie na poziomie makromitologii społecznej i kulturowej zdominowanej przez patriarchalne przesady na temat kobiecości. Tłumaczy to zapewne, dlaczego sama Klein, mimo iż jej teoria wywarła ogromny wpływ na myśl feministyczną, do feminizmu wyraźnie się dystansowała.

## Histeria i emancypacja kobiet

Próbą przezwyciężenia tych niekonsekwencji jest teoria różnicy seksualnej Jacques’a Lacana. Receptą ma być, w jego ujęciu, nadbudowanie nad sferą wyobrażeniową sfery symbolicznej, wzorowanej na pojęciu języka ujmowanemu w tej postaci, w jakiej ukształtowało się ono w tradycji francuskiego strukturalizmu. Równocześnie jednak Lacan zwraca się przeciw całej zarysowanej powyżej postfreudowskiej tradycji myślenia o kobiecie, w której podjęto próbę „rehabilitacji” jej tożsamości seksualnej, opierając się na założeniu pierwotnego istnienia dwóch płci. Według Lacana pierwotnie istnieje tylko jedna płeć, zaś bycie kobietą i bycie mężczyzną nie ma nic wspólnego z płcią biologiczną, ale wiąże się przede wszystkim z pozycją, jaką jednostka zajmuje w obrębie języka. Pozycja podmiotu jest przez niego identyfikowana jako męska, zaś pozycja obiektu (małe *a*) usytuowanego w polu Innego, jako kobieca (Lacan 1982, por. omówienia w: Žižek 1993, s. 45-82; Dybel 2000, s. 30-42). Obie te pozycje przy tym określa w równej mierze kompleks kastracji implikowany przez strukturę samego języka, którego podstawowe znaczące, znaczące fallusa, ma postać „znaczącego bez znaczone-

go”. Jest ono – powiada Lacan – „znaczącym braku” i pełni konstytutywną funkcję w stosunku do języka jako łańcucha znaczących, w którym relacje między nimi kształtują się zgodnie z prawami dodawania (metonimią) i substytucji (metafory).

Istotne w tym ujęciu jest to, że obie strony, męska i żeńska, określone są w równej mierze przez brak, jakkolwiek jest on w nich inaczej ustrukturyowany. W rezultacie zarówno podmiot w pozycji męskiej, jak i kobieta-objekt w równej mierze mogą zostać poddani w procesie analitycznym „histeryzacji”. W ujęciu Lacana proces ten polega na konfrontacji pacjenta z fenomenem braku w Innym, czyli na takim zachowaniu analityka, w którym nie zajmuje on wobec pacjenta postawy Mistrza („podmiotu, który wie”), ale niejako zwraca go ku samemu sobie z jego symptomem/problemem. W wyniku tak pojętego procesu „histeryzacji” jaźń pacjenta ulega swoistemu rozchwianiu, traci on jakby grunt pod nogami, co sprawia, że w jego mówieniu może dojść do głosu nieświadomość, otwierając perspektywę dalszej kuracji.

W teorii psychoanalitycznej Lacana dokonuje się zatem swego rodzaju rehabilitacja „histerii”. Pacjent, który został „rozhisteryzowany”, jest w stopniu daleko większym niż pacjent obsesyjny otwarty na prawdę własnych symptomów. Zараz jednak Lacan daleki jest od mitologizacji histerii pacjenta i upatrywania w niej samego w sobie celu terapii analitycznej. Rozhisteryzowanie pacjenta jest w jego ujęciu jedynie etapem wstępnym w procesie wspólnego przemierzania fantazmatu, który dopiero może doprowadzić do końca terapii.

Rozpatrując seksualność kobiecą i męską w abstrakcyjnych kategoriach dwóch „pozycji”, jaką dana jednostka, niezależnie od tego, czy jest kobietą, czy mężczyzną, może zająć w języku, a więc pozycji podmiotu i fantazmatycznego obiektu małe a, Lacan próbuje zerwać z ograniczeniami modelu Freudowskiego, gdzie pojęcie tych dwóch typów seksualności wiązało się ściśle z anatomią ludzkiego ciała i z patriarchalnymi wyobrażeniami na jego temat. Ale czy rzeczywiście mu się to udaje? Czy nie następuje tutaj jedynie przeniesienie tego modelu na poziom tego, co symboliczne, i w rezultacie, wbrew intencjom autora, pozbawienie go seksualnej neutralności? Słowem, czy nie rozpoznajemy tutaj tego samego patriarchalnego przesądu, zgodnie z którym to, co kobiecie może być określane jedynie w kategoriach wystawionego na pragnienie męskiego podmiotu obiektu pragnienia, nawet jeśli dopuszcza się biologiczne kobiety do bycia tego rodzaju podmiotem?

Czwarte stanowisko, najbardziej radykalne, reprezentuje Lucy Irigaray. Podjęta przez nią próba rehabilitacji kobiecości w wielu punktach nawiązuje do teorii psychoanalitycznej Klein (akcentowanie roli matki, fantazji związanych z macicą, łonem itd.). Jeśli jednak Klein koncentrowała się na dziecięcej mikromitologii, praktycznie nie zajmując się poziomem makromitologicznych kulturowych wyobrażeń na temat kobiecości, Irigaray stara się połączyć te dwie perspektywy. Jej celem jest nie tylko wydobyć pierwotnej, fantazmatycznej struktury, która tkwi u podstaw tożsamości seksualnej dziewczynki (i która, jej zdaniem, została całkowicie wyparta przez patriarchalny model europejskiej kultury), ale rów-

nież o zbudowanie, w oparciu o tę strukturę, nowej mitologii kobiecości, która mogłaby stać się podstawą do ukształtowania się nowego, matriarchalnego modelu kultury.

Przekonanie Irigaray, że patriarchalizm europejskiej kultury wiąże się ściśle z wyparciem specyficznych rysów fantazmatycznej struktury tkwiącej u podłoża tożsamości seksualnej dziewczynki, implikuje nowe rozpoznanie przez nią fenomenu kobiecej histerii. Owo wyparcie jest według niej równoznaczne z wyparciem kobiecego szaleństwa, któremu mężczyźni nie chcą przyznać tego samego paradygmatycznego statusu, co własnemu. Dlatego właśnie histeria w ramach kultury europejskiej była (i jest) chorobą typowo kobiecą.

Według Irigaray jest ona podstawowym symptomem wypartej i zdegradowanej fantazmatycznej struktury tkwiącej u podstaw kobiecości, która nigdy nie zyskała w naszej kulturze prawa obywatelstwa, zdominowana przez mitologię męską: „Każda płeć ma związek z szaleństwem. Każde pragnienie/pożądanie ma związek z szaleństwem. Ale prawdopodobnie jedno pragnienie uznano za mądrość, miarę i prawdę: zostawiając drugiej płci ciężar szaleństwa, którego nie chciano sobie przypisać, ani rozpoznać” (Irigaray 2000, 4).

Jeśli jednak tak jest, to rozpoznanie tej fantazmatycznej struktury wypartej przez patriarchat i budowanie w oparciu o nią zapoznanej do tej pory mitologii kobiecości dokonać się może jedynie z perspektywy kobiecego podmiotu histerycznego. Czyli podmiotu, który pozbawiony prawa do „normalnego” języka zaczyna budować własną mitologię, przyjmując za punkt wyjścia jedyny „własny” język, jakim może dysponować: język histerycznych symptomów.

Na tym też polega nowość filozoficznego stanowiska Irigaray. Jeśli histeria jest traktowana przez nią jako „inny” język kobiecości, to nie jest on już dla niej wyłącznie językiem chorobowych symptomów. Jako język zdegradowanego „szaleństwa kobiet” ulega on w jej pisarstwie przeobrażeniu w język nowej mitologii kobiecości. Ma w nim zostać odnaleziona zagubiona gdzieś u zarania europejskiej kultury symbolika, która byłaby podstawą ukonstytuowania się kobiecej podmiotowości, zasadniczo odmiennej od podmiotowości męskiej. Dlatego męskiej mitologii zabójstwa ojca przez syna przeciwstawiony zostaje przez Irigaray kobiecy mit zabójstwa matki przez syna, symbol fallusa znajduje swoje przeciwstawienie w symbolu pępowiny itd.

Projekt ten zdaje się jednak również głęboko pęknięty. Z jednej strony Irigaray przyjmuje, że histeria („szaleństwo kobiet”) jest językiem zdegradowanym. To język zastępczy, który pojawił się w miejscu rzeczywistego kobiecego języka-mitu, niedopuszczonego przez patriarchalną kulturę do pełnej artykulacji. Z drugiej strony to właśnie ów zdegradowany język kobiety-niewolnika ma być osnową, na której Irigaray stara się budować „pozytywną” mitologię „ciała-w-ciało-z-matką” mającą ugruntować rzeczywistą autonomię świata kobiet w kulturze.

Czy w takim razie nie mamy tutaj do czynienia z próbą budowania mitologii histerii jako języka kobiecego zniewolenia w kulturze? Czy Irigaray, dokonując w swoich pracach krytyki patriarchalizmu we Freudowskim i Lacanowskim my-

śleniu o kobiecości nie dzieli z nimi bezwiednie fundamentalnego przesądu na temat kobiety; a mianowicie, że jedynym językiem, w którym może ona wypowiedzieć własną kobiecość, jest histeria jako zdegradowany język kobiety-niewolnika? Czy budując na tych podstawach nowy mit kobiecości, nie potwierdza ona bezwiednie tego, z czym podjęła programowo nieubłaganą walkę?

Natrafiamy tutaj na ten sam dylemat, z jakim zetknęliśmy się w przypadku Freuda: jak wyleczyć pacjentkę z symptomów histerycznych, skoro właśnie w nich przejawia się najwymowniej to, co czyni ją kobietą? Dylemat ten jest jak poruszanie się po zamkniętym kole. I niewiele się zmieni, gdy histeryczka z potulnej pacjentki stanie się histeryczką zbuntowaną. Jej agresja przypomina wówczas rozpaczliwe szamotanie się ryby w zarzuconej na nią sieci patriarchalnych przesądów. Niewiele zmieni się chyba jednak również, gdy – jak to proponuje Kristeva – kobiety podejść do własnej histeryczności w sposób bardziej wyrafinowany niż dotychczas i zacząć ją traktować jako instrument krytyki istniejącego porządku kulturowego:

postrzegam rolę kobiet jako czujność, obcość, stanie na straży i kontestowanie. W gruncie rzeczy jest to trochę rola histeryczki: a czemu by nie? Akceptuję to w pełni. Możemy ujawniać swoje historie bez robienia psychodramy i ukazywania się jako ofiary męskiego porządku, lecz w sposób bardzo przejrzysty zdając sobie sprawę z tego, co robimy, z mistrzostwem i umiarem. Taka przewrotna histeria. Bardzo mądra. (cyt. za: Jusiak, Mizielińska 1999, 37)

Pojawia się jednak pytanie, czy proponowane przez Kristevą, wyraźnie zwrócone przeciwko feministycznej mitologizacji historii przez Irigaray połączenie historii z autorefleksyjnością jest w ogóle możliwe? Czy można wszczepić w historię rodzaj kartezjańskiego *cogito*, programującego i kontrolującego cały jej przebieg? Czy podobne podejście nie pozostaje wówczas w jaskrawej sprzeczności z samą „irracjonalną” istotą tego, co histeryczne? Ba, czy w ogóle do pomyślenia jest tego rodzaju „mądra” histeria? Może o historii stanowi właśnie to, że jest „niemądra” i krnąbrna? A więc już ze swej istoty nie daje się w żaden sposób zrationalizować, ujarzmić, zinstrumentalizować – podobnie jak Irma, która uporczywie odrzucała wszelkie „rozwiązania” Freuda?

Może zatem należałoby zrobić jeszcze jeden krok i zapytać, czy to właśnie utożsamienie historii z kobiecością nie wpędza wszelkiej refleksji emancypacyjnej w błędne koło? Może to właśnie podobne utożsamianie, obojętne czy w negatywnym, czy pozytywnym znaczeniu, stanowi najbardziej podstawowy „patriarchalny” przesąd myślenia o kobiecie?

Może więc należałoby najpierw zapytać o status i prawdziwość tego głęboko utrwalonego w europejskiej tradycji kulturowej przekonania? Może szczególna podatność kobiet na historię nie ma nic wspólnego z kobiecością jako taką, ale jest jedynie wynikiem ich zmarginalizowanej pozycji w ramach patriarchalnego modelu kultury? Może w tym fakcie nie ma żadnej konieczności, może stanowi on jedynie efekt oddziaływania określonych historycznych uwarunkowań? Może też

dopiero po rozpatrzeniu wszystkich tych pytań należałoby podjąć próbę budowania „prawdziwego” języka kobiecości? Może dopiero wówczas otworzy się perspektywa nowej mitologii kobiecości, która nie wyrażałaby się jedynie w postaci „irracjonalnego”, histerycznego sprzeciwu wobec mitologii „racjonalnego” męskiego świata, potwierdzając w ten sposób bezwiednie własną od niego zależność?

#### Bibliografia

- Appignanesi, Forrester 1997 – Appignanesi L., Forrester J. *Kobiety Freuda*, przeł. J. Ablamowicz, Wydawnictwo Jacek Santorski, Warszawa 1997.
- Breuer, Freud 1970 – Breuer J., Freud S. *Studien ueber Hysterie*, FaM 1970.
- Deutsch 1925 – Deutsch H. *Psychoanalyse der weiblichen Sexualfunktionen*, Wiedeń 1925.
- Dybel 2000 – Dybel P. *Refleksje wokół diagramu różnicy seksualnej J. Lacana*, w: Borkowska G., Sikorka L. (red.) *Krytyka feministyczna. Siostra teorii i historii literatury*, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2000.
- Freud 1994 – Freud S. *Wykłady ze wstępu do psychoanalizy. Nowy cykl*, przeł. P. Dybel, Warszawa 1994.
- Freud 1989 – Freud S. *Gesammelte Werke*, t. XIV, FaM 1989.
- Horney 1997 – Horney K. *Psychologia kobiety*, przeł. J. Majewski, Rebis, Poznań 1997.
- Irigaray 2000 – Irigaray L. *Ciało-w-ciało-z-matką*, przeł. A. Araszkiewicz, Efk, Kraków 2000.
- Jusiak, Mizielińska 1999 – Jusiak J., Mizielińska J. (red.) *Podmiot w procesie*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1999.
- Klein 1975 – Klein M. *The Early Stages of the Oedipus Complex*, w: tejże *The Writings of Melanie Klein*, London 1975.
- Lacan 1982 – Lacan J. *Encore*, Paris 1982.
- Trillat 1993 – Trillat E. *Historia historii*, przeł. Z. Podgórska-Klawe, E. Jamrozik, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków 1993.
- Žižek 1993 – Žižek S. *Cogito and the Sexual Difference*, w: tegoż *Tarrying with the Negative. Kant, Hegel, and the Critique of ideology*, Duke University Press, Durham 1993.

## Abstract

**Paweł DYBEL,**  
**The Institute of Philosophy and Sociology of the Polish Academy of Sciences**  
**(Warszawa)**

### **Hysteria: the 'other language' of femininity?**

This article attempts at showing a characteristic evolution of perception of the genealogy of female hysteria within the confines of psychoanalytical tradition. Starting from Freud's approach where hysteria was unambiguously associated with female sexuality, contestable attempts at 'rehabilitating' the latter made by Horney or Klein, through to Lacan's, Irigaray's or Kristeva's concepts, each of whom, in his or her peculiar way, tries to evade both the simplifications of a Freudian patriarchalism and a biologism like the one represented by the author of *Female Sexuality*. What all those concepts or approaches have in common is their failure at completely overcoming the identification of hysteria with the 'nature' of femininity, although they seek to draw dissimilar consequences from it. The question is whether one should rather radically break with such identification, rather than see a 'different language' of femininity in hysteria?

## Andrzej W. NOWAK

*Methodenstreit*, podmiot, *phronesis*.  
Wpływ sposobu interpretacji opozycji „humanistyka  
a przyrodoznawstwo” na rozumienie etyki, polityki  
i podmiotu

Celem poniższego tekstu jest prześledzenie związku pomiędzy przyjmowanym przez nas pojęciem podmiotu sprawczego<sup>1</sup> a naszymi przesądzeniami epistemologicznymi i metodologicznymi, które wynikają z przyjętej przez nas wykładni i sposobów interpretacji podziału nauk na humanistykę, nauki społeczne i przyrodoznawcze. Pojęcie podmiotowego sprawstwa jest kluczowe dla myślenia w kategoriach etyki i polityki, stanowi transcendentalny warunek tych dziedzin.

Analizy swe oprę na teorii dwu badaczy: Immanuela Wallersteina i Bruno Latoura. Zakładam istnienie ważnego dla mojej argumentacji podobieństwa między nimi. Stawiam tezę, że podobieństwo obu autorów (i ich interpretatorów) tkwi w tym, iż w przyjętych przez nas sposobach interpretacji podziału nauk widzą przyczynę naszych trudności z przezwyciężeniem podziału podmiot-system (działanie-struktura, mikro-makro) oraz ze skonstruowaniem pojęcia racjonalność/rozumności praktycznej (*phronesis*).

---

<sup>1/</sup> Pojęcie podmiotowego sprawstwa, podmiotu sprawczego, podmiotu działającego, oddawane jest w piśmiennictwie anglosaskim jednym terminem *human agency*, niestety w języku polskim brakuje równie ekonomicznego, pojemnego a zarazem precyzyjnego pojęcia.

## Podmiot, ontologia społeczna, nowoczesność

Punktem wyjścia uczynimy wskazanie na niewystarczający charakter analiz prowadzonych w ramach filozofii, wciąż grzeszącej założeniem o „ześrodkowanym na podmiocie rozumie”<sup>2</sup>. Aby uniknąć niebezpieczeństw „solipsyzmu” w myśleniu o podmiotowości, postuluję konieczność równoległego ujmowania w ramach konstruowanych ujęć teoretycznych zarówno podmiotowości, jak i „odpowiadającej”<sup>3</sup> jej ontologii społecznej. Bez odwołania do ontologii społecznej nasze analizy pojęcia pomiotu są, moim zdaniem, skazane, na nierozstrzygalny spór. Przebiega on pomiędzy stanowiskami esencjalistycznymi (odwołującymi się do tradycyjnej wizji nowoczesnego podmiotu jako substancji – podmiot typu *idem*)<sup>4</sup>, a ich krytykami antyesencjalistami (zwolennikami podmiotowości typu *ipse*). Spór ten tkwi w potrzasku pomiędzy „przebóstwionym” podmiotem kartezjańskim a samolikwidacją podmiotu (Heidegger, Foucault).

Niestety, uwzględnienie odwołania do ontologii społecznej nie rozwiązuje automatycznie tego sporu, co więcej, dodaje nowe problemy. Przede wszystkim analiza zjawisk podmiotowych wraz z odwołaniem do jej uwarunkowań społecznych wciąż tkwi w dziedziczonej po Parsonsie dychotomii podmiot – system<sup>5</sup>. Rozwiązania tego problemu upatruję nie w analizie poziomu przedmiotowego, ale w przejściu na poziom socjologii wiedzy (Wallerstein<sup>6</sup>, Latour<sup>7</sup>). Formułuję mocną tezę, iż obecne w socjologii napięcie pomiędzy strukturą a działaniem, podmiotem a sys-

2/ Wyczerpującą krytykę tego stanowiska por. J. Habermas *Filozoficzny dyskurs nowoczesności*, przeł. M. Łukasiewicz, Universitas, Kraków 2000.

3/ Relacja „odpowiadania” pomiędzy podmiotem a ontologią społeczną nie musi przesądzać o jakiejś zasadzie metafizycznej, jest jedynie postulatem, który winniśmy spełnić, konstruując nasze teorie.

4/ To rozróżnienie Paula Ricouera szczegółowo analizuje Magdalena Środa i wykorzystuje je do ukazania współczesnych sporów o kształt teorii podmiotowości jednostkowej i jej związki z filozofią polityczną. Por. M. Środa *Indywidualizm i jego krytycy. Współczesne spory między liberalami, komunitarianami i feministkami na temat podmiotu, wspólnoty i płci*, Fundacja Aletheia, Warszawa 2003.

5/ Twierdzenie takie formułuje Immanuel Wallerstein w artykule pt. *Socjologia obietnica nauki społecznej (Koniec świata, jaki znamy)*, przeł. M. Bilewicz, A.W. Jelonek, K. Tyska, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2004).

6/ Por. prace I. Wallersteina: *Unthinking Social Science. The Limits of Nineteenth-Century Paradigms*, Polity Press, Cambridge 1991; *Otwórzmy nauki społeczne. Raport Komisji Gulbekiana na rzecz restrukturyzacji nauk społecznych, w: Wyzwania wobec nauk społecznych u progu XXI wieku*, Universitas, Kraków 1998.

7/ B. Latour *We Have Never Been Modern*, Cambridge, MA University Press, Harvard 1993. Por. także artykuł: R. van Krieken *The Paradox of the 'Two Sociologies': Hobbes, Latour and the Constitution of Modern Social Theory*, „Journal of Sociology” (The Australian Sociological Association) 2000 Volume 3 (38), s. 255-273.

temem, ma swe źródło w przyjętych sposobach konceptualizacji tego, co społeczne (a nie tkwi ono bezpośrednio na poziomie ontologii społecznej).

Proponowany zwrot ku socjologii wiedzy jest próbą zbadania, czy zależności systemowe są ontologiczną cechą współczesnego świata (co ma różnić świat nowoczesny od jego wcześniejszych form), czy też wynikają one ze stosowania narzędzi poznawczych (teoretycznych)? Ponadto chodzi o zastanowienie się, czy wizja bezsilnego podmiotu sprawczego<sup>8</sup> to wynik ślepego zaufku w rozwoju świata nowoczesnego, czy raczej problem związany z użyciem pewnych metod i teorii naukowych?

## a) Istota nowoczesności

Bruno Latour i Immanuela Wallersteina łączy pewna wizja nowoczesności. Obaj zakładają, iż w „nigdy nie byliśmy nowocześni”. Wskazują na analogiczne (wręcz te same) charakterystyki (a może raczej autocharakterystyki) nowoczesności. Autocharakterystyki te ufundowały przekonanie o istnieniu nowoczesności jako nowej, jakościowo różnej epoki w dziejach świata. Epoki, która ściśle wiąże się z cudem, jakim ma być pojawienie się w Europie trójcy pojęć wraz z opisywanymi przez nie zjawiskami: demokracja, kapitalizm i nauka (racjonalność europejska).

Zarówno Latour, jak i Wallerstein, zgodnie wskazują na fikcyjność dwu ważnych dychotomii, fundujących samowiedzę nowoczesności: fikcji oddzielenia przyrody i tego, co ludzkie oraz fikcji oddzielenia Europy od tego, co pozaeuropejskie.

Bruno Latour koncentruje się na pierwszym z tych problemów (pojęcie Konstytucji Nowoczesności). Immanuel Wallerstein wysiłki swe poświęca drugiemu (teoria nowoczesnego systemu światowego i częściowo program „odmyślenia nauk społecznych”). Gwoli ścisłości należy dodać, iż obaj autorzy wymieniają wspomniane sposoby autointerpretacji nowoczesności i zakładają komplementarność obu perspektyw.

Co łączy zatem oba sposoby mylnej autoreprezentacji nowoczesności? Spróbujmy odnaleźć zjawisko, które leży u podstaw obu tych charakterystyk.

Pewną pomoc możemy uzyskać, śledząc dyskusję, jaka odbyła się pomiędzy Bruno Latourem a Scottem Lashem na temat pojęć pierwszej i drugiej nowoczesności (nowoczesności refleksyjnej, późnej etc.)<sup>9</sup>. Zasadniczo zgadzają się oni co

8/ Wizja „bezsilnego” podmiotu sprawczego podzielana jest zarówno w „przesocjologizowanej” koncepcji człowieka, jak i w wielu próbach poszukiwania podmiotu niekartezjańskiego, którego sprawczość odnajdywano w ezoterycznych i nierealistycznych projektach: „estetyki egzystencji” (Foucault) czy pojęcia *Gellassenheit* (Heidegger).

9/ B. Latour *Is Re-modernization Occurring. And If So, How to Prove It? A Commentary on Ulrich Beck*, „Theory, Culture & Society” (SAGE, London, Thousand Oaks and New Delhi) 2003 vol. 2 (20), s. 35-48; U. Beck, W. Bonss, C. Lau *The Theory of Reflexive Modernization Problematic, Hypotheses and Research Programme*, tamże, s. 1-33; S. Lash *Reflexivity as Non-linearity*, tamże, s. 49-57.

do opisu różnic w autoopisach obu postaci nowoczesności. Gdzie indziej upatrują jednak genezy tego faktu.

Różnicę tę Latour artykułuje, wskazując, iż pojęcie „ryzyka”<sup>10</sup>, pochodzące z pracy *Spółeczeństwo ryzyka* Ulricha Becka, możemy przełożyć na pojęcie sieci w koncepcji aktora-sieci. Tak interpretowane ryzyko to sposób dostrzeżenia zmiany w postrzeganiu przez nas relacji systemowych. Nie są to już dłużej parsonsofskiej proveniencji podsystemy funkcjonalne, takie jak ekonomia, polityka, kultura etc., dążące do integracji, adaptacji i równowagi, której to wynikiem jest trwała reprodukcja całego społeczeństwa. Ryzyko, podobnie jak pojęcie „sieci” u Latoura, wskazuje na bardziej złożony charakter procesów społecznych. Ten charakter, zdaniem tego badacza, można wyrazić, wskazując na różnicę pomiędzy drugą a pierwszą nowoczesnością. Jego zdaniem najlepiej wyraża to pojęcie eksternalizacji:

Innym sposobem ustalenia, co jest wspólne dla ANT i re-modernizacji [drugiej nowoczesności Becka] jest odwołanie się do ekonomicznego pojęcia eksternalizacji. Eksternalizowane są te produkty naszej działalności, które nie są brane pod uwagę. Produkty mogą być czymś pozytywnym i negatywnym. Ujmując rzecz wprost, druga nowoczesność (moderność) to pierwsza nowoczesność p l u s jej eksternalizacja<sup>11</sup>.

Właśnie w pojęciu eksternalizacji pojawia się kluczowa różnica pomiędzy Latourem i Beckiem (i Scottem Laschem). Jest nią kwestia określenia genezy zjawisk (i ich poziom analityczny). Ryzyko Becka jest sytuowane na poziomie przedmiotowym, koncept sieci Latoura ma wskazać zmianę na poziomie teorii. Aby wyrazić rzecz prościej: Latour uważa, iż w większej mierze zmienił się nasz aparat poznawczy, dlatego też obraz świata się zmienił. Druga nowoczesność to raczej dzieło zmiany naszego widzenia ontologii społecznej niż procesów w niej zachodzących. Beck raczej podkreśla, iż to na poziomie przedmiotowym, zaszły kluczowe zmiany, stąd niewystarczalność dotychczasowego aparatu poznawczego.

Podsumujmy: oba opisane zjawiska (podział na świat przyrody i to, co ludzkie, oraz podział na Europę i to, co nieeuropejskie) miały swą genezę w pewnej tendencji, którą możemy nazwać potrzebą, a nawet koniecznością eksternalizacji. Istotą nowoczesności byłoby zatem ignorowanie, abstrahowanie, idealizowanie etc. Latour dodałby tutaj jeszcze pewną korektę, iż temu aktowi usuwania poza horyzont, eksternalizacji kosztów (także kosztów symbolicznych – problemy z operacjonalizacją matematyczną pewnych zjawisk owocowały usuwaniem tych zjawisk poza horyzont tego, co za rzeczywistość przyjmowaliśmy) musi towarzyszyć akt zapomnienia o samym akcie eksternalizacji. Według Wallersteina, podążającego tropem dependystów, Europa zapominała o fakcie, iż jej rozwój został ufundowany na ścisłym związku ze światem nieeuropejskim. Podbój tego świata, jego eksploatacja, a także wykorzystanie dziedzictwa historycznego podbitych terenów

stworzyło Europę. Ta natomiast rozwija się, eksternalizując koszty rozwoju i dokonując aktu zapomnienia o tym fakcie<sup>12</sup>.

b) podział na humanistykę i przyrodoznawstwo a podmiot działający

Zacznijmy od mocnego stwierdzenia (założenia): bezsilność podmiotu i omnipotentia systemu społecznego/struktury są, zdaniem Wallersteina i van Kriekena (interpretatora Latoura), konsekwencją podziału na humanistykę i przyrodoznawstwo.

Ów zapoczątkowany wraz z Kantem i podjęty przez kartezjańską postać nauki podział stworzył paradoksalną sytuację. Z jednej strony wydzielił ludzkie królestwo wolności (wraz z jej badaczami – filozofami, badaczami społecznymi), z drugiej strony – zdeterminowane królestwo przyrody, natury (wraz z jej badaczami naukowcami).

Podział ten wydaje się czymś niezależnym od kwestii etycznych. Tak jest tylko pozornie. Pojęcie podmiotu działającego zakłada, że funkcjonuje on jedynie w przestrzeni tego, co niezdeterminowane. To, co nieludzkie, świat przyrodniczych determinizmów, nie podlega ocenie moralnej. Takie stanowisko wytwarza jednak pewne niebezpieczeństwa.

Po pierwsze, pojawia się zagrożenie związane z wytwarzaniem granicy tego, co przyrodnicze i nieprzyrodnicze. Niebezpieczeństwo to polega na apriorycznym przesądzeniu, które zjawiska są wyłączone z osądów moralnych, a które są do nich zaliczane (poprzez rozdzielenie na przyrodę i świat człowieka).

Drugie niebezpieczeństwo związane jest natomiast z uzyskaniem przez nauki przyrodnicze wyróżnionego statusu względem humanistyki. Wiąże się to z faktem, iż przyrodoznawstwo uznane zostało za jedyne źródło prawdy i pewności, humanistyka (szczególnie filozofia) stała się wiedzą niepewną, światem mniemań etc. Stosując anglosaski trójpodział (*science, humanities, social science*)<sup>13</sup>, musimy zdać sobie sprawę ze specyficznej sytuacji nauk społecznych. Z jednej strony były one humanistyczne, z drugiej chciały w swej mocy eksplanacyjnej dorównać przyrodoznawstwu (ekonomia i socjologia). Starały się tego dokonać, przejmując najważniejszy z instrumentów, który gwarantował sukces – metody matematycznego przyrodoznawstwa. To upodobnienie części socjologii i ekonomii, czerpiących wzory z przyrodoznawstwa, wyłączało badane przez te nauki obszary z królestwa ludzkiej wolności. Zdaniem Wallersteina, spowodowane to zostało odwołaniem do newtonowsko-kartezjańskiej metody naukowej jako paradygmatycznego obrazu nauki. Pomimo znaczącej zmiany, jaka zaszła w samym przyrodoznawstwie, nauki społeczne w większej części pozostały wierne nieistniejącej już w dużej mierze postaci przyrodoznawstwa. Sytuacja ta spowodowała, iż w obrębie nauk spo-

<sup>10/</sup> U. Beck *Spółeczeństwo ryzyka. W drodze do innej nowoczesności*, przeł. S. Cieśla, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2002.

<sup>11/</sup> B. Latour *Is Re-modernization Occuring...*, s. 37.

<sup>12/</sup> Wreszcie, na poziomie najbardziej ogólnym, powyższa charakterystyka rozwoju nowoczesności pobrzmiwa w słowach Heideggera, który istotę nowoczesności widzi w myśleniu rachującym zestaw [*Gestell*], czyli proces eksternalizacji kosztów, a ów proces zapominania nazywa zapomnieniem bycia.

<sup>13/</sup> Używany także przez Snowa w jego słynnym eseju o dwu kulturach.

lecznych powtórzył się spór pomiędzy naturalizmem i antynaturalizmem (*Methodenstreit*).

Wynikiem powtórzenia tego sporu jest, zdaniem Wallersteina<sup>14</sup>, pojawienie się napięcia pomiędzy przyrodoznawczo (newtonowsko-kartezjańsko) zdefiniowanym pojęciem systemu społecznego a humanistycznie ujmowanym biegunem podmiotowym. Dodajmy, iż owe kartezjańsko-newtonowskie sposoby ujmowania tego, co społeczne, poprzez „naturalizację” rugują pojęcie podmiotu sprawczego, a zatem wyłączają całe obszary społecznego doświadczenia spod oceny politycznej i etycznej.

Podobnie interpretuje ten problem Robert van Krieken<sup>15</sup>, adaptując rozwiązanie Bruno Latoura wypracowane dla określenia istoty nowoczesności. Zdaniem van Kriekena Pojęcie Konstytucji ukazuje nam, iż konieczny jest nie tylko ścisły rozdział przyrody i tego, co ludzkie, ale także analogiczny podział na działanie (podmiotowe sprawstwo) i strukturę (system). Przenosi w ten sposób, analogicznie jak Wallerstein, spór przyrodoznawstwo – humanistyka do wewnątrz nauk społecznych. Latour stwierdza, iż nowoczesność jest możliwa tylko dzięki pracy mediacji i puryfikacji, czyli procesom, które przyczyniają się do stworzenia wrażenia „czystości” podziału pomiędzy tym, co ludzkie, a przyrodą. Van Krieken wskazuje, iż analogicznie możemy ująć relację pomiędzy podmiotem a uwarunkowaniami systemowymi. Powtórzmy, Van Krieken potwierdza tezę Wallersteina, że sposób, w jaki interpretujemy podział na humanistykę i przyrodoznawstwo, wpłynął bezpośrednio na nasze pojmowanie opozycji podmiot – system. Spór o metodę, rywalizacja nomotetyzmu i idiografizmu, już w obrębie nauk społecznych wytworzyła powtórzenie podziału na nauki przyrodnicze oraz humanistykę i nauki społeczne. Powtórzmy, Kantowskie rozróżnienie na przyrodę i ludzkie królestwo wolności przenosi się na nasze sposoby ujmowania ontologii społecznej: omnipotencja struktur społecznych *versus* bezsilność podmiotu (sparaliżowanego despoty).

Van Krieken, nawiązując do Latoura, stwierdza, że nigdy nie mamy do czynienia z „czystym” podziałem na to, co ludzkie i niehumaniczne; analogicznie, nigdy nie mamy do czynienia z działaniami i podmiotami czy strukturami i systemami. To, co doświadczane, jest „hybrydą”, mieszaniną tego, co podmiotowe i przedmiotowe, struktury i działania. Ponadto Van Krieken zauważa, że nie powinniśmy uznawać za własności ontologiczne tego, co jest wynikiem naszych operacji poznawczych<sup>16</sup>. Jego zdaniem, błąd ten jest udziałem większości badaczy podejmujących problem: podmiot – system (działanie-struktura, etc.).

Van Krieken wskazuje, iż socjolodzy, szczególnie Parsons, dołożyli starań by wykreślić cały obszar znajdujący się pomiędzy tym, co określane przez biegun

podmiotowy (działania) i systemowy (strukturalny). Wskazuje, za Charlesem Camiciem, iż wcześniejsi socjolodzy, jak Norbert Elias, Emil Durkheim czy Max Weber, koncentrowali swe wysiłki na pojęciach: *habit*, *habitus*, *habitude*<sup>17</sup>. Starali się analizować obszar „wykluczonego środka”. Badali to, co istnieje pomiędzy abstrakcyjnie wyznaczonymi biegunami działania i struktury. Obszar ten, jego zdaniem, trafniej i ciekawiej opisuje ludzkie doświadczenie.

Zasygnalizowane powyżej pojęcie podmiotu może wydawać się hybrydą, tworem eklektycznym. Przyczyną jest zakładana przez nas milcząco perspektywa newtonowsko-kartezjańskiego schematu pojęciowego (synonim autowykładni pierwszej nowoczesności). Schemat ten wymagał abstrahowania, redukcji, idealizowania, gdyż tylko dane uzyskane w ten sposób mógł wykorzystać do analizy. Sieć relacji, którą ujawnia się poprzez pojęcia struktur długiego trwania (Wallerstein, Braudel), pojęcie sieci u Latoura, interpretacja tego ostatniego przez van Kriekena, wskazują na skomplikowany charakter powiązań tego, co ludzkie i niehumaniczne, splecenie społeczeństwa i przyrody, działania i struktury. Podobnie można wskazać na współzależność naszych sposobów socjalizacji wartości od usymbolizowanej natury, która zostaje „ustawiona” (posiłkując się metaforą Heideggera). Natura zostaje przekształcona tak, aby przekazywała, informowała, kształtowała, socjalizowała (architektura, kościoły, drzewa zamienione w książki etc.). Pojęcie systemu jako klamry, która ma spinać normatywnie nasze działania, nie może zostać odseparowane od horyzontalnego, historycznego ujęcia zjawisk systemowych i „socjologii rzeczy”.

Możemy wskazać ciągłość pomiędzy makroskopowym spojrzeniem Wallersteina a „etnometodologicznym”, mikroskopowym ujęciem Latoura. Łączność tę możemy, jak wykazałem wyżej, rozpoznać na poziomie metodologii. Późny Wallerstein podkreśla, iż jego zamiarem jest wskazanie na konieczność „odmyślenia” (*unthinking*) naszych założeń (w naukach społecznych), które odziedziczyliśmy po nauce w jej kartezjańsko-newtonowskiej postaci. Owo odmyślenie to w kategoriach Latoura zdanie sobie sprawy z konsekwencji tego, co on nazywa Konstytucją Nowoczesności. Owo odmyślenie, co warto uwypuklić, nie polega na przekreśleniu, zmazaniu, jest to raczej próba pomyślenia, poza pewnym dziedzictwem.

## 2. Problem racjonalności praktycznej – *phronesis*

Podział na nauki społeczne, humanistykę i nauki przyrodnicze ma jeszcze jedną konsekwencję (poza przeniesieniem tej opozycji wewnątrz nauk społecznych jako sporu podmiotowe sprawstwo – struktura, podmiot – system): funduje on podział na racjonalność materialną (substancjalną) i instrumentalną. Podział, który moim zdaniem, w ramach koncepcji Jerzego Kmity, przyjmuje postać podziału na kulturę symboliczną i kulturę techniczno-użytkową. Podziały te milcząco zakładają rozdział sfery konieczności (przyrody) i sfery wolności (tego, co ludzkie). Obie

<sup>14/</sup> I. Wallerstein *Unthinking Social Science...*; tegoż *Otwórzmy nauki społeczne...*

<sup>15/</sup> R. van Krieken *The Paradox...*

<sup>16/</sup> Tamże, s. 268.

<sup>17/</sup> Tamże, s. 267.

sfery charakteryzowane są przez inne prawa, dlatego musimy posługiwać się innymi rodzajami racjonalności<sup>18</sup>.

Wallerstein i Latour poprzez zakwestionowanie zarówno ścisłego rozdziału na nowoczesność i na to, co nią nie jest, rozdziału na to, co ludzkie i na to, co poza-ludzkie, a zatem na humanistykę (nauki społeczne) i przyrodznawstwo, podważają także podział na instrumentalną i materialną racjonalność (KS i KTU). Widzą oni w tym fakcie szansę na restytucję pojęcia racjonalności praktycznej. Racjonalność taka umożliwiałaby projektowanie (odkrywanie) obszarów wolności i obszarów konieczności. Działałaby zatem przed ustanowieniem pokantowskiego, nowoczesnego rozdziału. Zdaniem przywoływanych badaczy, ten ścisły rozdział wynika z pewnej autointerpretacji nowoczesności. Ponadto w jego wyniku nastąpiło zbyt automatyczne – a przez to fałszywe (jeżeli przyjmujemy założenia obiektywizmu) czy też szkodliwe (o ile jesteśmy konstruktywistami) – rozdzielenie tego, co powinno być postrzegane i diagnozowane jako konieczne, od tego, co powinno być postrzegane i diagnozowane jako wolne. Wallerstein, odwołując się do szeregu zjawisk – „socjalizacja” całości wiedzy (feminizm, postmodernizm, poskolonializm) oraz nowe odkrycia w naukach społecznych (chaos deterministyczny, odkrycia na terenie chemii dokonane przez Prigogine’a<sup>19</sup>) – wskazuje, iż opozycja przyrodznawstwo – humanistyka i nauki społeczne ulega zatarciu. Szczególnie doniosłe okazuje się, zdaniem badacza, odkrycie, jak kluczowe w przyrodzie jest pojęcie nieodwracalności strzałki czasu. Wbrew klasycznej filozofii niemieckiej procesy przyrodnicze mają swą własną historię. Wraz z tezami Latoura pozwala to stwierdzić, iż oczywistość świata przyrodniczych determinizmów nie jest już oczywista. Konsekwencje odkryć Prigogine’a są zbliżone z pojęciem czasu w filozofii chińskiej, zagadnienie to dobrze oddaje Jadwiga Staniszkis:

W naszej zachodniej kulturze *c z a s* jest po prostu konwencjonalną miarą, tłem działań. W Chinach zaś czas jest nośnikiem „stawania się” wydobywającym stopniowo kolejne aspekty rzeczy. Rozwinięcie wewnętrznego potencjału (zasady) „li” wymaga czasu, aby wypełnić możliwą dla niego przestrzeń. Czas jest traktowany jako „identyczny” z „bytem”, bo w sposób konieczny jest z nim związany.<sup>20</sup>

Pojęcie „ontologizacji czasu” i konieczności ponownego namysłu nad tą kategorią jest kluczowe, zdaniem Staniszkis, do pojmowania fenomenu władzy w epo-

ce globalizacji, ontologizacja czasu natomiast – dla sformułowania projektu podmiotowości sprawczej. Wcześniej jednakże musi nastąpić paradygmatyczna zmiana w pojmowaniu czasu – będąca zamachem na myślenie nowoczesne „ontologizacja czasu”.

Atak na „wolność sfery podmiotowej” jest bardziej rozpoznany: krytyczne analizy Foucaulta, poststrukturalizm. Szczególnie ważne dla mnie są tu dwie koncepcje: Heideggera i Bourdieu. Obaj ci myśliciele przekazują podobną myśl, wedle której to, co podmiotowe, poziom mikro, odtwarzanie się codzienności, jest ustrukturyzowane. Szczególnie cenne wydają się wnioski Bourdieu, który poprzez przywołanie pojęć pola i *habitus* pragnie odnowić pojęcie racjonalności praktycznej. Studia nad funkcjonowaniem splotu habitusów i pól pozwolą, jego zdaniem, lepiej rozpoznać ontologię społeczną. Umożliwi to wyznaczenie/rozpoznanie na nowo obszarów uznanych za zdeterminowane i obszarów ludzkiej wolności. Racjonalność praktyczna polegać ma na rozpoznawaniu układu pól i habitusów oraz na stosowaniu tej wiedzy poprzez zmianę w procesie odtwarzania się pól władzy i panowania: „Zaproponowałem teorię praktyki jako wyniku działania zmysłu praktycznego i społecznie wytworzonego zmysłu gry, aby umożliwiła zdawanie sobie sprawy z rzeczywistej logiki praktyki”<sup>21</sup>. Wallerstein upatruje szansy *phronesis* w dialektyce (dodatkowo wspieranej teorią struktur dysypatywnych Prigogine’a). Dialektyka ta miałaby rozpoznawać, w którym momencie/miejsu struktury społeczne są podatne na zmianę, a w którym są one na nią odporne. Zatem podmiotowe sprawstwo miałooby inwestować w działanie w punktach słabości struktur. W zarysowanej powyżej interpretacji racjonalności praktycznej, dokonywany przez Latoura trud w odcyfrowywaniu technik mediacji i puryfikacji, stanowiłby niezbędną, przygotowawczą fazę procesu racjonalności praktycznej. Wallerstein i Latour wskazują nam sposób dekonstrukcji, „odmyślenia” pewnych zastanych sposobów wyznaczenia tego, co konieczne. Pociąga to za sobą rewizję naszych przekonań o tym, co może być objęte racjonalnością instrumentalną. Ponowne wyznaczenie takich sfer (wolności i konieczności) wydaje się konieczne, zgodnie ze słowami Radosława Sojaka: „Człowiek jest paradoksalny, bo musi znaleźć się pomiędzy determinacją, gwarantującą jego poznawalność, a wolnością, sprawiającą, że może się samopoznawać”<sup>22</sup>.

## Podsumowanie

Racjonalność praktyczna miałaby poruszać się w obszarze przed rozdzieleniem na wyżej wspomniane sfery konieczności i wolności. Właśnie racjonalność praktyczna służyć ma temu, by te sfery wyznaczyć. Jaki jest jej charakter? Jest on zwią-

18/ Zgodnie z postulatami przychylności wobec interpretowanej koncepcji, przyznać należy, że Jerzy Kmita, podobnie jak Rickert, zauważa, iż praktyka przyrodznawcza też podlega odniesieniu do wartości, ale owo odniesienie poprzez istnienie szeroko zinstytucjonalizowanego i podzielanego konsensu przestaje być widoczne. Por. A. Zybertowicz *Przemoc i poznanie. Studium z nie-klasycznej socjologii wiedzy*, Wydawnictwo UMK, Toruń 1995.

19/ I. Prigogine, I. Stengers *Z chaosu ku porządkowi: nowy dialog człowieka z przyrodą*, przeł. K. Lipszyc, przedm. B. Baranowski, PIW, Warszawa 1990.

20/ Por. J. Staniszkis *Władza globalizacji*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2003, s. 166.

21/ P. Bourdieu i L.J.D. Wacquant *Zaproszenie do socjologii refleksyjnej*, przeł. A. Sawisz, Oficyna Naukowa, Warszawa 2001, s. 107.

22/ R. Sojak *Socjologia wiedzy jako ogólna teoria społeczeństwa*, Wydawnictwo FNP, Warszawa 2004, s. 136.

zany przede wszystkim z inną wizją rzeczywistości, która zdaje sobie sprawę ze złożoności świata, jego czasowego i przygodnego charakteru i nie lęka się tego faktu. Ontologizacja czasu to założenie, które powoduje, iż sfery wolności i konieczności trzeba wyznaczać wciąż na nowo, wciąż trzeba podejmować kosztowny trud interpretowania złożonej rzeczywistości. Dobrze oddaje charakter tak pojmowanej rozumności praktycznej Andrzej Zybertowicz, kiedy postuluje konieczność przemocy w procesie poznania:

Przemoc nie tylko stanowi przeciwieństwo swobodnej komunikacji, dialogu. Gotowość do jej użycia w e w ł a ś c i w y m c z a s i e<sup>23</sup> stanowi warunek niezbędny do tego, aby przestrzeń dialogu mogła być zachowana. Tak rozumiem (dopełniam) Rortiański etnocentryzm, (a l e j a k u z y s k a ć w y c z u c i e w ł a ś c i w e g o c z a s u).<sup>24</sup>

## Abstract

**Andrzej W. NOWAK,  
Adam Mickiewicz University (Poznań)**

*Methodenstreit*, subject, *phronesis*. Interpretation of the opposition „humanities vs. science” and its effect on understanding ethics, politics and the subject

The Author attempts at analyzing the question of subjectivity in the context of broadly defined epistemology and methodology of humanities and science. Employing theories of I. Wallerstein and B. Latour, the Author discusses transformations in understanding and interpreting the concept of the subject.

---

<sup>23/</sup> Intuicję tę wyraża też znana formuła AA: „Boże, użycz mi: pogody ducha, abym godził się, z tym, czego nie mogę zmienić; odwagi, abym zmienił to, co mogę; mądrości, abym odróżnił jedno od drugiego”.

<sup>24/</sup> A. Zybertowicz *Przemoc i poznanie...*, s. 367; (podkreślenie moje – A.W.N.).

## Ewa BIŃCZYK

### Steven Pinker vs Michael Tomasello w sporze o status kompetencji językowych<sup>1</sup>

Poniższy tekst rozpoczyna prezentacja stanowiska Stevena Pinkera w sporze o status kompetencji językowych. Jak sądzę, szczególnie istotne w tym kontekście będzie znalezienie odpowiedzi na dwa pytania. Po pierwsze, dlaczego wedle Pinkera należy przyjąć, iż instynkt językowy jest wrodzony, i co dokładnie jest wrodzone, innymi słowy – dlaczego nie możemy uczyć się gramatyki po prostu indukcyjnie? I po drugie, z jakich względów powinniśmy zakładać istnienie atomistycznego języka myśli? Rekonstrukcja pozycji teoretycznej autora *The Language Instinct* spełnia też rolę pomocniczą, pozwalając na wyartykułowanie fundamentalnych pytań i wątpliwości w dyskusji nad naturą języka. Chodzi przede wszystkim o pytanie dotyczące ewentualnej „wrodzoności” czy uniwersalności języka oraz o kwestię wtórności języków naturalnych wobec języka menaleskiego. W niektórych miejscach rozważania dotyczą także problemu referencji, czy debaty atomizmu.

W dalszej części tekstu prezentuję ponadto wybrane empiryczne „argumenty” świadczące o wrodzoności instynktu językowego, które przywołuje Pinker. Autor ten odwołuje się do danych z różnych obszarów, w tym z zakresu badań nad poznaniem u niemowląt czy nabywaniem języka. Moim celem jest zaś wskazanie, iż

---

<sup>1</sup>/ Autorka jest stypendystką Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej. Tekst jest rozszerzoną wersją wystąpienia podczas konferencji *Spór o status kompetencji językowych*, organizowanej przez Wydział Pedagogiczno-Artystyczny UAM w Kaliszu oraz Instytut Filozofii i Socjologii PAN, która odbyła się we wrześniu 2005 roku w Jarocinie. Serdecznie dziękuję Sławomirowi Wacewiczowi za uwagi do wstępnej wersji tekstu i pomoc w odnalezieniu artykułu Marshalla M. Haitha.

istnieją alternatywne sposoby ich interpretowania, możliwe do uzgodnienia z zupełnie odmiennymi koncepcjami języka. Przykładowym wykorzystanym przeze mnie ujęciem opozycyjnym jest stanowisko Michaela Tomasello. Tekst odwołuje się też do artykułu Marshalla M. Haitha, w którym autor *explicite* wskazuje na ryzyko nadinterpretacji wyników badań laboratoryjnych dotyczących poznania u niemowląt.

Pośrednio prezentowany tu wywód stanowić może ilustrację pewnego, bynajmniej nie wyjątkowego, zjawiska w obszarze humanistyki czy ogólniej mówiąc nauki. Pinker przedstawia swoje rozstrzygnięcia jako oczywiste same przez się i niekontrowersyjne. Mamy tu do czynienia z perswazyjną retoryką. Autor pisze na przykład: „Pozbadźmy się folkloru, który mówi nam, że rodzice uczą swoje dzieci języka” (Pinker 1994, 39). Teza, iż myśl może mieć naturę językową to dla niego przykład „konwencjonalnej niedorzeczności, wykraczającej poza zdrowy rozsądek” (Pinker 1994, 57, zob. też 67). Tymczasem rozstrzygnięcia przedstawiane przez Pinkera, poparte w jego ocenie „empirycznymi” dowodami, okazują się (przynajmniej częściowo) skutkami przyjęcia uprzednich założeń, efektem retoryki, a być może nawet wygodną „drogą na skróty”.

### Ewolucjonizm i gramatyka uniwersalna

Koncepcja Pinkera jest jedną z najbardziej znanych prób połączenia teorii ewolucji z tezami gramatyki generatywnej wywodzącymi się z prac Noama Chomsky’ego. Ujęcie to wpisuje się ponadto w obszar badań nauk kognitywnych, gdzie myślenie pojmowane jest jako proces obliczeniowy, polegający na przekształcaniu abstrakcyjnych reprezentacji według określonych reguł. Jak łatwo się domyślić, nabywanie i reprezentacja języka są tutaj podobnie ujęte – jako produkty kilku wyspecjalizowanych modułów komputacyjnych w mózgu (por. na przykład Pinker, Bloom 1990, 708).

W dyskutowanym tu ujęciu język pojęty jest jako cecha niezwykle złożona, typowa wyłącznie dla człowieka. Zdaniem tego psychologa, ludzkie zdolności językowe są przystosowaniem biologicznym, efektem ewolucyjnych procesów adaptacji i selekcji naturalnej<sup>2</sup>. W książce *The Language Instinct* autor twierdzi, że język nie jest kulturowym artefaktem, ale „odrębnym elementem wyposażenia biologicznego naszych mózgów”. Pinker zaznacza, że najlepiej odpowiada mu określenie „instynktu” językowego, a nie „modułu komputacyjnego” czy „organu men-

<sup>2/</sup> Pinker i Paul Bloom we wspólnym artykule dyskutują zarzut metodologiczny, iż adaptacjonizm jest nietestowalny naukowo. Podają oni kryteria wskazujące, iż dana cecha jest złożonym efektem selekcji naturalnej. Po pierwsze, istnieje możliwość sprawdzenia, czy struktura hipotetycznie uznawana za adaptacyjną jest skorelowana z warunkami środowiskowymi, które sprawiają, że jest ona użyteczna. Po drugie, w pewnych okolicznościach można także zmierzyć sukces reprodukcyjny jednostek, które posiadają tę cechę w różnym stopniu (Pinker, Bloom 1990, 710).

talnego”, albowiem umiejętności językowe człowieka niczym nie różnią się w swej naturze od takich instynktownych umiejętności, jak choćby zdolność pajaków do wytwarzania sieci (Pinker 1994, 18). Instynkt językowy jest taką samą cechą biologiczną człowieka, jak jego wyprostowana postawa.

Język w omawianej tu perspektywie nie jest skutkiem ubocznym i n n y c h procesów ewolucyjnych (na przykład wzrostu wielkości mózgu). Jest on zbyt złożony, aby powstał przypadkowo. Instynkt językowy pojawił się u człowieka umożliwiając komunikację, która jest niezwykle użyteczna biologicznie. Pomimo swej użyteczności, język nie jest jednak doskonały, tak jak i inne systemy biologiczne (Pinker, Jackendoff 2003, 27). Ewolucja nie wiedzie przecież w prostej linii do doskonałości, lecz często opiera się na rozlicznych kompromisach.

Pinker podkreśla wielokrotnie, iż celem ewolucyjnym powstania języka naturalnego była w pierwszym rzędzie komunikacja, a nie na przykład przeprowadzanie rozumowań czy myślenie rozumiane jako wewnętrzny monolog. Dowodzą tego takie cechy języka, jak wykorzystanie kanału wokalno-akustycznego czy wystąpienie reguł gramatycznych precyzujących znaczenie. Języki naturalne są bowiem nieścisłe, często obciążone niedookreślonością odniesienia. Nieprecyzyjność tych języków eliminowana jest dopiero dzięki regułom gramatycznym, które minimalizują wieloznaczność. Jak piszą Pinker i Bloom, niedookreśloność językowa jest efektem wymogu ekonomii komunikacji i jest ona eliminowana przez kontekst i prozodię (Pinker, Bloom 1990, 773). Zdania języka naturalnego są zwięzłe właśnie dzięki temu, że pomijają wiele informacji, które słuchacz często musi odczytywać z kontekstu (Pinker 2002, 82, por. też Pinker 1994, 80). Natomiast myślenie może być bezpośrednie i jednoznaczne, nie może i nie musi ono pozostawiać niczego wyobraźni, nie wymaga uzupełnień. Gdyby język naturalny miał służyć myśleniu, a nie komunikacji, zapewne przyjąłby zupełnie inną postać.

Zdaniem Pinkera dysponujemy odpowiednią ilością zaplecza czasu, aby twierdzić, że instynkt językowy jest efektem ewolucji. Jest to okres od trzech i pół do pięciu milionów lat (jeśli już wczesny Australopitek posługiwał się językiem) lub w najgorszym wypadku kilkaset tysięcy lat (jeśli zaczął mówić dopiero przedstawiciel gatunku *Homo sapiens*)<sup>3</sup>.

Wedle tego badacza, co pozostaje zgodne z podstawowymi tezami gramatyki generatywnej Chomsky’ego, istnieją ponadkulturowe cechy czy też ograniczenia gramatyczne. Uniwersalne elementy gramatyki podawane w tym kontekście to na przykład: występowanie głównych kategorii leksykalnych (rzeczownik itd.), reguły struktur frazowych (na przykład to, że każda fraza posiada znaczniki przypadku), reguły szyku wyrazów w zdaniu, odmiana przez przypadki, odmiana czasowników (Pinker, Bloom 1990, 712). Elementy te nazwane zostają w dyskutowanym tu ujęciu gramatyką mentalną, wrodzoną i arbitralną podstawą języka (Pinker,

<sup>3/</sup> Pinker i Bloom przywołują w tym kontekście fakt, iż ślady obszaru Broca odnajdujemy już w szczątkach hominidów sprzed dwóch milionów lat (Pinker, Bloom 1990, 726).

Bloom 1990, 719, por. Pinker 1994, 124). Pinker uczuła, że zawsze mamy do czynienia jedynie z konkretnymi zestawami reguł gramatycznych stosowanych przez poszczególne jednostki. Obraz gramatyki u n i e r s a l n e j to, rzecz jasna, zbiór metodologicznie użytecznych idealizacji stworzonych przez badaczy (por. Pinker, Bloom 1990, 721). Zaznacza on także, że niektóre aspekty gramatyki są łatwo wyucalne w środowisku dzięki procesom poznawczym wcześniejszym jeszcze od samej ewolucji gramatyki (Pinker, Bloom 1990, 717).

Wielość języków naturalnych jest w tej koncepcji jak najbardziej do przyjęcia, gdyż stanowisko to dotyczy przede wszystkim wrodzonych, uniwersalnych mechanizmów uczenia się języka, precyzuje Pinker (Pinker, Bloom 1990, 715-716). Wrodzona jest sama maszyneria uczenia się języka (ang. *language design*), podstawy gramatyczne. Wrodzone aspekty zdolności językowej dotyczą *uczenia się* języka we wspólnocie, a nie *w y n a j d o w a n i a* języka na nowo (Pinker, Jackendoff 2003, 23). Nie znamy przypadków, aby ktoś wynalazł słownictwo i gramatykę tylko po to, aby mówić do siebie. Języki muszą być „wywoływane” (ang. *induced*) u dzieci poprzez przykłady. Jednak pomimo tego, że mechanizmy uczenia również okazują się ważne, Pinkera dużo bardziej interesuje wrodzona maszyneria, która je umożliwia. Instynkt językowy musi mieć swoje umiejscowienie w mózgu, muszą też istnieć geny, które są odpowiedzialne za jego transmisję. Pinker pisze zatem o „organie językowym” i „genie gramatycznym” (zob. na przykład Pinker 1994, 45-46). Przy czym teza o genetycznym źródle zdolności językowych nie oznacza, że pojedyncze geny determinują poszczególne zachowanie. Relacja między genem a cechą psychiczną czy między modulem mózgu a zachowaniem nigdy nie jest bezpośrednia czy jednoznaczna. „Żadne zachowanie nie może być zawarte w genach” – pisze ten autor (Pinker 2002, 53; por. też Pinker 1994, 297-331). Gen gramatyczny odpowiedzialny byłby zatem za powstawanie takich połączeń między neuronami, które (w połączeniu z synaptyczną regulacją, mającą miejsce podczas uczenia się) są konieczne do rozstrzygnięcia określonych problemów gramatycznych, takich jak wybranie odpowiedniego afiksu lub słowa (Pinker 1994, 322).

Prawdopodobnie gramatyka i różne jej moduły (autor *The Language Instinct* dopuszcza zatem możliwość, że mamy do czynienia z wielością gramatycznych funkcji czy zestawów reguł) ewoluowały stopniowo, stąd też musimy przyjąć istnienie protoreguł lub etapów pośrednich prowadzących do powstania języka, które stawały się coraz bardziej funkcjonalne. Mogły zatem istnieć gramatyki inne, niż ta rekonstruowana przez teorię generatywną. Pinker zaznacza przy tym, że nie wszystkie innowacje lingwistyczne musiały być efektem zmian genetycznych. Dziś dobrymi przykładami wyłaniających się stopniowo, niedoskonałych języków są języki *pidgin*. Brakuje im ustalonego porządku słów, przypadków, struktury frazowej, zdań podrzędnych. Inne przykłady to Basic English, języki dzieci, imigrantów, chorych na afazję, język telegramów, nagłówków itp. (Pinker, Bloom 1990, 722).

Dlaczego nie możemy się uczyć języka indukcyjnie? I dlaczego powinniśmy zakładać istnienie atomistycznego języka pojęć?

Podczas nauki języka rodzice dostarczają dziecku jedynie poszczególnych zdań, a nie samych reguł gramatycznych, dzieci nie słyszą przecież żadnych struktur gramatycznych, tylko konkretne dźwięki. W jaki wobec tego sposób dziecko tworzy reguły gramatyczne (Pinker, Bloom 1990, 774)? Jest to znane Wittgensteinowskie pytanie, kluczowe także w kontekście omawianego tu stanowiska<sup>4</sup>. Wedle Pinkera nie umiemy wyjaśnić nabywania reguł, odwołując się wyłącznie do prostych generalizacji i indukcyjnych mechanizmów uczenia się. Zauważa on, iż te rodzaje generalizacji, których dokonujemy, ucząc się gramatyki, mają inną, specyficzną naturę i nie dają się pogodzić z uogólnieniami, tworzonymi przez nas podczas nabywania wiedzy innego typu, opartej na przykładach (Pinker, Bloom 1990, 720). Muszą zatem istnieć odrębne mechanizmy uczenia się języka<sup>5</sup>. Istnieją też różnice w mechanizmach uczenia się przez dzieci faktów i uczenia się słów, na przykład dzieci zakładają, że dorośli mówią o dwóch różnych obiektach, jeśli posługując się dwiema różnymi nazwami. Nie przypuszczają tak (że mowa jest o różnych obiektach), jeśli dorośli przytaczają kolejne fakty na temat czegoś (por. Pinker, Jackendoff 2003, 13).

Wedle tradycyjnego modelu uczenie się języka dokonuje się poprzez uogólnianie przykładów, generalizowanie następuje zgodnie z zasadą podobieństwa. Problem polega jednak na tym, że podobieństwo nie znajduje się w świecie, ale w umyśle zainteresowanego. Zdaniem Pinkera poczucie „podobieństwa” jest zatem wrodzone (Pinker 1994, 416). W przypadku nabywania języka

musi istnieć jakiś rodzaj mentalnej komputacji, który sprawia, że *John likes fish* jest podobne do *Mary eats apples*, a nie do *John might fish*; w innym wypadku dziecko powiedziałoby *John might apples*. [...] ‘Podobieństwo’, które ukierunkowuje uogólnienia dokony-

<sup>4/</sup> Warto jednak mimo wszystko zwrócić uwagę już w tym miejscu, iż to nie znaczy jeszcze, że jedyną właściwą odpowiedzią na pytanie dotyczące tworzenia reguł musi być teza o wrodzoności struktur gramatycznych. Na to kluczowe przecież pytanie starają się odpowiedzieć inni badacze, m.in. przywoływany niżej Michael Tomasello. Wskazuje on, jak dzieci, słysząc jedynie konkretne wypowiedzi, konstruują abstrakcyjne struktury językowe, od holofraz, poprzez tak zwane wyspy czasownikowe, do schematów poznawczych i narracji (Tomasello 2002, 183 i n.).

<sup>5/</sup> Na marginesie dodajmy, że prawdopodobnie istnieją też dwa odrębne obszary mózgu, ten odpowiedzialny za rozpoznawanie mowy i odrębny obszar odpowiedzialny za rozpoznawanie dźwięków innego typu. Zdaniem Pinkera aparat wokalny człowieka ewoluował w stronę mowy. Istnieją fakty przemawiające na rzecz tego przypuszczenia. Ludzie dokonują rozpoznawania ciągłego, bogatego w informacje strumienia mowy i granic słów, często pomimo wielu idiosynkratycznych cech rozmówcy. Uczą się tego bez specjalnego treningu. Już dzieci miesięczne kategoryzują fonetyczne kontrasty zawarte w różnych językach świata (Pinker, Bloom 1990, 776).

wane przez dziecko, musi być analizą mowy określającą rzeczowniki, czasowniki i frazy, przeprowadzaną zgodnie z regułami Gramatyki Generatywnej, wbudowanej w mechanizmy uczenia. (Pinker 1994, 417)

Wedle Pinkera powinniśmy zatem przyjąć istnienie wrodzonych przestrzeni podobieństw, pozwalających na rozpoznanie, które zdanie jest podobne do którego.

W artykule pisanym wraz z Paulem Bloomem Pinker skłania się ku tezie, że jeszcze przed pojawieniem się języków naturalnych umysł człowieka dysponował dyskretną strukturą kategorii (chodzi o symbole pojmowane atomistycznie) oraz propozycjonalną (wyróżniającą predykaty i argumenty) strukturą języka myśli. W przekonaniu tego autora umysł działa bowiem skuteczniej i ekonomiczniej reprezentując nie tyle ciągłość rzeczywistości w sposób „analogowy”, ale raczej wychytując samą przyczynową strukturę środowiska (Pinker, Bloom 1990, 771). Reprezentacje symboliczne/abstrakcyjne, choć uboższe w informacje niż analogowe, mają dwie zalety, są one bardziej ekonomiczne, a także uwidaczniają się w nich *explicite* powiązania przyczynowe pozwalające na konkluzje. Na przykład relacje przestrzenne są reprezentowane dyskretnie, a świat pojmowany w kategoriach obiektów i działań/czynności, bo jest to najbardziej opłacalne<sup>6</sup>.

W swej książce *Words and Rules* Pinker stawia tezę, iż dysponujemy „częściowo cyfrowymi umysłami w analogowym świecie” (Pinker 1996). Proponuje on hybrydową teorię, która mówi o dwóch modułach naszego umysłu. Chodzi o tytułowe słowa i reguły, co widać na przykładzie badanych przez tego autora czasowników regularnych i nieregularnych w języku angielskim. Umysł zarówno operuje regułami, czego dowodzi fakt istnienia czasowników regularnych, jak i zapamiętuje słowa, co z kolei obserwujemy, badając czasowniki nieregularne. Choć czasowniki nieregularne to relikty historii, wywodzące się prawdopodobnie z form bardziej regularnych, to jako najczęściej używane uległy one dość znacznym modyfikacjom, kiedy dawne reguły rozpadły się. Jednak nawet dzisiaj występują one w rodzinach podobnych form, odnajdujemy pomiędzy nimi pewne wspólne cechy. Czasowniki nieregularne czerpiemy zatem z pamięci, ale pamięć ta uogólnia, jest ona asocjacyjna, łączy wzory z regułami i słowa ze słowami. Czasowniki nieregularne wykazują takie cechy, jakby były efektem magazynowania skojarzeń i generalizowania. W ich przypadku paradygmat asocjacyjno-behawiorystyczny czy konekjonistyczny myślenia o języku jest częściowo adekwatny.

<sup>6/</sup> Warto chyba zaznaczyć, iż w wielu miejscach od tej natury pragmatycznej (gdzie odwołujemy się do faktu opłacalności albo prostej skuteczności funkcjonowania organizmu w środowisku) Pinker swobodnie przechodzi do twierdzeń epistemologicznych, bliskich realizmowi w jego zdroworozsądkowej i naiwnej wersji. Wyjaśniając naturę kategoryzacji, autor ten pisze na przykład: „na świecie naprawdę istnieją kaczki, które mają wspólne cechy” (Pinker 2005, 291), „naprawdę istnieją rzeczy, rodzaje rzeczy oraz działania na zewnątrz w świecie” (Pinker 1994, 154). Przeskok taki nie wydaje się jednak uzasadniony. Wielokrotnie podkreśla to w swoich tekstach na przykład Richard Rorty.

Jednak same asocjacje to za mało, aby wyjaśnić fenomen ludzkiego umysłu. Dopiero systemy abstrakcyjnych reguł pozwalają na podstawianie zmiennych, na tworzenie długich łańcuchów implikacji, a także na tworzenie nieskończonej ilości przypadków, ze względu na to, że są one rekursywne i kombinatoryczne. Same skojarzenia nie wystarczą, aby ze zdań, że „kot ma kocie dzieci” i „pies ma psie dzieci” wydedukować, że „x ma x-owe dzieci”. Jeśli chcemy zrozumieć ludzki umysł, to nie wystarczy odwoływanie się do nawyków tworzenia uogólnień – oprócz zapamiętywania rodzin krzyżujących się podobieństw generujemy wszak abstrakcje.

W ramach hybrydowej teorii Pinkera możemy przystać na to, że oprócz kategorii prototypowych, rozmytych, opartych na rodzinnych podobieństwach, umysł ludzki posługuje się też kategoriami atomistycznie pojętymi, klasycznymi (w sensie pochodzącym od Arystotelesa), o jasnych definicjach. Kategorie klasyczne to produkt uboczny funkcjonowania systemu reguł umysłu pozwalającego na skuteczne przewidywanie i dedukcje w środowisku.

Jak wynika z ustaleń przytaczanych powyżej, język nie może być utożsamiany z myśleniem (por. Pinker 2005, 299). Jak już wspominałam, idea, iż myśl jest tym samym, co język to dla Pinkera przykład „konwencjonalnej niedorzeczności, wykraczającej poza zdrowy rozsądek” (Pinker 1994, 57, zob. też 67). Warto zatem chyba na chwilę zatrzymać się nad tym, jak Pinker definiuje myśl, w jaki sposób rozumie umysł, i co wobec tego pozostaje, kiedy mówimy o języku (zob. Pinker 2002; por. też Pinker 1994, 73 i n.). Umysł to wedle tego autora system narządów czy modułów komputacyjnych stworzonych przez dobór naturalny do rozwiązywania problemów. Mózg przetwarza informacje, a myślenie jest rodzajem obliczeń: „wiara i pragnienia są informacją ucieleśnioną w konfiguracji symboli. Symbole są fizycznymi stanami kawałków materii, takich jak układ scalony komputera czy neuron w mózgu” (Pinker 2002, 34). Informacja znajduje się wszędzie tam, gdzie przyczyny dają skutki, jest ona korelacją między dwiema rzeczami czy zjawiskami, będącą dziełem procesu przebiegającego zgodnie z prawem (Pinker 2002, 78). Symbole mają podwójną naturę: zarówno reprezentują one pojęcia, jak i mechanicznie powodują zdarzenia, czyli skutki w układach fizycznych. Inteligencja systemu to efekt sprzężenia ze sobą pracy, niekoniecznie wybitnie inteligentnych, mechanicznych modułów czy demonów wewnątrz niego. Symbole posiadają zarówno funkcję przyczynową (symbol jest związany z odnośnikiem w świecie poprzez nasze zmysły), jak i inferencyjną („matka” znaczy „matka”, ponieważ odgrywa rolę we wnioskowaniu o matkach). Umysł dokonuje nie tylko asocjacji i uogólnień, lecz istnieć też musi poziom abstrakcyjnych symboli oraz obliczeń dokonywanych na nich dzięki regułom, które mamy zakodowane biologicznie i genetycznie.

Rzecz jasna, niektóre z podstaw ludzkich systemów conceptualnych występują u innych naczelnnych, zwłaszcza jeśli chodzi o rozumowanie dotyczące relacji przestrzennych, przyczynowych i społecznych. Ludzie mogą także „myśleć”, nie posługując się symbolami, wówczas do myślenia zaliczamy spostrzeganie, pamięć, kategoryzację czy inteligentne działanie w środowisku, właściwe naczelnym (por.

Tomasello 2002, 284). W umyśle mamy do czynienia z różnego typu strukturami danych czy informacji, bieżących i przechowywanych w pamięci, takich jak obrazy, programy ruchowe czy ciągi dźwięków. Bardzo wątpliwe, czy autor *The Language Instinct* powyższe elementy nazwałby myśleniem, z całą pewnością nie nazywa on myślami na przykład obrazów, które z natury są niejednoznaczne.

Jak sądzę, zakładając istnienie języka mentaleskiego, przedjęzykowego poziomu pojęć, Pinker ma przede wszystkim na myśli symbole, czyli atomistycznie pojęte ucieleśnienia informacji, na których dokonywać można obliczeń. Zdaniem autora *Jak działa umysł?* „błędne koło eufemizmów” dowodzi, że w naszym umyśle pojęcia są pierwotne w stosunku do słów (Pinker 2005, 303). Istnieją jednak takie słowa, jak „łoś” oraz „wapiti” i jedno odpowiadające im pojęcie. Jak się zatem wydaje, wedle Pinkera ludzkie wyrafinowane myślenie wyewoluowało całkowicie niezależnie od języka, a język jest tylko naddatkiem nad myśleniem, instynktem zaspakajającym potrzebę komunikacji.

Wedle amerykańskiego psychologa istnieje też odrębny od języka obszar przedzałożeń, „ukrytej wiedzy o świecie”, choćby o liczbach czy intencjach innych ludzi. Mówi on zatem o wrodzonej, intuicyjnej psychologii, ekonomii, moralności, biologii i chemii, a nawet intuicyjnych przekonaniach moralnych. Pinker wymienia wrodzone przekonania esencjalistyczne, choćby tezę, iż dany gatunek określa jego wewnętrzna „istota”, czyli zbiór ukrytych właściwości (Pinker 2005, 292; zob. pełną listę intuicji Pinker 2005, 314, por. też 329). Również w książce *The Language Instinct* pojawiła się lista uniwersalnych modułów ludzkiego umysłu lub też rodzin instynktów. Znajdziemy tu dodatkowo intuicyjną mechanikę, pokrewieństwo czy poczucie sprawiedliwości (Pinker 1994, 420).

Już w tym miejscu chciałabym zaznaczyć, że większość z tych intuicyjnych, wrodzonych przekonań jest głęboko kontrowersyjna. Zatrzymajmy się na dwóch z przytaczanych przez Pinkera obszarach wiedzy, chodzi o wiedzę o przyczynowości/sprawstwie oraz wiedzę o liczbach. Jak sądzę, określenia „wiedza o przyczynowości” czy „wiedza o liczbach” brzmią nieco na wyrost. Badacze przyznają co prawda, że inne naczelne lub też niemowlęta rozpoznają małe liczebności i posiadają bardzo proste rozumienie relacji przyczynowych. Jak jednak sądzę, czym innym jest rozpoznawanie małych liczebności, co potrafią nawet zwierzęta, a czym innym jest „wiedza o liczbach”. Jak twierdzi Tomasello, z rozumieniem pojęcia liczby mamy do czynienia u dzieci dopiero w wieku 5-6 lat, kiedy dziecko potrafi przybierać różne punkty widzenia i zmieniać perspektywę, czego uczy się w scenach wspólnej uwagi oraz posługując się symbolami językowymi (Tomasello 2002, 248-249; zob. też Tomasello 2002, 66). W jednym ze swoich tekstów sam Pinker wskazuje zresztą, że istnieją obszary pojęciowe, których można nauczyć się tylko posiadając język<sup>7</sup>. Prawdopodobnie dotyczy to właśnie liczb, które „pasożytują” na języku. Warunkiem posługiwania się nimi jest bowiem nauczanie się kolejności słów określających liczby czy

składni fraz liczbowych (Pinker, Jackendoff 2003, 6)<sup>8</sup>. Większość kultur nie dysponuje ponadto rozbudowaną „wiedzą o liczbach”, nie wypracowuje wyrafinowanych rekursywnych systemów liczbowych. Używa się tam raczej systemu szacowania ilości i kategoryzowania skończonej liczby małych wielkości. Podobnie, możemy kwestionować istnienie wrodzonej wiedzy o przyczynowości, rozumienie relacji przyczynowych może być bowiem wtórne i wywodzić się z intencjonalnego rozumienia zdarzeń społeczno-psychologicznych. Wszak we wszystkich językach świata przyczynowość odgrywa ważną rolę, strukturyzując narracje. *Notabene*, hipotezę taką *explicitie* stawia Tomasello (Tomasello 2002, 244).

Dzięki założeniom o istnieniu intuicyjnie dostępnej wiedzy psychologicznej i języka mentaleskiego, nabywanie języka może być wyjaśnione przez Pinkera w bardzo prosty sposób<sup>9</sup>. Autor *The Language Instinct* pisze, „słyszac dźwięki wydobywające się z ust najbliższych, dzieci wykorzystują psychologię intuicyjną i zrozumienie kontekstu, aby wywnioskować, co dana osoba ma na myśli, a następnie kojarzą słowa z pojęciami, a reguły gramatyczne z występującymi między nimi związkami” (Pinker 2005, 299). Jak sądzę, wielu badaczom taki obraz wyda się zapewne niezwykle uproszczony. W jego ramach dziecko jest prawie całkowicie wyposażone w szeroką wiedzę na temat cudzych przekonań oraz potrafi właściwie, zgodnie z oczekiwaniami interpretować kontekst komunikacji. Jak sądzę, Pinker już z góry zakłada tu istnienie tego, co dopiero mieliśmy wyjaśnić.

### Empiryczne „argumenty” i ich alternatywne interpretacje

„Fakty” empiryczne przywoływane przez Pinkera niestety mogą być różnie interpretowane. Oto kilka wybranych przykładów. Jak wskazuje ten autor, wszystkie kultury i grupy społeczne mają język o tym samym stopniu wyrafinowania gramatycznego. Zdaniem Pinkera, uniwersalność i złożoność języka to pierwsza racja, która pozwala przypuszczać, iż język nie jest żadną kulturową konwencją, ale raczej produktem specjalnego ludzkiego instynktu (Pinker 1994, 26)<sup>10</sup>. Jak się jednak wydaje, z tego, że wszystkie społeczeństwa mają język, bynajmniej

W niektórych miejscach jednak przyznaje on, że język wywiera dość istotny wpływ na nasze myśli, na przykład dzięki metaforom (zob. na przykład Pinker 2005, 300).

<sup>8/</sup> Na marginesie dodajmy, iż wedle Pinkera, to myśli są rekursywne, dlatego taki jest też język (Pinker, Jackendoff 2003, 28).

<sup>9/</sup> Założenie o istnieniu owej ukrytej wiedzy okazuje się niezbędne. Jak pisze Pinker, sam język byłby bezużyteczny, gdyby nie opierał się na ukrytej wiedzy o świecie i intencjach innych ludzi. Często musimy przecież czytać między wierszami, z kontekstu, aby zrozumieć znaczenie (Pinker 2005, 301-302, Pinker 1994, 57 i n.).

<sup>10/</sup> Parę stron dalej czytamy, że fakty te dla wielu „stanowią przekonujący dowód, iż język jest wrodzony” (Pinker 1994, 31), jednak sam Pinker przedstawia w swej książce argumentację opartą na danych innego rodzaju. O większości z nich piszę niżej.

<sup>7/</sup> Jak twierdzi autor książki *Jak działa umysł?*, nie ma żadnych dowodów naukowych na to, że języki „dramatycznie kształtują sposoby myślenia” (Pinker 1994, 58).

jeszcze nie wynika, że jest on wrodzony. Jak zauważa Tomasello, jest choćby możliwe, że protojęzyki zostały wynalezione niezależnie, ale są podobne, tak jak domy z różnych kultur pod pewnym względem są do siebie podobne. Ponadto, być może zdolności komunikacji językowej pojawiły się przed rozdzieleniem gatunku człowieka współczesnego na różne populacje (Tomasello 2002, 67). Protojęzyk mógł przecież powstać w jednej grupie jakieś 50 tysięcy lat temu, a wywodzące się z niej inne grupy mogły go następnie rozprzestrzenić, poddając kulturowym modyfikacjom (Tomasello 1990, 759). Z tego scenariusza mógłby wynikać zarówno empiryczny fakt uniwersalności, jak i podobnego stopnia gramatycznej złożoności języków.

Podobne zastrzeżenia możemy wysunąć także do interpretacji faktów z obszaru badań nad nabywaniem języka. Zdaniem Pinkera, jak już wspominałam, istnieją uniwersalne wrodzone ograniczenia czy reguły gramatyczne, które obserwujemy u małych dzieci. Píše on, że dzieci „wynajdują język na nowo, pokolenie po pokoleniu, nie dlatego, że są tego uczone, nie dlatego, że są powszechnie bystre, ani nie dlatego, że jest on użyteczny, lecz dlatego, że inaczej nie potrafią” (Pinker 1994, 32). Dzieci mają poczucie, do których słów dana reguła może się stosować, a do których nie, co pochodzi „z samej natury umysłu” (Pinker 1996, 270). Oznacza to, że dzieci w eksperymentach potrafią poprawnie posługiwać się regułami gramatycznymi, na przykład tworzenia liczby mnogiej, czasu przeszłego czasowników, przy czym, co najistotniejsze i chyba najbardziej problematyczne – nie mogły one nauczyć się owych reguł wcześniej poprzez uogólnianie przykładów. Tomasello natomiast pisze: „wszystkie dzieci nie nabywają języka w ten sam sposób, nie potrzebują «wrodzonych ograniczeń», aby to robić, i z całą pewnością nie robią tego w żadnym wypadku bez «żadnego dowodu». Każda struktura lingwistyczna, którą się posługują, była przez nie usłyszana” (Tomasello 1990, 760). Zwróćmy na przykład uwagę, że dzieci są w stanie poprawnie rozwiązywać słynny *wug*-test dopiero w wieku 4-5 lat, ale nie wcześniej (por. Gopnik 2004, 131). Test ten sprawdza zdolność poprawnego tworzenia liczby mnogiej nieznanego wyrazu *wug*, chodzi o uzupełnienie zdania, „Now there are two of them: there are two... wugs”. Jak możemy się spodziewać, test ten Pinker interpretuje jednoznacznie jako „dowód” na rzecz swoich tez i uważa za „dowód, że normalne dzieci nie uczą się języka poprzez naśladowanie swoich rodziców” (por. Pinker 1994, 49). Tymczasem unikanie błędów gramatycznych przez trzy- i czterolatki może równie dobrze wynikać z ich osłuchania i wyabstrahowania poprawnych użyczeń językowych. Wydaje się to tak samo prawdopodobne, jak teza o wrodzoności genu gramatycznego.

Inne badania przywoływane przez Tomasello mówią zresztą, że trudno jest nakłonić dzieci młodsze, niż trzy, trzyipółletnie, aby użyły nowego czasownika w innych konstrukcjach niż te, w których je pierwotnie usłyszały (Tomasello 2002, 194). Co więcej, zdaniem Tomasello, który przytacza stosowne opracowania, bynajmniej nie jest tak, że wszystkie języki świata działają na tych samych podstawach, istnieją bowiem badania dokumentujące zbyt dużą zmienność międzykul-

turową abstrakcyjnych konstrukcji językowych, aby się udało utrzymać tezy gramatyki uniwersalnej czy tezy Pinkera na temat istnienia wrodzonych zasad językowych (Tomasello 2002, 182).

Pinker przedstawia też wiele argumentów na rzecz tezy o istnieniu wrodzonego języka mentaleskiego. Po pierwsze, twierdzi, że niemowlęta czy inne naczelné dysponują podstawowymi kategoriami myślowymi, takimi jak przedmiot, przestrzeń, przyczyna, skutek, relacje pokrewieństwa, liczby, logika (Pinker 1994, 73), prawdopodobieństwo, sprawstwo, funkcje narzędzi. Tezę o istnieniu wrodzonej intuicyjnej wiedzy w tak szerokim zakresie, jak sugeruje Pinker, dyskutowałam już wyżej. Zwróćmy jednak dodatkowo uwagę, że niemal wszystkie eksperymenty przeprowadzane na niemowlętach opierają się na procesie tak zwanej habituacji (zob. Gopnik 2004, Pinker 1994, 68). Chodzi o przyzwyczajanie się do bodźca i wykazywanie oznak znudzenia, co najczęściej jest rejestrowane kamerą wideo. Z faktu, iż dziecko jest zaskoczone jakimś bodźcem lub też preferuje pewne bodźce, czy też nudzi się, wysnuwane są wnioski na temat tego, które przekonania mogłyby być wrodzone. Wzbudza to jednak pewne wątpliwości. Czy możemy, nawet u dzieci kilkudniowych, jednoznacznie rozstrzygnąć, że mamy do czynienia z wiedzą wrodzoną, a nie nabytą? W jakim znaczeniu mówimy tu w ogóle o wiedzy? Zapewne jest to jakiś rodzaj „wiedzy” niesymbolicznej, którą przypisać można także zwierzętom. Czy mówienie o „liczbach” i „logice” bez języka nie jest na wyrost, jeśli na poparcie przytaczamy po prostu eksperyment, w których dziecko wykazywało zainteresowanie lub zdziwienie, gdy zamiast jednej Myszki Miki pojawiły się dwie (por. Pinker 1994, 68-69)? Czy można mówić o tym, że małpy „rozumieją” relacje pokrewieństwa, tylko dlatego, że potrafią one zemścić się na siostrze małpy, która je zaatakowała (por. Pinker 1994, 69)? Wreszcie, w jakim znaczeniu mówimy o „logice” bez języka? Jak sądzę, „dowody” eksperymentalne nie są tu bynajmniej jednoznaczne, lecz otwierają dopiero obszerne pole do dyskusji i interpretacji.

Marshall M. Haith w swoim artykule bezpośrednio odnosi się do kwestii nadinterpretacji w badaniach nad nabywaniem języka. Podaje on bibliografię tekstów podnoszących wątpliwości metodologiczne w tym obszarze (Haith 1998). O wątpliwościach metodologicznych w obszarze empirycznych badań nad niemowlętami wspomina też Tomasello (Tomasello 2002, 80-81). Zdaniem Haitha (oraz innych badaczy przywoływanych w artykule), badania eksperymentalne nad niemowlętami, w których odwołujemy się do metody habituacji i analizy zachowań wzrokowych, często bywają nadinterpretowane. Stanowią one pożywkę dla nieuzasadnionych spekulacji, na przykład na temat istnienia wrodzonych modułów, wiedzy czy pojęć. Nie mogą one służyć za dowody empiryczne tego, iż niemowlęta „rozumują”, „posiadają przekonania i oczekiwania”, „wnioskują”, „przypuszczają”, „liczą”, „dysponują symbolicznymi reprezentacjami” czy są „zaskoczone” (por. Haith 1998, 168).

W eksperymentach tego typu niemowlętom pokazywany jest na przykład jeden obiekt (Myszka Miki), potem całość jest zasłaniana i następnie dziecko widzi

nadal jedną Myszkę Miki lub też konfrontowane jest z sytuacjami „niemożliwymi” – pojawiają się dwie Myszkę Miki albo obiekt znika. Obserwując sposób patrzenia i zachowanie dzieci naukowcy wnioskuje o ich „zaskoczeniu” bądź „znużeniu”. Przypuszcza się tu także, że niemowlęta potrafią reprezentować obiekt, kiedy go bezpośrednio nie obserwują.

Wedle Haitha musimy jednak wziąć tu pod uwagę ilość czasu, w którym dane obiekty są zasłaniane w eksperymentach (Haith 1998, 172 i n.). Zazwyczaj jest to nie więcej niż 3 sekundy. Jeśli tak, możemy zasadnie przypuszczać, iż mamy tu do czynienia z czymś znacznie mniej wyrafinowanym niż sugerują to prezentowane przez badaczy wnioski: utrzymującą się informacją zmysłową, która trwa po zniknięciu obiektu. Podobne zjawisko utrzymywania się informacji występuje podczas mrugania, gdzie przez nieco krótszy czas także nie widzimy obiektów. Jest to zatem zjawisko niezwykle zbliżone do zwykłej działalności sensorycznej, która towarzyszy sytuacjom postrzegania obiektów. Nie ma tu jeszcze dowodów empirycznych na to, że niemowlę dysponuje umiejętnościami symbolicznego reprezentowania, formowania obrazów mentalnych, manipulowania nimi w umyśle, czy kreowania oczekiwań, wnioskowań lub przekonań. Podobnie odnosi się autor do zabiegów imputowania na wyrost niemowlętom arytmetyki lub też wiedzy o liczbach na podstawie badań laboratoryjnych. Jedyne, czego się tutaj dowiadujemy, to że dzieci patrzą dłużej na zdarzenia, które są dziwaczne, w kontekście ich wcześniejszych doświadczeń (Haith 1998, 174). Zdaniem Haitha możliwe jest bowiem, iż zaskoczenie obserwowane w zachowaniu niemowląt wynika po prostu z bogatej historii tego, co dzieci obserwują zazwyczaj poza laboratorium (Haith 1998, 170). Ponadto w dyskutowanych tu badaniach odkrywamy jedynie pewne kompetencje niemowląt, a nie procesy, które leżą u podstaw tych kompetencji: „Jedną rzecz to pytać, czy niemowlęta reagują na przykład na naruszenie grawitacji. Natomiast inną rzecz to przywoływać wyrafinowane konstrukty dla wyjaśnienia, co ta reakcja odzwierciedla. Podsumowując, w eksperymentach tego typu otrzymujemy jedynie dowody na to, że dzieci patrzą na jedną rzecz dłużej niż na inne” (Haith 1998, 171). Jak z tego wynika, obserwowane w laboratoriach dziecięce umiejętności rozróżniania perceptualnego, świadczą o ich „wiedzy” w dość ograniczonym aspekcie, z całą pewnością brak tu wiedzy funkcjonalnej czy symbolicznej (zob. Haith 1998, 168).

Istnieje ponadto możliwość przedstawienia alternatywnych wyjaśnień także takich przywoływanych przez Pinkera zjawisk, jak poszukiwanie słów, aby wyrazić daną myśl, czy poczucie, że „złe się wyraziłam” itp. W ujęciach systemowych czy holistycznych języka, gdzie znaczenie nie jest pojmowane „klockowo”, ani referencyjnie, ani atomistycznie, jest przecież możliwe, że z relacji pomiędzy znaczeniami wypływają dla nas czasem nawet zaskakujące w danym momencie konsekwencje. Nie mamy przecież nigdy pełnej świadomości całości naszej wiedzy, także dotyczącej znaczeń językowych. Mogę mieć wobec tego poczucie, że źle się wyraziłam, albo poczucie, że brakuje mi jakiegoś słowa, co wynika z systemowej czy holistycznej natury języka. Ponadto, jeśli wiem, co mam na myśli, ale nie umiem

tę wyrazić językowo, może to być tylko złudne wrażenie. Nie umiemy chyba wskazać kryteriów oceny jego wiarygodności.

Jak podkreśla też Pinker, istnieją kultury, które nie wspierają dzieci w nauce języka, nie występują tam zwyczaje komentowania i ciągłego mówienia do dzieci (chodzi o plemię Kung San, por. Pinker 1994, 40). Jednak dzieci te także uczą się języka i sprawnie posługują gramatyką, co miałyby znowu świadczyć na rzecz tezy o wrodzoności reguł gramatycznych czy instynktu językowego. Jednak Tomasello i tutaj oponuje twierdząc, że w efekcie, dzieci te „rzadko wykazują się znajomością dużej liczby słów przed swymi drugimi urodzinami” (Tomasello 2002, 158-159). Świadczyłoby to o tym, że pozbawione częstego udziału w scenach wspólnej uwagi w interakcjach kulturowych nie uczą się symboli równie szybko jak inne dzieci.

Kolejny argument Pinkera na rzecz istnienia wrodzonego instynktu językowego mówi, że dzieci głuche także posługują się językiem o wysokim stopniu wyrafinowania gramatycznego. Tymczasem, jak podkreśla Tomasello, uczą się one języka, bo żyją w kulturach, gdzie dorośli przejawiają wobec nich rozmaite intencje komunikacyjne i gdzie są rozwijane ich umiejętności podzielenia uwagi (Tomasello 2002, 179). To nie musi zatem świadczyć o wrodzoności samego języka czy reguł gramatycznych. Ponadto, dzieci głuche, które nie uczą się języka migowego (bo na przykład mają słyszących rodziców) gorzej wypadają na przykład w tak zwanych testach fałszywego przekonania, co oznacza, że nie posługując się symbolami w komunikacji, nie symulują perspektyw innych ludzi, nie umieją one rozpoznać faktu, iż inni także mają przekonania (Tomasello 2002, 236).

Nawet kreolizacja, czyli spontaniczna gramatyzacja języków (*pidgin* albo migowego) nie muszą świadczyć o wrodzoności konkretnych reguł gramatycznych. Być może reguły gramatyczne wyłaniają się w pragmatycznym kontekście konkretnych użyci językowych, ułatwiając dookreślanie odniesień i precyzując wieloznaczność (sam Pinker podaje, że na tym polega główna funkcja gramatyki). Być może procesy te są efektem pewnego typu interakcji w otoczeniu kulturowym? Nie znamy przypadków wykształcenia jakiegokolwiek języka u ludzi całkowicie pozbawionych dostępu do kultury. Wedle Tomasello

właściwie żaden przypadek nie jest dobrym przykładem „beźjęzykowości”, nie mówiąc już o „bezkulturowości”. Wydaje się empirycznie potwierdzone, że rozmaite substytuty i odmiany symboli językowych, takie jak języki migowe, są równie skutecznymi środkami kierowania uwagą i poznaniem innych jak język naturalny, pod warunkiem, że są – podobnie jak on – oparte na intersubiektywnie podzielanych i zawierających perspektywę konwencjonalnych symbolach. (Tomasello 2002, 215)

Ponadto, wedle Tomasello kwestia czasu nadal pozostaje istotnym problemem dla takich stanowisk jak koncepcja Pinkera. Mimo wszystko nie był on na tyle długi, by w procesie ewolucji wyłącznie biologicznej, poprzez zmienność genetyczną i dobór naturalny, oddzielnie powstała każda ze zdolności poznawczych czy modułów charakterystycznych dla człowieka (zob. Tomasello 2002, 10, 77, 271).

Dlatego powinniśmy raczej przyjąć, iż działały tu procesy, które zachodzą znacznie szybciej niż ewolucja biologiczna. Rzecz jasna, chodzi o procesy kulturowe.

Przytoczmy zatem w tym miejscu główne elementy alternatywnej koncepcji niemieckiego autora (choć zapewne nie stanowi ona jeszcze satysfakcjonującej odpowiedzi na wszystkie wątpliwości w dyskusji nad statusem kompetencji językowej). Tomasello stawia tezę, iż w pewnym momencie ewolucji pojawiła się jedna, ale za to kluczowa adaptacja<sup>11</sup>. Chodzi o powstanie zdolności rozumienia innych jako takich samych jak ja, którzy także dokonują wyborów, dążąc do celu. Jest to zdolność empatii czy też rozumienia intencji. Jest ona w sposób fundamentalny oparta na zdolności do podzielenia uwagi. Tomasello zwraca w tym kontekście uwagę na „rewolucję” dziewiątego miesiąca, kiedy to rodzi się zdolność podzielenia uwagi, dzieci stają się zdolne podążać za wzrokiem, pokazywać coś komuś, zwracać uwagę na to, na czym zależy rozmówcy. Te wszystkie umiejętności, pojawiające się w tym samym momencie, najprawdopodobniej nie są niezależnie wyuczonymi sekwencjami behawioralnymi. (Co więcej, u dzieci autystycznych „rewolucja” ta nie występuje i dzieci te mają problemy z nabywaniem języka). Od dziewiątego miesiąca dziecko zdobywa umiejętność brania udziału w tak zwanych *scenach wspólnych*, kiedy występuje intersubiektywnie podzielany kontekst tego, co wspólnie robimy. W tych momentach dziecko uczy się przyjmować zewnętrzną perspektywę, bez czego nie miałoby ono dostępu do świata symbolicznego. Przez przyjęcie perspektywy z zewnątrz dziecko uczy się zamieniania ról uczestników scen wspólnej uwagi. Wedle Tomasello symbole charakteryzuje bowiem intersubiektywność oraz to, że zawsze zawierają one perspektywę. Autor ten pisze: „użycie danego symbolu językowego implikuje wybór pewnego poziomu kategoryzacji, pewnej perspektywy czy punktu widzenia przyjętych wobec przedmiotu czy zdarzenia, oraz w wielu przypadkach wybór funkcji w kontekście” (Tomasello 2002, 160-161). Gdyby tak nie było, każda rzecz czy wydarzenie miałoby swoją jedyną nazwę. Tymczasem w obszarze języka mamy raczej do czynienia z wieloznacznością, ryzykiem interpretacyjnym i częstą niedookreślonością odniesień. Co więcej, ze względu na perspektywiczność symboli językowych, nie istnieje algorytm referencji. Kategoryzowanie i zakorzenienie (referencyjne) symboli w świecie jest bowiem bardzo słabe i odnoszenie się jest aktem społecznym. Jak z tego wynika, uczenie się języka wymaga w pierwszym rzędzie biegłości w interakcjach społecznych i przyjmowaniu cudzych perspektyw. Wedle niemieckiego autora posługiwanie się symbolami zmienia następnie naturę reprezentacji poznawczych człowieka. Dzieje się to na przykład w procesach internalizacji, kiedy uzyskujemy równoległą świadomość wielu różnych sposobów, na jakie można spojrzeć na dany obiekt. W efekcie powstają bardzo złożone i wyrafinowane umiejętności, takie jak samoregulacja i refleksyjność, czyli metapoznanie.

<sup>11/</sup> Jak zaznacza Tomasello, prawdopodobnie ludzie komunikowali się ze sobą w złożony sposób, zanim doszło do powstania umiejętności rozumienia innych jako istot intencjonalnych (Tomasello 2002, 277).

## Podsumowanie

Dzieci z całą pewnością są biologicznie przystosowane do nabywania języka, choćby dzięki odpowiednim zdolnościom głosowo-słuchowym, społecznym i poznawczym. Można jednak wyjaśniać, w jaki sposób uczą się one konstrukcji językowych specyficznych dla swojego języka, bez zakładania istnienia wrodzonej gramatyki uniwersalnej<sup>12</sup>. Samo modularyzowanie poznania ludzkiego jest kwestionowane, gdyż, jak się wydaje, przystosowania poznawcze człowieka są dużo bardziej plastyczne (Tomasello 2002, 274). Wyjaśnianie w kategoriach przystosowań genetycznych jest z całą pewnością szybkie i trudno je odrzucić na podstawie dowodów empirycznych. Często jest to jednak wygodna droga na skróty, jak sugeruje Tomasello.

O czym dokładnie mówimy, kiedy głosimy tezę genetycznej wrodzoności instynktu językowego? Czy jedynie tyle, że nie można rozważać języka bez badań nad mózgiem, że mówieniu towarzyszą procesy fizyczne? Czy chodzi o istnienie wrodzonych, konkretnych reguł gramatycznych? Czy może szerzej, o wrodzoną wiedzę: biologię, chemię, etykę i psychologię? Czy tylko o wrodzone mechanizmy uczenia się języka we wspólnocie i to na przykładach? Czy można jednoznacznie określić listę wrodzonych instynktów, modułów czy intuicji? W którym miejscu przekonywanie przestają być „intuicyjne” i „wrodzone”, a stają się nabyte? Jakie korzyści poznawcze płyną z biologicznego potraktowania języka oraz różnego rodzaju przekonań, oprócz tego, że możemy stwierdzić, iż nie powinna się nimi zajmować antropologia, a właśnie biologia (por. Pinker, Bloom 1990, 707)? Czy na podstawie tezy, iż nasze myślenie jest implementowane w mózgu, mamy prawo zakładać genetyczną transmisję wrodzonych mechanizmów nabywania poszczególnych przekonań czy obszarów wiedzy? Tomasello podkreśla:

Lokalizacja danej funkcji w mózgu może bowiem być wynikiem wielu różnych procesów rozwojowych, które wcale nie potrzebują genetycznej specyfikacji treści epistemologicznej. Na przykład pewna określona część mózgu może być odpowiedzialna za przetwarzanie szczególnie złożonej informacji i pierwsza pojawiająca się w rozwoju funkcja, która potrzebuje takiej mocy przetwarzania, umiejscowi się właśnie tam (Tomasello 2002, 270-271)

Wreszcie, czy zakładanie istnienia wrodzonych przestrzeni rozpoznawania podobieństw nie jest właśnie wygodną drogą na skróty?

Zwróćmy uwagę, że trudno jednoznacznie odpowiedzieć na te pytania analizując teksty Pinkera. W książkach *The Language Instinct* i *Tabula rasa* jego tezy są

<sup>12/</sup> Warto w tym miejscu dookreślić, że pytanie o wrodzoność instynktu językowego dotyczy nie warunków koniecznych (istnienia tego typu przystosowań umożliwiających nabywanie języka nikt chyba nie kwestionuje), ale warunków wystarczających, dostatecznych. Przy okazji serdecznie dziękuję wszystkim uczestnikom dyskusji podczas konferencji *Spór o status kompetencji językowej*, w tym także Robertowi Piłatowi m.in. za zwrócenie uwagi na tę właśnie kwestię.

bardzo śmiało, bardziej stonowane i zniuansowane są natomiast artykuły. Na przykład w artykule pisanym wraz z Bloomem, Pinker łagodzi swoje stanowisko zaznaczając, iż umiejętności językowe człowieka są tylko *po części* przystosowaniem biologicznym (por. Pinker, Bloom 1990, 773). Autor ten czasem też sobie przeczy pisząc, że interesują go wrodzone mechanizmy uczenia się we wspólnocie, a gdzieś indziej dodając, że dzieci *wynajdują* język na nowo, pokolenie po pokoleniu.

Jak starałam się pokazać, fakty empiryczne przytaczane przez Pinkera mogą być w różny sposób interpretowane. Zwróćmy też uwagę na pewne konieczne wewnętrzne powiązania między poszczególnymi tezami w koncepcji Pinkera. Jeśli bowiem przyjmujemy komputacyjną wizję umysłu, to musimy przyjąć też istnienie języka mentaleskiego. Jak bowiem wskazuje sam Pinker, język naturalny nie nadaje się do komputacji, jest zbyt rozmyty, kontekstowy, brakuje mu logicznej jasności, zawiera terminy koreferencyjne (Pinker 1994, 78-80). Przyjęcie istnienia języka mentaleskiego to zatem konsekwencja przywiązania do komputacyjnej wizji umysłu. Czy warto ponosić tego typu koszty? Wedle wielu przeciwników komputacyjnych koncepcji umysłu, zapewne nie.

Jak wiadomo, kwestionowane są też tezy gramatyki generatywnej oraz inne podstawowe założenia wyjściowe Pinkera, na przykład twierdzenie, że istotą języka jest jego komputacyjna natura, a reguły gramatyczne mają charakter zero-jedynkowy. Jak podkreśla choćby Dan Sperber, założenie Pinkera, iż język koduje struktury propozycyjalne zostało odrzucone przez pragmatykę językową z wielu powodów empirycznych. Zdanie koduje bowiem jedynie *niepełne* struktury pojęciowe, które muszą być zawsze kontekstowo i inferencyjnie uzupełniane i konkretyzowane (Sperber 1990, 757).

Przyznać należy, iż różny zestaw założeń wyjściowych jest rzeczą naturalną, kiedy mamy do czynienia ze sporami teoretycznymi dotyczącymi jakiegokolwiek kwestii w polu badań stosunkowo słabo ustabilizowanym. Jednak retoryka samoczywistości Pinkera zamazuje te niuanse, nie pozwalając Czytelnikowi na dyktans do prezentowanych przez autora hipotez<sup>13</sup>. I tę jedną rzecz można śmiało Pinkerowi zarzucić.

<sup>13/</sup> Nie wszyscy badacze piszą w ten sam perswazyjny sposób. Często czytamy wszak na marginesie, iż czyjaś opcja nie jest jedyną z możliwych, że istnieją poważne kontrowersje i dyskusje w poszczególnych obszarach. Wielkie znaczenie ma także przedstawianie *explicite* swoich założeń, przesądów i afiliacji teoretycznych. Z drugiej strony, jak sądzę, nie ma tekstów bez retoryki, czy też ukrytych lub jawnych wyborów, często zakorzenionych etycznie bądź ideologicznie. Jednak sam Pinker zapewne nie zgodziłby się z tą tezą, gdyż niejednokrotnie głosi zalety podejścia *naukowego*, jako osiągniętego (w wybranych przypadkach, rzecz jasna) niekwestionowany obiektywizm.

## Bibliografia:

- Gopnik, Metzloff, Kuhl 2004 – A. Gopnik, A.N. Meltzoff, P.K. Kuhl *Naukowiec w kołysce. Czego o umyśle uczą nas małe dzieci*, przeł. E. Haman i P. Jackowski, Media Rodzina, Poznań 2004.
- Haith 1998 – M. Haith *Who Put the Cog in Infant Cognition? Is Rich Interpretation Too Costly?*, „Infant Behavior & Development” 1998 nr 21 (2), s. 167-179.
- Pinker 1994 – S. Pinker *The Language Instinct. The New Science of Language and Mind*, Penguin Books, London 1994.
- Pinker 1996 – S. Pinker *Worlds and Rules. The Ingredients of Language*, Basic Books, New York 1996.
- Pinker 2002 – S. Linker *Jak działa umysł?*, przeł. M. Koraszewska, Książka i Wiedza, Warszawa 2002.
- Pinker 2005, S. Pinker *Tabula rasa. Spory o naturę ludzką*, przeł. A. Nowak, Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne, Gdańsk 2005.
- Pinker, Bloom 1990 – S. Pinker, P. Bloom i kom. *Natural language and natural selection*, „Behavioral and Brain Sciences” 1990 nr 13, s. 707-784.
- Pinker, Jackendoff 2003 – S. Pinker, R. Jackendoff *The Faculty of Language: What's Special about it?* <http://people.brandeis.edu/~jackendo/lgspecialnov03.doc>, 07.09.2005.
- Sperber 1990 – D. Sperber *The evolution of the language faculty: A paradox and its solution*, „Behavioral and Brain Sciences” 1990 nr 13, s. 757-759.
- Tomasello 1990 – M. Tomasello *Grammar yes, generative grammar no*, „Behavioral and Brain Sciences” 1990 nr 13, s. 759-760.
- Tomasello 2002 – M. Tomasello *Kulturowe źródła ludzkiego poznawania*, przeł. J. Rączaszek, PIW, Warszawa 2002.

## Abstract

Ewa BIŃCZYK,  
Nicolaus Copernicus University (Toruń)

## Steven Pinker vs. Michael Tomasello in a dispute on the status of linguistic competencies

Using the example of dispute on the status of linguistic competencies, being key for language researchers, the text embarks on the issue of alternative interpretations of so-called 'empirical data'. Groundlessness of a rhetoric of 'scholarliness' and 'objectivity', as can be found in Steven Pinker's texts, is indicated. Pinker has several times formulated 'empirical arguments' testifying to innateness of a language instinct. He has referred to data

## Dociekania

from various areas, including research on cognition in babies or language acquisition. The present article aims, among others, to show that there are *alternative* ways of interpreting such data, which indeed can be reconciled with diverse concepts of language. An exemplary opposing concept is Michael Tomasello's approach. Reference is also made to an article by Marshall M. Haith, which explicitly points out to a risk of overinterpretation of laboratory test results concerning cognition in babies.

# Interpretacje

**Piotr SOBOLCZYK**

Hermetyczne pornografie Białoszewskiego

Jednym z tak zwanych „Wielkich Tematów” literatury – literatury Zachodu – które prawie nie występują w twórczości Mirona Białoszewskiego, jest temat miłosny<sup>1</sup>. Badacze nigdy nie poświęcali temu zagadnieniu specjalnej uwagi. Może wychodzili z założenia, że po co mówić o czymś, czego nie ma, może widzieli tyle innych ważnych tematów do poruszenia, może wreszcie niekiedy lękali się, na jakie manowce mogłyby ich zawieść rekonstrukcje szczątków „dyskursu miłosnego” w tej twórczości, manowce – ktoś woli słowo „marginesy” – oczywiście homoerotyczne. Twórca swobodnie poruszał się wśród różnych mitów swojej kultury, zajmując zresztą wobec nich często pozycję outsiderską, a przez to ciekawą, pozwalającą bowiem rozpoznać elementy „wspólnego świata”, a zarazem wydobywającą nowe z nich znaczenia.

Zagadnienie wątku miłosnego staje się tym pikantniejsze, że młody poeta od niego właśnie zaczynał. Znane nam juvenilia to między innymi ekspresjonistyczny z ducha (w stylu Kasprowiczowskich *Hymnów*) poemat *Jerozolima* o tragedii getta, datowany na rok 1943<sup>2</sup>. W podobnym stylu utrzymany jest poemat *Sherzo h-moll* z 1945, będący podniosłym zapisem muzycznych uniesień. Pozostałe trzy znane wiersze pochodzą z 1946 roku i są erotykami. We wszystkich trzech adresat jest nieobecny fizycznie, ale wywoływany z pamięci, powtarzającym się słowem jest tęsknota, akcentowana jest nastrojowość w młodopolskim duchu. Na przykład wiersz o tytule *Ty – tęsknota*:

---

<sup>1/</sup> Por. D. de Rougemont *Mity o miłości*, przeł. M. Żurowska, Czytelnik, Warszawa 2002, zwł. s. 14–34, 221.

<sup>2/</sup> Ogłoszony w „Poezji” 1985 nr 12, s. 3–4.

Wieczór jest pełen białej ziemi  
I czarnego nieba  
I teraz już wiem

przez drzewa

wyciągające szronowe palce  
gałązek  
że we mnie trwasz

Nad kopułami krzewów  
Okrytych chochołami śniegu  
Unoszę twój wzrok

Zaczynam rozumieć w tę noc  
bez gwiazd  
że trzeba mi stworzyć Twój głos  
nad wiatr

Opuszczam głowę,  
Aby dotknąć włosami wizji Twoich rąk.  
Czy wiesz, że mi zimno,  
Że mi brak – tych rąk  
I dopóki nie zamienię ich ustami w dotyk,  
Przestrzeń nie będzie inną  
Od teskotny<sup>3</sup>

Samotny spacer przy sprzyjającej zadumie zimowej pogodzie i poczucie braku skłaniają „miłującego” do odtwarzania „miłowanego”: „trzeba mi tworzyć Twój głos”; ale jednak – nie tworzyć, a odtwarzać, ponieważ „we mnie trwasz” – „noszę cię w sobie”, inaczej mówiąc. Być może dlatego może „unieść twoją twarz”; zwróćmy jednak uwagę, że tym razem, inaczej niż w całym wierszu, zaimek dzierżawczy jest pisany małą literą – może więc „twoją twarz” oznacza twarz samego miłującego, który się „oddał” „umiłowanemu”. „Noc bez gwiazd” może oznaczać noc bez przepowiedni, bez „przewodniczek”, tak jakby niejasna była przyszłość tego związku i być może „miłujący” ma pozostać już tylko z przestrzenią wypełnioną „tęsknotą”. Cóż, trochę cynicznie można powiedzieć, że czas zweryfikował tę myśl zakochanego dwudziestoczoletniego poety, ponieważ w jego późniejszej twórczości przestrzeń jest zwykle całkiem „inna od tęsknoty”, mimo że nie opisywał, jak „zamienia dłoń kochanka ustami w dotyk”. Podobny przyrodniczy krajobraz i motyw samotnego spaceru pojawia się w wierszu o incipicie *Cóż z tego...*:

Cóż z tego, że ziarna gwiazd  
Rozsypią się o zmierzchu?  
Dzień – czy wieczór  
To tylko blask – czy ciemność  
Nic więcej

W szarych chodnikach  
Jak w popiołach  
Wiem, że Twój ślad za śladem  
Ale nie zdołam  
Odgrzebać

Nie wiem, co teraz robić  
Mam takie kamienne nogi  
I takie próżne ręce  
Że wśród fal ciepłego powietrza  
Zabłąkam się w miejscu

A jak spytam w nieba ogrom  
Czy mam?  
Odpowiedzą mi zielone oczy gwiazd:  
– Nikogo<sup>4</sup>

Motywy gwiazd koresponduje z poprzednim wierszem, gdzie ich nie było, tutaj zaś ich obecność okazuje się obojętna. Co się okazuje ze strony poety niekonsekwentne, skoro w poinczie wiersza to „gwiazdy wydają nad nim sąd”, by sparafrazować znany wiersz Tadeusza Micińskiego, zapewne czytowanego podówczas przez Białoszewskiego. To mianowicie gwiazdy, ich obecność, zielone światło (ciekawe, dlaczego „zielone”), podkreśla brak „umiłowanego”, jego nieobecność. Prawdopodobnie opisany spacer odbywa się po trasie dawniejszych wspólnych spacerów, chodzenia po „śladach”, dlatego chodnik zmienia się w „popiół”, który tradycyjnie „jest symbolem przemijania wszystkiego, co ziemskie, symbolem śmierci, rozpadającej się w proch materii”, a także, w symbolice chrześcijańskiej, która nigdy nie była Białoszewskiemu obca, choć w późniejszej twórczości zwykle reinterpretowana, pokory, pokuty, skrucy<sup>5</sup>. „Popiół” oznacza tu właściwie trupa „umiłowanego”, którego nie można „odgrzebać”; gdzieś w tle tego skojarzenia tli się o g i e ń, może jako symbol miłości, która się wypaliła lub coś – spaliła. Oryginalniejszą scenerię ma ostatni wiersz z lipca 1946 roku, poeta podkreślił rozstrzelonym piśmem przy dacie słowo „w i e c z o r e m”:

Ta droga która dawniej  
Ale wspomnienie śniegu jakby jakieś życie odeszło  
Teraz – pod ciepła rozkołysaniem  
Na miejscach brudnego lodu wzmacnia się zielsko.

Jedna, a dwie obce sobie ziemie: żywa-martwa,  
Tylko te same gruzy zwarte w popiół-w horyzont;  
na zachód Mleczną Drogę latarni  
i morze czerwone nad nimi widząc,

idę zawsze, nawet – gdy nie wiem,  
czuję Twe oczy, nawet inną myślą.  
Wydź naprzeciw zielonych ruin i światła brzegiem,  
póki zorza... bo później możemy się minąć bardzo blisko.<sup>6</sup>

4/ Tamže.

<sup>5/</sup> H. Biedermann *Popiół*, hasło w: *Leksykon symboli*, przeł. J. Rubinowicz, Muza, Warszawa 2005, s. 292–293.

<sup>6/</sup> „Poezja” 1987 nr 9.

To sceneria zburzonego miasta, ruin i gruzów – nie są one jednak istotne same w sobie, gdyż zostały podporządkowane obrazowi „zrujnowanego” związku. Podobnie jak w poprzednim wierszu, mamy obraz śmierci „umiłowanego” – „jakby życie jakieś odeszło” – i spaceru drogą, którą kiedyś (być może razem) już się szło. Druga strofa wydaje się alegoryczną wypowiedzią na temat przyczyn rozstania, ma charakter hiperboliczny, gdyż do wypowiedzenia sądu o różnicy pomiędzy oboma kochankami zaangażowana jest kosmologia dwuplanetarna oraz Mleczna Droga i „morze czerwone”; w istocie jednak chyba mamy tu do czynienia pierwszy raz z tym typem hiperboliczno-kulturowych metafor, które często pojawiają się w *Obrotach rzeczy*, jak „Leonardy min”, „harmoniki Noego”, „abażurów Don Kichot”, „kożuchów złote Homery” itd.; postrzegana rzeczywistość zaczyna się domagać u Białoszewskiego uwznioślenia, tu – szeregu latarni i ich poświaty, ale ponieważ cały wiersz ma charakter wzniosły, nie powstaje efekt zaskoczenia, hiperbolizacji zwykłości, jaki znamy z debiutanckiego tomu zwłaszcza. Porównując te wczesne wiersze z późniejszymi, można zauważyć, że pozostaje potrzeba uwznioślenia, uświęcania, przemiany, a nawet – mityzacji rzeczywistości, jednakże zmienia się przedmiot, zmienia się też nastrój, i co za tym idzie, styl. Młoda Polska zastępuje „awangarda”, umownie mówiąc, a sentymenty przestają być w cenie.

Pamiętajmy, że debiutancki tom Białoszewskiego układał Artur Sandauer, który licząc wstecz od momentu wydania książki, znał Białoszewskiego dwa lata i miał najdosłowniej ż y w y wpływ na rozwój poety. Spotkali się w dobrym momencie, ponieważ w 1952 roku, jak sam poeta wspominał, ostatecznie odrzucił poprzedni styl i zaczął pisać „tak jak chciał”. Pierwsze satysfakcjonujące wiersze to *Szare eminencje zachwyty* i *Zielony: więc jest*, wyznaczające niejako dwie obecne w *Obrotach* tendencje (nie licząc wierszy rzeszowskich) – uwznioślenia przedmiotów i nurt filozoficzny. Owa poezja uwzniośleń szła właśnie taką drogą. W pierwszych wierszach i poematach uwznioślenie było właściwie tożsame z emfazą, potem zaczęło się uświęcanie zakurzonych miejsc ocalałych z wojny gdzieś na prowincji, by wreszcie przenieść to spojrzenie – a często też litanią formę – na przedmioty. „Przy okazji” jednak coś się wydarza: znika „po drodze” owo Ty, bliski człowiek. Jeśli bowiem mamy w *Obrotach rzeczy* człowieka – to opisywanego z dystansu, obserwowanego, zwykle zresztą z ironią: madonny na karuzeli, panna i plebejusz leżący w krzakach, podpici „pasterze” w stajence-budce z piwem. A więc są to obrazki, scenki rodzajowe. Jedno możliwe wyjaśnienie niech będzie takie, że Sandauer, pragnąc odrodzenia awangardy, jako odtrutki na socrealizm (a współdziałał tu z Przybosiem), chciał „Białoszewskiego reistycznego, antysentymentalnego” i możliwie – „odhumanizowanego”, według formuły Ortegi y Gasset<sup>7</sup>. Ale możliwe jest także wyjaśnienie biograficzne. Do 1951 roku pisarz był zatrudniony w redakcji „Świata Młodych”, skąd został zwolniony na polecenie UB i na pewien czas aresztowany. Jak wspominała jego ówczesna przyjaciółka, Krystyna Garwolińska-Błaszczukowa:

<sup>7</sup>/ J. Ortega y Gasset *Dehumanizacja sztuki*, w: tegoż *Dehumanizacja sztuki i inne eseje*, przeł. P. Niklewicz, wyb. i wstęp S. Cichowicz, Czytelnik, Warszawa 1980, s. 278–322.

został zwolniony ze *Świata Młodych* na polecenie Urzędu Bezpieczeństwa. [...] Był – na krótko – aresztowany. Dodatkowym powodem zwolnienia stały się podobno także skłonności homoseksualne pracownika pisma harcerskiego. Wydarzenie to poprzedziła wizyta w redakcji młodego mężczyzny, który tajemniczo wywoływał „na kawę”.<sup>8</sup>

Inni przyjaciele uzupełniają, że donos złożyli fałszywi przyjaciele poety. Po tym wydarzeniu nie mógł znaleźć pracy i, zdaje się, pogrążył się w depresji, siedział w domu, a ponieważ głodował – często leżał i dużo palił, żeby lepiej znosić głód. Bardzo możliwe więc, że jego wyobraźnia wycofała się od ludzi i skierowała w stronę przedmiotów. Zwłaszcza że te nabierają innych wyglądów, gdy się długo l e ż y, a więc nie wykazuje wobec nich stosunku utylitarne, a estetycznie kontemplacyjny. Zresztą z pozycji leżącej – i po ciemku, bo Białoszewski zwykle spał w dzień, nie spał w nocy – zmienia się perspektywa, przedmioty mogą się wydawać na przykład większe, niż są. Jest to pewna hipoteza, którą potwierdzałyby albo która potwierdzałaby świetną formułę Jerzego Kwiatkowskiego o przemianie abulii w liturgię<sup>9</sup>. Ludzkość – bo pojawia się w *Obrotach rzeczy* ludzkość, nie „człowiek” – znajduje się niżej (poeta w mieszkaniu), ich świat jest obcy i budzi zdziwienie<sup>10</sup>.

Podobna pod tym względem jest również *Ballada o zejściu do sklepu*, gdzie zejście na dół, do miasta, budzi niesłychane zdumienie, zwłaszcza w zetknięciu z ludźmi, którzy chodzą, mijają, szumią torbami i mówią. Ten rodzaj zdziwienia może się pojawić u kogoś, kto dawno tego nie obserwował. Zwraca się do adresatów, którzy mają inne niż on doświadczenie: „Żałujcie, / żeście nie widzieli, / jak ludzie chodzą, / żałujcie!”<sup>11</sup>. Dlaczego owo Wy ma żałować? Dlatego, że w ogóle nie chodzi po ulicach? Nie: ponieważ Wy jest zorganizowane jako sieć „znajomych znajomych”, tutaj zaś podmiot nie ma „znajomych”, co pozwala mu spojrzeć na ludzi jako reprezentantów zgoła innego gatunku; a także dlatego, że zejście scho-

<sup>8</sup>/ Miron. *Wspomnienia o poecie*, red. H. Kirchner, Tenten, Warszawa 1996, s. 122. O przeżyciach związanych z zatrzymaniem poety nigdy nie mówił wprost, ale sądzę, że do nich odnosi się w następującym fragmencie *Rozkurzu*: „Jak tylko gorzej mi się powodzi i ze sobą świadomym toczę grę o dobrą minę, to podświadomość zaczyna się rządzić w moich snach w sposób bezwzględny. Syntetyzuje mi to wszystko w tortury, szantaże i ostatecznie w powstanie. Powstanie zawsze na mnie czyha” (M. Białoszewski *Utwory zebrane* (dalej w przypisach jako UZ), t. 8: *Rozkurz*, Warszawa 1998, s. 130). Buduje tutaj niejako „archeologię snu”, schodzi w coraz głębsze – i traumatyczniejsze – doświadczenia w porządku odwrotnej chronologii.

<sup>9</sup>/ J. Kwiatkowski *Abulia i liturgia*, w: tegoż *Klucze do wyobraźni*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973, s. 158–205.

<sup>10</sup>/ Por. tytułowe *Szare pytanie* w poincie: „Jakiż blask / zaćmił mi okno? // Co tam słyszać / dziś / w dole miasta? // Który to dzień stworzenia świata / i jakich ludzi?” (UZ, t. 1: *Obroty rzeczy. Rachunek zaściankowy. Mylne wzruszenia. Było i było*, PIW, Warszawa 1987, s. 108).

<sup>11</sup>/ Tamże, s. 120.

dami („ach, wyobraźcie sobie, / schodami”) nie stało się dla nich magicznym aktem, rytmem przejścia, było pozbawione charakteru transgresyjnego. Jest to ironiczne nawiązanie do mitu zejścia do piekieł. Dlatego w poince możliwość powrotu okazuje się cudem: „No naprawdę / naprawdę / wróciłem”. Występuje tutaj niejaki „podniesienie” poprzeczki, metaforycznie mówiąc, czyli perspektywy: to podłoga w mieszkaniu (na piętrze) jest ziemią. To, co poniżej – jest piekłem. Wiersz ten jest jednym z ostatnich w zbiorze i być może ma zapowiadać wyjście ku ludziom, które następuje w *Rachunku zachciankowym*<sup>12</sup>.

Mimo to w *Obrotach rzeczy* znajduje się kilka miejsc odstających od ogólnej tendencji. Trzeba jednak pamiętać o tym, że ich „odmienność” była w recepcji rozmaicie „neutralizowana”. *Autobiografia* otwiera cykl „Autoportrety”. Mamy tu do czynienia z opisem stanu lękowego spowodowanego myślą o wyjściu z mieszkania. Zwróćmy uwagę, jak brzmi pierwszy wers: „Któż tak smutno się trzęsie na moich powiekach?”<sup>13</sup>. Zaczyna się od wspomnienia jakiegoś Ty, tęsknego, jak w najwcześniejszych wierszach (*Autobiografia* powstała w 1952), podobna jest zarówno tonacja, jak i stylistyka, nawet pewne słowa się powtarzają: „i warto wyrzucić ten garnek z popiołem”, garnek z popiołem symbolizuje tutaj pamięć, jest poniekąd – urną. To pod kilkoma względami najosobliwszy wiersz w tomie. Na samym początku następuje wyznanie i wątpliwość: „Po cóż mam rzępolić / westchnieniami, / zawieszony na strunie / tego, co by się chciało, / a nie można?... / Po cóż szamotać się w krzaku / własnego serca?”<sup>14</sup>. Westchnienia, popiół, łyż w oczach – wszystko to jest powiązane tutaj z klimatem sercowym i niemożliwością. Takie jest otwarcie poematu; dodatkowo zwróćmy uwagę, że w obrazie szamotania się w krzaku serca znajduje się aluzja do *Snu srebrnego Salomei*, a więc poetyki romantycznej. Kwiatkowski, pisząc o tym wierszu, mówi o odwadze intelektualnej w wyrażaniu takiego uczucia, które od czasu Młodej Polski się nie pojawiało. Jednakże odwaga ta nie polega na tym, że Białoszewski powraca, nawiązuje bezpośrednio do Młodej Polski – ponieważ, zdaniem krytyka, Młoda Polska patetyzowała ten stan, u Białoszewskiego zaś mamy drwinę raczej czy groteskę<sup>15</sup>. Czyżby? Nie sądzę. Wydaje mi się, że Białoszewski nie tylko powątpiewa w sens *m y ś l e n i a* o raniącej strunie „tego, co by się chciało, a nie można”, ale mówi w tej frazie również o tym, że może chciałby powiedzieć o czymś innym, a czuje, że nie może. Tyleż ze względu na temat, co na formę. „Rzępolenie” nie oznacza wejścia w przestrzeń grotesku i dystansu, raczej rezygnację. Kwiatkowski niejako broni tutaj poety przed zarzu-

tem o sentymentalizm, który to właściwie do chwili obecnej nie bywa w centrum dyskursu, gdzie powściągliwość czy wręcz „wstyd uczuć” są uważane za bardziej artystyczne niż ich ekspresja; dowodem na to jest choćby także Kwiatkowskiego odczytanie Wojaczka. W *Autobiografii* zderza się wczesna, sentymentalna, erotyczna poetyka i na oczach czytelnika przechodzi w „dojrzałe” *Obroty rzeczy*, co pociąga za sobą również – samotność. Jest to wizyjny „spacer po mieście”, ale bez jakiegokolwiek miłosnego rozpamiętywania. Co dalej widzi w wierszu Kwiatkowski, a za jego sugestywną interpretacją inni komentatorzy? Dynamiczną wizję miasta, kojarzącą się z malarstwem futurystycznym i surrealistycznym, elementy ekspresjonistycznego obrazowania, skojarzenia katastroficzne. Krótko mówiąc, środki zaczerpnięte z różnych awangard. Być może dlatego Sandauer „dopuścił” ten wiersz. Emocjonalność pojawia się także w utworze *My rozgwiezdzy*, praktycznie niekomentowanym. Odnajdziemy w nim tęsknotę, która w najwcześniejszej poezji Białoszewskiego jawiła się jako kluczowe – obok zachwyty – *u c z u c i e*, chociaż maskowane. Ale inny jest już sposób wyrażania go, bliski awangardowej technice ekwiwalentyzacji. W niesentymentalnej poetyce Ty pojawia się także w *Liryce śpiącego*<sup>16</sup>. Ale znów, o czym pisałem gdzie indziej<sup>17</sup>, wiersz ten dawał się łatwo zneutralizować jako „nieerotyk” wskutek przekonania, że owo Ty to tak naprawdę Ja, które jakby pęka na dwa aspekty, leżącego na łóżku i latającego nad sobą. Oczywiście, że można i tak: można wywodzić, że „mój leżący na dnie” oznacza *le moi profond*, że moc bycia „wszystkimi-byle-nie-tobą” to tak naprawdę niemoc bycia sobą, zwłaszcza w stanie snu, ponieważ wtedy nie kontroluje się siebie; wreszcie, że słowa „jawny” i „przytomny” odnoszą się do tego stanu, gdy Ja jest tylko Ja, zaś ich zaprzeczenia – „niejawny” i „nieprzytomny” – do tego, gdy z Ja wydziela się Ty. Dlaczego jednak nie miałyby to być „Ty erotyczne”? Dlatego, że jest jawnie męskie?<sup>18</sup> Ale zatarcie granicy pomiędzy kochankami tej samej płci, zwłaszcza w czasie snu, podobnie jak poczucie „bliskiego oddzielenia” przynależy do mitologii homoerotycznej. Oczywiście, czytelnikom z 1956 roku coś takiego chyba by nie przyszło do głowy, nawet gdyby zaświtało w nich jakieś „podejrzenie”, zracjonalizowałyby je instancją „cenzury obyczajowej”: „nie, to by przecież nie przeszło”. Dlatego właśnie wiersz ten „przeszedł”.

Najwyraźniej Białoszewski zrozumiał – lub wytłumaczono mu to – że po prostu „nie może” pisać o miłości w tonie sentymentalnym ze względów estetycznych, natomiast ze względów tzw. obyczajowych nie może „ujawnić prawdy swojej prawdziwej miłości”, by posłużyć się cytatem z Luisa Cernudy, hiszpańskiego poety,

12/ Oto fragment rozmowy ze Zbigniewem Taranienko: „Z.T.: Tematem pierwszych tomików były rzeczy, przeżycia i język. / M.B.: I już ludzie w drugim tomiku” (Wywiad *Szacunek dla każdego drobiazgu*, w: Z. Taranienko *Rozmowy z pisarzami*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1986, s. 401).

13/ UZ, t. 1, s. 97.

14/ Tamże.

15/ J. Kwiatkowski *Abulia i liturgia*.

16/ UZ, t. 1, s. 91.

17/ W szkicu *Mirona Białoszewskiego „Sen”*, stanowiącym referat wygłoszony na konferencji o oniryzmie i baśniowości, Łódź 2003 (w druku). Omawiam tam rzadko przedrukowywany i nieomawiany zwykle wiersz *Sen*, jawnie homoerotyczne wyznanie miłosne do tragicznie zmarłego kochanka.

18/ Na podobnej dwutorowej zasadzie można czytać także wiersz *Do NN\*\*\**, oczywiście również jako „traktat epistemologiczny”.

który złamał tę zasadę już w 1931 roku<sup>19</sup>. Ale to tylko jedna z dróg. Federico García Lorca nigdy nie mówił wprost, w opublikowanych pośmiertnie *Sonetach ciemnej miłości* ową „ciemną miłość” (ukrytą) można wypowiadać tylko przez ściśnięte gardło (metafora „cienia w gardle”). Cocteau w publikowanych wierszach używał form żeńskich i jest to powszechna tendencja. Białoszewski postąpił dość oryginalnie, ale dopiero w *Mylnych wzruszeniach*. Nie poszedł w modernistyczne uduchowienie i szyfrowanie. Przeciwnie, postanowił zobaczyć, jak by to było, gdyby mówić całkiem wprost. Nie o tym, że się kocha, kogo kocha, jak bardzo kocha itd., tylko przedstawić miłość najnaturalniej w świecie jako codzienne bytowanie dwóch mężczyzn. W *Opiekunka? Tyle lat że ktoś taki, taka jest! i że się go, ją zobaczyło!* z tomu *Było i było* obserwujemy spacer „Nowym Światem / z Adasiem”, w trakcie którego następuje wzruszenie się tym, że jakaś pani pielęgnuje kwiaty. Brzmi to może dosyć „pedalsko”, ale czytając ten wiersz, można zupełnie tego nie zauważyć, zwłaszcza że – jak to u Białoszewskiego – „wzruszenia” są już „mylne”, ironiczne. Białoszewski odkrywa, że można spisać coś całkiem na serio, co dla kręgu „wtajemniczonych” będzie czytelne, a dla pozostałych, mocą wiążącej ich konwencji społecznej, nie. I tak spacer dwóch mężczyzn jest spacerem dwóch „przyjaciół bez podtekstów”. Ale kryje się za tym głębsza myśl, jak sądzę: Białoszewski niejako odwraca tradycję literacką Zachodu, w której miłość zwykle była w literackim zapisie uwznioślana, hiperbolizowana, umiastyczniana, mistyfikowana, sublimowana; rzadko natomiast przedstawiana jako „wspólne bytowanie”. Jak widzieliśmy, Białoszewski w swoich początkach był posłuszny konwencji uwznioślenia – i jeśli mam rację, że następnie odczuł, iż z różnych względów „nie może” już tak pisać, jako ironista spróbował zająć pozycję „obok”, znaleźć sobie niszę. Mimo tego serio, mimo wprowadzania elementów odrobinę sentymentalnych, pojawia się – nie wiem, na ile intencjonalnie, na ile mimochodem, swoista ironia, tak jak w wierszu *Z dziennika – miłośnika*:

Po wyrwaniu się na spacer po  
dawnemu Burakowie po dzisieju  
Zatrasiu (– co za nazwa! – mówi  
...Owa jak jej to doniosłem – nazwę –  
jak jeszcze żyła  
– zade? – pytam – przy-  
chodzi? do głowy?...  
– no pewnie! – a była  
bardzo porządna)  
więc wracam  
stęskniony  
za mieszkaniem  
z tobą

<sup>19/</sup> L. Cernuda *Un río, un Amor. Los Placeres Prohibidos*, ed. D. Harris, Madrid 1999, s. 95. W moim przekładzie wiersz ukaże się we „Frazie” wraz z esejem *Rzeczywistość i Pożądanie Luisa Cernudy*.

mówię:  
– zmienię ci wodę w popielnicze –  
zmieniam, za długo, wpadasz,  
oblewasz  
– już to już! –  
przepraszam cię:  
– nie wiedziałem  
znów mnie natchnęło w łazience,  
woda, radio, wołasz:  
– chodź! Koterbska...  
lecę, śpiewa, nie słuchamy,  
mówisz:  
– całe się nie miałem złościć  
– tak?? to dobrze, bo myślałem...<sup>20</sup>

„Scenka z pożycia”, tak by to można określić, jakaś kłótnia w tle, wyjście jednego z partnerów z domu, powrót, próba naprawienia błędu, pogodzenie. Ja zawsze słyszę w tym wierszu czułość, ale zdaję sobie sprawę, że zarazem jest w nim coś ironicznego, taki „miłosny banał”, do tego to pogodzenie przy piosence Koterbskiej (to jest jedyny bodaj raz, kiedy Białoszewski mówi o muzyce innej niż klasyczna!), ale chyba takie napięcie jest celowe: może ma zwracać uwagę, że zapis „zwykłego” bycia ze sobą, „miłosnych scenek”, z zewnątrz najczęściej wydaje się śmieszny, mimo że dla uczestników scenki jest całkiem poważny. Białoszewski testuje tutaj „mówienie wprost” i okazuje się, że chyba zgodnie z jego przypuszczeniem, mało kto się zorientował; potwierdzają to w każdym razie dzieje recepcji. Badacze *Było i było* zastanawiali się głównie nad żywiołem narracyjnym i żywiołem mowy, pisali, że poeta podsłuchuje kaleką mowę, z czego wynikało, że to, o czym pisze, jest w zasadzie drugorzędne czy zgoła nieistotne, bo chodzi o formę<sup>21</sup>. Jakie warunki należało (należy?) spełnić, aby być „wtajemniczonym”? To dość proste: być czytany w Białoszewskim i znać jego wyobraźnię językową; wiedzieć, że TO może się pojawić; i, co wynika z poprzedniego, nie wstydzić się TO zauważyć i sobie dopowiedzieć, dointerpretować.

Podobne opowieści pojawiają się w późniejszych książkach, między innymi cykl *Wiersze dla Le. So.*, na przykład o tym, jak sobie gotują ryż, albo opowieści z *Donosów rzeczywistości* o Redemptoryście Albertynku, jawnie zniewieściałym, o wizycie

<sup>20/</sup> UZ, t. 1, s. 380.

<sup>21/</sup> Oczywiście, prócz Sandauera, tacy czytający jak Sławiński czy Barańczak z pewnością świetnie wiedzieli, o czym jest mowa, ale woleli milczeć. Albo dlatego, że nie uważali tego za istotne, albo w domniemanej trosce o dobro poety, albo w trosce o czystość dyskursu naukowego. Inni krytycy natomiast mogli nie wiedzieć, w istocie Sławiński i Barańczak w swoich analizach mechanizmów językowych dopiero pokazali, także innym, „czym to się je”, bełkotliwe zdania przekształcili w komunikaty, pokazali – powiem pół-żartem – „reguły rekurencyjne” wyprowadzania sensu z tych zapisów, a więc przyczynili się poniekąd także do takich możliwości czytania.

księdza we wspólnym mieszkaniu Leszka Solińskiego i Białoszewskiego czy prze-  
zabawna opowieść z *Szumów, zlepow, ciągów* o przyjeździe Mary Paluskiej, krew-  
nej Solińskiego ze Stanów, przed którą zostaje rozwinięta cała akcja „maskowania  
się”, udawania, że się jest tylko „kolegami”. Jest takich opowieści u Białoszew-  
skiego całkiem sporo, przedstawię krótką antologię prozatorskich cytatów z *Dono-  
sów*. Trzeba tylko zastrzec, że od tej chwili nie będzie „powrotu do niewinności”,  
a formuła „wyrwane z kontekstu” niewątpliwie wydobyć „pornograficznych” zna-  
czeń sprzyja; każdy więc we własnym sumieniu lekturowym rozważy, czy wcześ-  
niej, czytając *Donosy*, wiedział, o co chodzi:

– Misio jest szlachcic. Szlachcic. Bo ma rów przez dupę

*Leon o Holendrze*<sup>22</sup>

W tych rozmowach malarskich czasem Le. So. spojrzal znacząco na Jasia. Coś mu się  
zdawało. No i Jasio mrugnął okiem. Ale jak to mówił Le. do Lu., to Lu. powiedział, że to  
nic nie znaczy.<sup>23</sup>

– Latają i pukają. Nic, tylko im otwierać, podawać herbatę, kawę. Gniatliby te kufy na  
kanapie, palili papierosy. Ja przecież potrzebuję malować. Potrzebuję sobie tylek opo-  
rządzić.<sup>24</sup>

– Dupska takie urosło – mówi Le. – Sam mówi, że zgrubł, zad niepotrzebny. Mały. Buty  
z cholewkami, na pół tydek, z jakimś kotem. Ta niby-skóra. Stoi w lustrze. Obraca się  
i pyta mnie „ładny jestem? w tym skaju? jeszcze się mogę spodobać, prawda?” [...] Ubie-  
rze to sweterek, to koszulkę siatkową uwidaczniającą, to okular przeciwśięzycowy, to  
blezer bezklapowy, teka pod pachą, raz był nawet w sutannie.<sup>25</sup>

– Prosiłem Włodka: „rozbierz się i wleź do łóżka.” To on na to oburzony: „Co ty, lałę ze  
mnie chcesz zrobić?” Ja go proszę i mówię: „bo będziesz żałował, jestem w afekcie.”<sup>26</sup>

Sądzę, że w przypadku prozy Białoszewskiego, ale i sięgając wcześniej, rów-  
nież do wierszy z *Było i było*, można mówić o fuzji dwóch elementów, z których  
tylko jeden został dobrze rozpoznany. Mianowicie, fuzji potocznego „życiozapi-  
su”, z pozoru „jak leci”, a w istocie zapisu kontrolowanego, w którym obserwacja  
tego, co rzeczywiste, tego, co się zdarzyło, jest: teatralizowana, kabaretizowana,  
wreszcie – karpowana<sup>27</sup>. Tylko że swoją kontrolę, swój „podmiotowy dyktat” nad

22/ UZ, t. 4: *Donosy rzeczywistości*, s. 54 (proza *Leon*). Chodzi o Henka Proeme, partnera  
Leszka Solińskiego i później jego legalnego męża.

23/ Tamże.

24/ Tamże, s. 93 (proza *Blokada*). Wypowiedź Le.

25/ Tamże, s. 94. Na s. 100 Miron opowiada, jak się „pozbył” niejakiego Marka, którego  
czasem tylko wpuszcza: „Leci na pieniądze. A potrzebuje”.

26/ Tamże, s. 115 (proza *Rusin we wnęce*).

27/ Uważam zatem odwrotnie niż Henryk Berezka z recenzji *Donosów*: Powieść, którą  
Białoszewski zapisywał w ciągu lat kilkunastu, powstała pod dyktando  
rzeczywistości, czyli życia, czyli żywej mowy, której Białoszewski wysłuchiwał  
i którą posługiwał się sam. Dyktatowi przeciwstawia się podmiotowe prawo wyboru,

„rzeczywistością” pisarz starannie zamaskował, choć zostawił pewne tropy, albo –  
inaczej mówiąc – sfingował pakt autobiograficzny, zgodnie z którym odbiorca ma  
zwracać mniejszą uwagę na jego pozornie wycofaną podmiotowość. Może to mieć  
pewną interesującą konsekwencję: w wypadku „przyłapania” Białoszewskiego na  
czymś „dziwnym”, powiedzmy – uważanym za wulgarne, wykręca się on swoim  
rozmyciem podmiotowości i dyktatem rzeczywistości. Rzeczywistość ta, silna i de-  
moniczna, jest tu wykreowana na coś podobnego Naturze w rozumieniu de Sa-  
de’a: wszelki występki, perwersja itd. są najbardziej „naturalne”, ponieważ wystę-  
pują w Naturze, zaś „wszystko, co mówimy, wszystko, co porządkujemy, rozstrzy-  
gamy, jest równie odległe od doskonałości jej widoków i równie im ustępuje, jak  
prawa społeczności ślepców wobec naszych praw”<sup>28</sup>. Na tej zasadzie wszystko u Bia-  
łoszewskiego mogłoby się zdarzyć – ale się nie zdarza. Powstaje pytanie, dlaczego  
na przykład nie opisuje on stosunków seksualnych, skoro niewątpliwie występują  
one w rzeczywistości, także tej jemu dostępnej; dlaczego mówi w sposób tak swo-  
isty, lekko szyfrowany o erotyce, i tak dalej. Otóż przyjmując wersję, którą Biało-  
szewski umyślnie nam podtyka – że Rzeczywistość włada niepodzielnie – każe  
nam opowiedzieć się za poglądem filozoficznym zwanym „realizmem”, zgodnie  
z którym możliwy jest odsubiektywizowany zapis Rzeczywistości, a język nie ma  
nań wpływu. Zgadzało się z tym wielu krytyków, bo i ich światopogląd był reali-  
styczny. Mój akurat nie jest i nie sądzę, by taki był Białoszewskiego, po co bowiem  
tak bardzo eksperymentowałby z językiem, ze sposobem mówienia. To język więc  
ustawia postrzeganie rzeczywistości – a zapis, poszukujący maksymalnej zbieżno-  
ści z psychiczną rzeczywistością językową, ma stanowić dla czytelnika propozy-  
cję-wyzwanie odkrycia tak właśnie odbieranej rzeczywistości. W konsekwencji ten  
sposób mówienia o – Białoszewski lubił to słowo – „nieprzyzwoitościach”, niebę-  
dący ani całkowitym przemilczeniem, ani też swobodną (auto)ekspresją, trzeba  
rozumieć jako wyraz określonego światopoglądu. Ani (jeszcze?) „sublimującego”,  
ani (już?) „wyemancypowanego”. Pisze German Ritz:

To, co prywatne, przybiera w literaturze, nastawionej głównie na sferę publiczną, funk-  
cję estetyczną i polityczną. Wielkim mistrzem w jej sprawowaniu stanie się Miron Biało-  
szewski. Jego dzieło świadczy dowodnie, że to, co prywatne, może się obejść bez jakiej-

podmiotową chęć zapisywania, podmiotowy sposób zapisu, są to jednak  
podmiotowości nieistotne, skoro przyjmuje się warunki dyktatu, skoro od materii  
dyktatu nie można odstąpić, skoro dyktat reprezentuje podmiotowość nadrzędną,  
wobec której obowiązuje bezwzględny respekt, jeśli tylko podejmie się decyzję  
dokonywania zapisu (*Związki myślowe* (2), w: tegoż *Związki naturalne*, LSW,  
Warszawa 1978, s. 191. Przelotnie na karpowanie i na możliwość takiego  
odczytywania tej zwrócił uwagę prozy G. Ritz (*Solidarność a seksualny outsider*, przeł.  
M. Łukasiewicz, w: *Nic w labiryncie pożądania. Gender i płęć w literaturze polskiej od  
romantyzmu do postmodernizmu*, przeł. B. Drag, A. Kopacki, M. Łukasiewicz, Wiedza  
Powszechna, Warszawa 2002, s. 236).

28/ D.A.F. de Sade *Przemyślenia filozoficzne*, w: *Powiedzieć wszystko*, wybór i przekł.  
B. Banasiak, M. Bratuń, K. Matuszewski, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1991, s. 296.

kolwiek konfesji. Prywatność to jedynie „niedyskursywny” rodzaj spojrzenia na świat zewnętrzny. Nikt w Polsce nie ukrył swego homoseksualnego pożądania tak skrzętnie jak Białoszewski. Prywatność tego rodzaju – bez rozgadanej intymności – stanie się po 1956 r. najważniejszym kontrtekstem literatury polskiej.<sup>29</sup>

I nie poświęca Białoszeskiemu praktycznie więcej miejsca. By odpowiedzieć dla czego, należałoby przeprowadzić obszerniejszą *discourse analysis* jego książki. Krótko mówiąc, Ritz ma pewne założenia na temat „literatury homoseksualnej”, między innymi takie, że wyraża ona (ma wyrażać) pożądanie. Wprawdzie nie jest prawdą, by u Białoszewskiego się ono tu i ówdzie nie przebiło, ale w sposób mniej wyrazisty niż u innych twórców. Ritz opowiada o dwóch głównych modelach literatury homoseksualnej, modernistycznym i postmodernistycznym, przy czym pierwszy jest estetyzująco-maskujący, a drugi emancypacyjny. Białoszewski nie mieści się w żadnym, ponieważ znalazł miejsce osobne, co Ritz w cytowanym fragmencie jakby przeczuwał, lecz nie potrafił wyciągnąć myślowych konsekwencji. Białoszewski jest więc „zbyt osobny” wśród „osobnych”, żeby być egzemplarzem reprezentującym jakąś tendencję; zbyt mało wyrazisty, więc znika. Ale Białoszewski znalazł jeszcze inny sposób „mówienia o”. Zwrócił na to uwagę Artur Sandauer, pisząc: „Całe szczęście, że w tych wierszach, z których bije odór wysmakowanej nieczystości, pokraczność słowa maskuje treść obyczajową”<sup>30</sup>. Nie podejmowano zresztą tego wątku. Sandauer powołał się na Sartre’owską analizę światopoglądu Geneta i jest to odwołanie dużo mniej przypadkowe, niżby się mogło zdawać. Badacz rozumie je jednak dosyć osobiście: oto Białoszewski, którego wymyślił, zachowuje się jak bandyta, którego wpuściło się do salonu – okrada go, robi na złość swojemu Pigmalionowi, neguje wszystko to, co Sandauer pochwalał: „Jak Genet w odpowiedzi na zalecanki ludzi wyrządza im drobne świństwa, tak on w odpowiedzi na awanse świata kultury deklaruje swą inność, pisząc *Mylne wzruszenia*”<sup>31</sup>. Dochodzi do tego lęk przed nazwaniem, określeniem „jako” (u Geneta nazwanie go „złodziejem” powoduje, że tym bardziej będzie kradł). Widziałbym mechanizm Sartre’owski w nieco innym świetle. Białoszewski zachowuje się trochę jak złośliwe dziecko: nie pozwalacie mi bawić się tak, jak chcę, na przykład nie wolno mi pisać erotyków do chłopców, nie wolno mi szczerze wyrazić uczuć (jak w dobitnej formule „chcę od mojego pisania [czegoś] / a ja ich łapię za słowa”<sup>32</sup>) i chodzi o owo „chcę”, chcą kształtować, grożą wyrzuceniem mnie z gry, jednocześnie chwalą za coś, na przykład za łapanie bełkotu mowy potocznej albo za hermetyczne komunikaty – w takim razie, zamiast usłuchać, „ja wam pokażę”, ciekawe, czy to „złapiecie”. I robi małą „niespodziankę”. Począwszy od *Mylnych wzruszeń* pojawia się kil-

ka wierszy, w których treść jest mniej lub bardziej „obsceniczna”; skoro nie mogę pisać o uczuciach, odmawiacie mi tej możliwości jako homoseksualiście, to może trudno czytelne obscena będą lepsze. Sandauer chyba sądził podobnie *à propos* wiersza *otworzyć okno na odpowiedzialność z Mylnych wzruszeń*. Tak bym widział działanie Genetowskiej transgresji, dokładnie zanalizowane przez Sartre’a<sup>33</sup>. *Mylne wzruszenia* kończą się czterema wierszami o „mylnych wzruszeniach erotycznych”. W *hepyent (1)* „erotyczny” oznacza miłosny, podobnie jak w *zmartwieńsiulpet* (choć mowa tam o tym, że współżycie nie do końca satysfakcjonuje: „choć dzielim z tobą za / bardzo niedzielam”), ale zapisane jest to językiem absolutnie prywatnym, jakby dziecięcym. W *hepyent (2)*, o którym wypowiadał się Sandauer, „erotyczny” oscyluje już w stronę obsceny:

nie grzeb się w łazience  
kładź się na tapczanie  
czekam na kochanie  
– pasta jeszcze jest?  
– jest  
– a mbest?  
– pstrest  
a kochanie?: nie spodziewanie  
się tak znów za bardzo aku-  
rat dziś no chyba że ho<sup>34</sup>

Mówiąc delikatnie, jest tu mowa o ablucjach przed odbyciem stosunku. Jeden z partnerów znajduje się w łazience, gdzie „się grzebie”; trzeba to słowo jednak zrozumieć, jak to u Białoszewskiego zresztą bywa, dwuznacznie – nie tylko „pospiesz się”, ale „nie grzeb sobie (tak długo)”. W odbycie oczywiście. „Pasta”, o którą pada pytanie, to zapewne lubrykant, na przykład wazelina. W tym momencie wiersz perwersyjnie ześlizguje się poza granicę komunikatywności: co to znaczy „a mbest”? Czy to jest nazwa jakiegoś przyrządu? Czy angielskie „I”m best”? I po co takie przejście na obcą mowę, szyfrowanie? Czy „pstrest” oznacza „pst” [=cicho już], „rest” [ang. odpoczywaj, leż], czy sugeruje, że jeden z partnerów się „stresuje”? Ta druga opcja tłumaczyłaby, dlaczego „kochanie” nie dochodzi do skutku: „się tak znów za bardzo akurat dziś” – podnieciłem? Zestresowałem, spałem? Ale, jak słychać po ostatnich słowach, nie wszystko jeszcze stracone. Podobnie skatologiczna opowiadka pt. *Lesiu, widziałam* znajduje się w *Donosach*, zacytuję ją w całości:

– Lesiu, widziałam. Lesiu, poznałam.  
– Co pani poznała?

<sup>29/</sup> G. Ritz *Literatura w labiryncie pożądania. Homoseksualność a literatura polska*, przeł. A. Kopacki, w: tegoż *Nić w labiryncie...*, s. 61.

<sup>30/</sup> A. Sandauer *Poezja rupieci*, s. 200.

<sup>31/</sup> Tamże, s. 201.

<sup>32/</sup> UZ, t. 1, s. 167.

<sup>33/</sup> Por. m.in. „Ses désirs sexuels seront comme sa vie elle-mêmes des fantômes. Quel que sit leur objet, ils sont condamnés d’avance; il lui est orig i n e l l e m e n t d é f e n d u d e d é s i r e r” i passim (J.P. Sartre, *Saint Genet. Comédien et martyr*, w: *Oeuvres complètes de Jean Genet*, Paris 1952, s. 83).

<sup>34/</sup> UZ, t. 1, s. 319.

– Kupy jak kołaczki. Po tym poznałam. Na takim stryszk. Zdzisio Gania z siódmej klasy nabroił. Pocałował mnie chłopak w rękę, ja mówię „Zdzisiu, sprzątaj te kupy, to jedno mi zrób”. Jak stodoły były. Jak stodoły.

– A z czego tu można poznać?

– Przeczytaj zagadnienia Forella.

—  
Pstrążyna szła do kościoła na ranymśze:

– Co on narobił! Co on narobił!

– A co on narobił?

– Będą go sądzić.

– Bój się Boga, Pstrążyna, mów. Co on narobił? Matkę zarznął? Ludzi wypalił?

– Będą go sądzić.

– Za co? Bój się Boga, gadaaj, bo i tak się dowiem.

– Będą go sądzić.

– Za co?

– Za seksualizm.

—  
A pani Jadwiga jeszcze jedno. O swoim siostrzeńcu.

– Expres od siostry „Bój się Boga, ratuj, rób co, seksualizm z onanizmem”. Ja wiem, jak się do tego zabrać. Na zabawę! Korczynianka dziewczucha jak kwiat, „już przypnij mu różę, już go bierz, rozhułaj”. Rano do niego za piętnaście siódma „wstawaj, już, natychmiast, gimnastyka, zimna woda”. Forell radzi: nie gnuśność, nie długie ranne spanie, bo to sprzyja. Z chłopakami pod brzegiem się nie kąp.

– Pomogło?

– A zesłali go, tam drzewa rznął. Umarł niedawno. Spadek przyszedł. Te pieniądze nie dla mnie, dla mojej siostry.<sup>35</sup>

Opowieść nie ma wyraźnie zarysowanego tła, ale wydaje się, że dzieje się na wsi. Może „Lesio” to Leszek Soliński, a więc w Bieszczadach, w okolicy Żarnowca (część próż z tego tomu tam właśnie się rozgrywa). Nie wiadomo też dokładnie, kiedy. Przede wszystkim trzeba się zastanowić, jaka jest podstawa skojarzenia „seksualizmu” z aktem wydalania. Nie trzeba być freudystą i mówić o „analnej fiksacji libido” – która zdaniem wiedeńskiego mistrza tłumaczy „etiologię homoseksualizmu”, żeby się zorientować, że „seksualizm” oznacza tu podejrzenie o „homoseksualizm”. (Dodatkowo znajdujemy radę „Z chłopakami się nie kąp”, może nago, poznaj dziewczynę). Dowcip w anegdocie polega na tym, że jedna bohaterka twierdzi, że umie po wielkości i kształcie kupy rozpoznać tę skłonność (gra słowem „narobić”, kał jako symptom grzechu); jednak czy „seksualizm z onanizmem” oznacza na przykład robieńie tzw. „palcówki” (stymulowanie odbytu palcem lub innym przedmiotem)? Może bohaterka uważa, że po „rozjechaniu” (rozciągnięciu) mięśnia odbytu stolec staje się większy? Dochodzi do tego tajemniczy „Forell”, zapewne autor jakiejś książki na temat seksualnej edukacji młodzieży; może to on pisze, jak po kale rozpoznać domnianego homoseksualistę oraz oczywiście daje rady, jak „leczyć” tę skłonność, gdy już się zmanifestuje. Być może chodzi o Birgera Forella (1893–1958), szwedzkiego księdza ewangelickiego. Jakkolwiek anegdota brzmi śmiesznie, chyba

nie tylko taka była intencja Białoszewskiego w zapisie: jest to też gorzkawa opowieść o tym, jak zniszczono człowiekowi życie, w ostatnich zdaniach występuje duży skok w czasie, mówiący o bezskuteczności „leczenia” (acz nie bez żarciku: bohater „rznął... drzewa”). Zarazem, jeśli mam rację, że rzecz dzieje się na prowincji – choć w przypadku takiego kraju, jak Polska, ten poziom intelektualny mógłby równie dobrze objawić się w dużym mieście – pojawia się dodatkowy wątek nadmiernego zaufania ksiądzce, jej autorytetowi; powtarzające się nazwisko autora jest chyba ze strony Białoszewskiego złośliwością, nie tylko „mimesis językową”. Z kolei brak narratora-Białoszewskiego w opowieści też nie jest przypadkowe, choć nie wynika tylko z chęci „ukrycia się”. W wierszu *Sprawa podejrzana (ja)* z *Było i było* mówi o wizycie u lekarza, doktora Palankina, który gościł kiedyś u niego w teatrze „na czwartym piętrze”: „Zeszło 5, 6 lat. Potrzeba / jest matką. Miałem kogoś na / tapczanie. Rok, dwa dobrze. / Cztery – trzeba rady... / Wtedy... Pan Palankin coś pro- / wadzi. Wiem. Jadę”<sup>36</sup>. Pan Palankin rozpoznaje Białoszewskiego i przyjmuje poza kolejką. Rozmowa postępuje znamiennie:

Zapytałem o some  
(akurat czytałem coś z fi-  
lozofii, z Indii). Tu był na dole ten napis.  
Soma... i coś...

– ciało  
– a (?)  
– ponieważ tu są moi  
pacjenci chorzy na ciele  
i duchu – patrzył,  
to mówiąc, na moje buty,  
na początku pytał „pan  
nie w swojej sprawie?”  
Chciałem wyjaśnić, że  
wiem, że jeden pęknięty.  
Dopiero wychodzę, patrzę:  
jeden jasny, drugi ciemny  
(brąz) (to niechący),  
tylko zapomniałem, że no-  
szę z braku – —<sup>37</sup>

Docent Palankin jest najprawdopodobniej seksuologiem, skoro „trzeba rady” w związku z kimś, kogo „miał na tapczanie” przez parę lat. Ten ktoś być może wstydi się przyjść. Wreszcie okazuje się, że jest „pęknięty”. To wieloznaczne słowo, ale trzymając się wskazówki Palankina, że zajmuje się chorobami i ducha, i ciała, można znaczenie tego słowa zawęzić do „pęknięcia psychicznego”, albo – cielesnego, konkretnie rozerwania odbytu albo urwania się wędzidełka. Docent Palankin zdaje się jednak traktować podmiot jako osobę „podejrzaną”, choć za-

<sup>36/</sup> UZ, t. 1, s. 354.

<sup>37/</sup> Tamże, s. 355.

pewne wie o jego skłonnościach; zauważa niedobranie jego butów, mające świadczyć o „nieładzie” psychicznym, może nawet być jakimś „indeksem” (w terminologii Peirce’a) homoseksualisty jako człowieka „niedobranego do pary”. Znamienne jest również, że nie mogą się porozumieć co do słowa „soma”. Otóż w Indiach słowo to oznacza boga z wedyjskiego panteonu a równocześnie roślinę i napój nieśmiertelności; wyciskanie soku z tej rośliny utożsamia się ze stosunkiem seksualnym i jest rytuałem. W VIII hymnie *Rigwedy* mówi się o tym, że picie „somy” zwiększa energię seksualną<sup>38</sup>. Być może Białoszewski próbuje w ten sposób okręźnie przejść do zagadnień seksualnych, jednak nie trafia w erudycję dra Palankina (notabene ciekawe, czy to autentyczne nazwisko, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Białoszewski używa go, bo kojarzy się ze słowem „palant”), który rozpoznaje tylko łacińskie znaczenie tego słowa. Być może jest tak, że Białoszewski robi tu aluzję do erotyki sakralnej (taka dominuje w Indiach, szczególnie w kulcie Siwy), mówi o erotyzmie uwznioślonym, Palankin natomiast ocenia jego erotyzm jako czysto „medyczny”. W tym miejscu zresztą poeta zrobił – że tak się wyrażę – hermetyzującą wyrwę, podając ją w sposób ostentacyjnie niedbały („akurat czytałem coś z fi- / lozofii, z Indii”; „fi” zapewne nieprzypadkowe): wiedza o „indyjskiej somie” nie jest w Polsce częsta, a jeszcze mniej w latach sześćdziesiątych, ta „hermetyzująca wyrwa” ma może naprowadzać na „hermetyczną obsceniczność”. Jest to więc wiersz o trudności w porozumieniu i może także o poczuciu wyższości („moralnej?”), jaką żywi lekarz wobec swoich pacjentów; we wczesnej twórczości Białoszewskiego lekarze zwykle tak się prezentują (na przykład w *Zbiorowym ustalaniu charakteru pani Doktor*).

W późnej twórczości, w *AAAmeryce*, Białoszewski postanawia mówić wprost o „pornografii”, wprowadzając samo to słowo w znaczeniu najłatwiejszym do zdefiniowania – jako filmy lub gazety. „Pisma porno osiem, dziesięć dolarów. Wydaje mi się, że to nie tak drogo, jak na takie rzeczy”<sup>39</sup> – notuje przy pierwszym spacerze po Nowym Jorku. Po pewnym czasie, kiedy już rozróżnia nazwy ulic, zauważa:

Wracam do pokoju zakonnic na siódme piętro, rozkładam porno, chińskie ciastka, banany, pomarańcze i mówię do siebie.  
– Co za prezenty, co za prezenty.  
Wychodząc chowam porno pod półkę z zapasowym kocem, komu by się tam chciało zaglądać, której sprzątacze?<sup>40</sup>

„Porno” jest tu „kapitalistycznym luksusem”<sup>41</sup>, jak egzotyczne (niezwykle w owych czasach) owoce. Ale wprowadzanie tego tematu nie stanowi chyba „powiadomie-

<sup>38</sup>/ Por. M. Eliade *Historia wierzeń i idei religijnych*, t. 1: *Od epoki kamiennej do misteriów eleuzyńskich*, przeł. S. Tokarski, Pax, Warszawa 1988, s. 148–150.

<sup>39</sup>/ UZ, t. 9: *Male i większe prozy opublikowane po roku 1980*, s. 223.

<sup>40</sup>/ Tamże, s. 230–231.

<sup>41</sup>/ W *Kabarecie Kici Koci* pt. *Nawracaczki* jeden z bohaterów dopytuje o „pornusy” jak o rzadkie dobro.

nia polskiego czytelnika, co należy do elementów życia w Stanach”. W tym obsesyjnym gadaniu o porno nie ma już dawnej perwersyjnej lekkości, nie ma też puszczania oka do odbiorcy i prowadzenia z nim gry – albo jest to inna już gra. Nie ma również konfesji – w rodzaju „oglądałem porno, podniecam się”. Nawet opis filmu w kinie jest chłodny:

Wstępuję na porno męsko-damskie. Filmy. [...] Co pewien czas film się przerywa, wychodzi na scenę żywa z tapczanem baba, tańczy, rozbiera się, wypina, wlatuje chłop, ściga spodnie i majtki, i zaczynają miłość na tapczanie, po kolei to i owo w krążku światła. Udają na końcu orgazm. [...] Są i kina dla samych panów. Z napisami na wierzchu „Male”. Tam też się wchodzi, siada. [...] Co pewien czas ktoś wstaje i idzie za kulisy. Okazuje się, że to salon ulgi. [...] Trafiłem również do kina „Male” z rewią męską. Po każdym występie klaszcze się. I tak świetnie zszedł mi wieczór.<sup>42</sup>

Nie ma tu cienia dwuznaczności: „wstępuję na porno męsko-damskie”, potem zaś do kina „male”, gejowskiego. Wielu uważa, że „prawdziwe wyzwolenie” przyniesie *Dziennik*, który Białoszewski pozwolił opublikować dopiero w 2010 roku; nie podzielał tego zdania, ale – zobaczmy.

## Abstract

**Piotr SOBOLCZYK**  
Jagiellonian University (Kraków)

### Miron Białoszewski's hermetic pornographies

This text deals with two aspects of Białoszewski's poetry, by far neglected by scholars, i.e. his love and obscene verse. The Author discusses the considerations for which the poet has rejected love poetry, once his starting point (in a sentimentalist fashion). On the one hand, he suggests that Białoszewski at some point joined the actions aiming at reviving the idea of avant-garde (with Artur Sandauer as the idea's engine), and refers to the biographical context, on the other. The poet was namely detained by the Security Office (the then Polish secret police) on account of his homosexual inclinations; also, cultural norms of the time had a say. The Author argues that this has eventually led Białoszewski to elaborating a peculiar poetics of 'hermetic pornographies', i.e. ones accessible to the 'initiated' only, where obscene elements replace love poetry, with a tint of maliciousness, love poetry thus getting demystified. In parallel, the present text polemicalises against German Ritz's fragmentary recognitions on the presence of a homoerotic discourse in the Białoszewski output.

<sup>42</sup>/ UZ, t. 9, s. 232.

## Danuta DANEK

### Jakim prawem? Z lektury przekładów

To niewiarygodne, co w przekładzie – opublikowanym, więc zaakceptowanym przez wydawnictwo – można u nas w ostatnich czasach zrobić z cudzym tekstem. Dyskursywnym, należącym do określonej dziedziny naukowej, opartym więc na określonych, właściwych jej pojęciach i twierdzeniach, które tworzą taką a nie inną wizję przynależnego do owej dziedziny świata. Okazuje się, że w tłumaczeniu wizję tę można przemienić nawet w jej przeciwieństwo, autora danej pracy uczynić wyznawcą poglądów, z którymi w niej – podobnie jak w całej swojej działalności naukowej – programowo polemizuje.

Tak stało się parę lat temu w polskim tłumaczeniu – a raczej właśnie w fałszującej przeróbce – książki Brunona Bettelheima i Alvina A. Rosenfelda *The Art of the Obvious. Developing Insight for Psychotherapy and Everyday Life*, 1993 (polski tytuł: *Sztuka oczywistości. Psychoanaliza w terapii i na co dzień*, przeł. S. Studniarz. „Limbus”, Bydgoszcz 1995). Oryginał to manifest psychoanalitycznego personalizmu, przeciwstawiającego się uprzedmiotowianiu człowieka we współczesnych kierunkach psychologii opartych na behawioryzmie. W tekście polskim psychoanaliza została przerobiona na behawioryzm<sup>1</sup>.

<sup>1/</sup> Kto nie wierzy, że coś takiego jest możliwe, może zapoznać się ze szczegółową analizą tego proceduru translatorskiego w mojej książce *Sztuka rozumienia. Literatura i psychoanaliza*, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 1997, w rozprawie *Posttotalitarne niszczenie kultury. Dzikie rynki przekładowe*. W tejże książce inne rozprawy poświęcone Bettelheimowi.

## Danek Jakim prawem?

Niedawno ukazało się tłumaczenie książki Brunona Bettelheima, którą ten wielki humanista, autor kilkunastu książek poświęconych rozumieniu człowieka, uważał za rodzaj swojego duchowego testamentu<sup>2</sup>.

Pisarstwo jego jest u nas mało znane, bo poza ową fałszującą przeróbką mieliśmy dotychczas jedynie trzy przekłady książkowe, a dla szerszego grona czytelników Bettelheim pozostaje autorem tylko jednej słynnej książki, *Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni*<sup>3</sup>. Radość, że dostajemy przynajmniej jedno jeszcze tłumaczenie, rychło wszakże gaśnie, gdy okazuje się, że i ten przekład jest fałszującą przeróbką, tylko innego rodzaju. Tłumaczki zapowiadają to bez żenady we wstępie: zmieniły autorowi tekst, wprowadzając skróty. Za wiedzą i zgodą Bettelheima, który nie żyje od kilkunastu lat? Słowem, uznały tekst Bettelheima za swoją własność, z którą mogą robić, co chcą. Nie wierzyć oczom! A jednak:

Na zakończenie kilka uwag o języku i kompozycji tej książki. Miejscami tekst może Czytelnika nużyć z powodu powtórzeń myśli czy zbyt długich wywodów, które są dostrzegalne mimo zastosowania w przekładzie pewnych skrótów – w tych partiach książki, w których w oryginale pojawia się zawiła i niezwykle rozbudowana argumentacja. Staraliśmy się jednak, aby ten zabieg nie spowodował uproszczenia czy też zniekształcenia nowatorskich i mało znanych poglądów Autora na życie rodzinne.<sup>4</sup>

W dodatku przekonujemy się, oglądając książkę, że to, co tu zostało nazwane zabiegiem, nie jest w tekście uwidocznione: skróty nie są zaznaczone.

Z uwag tłumaczek wynika, że wyznając ideał – by użyć metafor Wisławy Szymborskiej – „życia z kropką u nogi”, ideał „słów ile trzeba, nigdy o jedno za dużo”, przerobiły tekst Bettelheima według tego ideału. Co to oznacza?

Słów ile trzeba. Nigdy o jedno za dużo,  
a to oznacza, że nie ma poezji  
i nie ma filozofii, i nie ma religii.

Nie ma żadnych rozmyślań, rozważań, refleksji. A przecież książka Bettelheima to właśnie książka refleksyjna, a nie poradnik, jak szybko i skutecznie coś osiągnąć, w guście tak rozpowszechnionych obecnie, popularnych publikacji. I książka, która ma skłaniać czytelnika do jego własnych refleksji, więc do zastanawiania się, namysłu, do rewizji takich czy innych dotychczasowych przekonań. Podtytuł w oryginale to *A Book on Child-Rearing, Księga o wychowywaniu dzieci* –

<sup>2/</sup> B. Bettelheim *Wystarczająco dobrzy rodzice. Jak wychowywać dziecko*, przeł. D. Kubicka, M. Gawlik, Rebis, Poznań 2005.

<sup>3/</sup> B. Bettelheim *Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni*, przekł. i wstęp D. Danek, PIW, Warszawa 1985. Wydanie drugie, poszerzone, opatrzone dodatkowym posłowiem tłumaczki, ukazało się w roku 1996 nakładem wydawnictwa W.A.B i Jacek Santorski.

<sup>4/</sup> D. Kubicka *Wprowadzenie do wydania polskiego*, w: B. Bettelheim *Wystarczająco dobrzy rodzice*, s. 14. Dalsze cytaty z tej książki lokalizuję w tekście.

a w istocie jest to księga o budowaniu i chronieniu człowieczeństwa w człowieku – więc jeszcze raz: są to rozmyślania, rozważania, refleksje. Mają dokonywać się pędem?

Gdy porównać tekst polski z oryginałem, okazuje się, że jest jeszcze gorzej, niż zapowiadają to tłumaczk.

W tekście polskim jest tyle bezustannych opuszczeń, a to całego fragmentu, a to zdania, części zdania, poszczególnych, istotnych dla sensu, słów – nie mówiąc o innego rodzaju przeinaczeniach – że trudno uznać to jeszcze w ogóle za przekład. Nie widać tu przy tym uzasadnień, cokolwiek by o nich myśleć, które wymieniałby tłumaczki we wstępie – i oczywiście owe skróty zmieniają treść wywodów, bo jakże mogłoby być inaczej. Czy „psychologiczne powody”, jak powiada autor, i „powody”, jak dają tłumaczki, skracając o słowo „psychologiczne”, to jest to samo? I tak skracają, bo zbyt długie wywody lub zawiła argumentacja? A takich opuszczeń jest bez liku.

Oto inny mikroprzykład. Bettelheim, nawiązując do własnego dzieciństwa, spędzonego w zamożnym środowisku mieszczańskiego Wiednia, i pisząc o ówczesnym zwyczaju zatrudniania do niemowlęcia mamki, wspomina, że jeśli wywiązywała się ona ze swoich obowiązków dobrze, to na odchodnym wynagradzano ją dodatkowo, aby mogła odtąd zająć się własnym dzieckiem i wyjść za mąż – tłumaczki zaś fragment zdania o umożliwianiu mamce wyjścia za mąż opuściły. Drobne, ale istotne zniekształcenie obrazu realiów epoki.

Ważniejsze jednak są opuszczenia i przeinaczenia innego rodzaju, o tak zasadniczym znaczeniu, że trzeba je przedstawić, przytaczając zarówno tekst polski, jak i oryginał.

Otwieramy książkę i zaczynamy czytać. Oto jej początek w opublikowanym tłumaczeniu:

#### Podziękowania

Najpierw chcę złożyć hołd D.W. Winnicottowi, którego idea „wystarczająco dobrej matki” zainspirowała tytuł książki. Tę myśl odniosłem do obojga rodziców, ponieważ są oni razem odpowiedzialni za rozwój dziecka. Mój tytuł oznacza, że aby dobrze wychować dziecko, nie trzeba być rodzicem doskonałym ani oczekiwać tej doskonałości od dziecka. Doskonałość nie jest bowiem dostępna żadnej ludzkiej istocie. (s. 17)

W oryginale pierwszy akapit owych *Acknowledgments* brzmi tak (cytuję z wydania Vintage Books, New York 1988, s. XI):

First I wish to acknowledge that the book's title is derived from D.W. Winnicott's concept of the „good enough” mother. I have adapted it to both parents, since both are important for their child's development. My title suggests that in order to raise a child well one ought not to try to be a perfect parent, as much as one should not expect one's child to be, or to become, a perfect individual. Perfection is not within the grasp of ordinary human beings. Efforts to attain it typically interfere with that lenient response to the imperfections of others, including those of one's child, which alone make good human relations possible.

Okazuje się, że już w pierwszym akapicie przekładu polskiego są opuszczenia (w tekście oryginału zaznaczyłam te części spacją), a nadto wykryły się też błędy: tłumaczki przemieniły autorowi kilkakrotnie sens (odpowiednie wyrażenia oryginału wyróżniłam kursywą).

Z błędów najmniej istotny to „złożyć hołd”. „To acknowledge that” znaczy „wskazać, podać źródło” (cytatu, informacji itp.). Inne błędy są istotniejsze. Przede wszystkim „nie trzeba być rodzicem doskonałym” to co innego niż, jak w oryginale, „nie należy starać się być rodzicem doskonałym” – zwłaszcza że autor pisze właśnie tuż dalej, iż bycie rodzicem doskonałym nie jest w ogóle możliwe, a do owych starań nawiązuje w ostatnim zdaniu pierwszego akapitu, pominiętym przez tłumaczki. Pominiętym dlaczego? Wywód jest zbyt długi? Zawiły? O niezwykle rozbudowanej argumentacji? Zawiera powtórzenie myśli?

Spróbujmy przełożyć pierwszy akapit książki zgodnie z jego tekstem i sensem oraz wymogami języka polskiego:

Pragnę przede wszystkim wskazać, że tytuł tej książki nawiązuje do wprowadzonego przez D.W. Winnicotta pojęcia „wystarczająco dobrej” matki. Odniosłem je do obojga rodziców, bo oboje są ważni w rozwoju dziecka. Przez tytuł ten chcę powiedzieć, że aby dobrze wychować dziecko, nie należy starać się być rodzicem doskonałym, podobnie jak nie powinno się oczekiwać od dziecka, że będzie lub stanie się w przyszłości kimś doskonałym. Doskonałość nie jest dostępną zwykłej istocie ludzkiej. Kiedy ktoś usiłuje ją osiągnąć, zazwyczaj trudno mu być wyrozumiałym wobec niedoskonałości innych osób, także własnego dziecka, a tylko taka wyrozumiałość umożliwia dobre stosunki między ludźmi.

Jak widzimy, przeinaczenia i opuszczenia sprawiają, że nie tylko zmienione zostały sensy, ale zniszczeniu uległa cała logika wywodu autora.

W kolejnym, drugim akapicie sprawa jest już zupełnie zasadnicza. Sens wywodów autora przeinaczony został w kwestii, która jest podstawowa dla całej książki, stanowi jedną z jej głównych myśli i zarazem należy do najważniejszych odkryć dokonanych w świecie międzyludzkim przez psychoanalizę. Tłumaczki myśl autora zastąpiły inną, a z psychoanalizy też nic nie zostało. Czytamy:

Jest natomiast całkiem możliwe być rodzicem wystarczająco dobrym, to znaczy dobrze wychowywać swoje dziecko. By się to udało, nieuchronne błędy rodziców – podyktowane najczęściej nadmiernymi reakcjami emocjonalnymi wobec dziecka – powinny być z nawiązką kompensowane sytuacjami, w których zachowują się oni właściwie.

Identycznie przedstawiona została czytelnikowi podstawowa teza autora we *Wprowadzeniu do wydania polskiego*, podano ją tu tylko bez cudzysłowu:

Bettelheim chce ich [rodziców] jednak przekonać, że każdy może stać się rodzicem „wystarczająco” dobrym, kiedy nieuchronne błędy wychowawcze, podyktowane najczęściej nadmiernymi reakcjami emocjonalnymi wobec dziecka, będą z nawiązką kompensowane sytuacjami, w których rodzice zachowują się właściwie. (s. 10)

W oryginale myśl autora, wyrażona w drugim zdaniu tego ustępu, jest zupełnie inna:

To achieve this, the mistakes *we make* in rearing our child – errors *often made* just because of the intensity of our emotional involvement in and with our child – must be more than compensated for by the many instances in which *we do* right by *our* child. (tamże)

Autor nie mówi tu, że błędy rodziców powodowane są „nadmiernymi reakcjami emocjonalnymi wobec dziecka”. Powiada, że popełniamy je – „często”, a nie „najczęściej”, jak nie wiedzieć czemu również to słowo zmieniają autorowi tłumaczki – „właśnie dlatego, że jesteśmy tak bardzo zaangażowani emocjonalnie w relację z dzieckiem”, innymi słowy, właśnie dlatego, że obdarzamy je tak głębokimi uczuciami.

Jest to nie tylko zupełnie co innego niż „nadmierne reakcje emocjonalne”, ale nadto streszcza i zapowiada jeden z głównych wątków książki. Bettelheim bowiem będzie starał się uzmysłowić czytelnikowi wielką psychoanalityczną prawdę, że im silniejsze i głębsze uczucia budzi w nas – w życiu dorosłym – jakaś osoba (także własne dziecko), tym silniej odżywają w nas nierozwiązane czy urazowe – a zepchnięte w pozorną niepamięć – problemy i doświadczenia emocjonalne z najdawniejszej nawet przeszłości, związane z innymi, ważnymi dla nas niegdyś uczucio-wo osobami, rzutując na nasze relacje teraźniejsze. I właśnie to może powodować błędy i szkody. Zwłaszcza wtedy, gdy z takiego odżywiania naszej przeszłości emocjonalnej w aktualnych relacjach z ludźmi nie zdajemy sobie sprawy. Autor nie zachęca nas tu bynajmniej do ostudzenia uczuć, ale do poszerzania naszej świadomości. To jest główny cel całej jego „księgi o wychowywaniu dzieci” – napisanej przecież przez psychoanalityka, a nie co innego jest zawsze i wszędzie głównym celem psychoanalizy – i dlatego rozważania jego są nie tylko dla tych, którzy mają dzieci.

Tłumaczki, przeinaczając autorowi podstawowy dla jego rozważań sens, zarazem odpersonalizowały tu jego wywód. Bettelheim w tym ważnym miejscu pisze bowiem nie o „błędach rodziców”, a więc ludzi, z których błędami nie mamy nic wspólnego, ale o naszych błędach: o „błędach, jakie czynimy, wychowując dziecko”. Nie pisze „oni”, ale „my”: „kiedy odnosimy się do naszego dziecka w sposób właściwy”. Ta stylistyka nie jest bez znaczenia (i będzie pojawiała się w książce wielokrotnie). Tłumaczki wiedziałyby o tym, gdyby знаły esej Bettelheima *Freud i dusza ludzka*<sup>5</sup>, bo wadze takich form osobowych, wciągających czytelnika bezpośrednio i osobiście do prowadzonych rozważań, poświęcił tam subtelne uwagi, i to właśnie związane z niewłaściwymi, nieszanującymi tych form przekładami<sup>6</sup>.

<sup>5/</sup> B. Bettelheim *Freud i dusza ludzka*, przekł. i wstęp D. Danek, PIW, Warszawa 1991. Wznowienie ukazało się w roku 1996 w wydawnictwie Jacek Santorski.

<sup>6/</sup> Skądinąd można przypuszczać, że tłumaczki w ogóle nie znają innych książek swojego autora, na co wskazuje mylna informacja podana przez nie w przypisie: „Doświadczenia związane z leczeniem dzieci w Szkole Ortogenicznej Bettelheim

W kolejnym, trzecim akapicie pierwszej strony tłumaczki znów usunęły autorowi całe zdanie, a choć tym razem rzecz nie jest największej wagi, pokazuje, jak mylnie jest ich założenie, że autor nie wie, co robi, i że one, tłumaczki, są od niego mądrzejsze i upoważnione do jego poprawiania. Usunięte zdanie prawdopodobnie uznały za powtórzenie – ale pewnie dlatego, że znów błędnie zrozumiały w tym kontekście słowo „to acknowledge”:

Moje poglądy na wychowanie dzieci kształtowały się przez tyle lat, że nie mogę tu wyrazić wdzięczności tym wszystkim osobom, które miały na nie wpływ.

Tymczasem sens oryginału: „that it would be impossible to acknowledge all those who influenced them” jest inny: „że nie mogę tu wymienić wszystkich, którzy wywarli na nie wpływ”.

Gdzie indziej, w książce *Love is not Enough. The Treatment of Emotionally Disturbed Children* (*Nie wystarczy dziecko kochać. Leczenie dzieci dotkniętych zaburzeniami emocjonalnymi*) Bettelheim wymienił najważniejszych z nich. Byli to Zygmunta i Anna Freud, John Dewey, August Aichhorn „i wszyscy ci wielcy wychowawcy, począwszy od Comeniusa i Pestalozziego po Bühlerów, Montessori i Piageta, którzy pomogli nam rozumieć dzieci – a przede wszystkim rozumieć siebie samych”<sup>7</sup>.

Dopiero w zdaniu, które tłumaczki Bettelheimowi wyrzuciły, rzeczywiście mówi on o niemożności wyrażenia wdzięczności: „I am thus unable to express here my gratitude” – tym razem jednak odnosząc to do osób, z którymi zetknął się osobiście, a kilka z nich, które pomocne były w przygotowywaniu tekstu książki, wymieni z nazwiska. Nie dziękując wszakże za „przykładną cierpliwość”, co byłoby nader dwuznaczną pochwałą, ale za „niezwykłą cierpliwość” („unusual patience”).

Jeśli odwrócimy pierwszą kartę polskiego przekładu, stwierdzimy, że tłumaczki opuściły całą półtorastronicową notę Bettelheima (*A Note to the Reader*), nie dając bodaj wyjaśniającego przypisu. A przecież jej treść, choć odnosi się do tekstu w języku angielskim, w podobnym stopniu stosuje się do tekstu w języku polskim, a nadto obrazuje postawę pisarską autora w kwestiach, które charakterystyczne są dla społecznej świadomości naszych czasów (konsekwencje używania słów rodzaju męskiego, jak ang. „parent”, polskie, przyjęte w pracach psycholo-

przedstawił w książce *A Home for the Heart*” (s. 22). Przedstawił je w kilku innych książkach, ale akurat nie w tej; wymienioną książkę poświęcił ideom przyświecającym rozplanowaniu i urządziu budynku, poszczególnych pomieszczeń, dziedzińca, atmosferze stwarzanej przez kształty architektoniczne, sprzęty, kolory, nawet zapachy. Omawia w niej także kryteria doboru osób z personelu leczącego i prowadzoną przez nie podczas pracy z dziećmi własną pracę wewnętrzną. Tłumaczki mają też mylnie wyobrażenie o biografii Bettelheima, skoro we wstępie czytamy, że dzieciństwo autora „upłynęło w starej [?] stabilnej austriackiej rodzinie żydowskiej” (s. 9). Nie była stabilna, stąd wczesne uwrażliwienie Bettelheima na dziecięce tragedie rodzinne.

<sup>7/</sup> B. Bettelheim *Love is not Enough. The Treatment of Emotionally Disturbed Children*, Avon Books, New York 1971, s. 35.

gicznych, „rodzic”, i męskich zaimków, gdy chodzi o osoby zarówno męskiej, jak żeńskiej płci).

Potem zaś, od pierwszych zdań pierwszego rozdziału, znów w tekście polskim pojawiają się raz po raz opuszczenia i przeinaczenia, które dotyczą zasadniczych sensów i logiki wywodu.

Oto zdanie, rozpoczynające rozdział pierwszy, w opublikowanym przekładzie:

Ta książka podsumowuje wysiłki całego mego życia, jakie czyniłem, by odkryć i zbadać, co właściwie jest konieczne dla pomyślnego wychowania dziecka zakończonego sukcesem – to znaczy dziecka, które nie musi uchodzić za wzór w oczach świata, ale które jest zadowolone ze swego wychowania oraz – ogólnie mówiąc – zadowolone z siebie pomimo niedostatków, od których nikt nie jest wolny. (s. 21)

This book sums up my lifelong effort to discover and test what is involved and required for successful child-rearing – that is, the raising of a child who may not necessarily become a *success* in the eyes of the world, but who on reflection would be well pleased with the way he was raised, and who would decide that, *by and large*, he is satisfied with himself, despite the shortcomings to which all of us are prey. (s. 3)

Pomijając językowe potknięcie „dziecko zakończone sukcesem”, w oryginale nie ma mowy o „wzorze w oczach świata”. W zdaniu tym pojawia się gra słów nie do powtórzenia w języku polskim: „successful” to „pomyślny, udany”, a „success” to „sukces” (znając pisarstwo Bettelheima, można domyślać się, że chodzi mu tu o taki „sukces w oczach świata” jak na przykład studia na prestiżowej uczelni, uzyskanie wysokiego statusu społecznego, wysokie dochody itp.). Aby więc oddać sens zawierający się w tej grze słów, trzeba rzecz wyrazić omownie. Zwracając przy tym uwagę na zwrot „on reflection”, „po zastanowieniu”, wskazujący, że chodzi o ocenę własnego wychowania, której dokona dziecko w przyszłości, będąc już człowiekiem dorosłym. A więc można by to przełożyć tak:

W książce tej przedstawiam rezultaty podejmowanych przez całe życie wysiłków, aby odkryć i zbadać, co jest pożądane i konieczne dla pomyślnego wychowania dziecka. Przez pomyślne wychowanie nie rozumiem tu osiągnięcia przez dziecko czegoś, co uchodzi za sukces w oczach świata, ale takie wychowanie, z którego, *zastanawiając się nad nim*, gdy dorośnie, będzie zadowolone, i dzięki któremu będzie mogło być, *ogólnie biorąc*, zadowolone z siebie, mimo niedostatków, od których nikt z nas nie jest wolny.

A oto jak tłumaczki oddały zdanie drugie:

Sądzę bowiem, że jednym ze wskaźników właściwego wychowania jest umiejętność skutecznego stawienia czoła zmiennym kolejom losu i trudnościom życiowym, głównie dzięki poczuciu pewności siebie.

I believe that another indication of having been raised well is a person's ability to cope reasonably well with the endless vicissitudes, the many hardships, and the serious difficulties he is likely to encounter in life, and to do so mainly because he feels secure in himself.

W oryginale nie ma i nie może być „bowiem”; jest „inna”, a nie „jedną”, jako że autor przechodzi tu do kolejnej, innej niż w pierwszym zdaniu sprawy, którą wylicza:

Sądzę, że *inną* wskazówką, iż dana osoba została wychowana właściwie, jest zyskana przez nią możliwość w miarę pomyślnego radzenia sobie ze zmiennymi kolejami losu, wieloma cierpieniami i poważnymi trudnościami, jakie z pewnością zdarzą jej się w życiu, i to radzenia sobie z nimi przede wszystkim dzięki pewności siebie.

A oto trzecie zdanie w opublikowanym przekładzie:

Osoba, która odebrała odpowiednie wychowanie, niewolna wprawdzie od wątpliwości – są ich pozbawieni jedynie zarozumiali głupcy – posiada jednak bogate i gratyfikujące życie wewnętrzne, dające jej satysfakcję, cokolwiek zdarzy się w jej życiu.

Although not always free of *self-doubt* – since only arrogant fools are entirely free of that – whatever happens in his *external* life, such a person who has been well raised possess an inner life which is rich and rewarding, and with which he is hence satisfied.

Nie chodzi tu o „wątpliwości”, ale o „wątpliwości co do siebie”, a opuszczenie określenia „zewnątrznego” w wyrażeniu „cokolwiek zdarzy się w jej życiu”, niszczy przeciwstawienie „życia wewnętrznego” i „życia zewnętrznego”, które autor tu uwydatnia:

Choć osoba taka nie będzie wolna od takich czy innych *wątpliwości co do siebie* – bo nie miewają ich tylko zarozumiali głupcy – to jednak, mając dzięki właściwemu wychowaniu bogate i satysfakcjonujące życie wewnętrzne, będzie czerpała z niego zadowolenie niezależnie od tego, co zdarzy się w jej życiu *zewnątrnym*.

I jeszcze kolejne, czwarte zdanie, w którym u tłumaczek zniknęła niezwykle ważna część:

Dorastanie w rodzinie, w której relacje między rodzicami i dziećmi są zawsze dobre, pozwala jednostce kształtować trwałe i dające poczucie szczęścia więzy z innymi i w ten sposób nadawać sens własnemu życiu.

Last but certainly not least, to grow up in a family where good, intimate relationships between the parents and between them and their children are at all times maintained makes an individual capable of forming lasting, satisfying, intimate relations to others, which give meaning to his and to their lives.

Wreszcie, a z pewnością nie jest to rzecz najmniej ważna, dorastanie w rodzinie, w której relacje między rodzicami i między rodzicami a dziećmi są zawsze dobre i bliskie, pozwala jednostce kształtować trwałe, bliskie i przynoszące satysfakcję więzy z innymi, nadające znaczenie jej i ich życiu.

Najważniejsza opuszczona część tego zdania to oczywiście „między rodzicami”; pominięcie jej to pominięcie połowy zagadnienia, o którym mowa. A wyeli-

minowanie początkowego zwrotu, zaczynającego się od słowa „wreszcie”, zamazuje przejrzystą u autora, logiczną konstrukcję całego pierwszego ustępu, która jest konstrukcją wyliczenia. Została ona w przekładzie polskim w istocie zniszczona. Z jasnego wyliczenia kolejnych spraw tłumaczki zrobiły myślową magmę.

Tyle o skrótach, błędach i innych zniekształceniach na pierwszych stronach opublikowanego przekładu, do których z konieczności muszę się tu ograniczyć. Ponieważ jednak autorowi w tych początkowych wywodach chodziło o wyłożenie swoich zasadniczych myśli i przedstawienie osobistej drogi dochodzenia do nich, przytoczę jeszcze z kolejnego akapitu pierwszego rozdziału przynajmniej dwa zdania.

W opublikowanym tłumaczeniu czytamy:

Mając bardzo dobrych rodziców, myślałem wszakże, iż pewne działania wychowawcze można byłoby udoskonalić, kategorycznie zaś nie podobały mi się inne. Byłem przekonany, że metody wychowawcze mogą i powinny być ulepszone, zwłaszcza w świetle nowych idei psychoanalizy. (s. 21-22)

Oryginał:

Although I had very good parents, I nevertheless thought it that many aspects of the parenting I received were questionable, and others I rejected outright. I n g e n e r a l, I was convinced that m a n y of the ways children were raised could be and ought to be v a s t l y improved, particularly in the light of then entirely new i n s i g h t s of psychoanalysis. (s. 4)

Słowo „insight” znaczy „wgląd”; jest to przeciwieństwo abstrakcyjnej, czysto myślowej „idei”, w psychoanalizie zaś, w której jest ważnym pojęciem i do której tu się odnosi, wglądami nazywa się czynione empirycznie odkrycia w psychice ludzkiej:

Chociaż miałem bardzo dobrych rodziców, wiele ich zasad wychowawczych budziło moje wątpliwości, a niektóre zdecydowanie odrzucałem. O g ó ł n i e b i o r ą c, byłem przekonany, że w i e l e metod wychowawczych można i należy z n a c z n i e ulepszyć, zwłaszcza w świetle c a ł k o w i c i e w ó w c z a s nowych odkryć psychoanalizy.

Pomijając inne opuszczenia, wyeliminowanie zwrotu „ogólnie biorąc” przypomina proceder pewnego reżysera telewizyjnego, który przenosząc spektakl teatralny do telewizji, skasował w nagranych kwestiach aktorów oddechy... A tak dzieje się tu raz po raz.

Jak widzimy z tych pierwszych stron, opublikowane tłumaczenie jest stale inkrustowane, jeśli tak można powiedzieć, opuszczeniami i przeinaczeniami, różnego rodzaju i różnej wagi. Najistotniejsze oczywiście są błędy wynikające z niedostatecznej znajomości dziedziny naukowej, którą reprezentuje autor – psycho-

analizy<sup>8</sup>, a także kontekstu innych jego prac, czyli ducha jego pisarstwa, ducha przejawiającego się już w samym stylu. W tekście polskim wiele podstawowych znaczeń oryginału zostało zamienionych na inne, a styl zniszczony. Przecież gdyby tłumaczkom duch pisarstwa Bettelheima był znany, nie przeinaczyłyby mu tylu istotnych dla niego wyrażen, zastępując na przykład wyrażenie „każdy z nas” wyrażeniem „każdy” – by zostać już przy tym najkrótszym, na pozór najmniej ważnym z cytowanych, przykładów tego, jakim z a b i e g o m, według wyrażenia jednej z tłumaczek we wstępie, poddały one cudzy tekst. Przede wszystkim jednak – jakim prawem?

## Abstract

**Danuta DANEK,**  
The Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences  
(Warszawa)

### By what right? Reading some translations

The Author emphasises an instance of breach of the binding copyright by the Polish translators of Bruno Bettelheim's book *A Good Enough Parent*, who have heavily interfered with the text, misrepresenting and distorting its contents. Translation errors are analysed, having occurred due to unsatisfactory command of the English language and the scientific domain concerned by the Bettelheim book, i.e. psychoanalysis.

<sup>8/</sup> Trudno się temu dziwić, skoro nawet polska monografia Freuda (Z. Rosińska *Freud*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1993, 2002) świadczy o skrajnej niekompetencji autorki: znajdujemy tu bezlik nieprawdziwych informacji, błędów i przeinaczeń, a nawet niedorzeczności i czyste fantazje piszącej. Zob. D. Danek *Freud w polskich*

*wersjach edukacyjnych*, „Twórczość” 2004 nr 4 (tamże omówienie błędów w hasle *Freud* w Wielkiej Encyklopedii PWN i innych pracach mających prezentować Freuda i psychoanalizę czytelnikowi polskiemu).

## Ryszard KOZIOŁEK

Stefanowi Szymutce

### Szeregowy pracownik nauki o literaturze o sobie samym, języku i wielkim cmentarzu literatury

I.

Gdybym pisał literaturoznawcze *Pamiętniki zza grobu*, zacząłbym tak: „Przyszło mi żyć na przełomie dwóch cytatów”. Oto one:

Ze wszystkich jednak porównań, jakie możemy sobie wyobrazić, najbardziej wymowne jest porównanie gry języka z partią szachów. Tu i tam mamy do czynienia z systemem wartości i jesteśmy świadkami ich modyfikacji. Partia szachów jest niejako sztuczną realizacją tego, co język ukazuje nam w postaci naturalnej. Przyjrzyjmy się temu bliżej.

Przede wszystkim stan gry dobrze odpowiada stanowi języka. Odpowiednia wartość figur zależy od ich położenia na szachownicy; podobnie jak w języku każdy składnik ma wartość dzięki opozycji do wszystkich innych składników.

Po drugie, system jest zawsze chwilowy; zmienia się między jedną a drugą sytuacją. Prawda, że wartości zależą także, i w pierwszym rzędzie, od niezmiennych umowy, od reguł istniejących już przed rozpoczęciem partii i pozostających w mocy po każdym ruchu. Takie reguły, przyjęte raz na zawsze, występują także w materiale języka; [...]

**Koziołek** Szeregowy pracownik nauki o literaturze o sobie samym...

Aby partia szachów przypominała pod każdym względem grę języka, należałoby wyobrazić sobie gracza nieświadomego lub bezrozumnego.<sup>1</sup>

Odcieleśniając swoje podboje, aby sprowadzić je do samej istoty, Kubłaj doszedł do końcowej operacji: ostateczny podbój, dla którego wielokształtne skarby imperium były tylko złudną powłoką, sprowadzał się do kawałka oheblowanego drewna, do nicości.

Wówczas Marko Polo przemówił: – Twoja szachownica, najjaśniejszy panie, jest intarsją dwóch gatunków drewna: hebanu i klonu. Kwadracik, w którym utkwiał teraz twój światły wzrok, wycięto z warstwy pnia narosłej w roku suszy: widzisz, jak układają się włókna? Tu możesz dostrzec ledwie zarysowany sęczonek: pęk próbował wykiełkować w pewien przedwcześnie wiosenny dzień, ale nocny szron zmusił go do poniesienia zamiaru.

Wielki Chan nie uprzytamniał sobie dotychczas, że cudzoziemiec potrafi wysłowić się płynnie w jego języku, ale nie to go zdumiało.

– Tutaj powiększony por: może gnieździła się w nim poczwarka; nie czerwiał, bo ten, zaraz po urodzeniu, zacząłby drażyć dalej, ale gąsienicy, która obgryzła liście, przez co drzewo przeznaczono na zrab... Tę krawędź stolarz wyłobit dłutkiem, aby lepiej przylegała do sąsiedniego, trochę wystającego kwadratu...

Kubłaj tonął w masie rzeczy, jakie można było odczytać na gładkim i pustym kawałeczku drewna: w tym czasie Marko mówił już o hebanowych lasach, o tratwach z pni pławionych brzegiem rzek, o przystaniach, o kobietach w oknach...<sup>2</sup>

Odkąd pamiętam, zawsze łatwo ulegałem znakom, zwłaszcza napisanym słowom. Albo zatrzymywałem się na nich, zauroczony ich architekturą i brzmieniem, albo przeciwnie – zapominałem o języku, traktowałem go, jakby był przezroczysty, wierzyłem w światy, które rzekomo rozpościerają się przed moim zaślepieniem, czyli zaczytanym umysłem. Nie potrafiłem być krytykiem języka.

Odkąd uprawiam zawodowo racjonalizację związków człowieka i przedstawiającej mowy zwanej literaturą, reprezentuję podejrzliwą i czujną postawę wobec znaków. „Nie dać się zwieść!” – oto wyznacznik literaturoznawczego profesjonalizmu. Nie przecząc tej oczywistości, wiem, że zawodowa trzeźwość została osiągnięta za cenę zdrady szlachetnej naiwności lektury, która to naiwność zakładała, że literatura, poza przyjemnością obcowania z fikcją, pozwala lepiej rozumieć siebie i świat. Obecnie, jako zawodowy czytelnik, sytuuję się na marginesie społecznej i indywidualnej funkcji lektury. A nawet mam poczucie, że zajmuję w tej relacji miejsce intruza, kogoś zbędnego, czyjej obecności żadna ze stron nie wymaga, a może nawet nie potrzebuje dla swego funkcjonowania, przecież nie dla mnie – literaturoznawcy – powstaje literatura. Badacz literatury to raczej lekturowy bę-

<sup>1/</sup> F. de Saussure *Kurs językoznawstwa ogólnego*, przeł. K. Kasprzyk, wstęp i przyp. K. Polański, PWN, Warszawa 1991, s. 112-113.

<sup>2/</sup> I. Calvino *Niewidzialne miasta*, przeł. A. Kreisberg, Czytelnik, Warszawa 1975, s. 101-102.

kart, który dzięki wiedzy i metodzie uzurpuje sobie prawo pierworództwa, to znaczy bycia czytelnikiem właściwym, wybranym i namaszczoneym przez tekst lub pisarską intencję. Co nie znaczy, że jestem społecznie nieużyteczny. Literatura jest fragmentem rzeczywistości, który zastajemy w świecie. Jej opis jest częścią poznawczego paradygmatu świata, w którym żyjemy. A jednak to pocieszenie nie skutkuje, nie usuwa bowiem właściwego temu zawodowi doświadczenia wyalienowania z lektury. Czytanie zawodowca nie jest jedynie ilościową przewagą nad kompetentnym amatorem. Właściwa różnica tkwi w przymusie podejrzenia, któremu podlega moja w zasadzie każda już lektura.

Nie umiem już czytać, bo wiem, że czytanie powinno być wstępem do pisania o czytaniu; że muszę (powinienem) pisać, choć nie chcę być pisarzem. W słynnym przykładzie z szachami de Saussure uczynił to, co powtórzył za nim Kubłaj u Calvino: odcieleśnił mowę i sprowadził do języka pojmanego jako system różnic. Odtąd nie ma celu gry poza samą grą, a to, co jednostkowe, przestaje mieć znaczenie poza relacją w systemie. Znaczenie jednostki określa nie walka, śmierć, podbój lub klęska, ale jej relacja z inną jednostką wedle reguł systemu. Cicha, semiotyczna nicość. Kto tego nie wie, jest naiwny; kto wie, jest literaturoznawcą.

Konsekwencje są jednak bolesne. Teza, że sens jest wytworzony przez system konwencji użytych w tekście, szybko objawia swój nihilizm. Kubłaj rozpoznaje siebie i swoje dzieło w postaci figur szachowych, a raczej w niezmiennych relacjach między nimi. Materiał, treść, postacie i ich działania zostają zignorowane. Liczy się jedynie różnica ich funkcji w grze. Kiedy okazuje się, że szachowy model języka ignoruje egzystencjalną treść podmiotu i sprowadza go do wiązki relacji, wówczas Kubłaj staje w obliczu kryzysu. Przyznajmy, nieco groteskowego. Czyż „wiązka interpersonalnych relacji” może mieć kryzys? Wszak poza systemem różnic nie ma niczego ani nikogo; „nieświadomy lub bezrozumny gracz”, sprawny dysponent reguł signifikacji zajął miejsce autora i czytelnika.

Ale była też trzecia ofiara: literaturoznawca. Choć na pozór wydawało się, że nie dotyka go ta zmiana, a nawet jego pozycja ulega wzmocnieniu. Wiedząc o naturze języka więcej niż pisarz i czytelnik (różniące się stopniem bierności instrumenty konwencji), także doświadczył szoku utraty podmiotowości. Przyczyną była jego pokrętna relacja wobec języka. Nadświadomość ubywania rzeczywistości ze świata opanowanego przez znaki próbował zdyskontować podmiotowością naukowca usytuowanego „na zewnątrz” tekstu i całej rzeczywistości pisania. Ta atrapa pozytywistycznej naukowości zmuszała jednak do zredukowania w sobie czytelnika dokonującego rzeczywistej lektury, czyli czytania dokonywanego przez żywego człowieka. To, że taki model analizy tekstu nigdy nie został spełniony i osobowość badacza zawsze odciskała się na jego procedurach badawczych, tylko potęgowała sprzeczność teorii i praktyki lektury.

Terapią na kryzys w ujęciu Calvino miałoby być radykalne otwarcie granic systemu, co w języku szachowej alegorii oznacza, że za pomocą szachów wcale nie musimy grać w szachy. Dla Czytelnika, jakim chce być literaturoznawca, takie przesunięcie jest ryzykowne. Alternatywa czy raczej konflikt między Marco Polo

a Kubłajem polega bowiem na odmiennym zdefiniowaniu dynamiki tekstu, która wytwarza znaczenie. Kubłaj sądził (jak znaczna część zawodowych badaczy literatury), że sens tkwi w tekście i jest wytworzony przez system konwencji uruchomionych przez pisarza. Marco przekonuje, „działając słowami”, że sens nie jest wyłącznie efektem relacji między elementami tekstu; jest także, a może nade wszystko, znaczeniem, jakie moja wola, wola interpretatora, może przypisać określone-  
mu obiektowi. Lektura rozbija skończoność sensu, podobnie jak literatura nieustannie rozbija skończoność historycznych form języka.

Rozpoznanie deterministycznego modelu generującego fabuły bądź metafory jest przygnębiające, ale bynajmniej nie kończy przyjemności i poznawania towarzyszącym czytaniu literatury – twierdzi Marco i zwraca się „w głąb”, w kierunku lekceważonej materialności języka. Skoro bowiem materialność rzeczywistego świata została odkryta jako arbitralnie usymbolizowana (oznakowana) w abstrakcyjnej gramatyce narracji, należy się skierować ku materialności mowy, cielesnej i konkretnej w jednostkowej artykulacji lektury, dokonywanej w określonym historycznie momencie; tam odciska się ślad rzeczywistości; w błędzie, powtórzeniu, zaskakującej metaforze odciska się ślad niebędący przedstawieniem, ale efektem impulsu, który zrodził pragnienie wypowiedzi. Jego mowa drży zmysłowością, czci własną iluzoryczność i zdolność oszukiwania wyobraźni. Mami udręczony umysł Kubłaja zmysłowością przedstawienia, „efektem realności”, broniąc w ten sposób powierzchni mowy, „skóry” wypowiedzi, a gładki schemat szachownicy jest tylko wyzwaniem wobec potencji oznaczania, jaką ma jego dyskurs. Materialność i ulotny kształt świata nie jest już przedmiotem przedstawienia, ale modelem wypowiedzi. Uderza ogromna dysproporcja między skromnością przedmiotu a przepychem zainspirowanych przezeń słów, kiedy Marco rozwarstwia i różnicuje system języka, zakrywa rusztowanie przedstawienia, umożliwiając na nowo opowieść, choć bezpośrednio nadal jest to tylko opowieść o języku.

W tej szyderczej wobec strukturalizmu przypowieści o języku oszustwo się udaje. Kubłaj nie dziwi się, że cudzoziemiec zna jego język; zapomina o języku, wsłuchany w opowieść o nim. Ale też mowa Marco nie może się zatrzymać, bo w szaleństwie symulacji podaje się za świat, migotliwą zmienność i niewyczerpane bogactwo, wobec którego jest już na zawsze spóźniona. Jego słuchacz zapomina o szachownicy i zanurza się w wielości wyobrażeń („Kubłaj tonął w masie rzeczy, jakie można było odczytać na gładkim i pustym kawałeczku drewna”). My wiemy, że tonie w znakach, uwolnionych przez Marca z więzienia struktury; ten bowiem odkrył przed nim siłę literatury, o której mówi Barthes, że „polega raczej na i g r a - n i u znakami niż na niszczeniu ich, na umieszczaniu znaków w maszynierii językowej, której hamulce i zawory bezpieczeństwa wyleciały w powietrze, krótko mówiąc – na ustanawianiu w obrębie służalczego języka prawdziwej różnorodności rzeczy”<sup>3</sup>. Odkąd mowa daje się sprowokować rzeczywistości (zastąpić ją?), odtąd nie ma już mowy o tęsknocie do wykrycia głębokich praw języka.

<sup>3</sup>/ R. Barthes *Wykład*, przeł. T. Komendant, „Teksty” 1979 nr 5(47), s. 19-20.

„Ta subiektywność i cielesność mowy może cię pogodzić z sobą dawnym, czytającym namiętnie i zmysłowo” – zdaje się obiecywać Calvino – tam rezyduje rzeczywiste. Na pozór ma rację. Wyobraźnia nie jest przecież tylko rejestracją przedstawień, ale aktywnością czytającego umysłu. Posłuszny mu zawodowy czytelnik musi teraz mówić coraz więcej, musi stać się czytelnikiem piszącym. Nie ma powrotu do święta lektury, a jedynie wywalczone prawo do subiektywności w obrębie literaturoznawczych instytucji tekstu. Prawo to pozwala mówić o sobie i nie zostać oskarżonym o nieprofesjonalizm, naiwność czy nienaukowość. Ale to tylko sztuczka, ominięcie, objazd, zlekceważenie autorytetu instytucji tekstu. Dla swoich potrzeb opracował ten wybieg Barthes w *Przyjemności tekstu*. Był zarazem świadom, że sztuczka ma poważne konsekwencje dla niego samego jako podmiotu lektury; w jej efekcie powinien z czytelnika stać się podmiotem piszącym, który czytanie literatury traktuje „jako narodziny pragnienia pisania, jako przestrzeń działań, w której wyłoni się, zrazu nieczytelny, choć nieustępliwy i nieodparty, *tekst-do-napisania*”<sup>4</sup>. Trudna wolność „piszącego czytelnika” zbliża go być może do doświadczeń pisarza, pozbawia jednak poczucia pewności swej roli w obcowaniu z literaturą. Odtąd czyta się już tylko po to, aby pisać, a „ostatnim czytelnikiem” będzie krytyk lub raczej jego mutacja, „ktoś, kto chce pisać”. Tymczasem, wbrew mitycznemu w naszym fachu pragnieniu powieści – pisze Barthes – „widzę swoją przyszłość, aż do śmierci, jako «niekończący się łańcuch»: gdy tylko skończę ten tekst, ten wykład, cóż będę mógł robić, jeśli nie zabrać się za następny?”<sup>5</sup>.

Oto groteskowe hamletyzowanie literaturoznawcy: czytać czy pisać? Pisać czy nie pisać? Groteska nie pozbawia jednak problemu wagi, a co najwyżej patosu. Wydiedziczony z języka, pozbawiony zaufania do mowy, niezdolny do stworzenia nowej formy pisania – literaturoznawca. Gdzie jest moje miejsce w języku? Gdzie jest moje miejsce pośród języków?

## 2.

Wracam z parku i dla potrzeb zajęć ze studentami wymyślam przykład, który mógłby zilustrować następujące zdanie Ricoeura:

Referencja metaforyczna [...] polega na fakcie zacierania referencji opisowej – zacierania, które w pierwszym podejściu, czyni język odniesieniem do siebie samego, w drugim zaś ujawnia się jako negatywny warunek uwolnienia bardziej radykalnej siły referencji skierowanej ku tym aspektom naszego bycia w świecie, o których nie może być mowy bezpośrednio.<sup>6</sup>

4/ M.P. Markowski *Barthes: przygoda lektury*, w: R. Barthes *Lektury*, przeł. K. Kłosiński, M.P. Markowski, W. Wieleżyńska, wyb., oprac. i posłowie M.P. Markowski, KR, Warszawa 2001, s. 249.

5/ R. Barthes „Przez długi czas kładłem się spać wcześniej”, przeł. M.P. Markowski, w: tegoż *Lektury*, s. 213.

6/ P. Ricoeur *Time And Narrative*, vol. 1, transl. by K. McLaughlin and D. Pellauer, Chicago and London 1985, s. 80.

Buduję więc taki początek nieistniejącego wiersza:

najokrutniejszy jest maj  
rzuca w oczy  
zielen buków

Bez nadziei na referencjalną bezpośredniość, pamiętając o przestrodze Szekspira, że „nazwa rzeczy nie ma znaczenia; to nie podpis na wekslu; rzeczy nie są mi nic dłużne”<sup>7</sup>, od razu ujawniam więc zadłużenie „mojego” wiersza wobec innych słów. Rozpaczam od aluzji do Eliota, patrona podszytej lękiem afirmacji wiosny. Dalej idą użyteczne frazeologizmy („rzucić się w oczy” i „rzucić coś komuś w twarz”), tworząc obiecujący kontrast z „wysoką” poezją, i wreszcie nieśmiały ślad mojego wrażenia, powoli rozwijającego się w przeżycie i doświadczenie.

Chronologia wersów nie odpowiada kolejności zdarzeń ani nawet logice refleksji. Ta ostatnia była bezładna, asocjacyjna. Nie sposób też wskazać na zmysłowe wrażenie wiosennej zieleni jako na inspirację dla dydaktycznego pomysłu. Nie moje słowa zjawiły się równocześnie ze zmysłowym impulsem. Jeśli szukać jednak genealogii, można przypuszczać, że to raczej początek *Ziemi jałowej* sprawił, iż mogłem „zobaczyć” w takim kontekście zielen buków i że sprawiła mi ona lekki ból. Zielen buków w maju boli mnie, podobnie jak Eliota mogły boleć łodygi bzu wyrwane z zmarzłej ziemi przez wiosenny przymus wegetacji. Uświadamiam sobie, że nie umiem mówić, nie cytując – od wielkiej poezji do wytartego zwrotu potocznego („rzucić w oczy”). I choć niewątpliwie moje jest spojrzenie, które widzi zarówno majową zielen buków, jak i napisane słowa, to jestem nierozdzielnie jednym i drugim, i nie sposób uchwycić, co było pierwsze.

Dlaczego jednak nie staram się wypowiedzieć tego „własnymi słowami”? Odpowiedź jest prosta: ponieważ nie znam lepszych słów. „Jego kwiecień” ma nad „moim majem” między innymi tę przewagę, że w *Ziemi jałowej* wiosenne zmarzłychwstanie natury jawi się jednokrotnemu, ludzkiemu istnieniu jako kwietniowy żart, *prima aprilis*. Ale istnieje też powód generalny. Pisanie literatury jest – jak uważam – próbą przekroczenia tego, co już zostało powiedziane, zmuszenia języka, aby „oduczył się” tego, co już umie, zapomniał o sobie. To niemożliwe, ale bez prób swego rodzaju „twórczej amnezji” pisanie staje się chłodną grą lub wręcz cyniczną kalkulacją. Bez względu jednak na intencję, pisaniu spletanemu świadomością niespłacalnego długu tradycji pozostaje wyczerpująca i skazana na fiasko wojna z pamięcią języka o swojej przeszłości.

Pisanie, jak je pojmuję, jest walką z wciskaniem się złej mowy (jak „złego pie-niądza”). „Dobra mowa” nie zdążyła jeszcze sięgnąć ku swemu przedmiotowi, a już musi zmienić cel. Teraz stara się wyprzeć „złą”, wikła się w związki ironii, parodii, patosu, odwraca we wzniosłym milczeniu. Jej celem nie jest już przekroczenie „egotyzmu języka”, ale wypowiedzenie innego, różnego słowa. Tymczasem doświad-

7/ W. Szekspir *Jak wam się podoba*, przeł. St. Barańczak, W drodze, Poznań 1993, akt II, sc. 5, s. 52.

czenie, które mogłoby zainicjować „własną mowę” pogrąża się w milczeniu, albo w najlepszym razie ujawnia się w postaci ślepej siły, niekomunikatywnej, cielesnej, która destabilizuje samowystarczalność językowych ujęć, przejętych z setek lektur.

Przymuszony przez samego siebie do pisania „po Eliocie” natychmiast (tak jak to uczyniłem w „niby wierszu”) zacząłbym się wikłać w walkę z naporem języka – czy Eliotowego, czy potocznego, pozostaje tu bez znaczenia. Język posłał mi piłkę, a ja ją odbiłem.

Na tej samej drodze mijam tablicę przed kościołem, na której wiszą klepsydry. Czytam nieznane mi nazwiska zmarłych, myślę o własnej, przypominam sobie buki, Eliota. Raptem, po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciw tablicy z klepsydrami, dostrzegam (choć widziałem ją już wcześniej) tablicę reklamową przedstawiającą siedzący na sedesie szkielet, a u jego stóp widnieje napis: „Nie bawisz się, nie żyjesz”. Działanie skomplikowanych znaczeń indywidualnych każdego z tych „boardów” spiętrza się i dezorganizuje nawzajem dzięki umieszczeniu ich naprzeciw siebie. Ale dzieje się to przypadkiem, wskutek mojego wejścia pomiędzy te dwa komunikaty. Zanim nastąpi akt myślenia, wytyczenia związków najpierw analogii, a następnie alegorii i ich interpretacji, moje ciało przypadkiem wyznaczyło i przekroczyło linie znaczeń powołanych między dwoma tekstami. Oczywiście, nie w tym oryginalnego. Podobna analogia mogła zostać dostrzeżona nie tylko przeze mnie, ale i wielu innych przechodniów. A jednak moje spojrzenie jest odmienne i wywołuje we mnie specyficzne zdarzenie sensu.

Dwie tablice spoglądają na siebie moimi oczami, które wcześniej patrzyły na majową zielen buków, na poemat Eliota i wiele innych słów. Teraz widzą funeralną groteskę oraz ilustrację do *Zabawić się na śmierć* Postmana. Pleniące się odniesienia, niekończące się interteksty odsuwają grozę, która zamigotała na chwilę w tym zetknięciu śmierci prawdziwej i zabawnej, bo conceptualnej. Ale szybko o tym zapominam, dzięki – domagającemu się opanowania – nadmiarowi sensów.

Wstrętna i niemoralna jest szybkość tej refleksji, bieg myśli ku groźnej treści, zadowolenie w niej, brak oporu innego jak retoryczny. Inaczej niż dla Gilgamesza w znakomitej analizie Jana Kotta, śmierć jest dla mnie bliskim słowem i mimo wszystko odległym lękiem<sup>8</sup>. Czyżbym zatem myślał (czyli mówił) o śmierci, żeby nie myśleć o śmierci? Wprawdzie czytam i komentuję literaturę, która mówi o sprawach strasznych, ale być może czynię tak, aby w najdoskonalszy sposób ominąć te zagadnienia, doznając pocieszenia w funkcji, jaką sprawuję; w bezpieczeństwie grozy zastygłej w znaku, albo śledząc losy postaci, których fikcyjne istnienie zostało obdarowane łaską sensu. W lekturze każde najbardziej absurdalne lub przerażające zdarzenie dostępuje zbawienia, że nie powstało na próżno i nie zapadło w nicość. A to przecież fałsz, choć najszlachetniejszy. Służąc mu, historyk litera-

tury podejmuje pracę na cmentarzu. Stąd jego oswojenie i częsta bezmyślność lub zobojętnienie. Patrząc wstecz lub w przyszłość tekstów, widzi to samo – groby. Świadome tego myślenie humanisty rozpoznaje swoją powinność w rozmaicie pojmowanych pracach ekshumacyjnych, do czego zachęcają lustrzane etymologie: *humanus* – „ludzki”, podczas gdy *humus* to „ziemia”. Nawet różnica między łacińskimi wyrazami, czyli częstka „an”, sprzyja funkcji humanisty-ekshumatora, jest to bowiem partykuła pytająca „czy”. *Humanus an humus?* Każdy gest lektury, komentarza, pisania, jest ponawianym rozwiązaniem owej alternatywy, wydobywaniem z ziemi, wydzieraniem niszczeniu i nicestwieniu, nieustanną renowacją cmentarza. Kultura to niekończąca się obsługa cmentarza; krzątania, której celem jest zasłużyć na posługę wobec siebie martwego?

Marko Polo szlachetnie zwiódł Kubłaj-Chana, ziemię zasłonił grobem, podobieństwo różnicą, język mową. Oczarowany teatrem jego mowy, Kubłaj zapomina o nicości znaków, które schematyzują jego pojedyncze istnienie. Oszustwo Marka (przemieszczenie przedmiotu literaturoznawstwa poza formalistyczny strukturalizm) polega na ukryciu za zasłoną języka prawdy, że mowa dobywa się tylko z żywych ust, które zaklinają martwiejące znaki. A ja, który pruję znakowe zasłony, triumfalnie obnażając ich samozwrotność i symulacyjność, czym się oszukam i czym pocieszę?

### 3.

Jestem historyczny, moja lektura jest historyczna, mój zawód produkuje historię czytania i pisania: na czas, na temat, na zamówienie, na stopień, na punkty. Czujność! Trzeba panować nad literaturą swego przedmiotu, ale też być na bieżąco z ważnymi nowościami. Byłem wcieleniem pragmatyzmu i romantyczności krytyki literackiej; jestem: cynizmu i historii instytucji literaturoznawczych.

„Uspokój się – mówi przyjaciel – uwierz w dzieło, które ciebie wybiera. Przypomnij sobie migdał Błońskiego”. Jaki migdał? Szukam w pamięci. Nic nie pamiętam. Sięgam na półkę. Jest. Pierwsze strony *Romansu z tekstem*. Czemu nie pamiętam? Błoński doradza: słuchaj jak dzieło rezonuje w tobie, poddaj się jego wyborowi. Wtedy osiągniesz uspokojenie, które przychodzi ze wsłuchiwania się w ten oddźwięk. Skup się na nim.

„Ładnie mówisz Baruch. Pełna geometrii jest twoja łacina” – odpowiada mi we mnie wiersz Herberta. Ale co z szachownicą, jaką grę dziś uprawiamy, czy raczej: jaki towar oferujemy w supermarkecie społecznych dyskursów? Czym jest dziś, czym ma być dziś zawodowa gra w komentowanie literatury? Rynek i polityka zagarnęły wszystko, nie pozwoliły jednak wcale zrozumieć zagubionej tam nowej funkcji literaturoznawcy. Kiedy mówię o literaturze w radiu lub w kinie o związkach literatury i filmu, liczy się retoryka i emblemat instytucji (dr z Uniwersytetu). Jestem jak pani w reklamie ze stetoskopem na szyi – uwiarygodniam przekaz komercyjny. To układ, który rozumiem i w pewnych granicach akceptuję. Dzięki wiedzy o historii nowoczesnej humanistyki nie czuję się też historycznie

<sup>8/</sup> „Śmierć jest jeszcze dalekim słowem, ale już bardzo bliskim lękiem” (J. Kott *Gilgamesz albo śmiertelność*, w: tegoż *Pisma wybrane*, t. 3, red. T. Nyczek, Krag, Warszawa 1991, s. 433).

i pokoleniowo wyjątkowy. W wydanych w 1872 roku *Narodzinach tragedii* Nietzsche pisze, że

dziennikarz, papierowy niewolnik dnia, pod każdym kulturowym względem odniósł zwycięstwo nad nauczycielem akademickim, któremu pozostaje już tylko przeżywana często metamorfoza: mówić odtąd jak dziennikarz, z „lekką elegancją” tej sfery, poruszać się jak radosny, wykształcony motyl.<sup>9</sup>

Zatem to nie lament, ale poszukiwanie podstaw swojej zawodowej przynależności. Jestem częścią dziwnej instytucji, filologii uniwersyteckiej, która utkwiała gdzieś w bocznej odnodze czasu, w drodze do rynkowej, korporacyjnej rzeczywistości akademickiego kapitalizmu. Wiem, że tam dotrze, ale póki co głoszę pochwałę anachronizmu uniwersyteckiej filologii, dzięki któremu można jeszcze uprawiać bezinteresowną refleksję nad językiem. Niepokoi mnie tylko, czy nie jestem jak wojak Szwejk głoszący pochwałę dogorywającej „CeKanii” (określenie Musila). Zwolennikom kapitalizacji uniwersytetu pozwalam sobie przypomnieć klasyczny paradoks Marksa, że kapitalizm musi nieustannie powiększać swoją produkcję i w związku z tym wytwarzać kolejne potrzeby, które mógłby zaspokajać. Nas, piszących humanistów, także cechuje nadmiar produkcji, nie umiemy jednak wytworzyć potrzeb, które ów nadmiar mógłby zaspokajać. Nie potrafimy nawet o nich fantazjować, fantazjujemy więc na temat zewnętrznego zła, które taki stan rzeczy rodzi.

Wbrew faktom, twierdząc jednak, że mój dyskurs może mieć znaczenie na zewnątrz akademii, kiedy przestanie o to zewnętrznie zabiegać, kiedy przestanie się siebie wstydić, ukrywać swoją profesjonalną obcość i przekładać siebie na mowę zbliżoną do potocznej. Jeśli się tego wyrzekniemy w imię popularyzacji, medialności itp., stracimy jedyną wymierną zawodową odrębność, a także coś więcej, względne rozumienie własnej roli. Wiem, żaden dyskurs nie ubezpiecza sam siebie. Wolny dialog publiczny czy naukowy, swoboda badań, potrzebują władzy oraz społecznego uznania, które tę wolność wspierają.

Akademicka lektura tekstu literackiego zawiera pewien nadmiar precyzji, skrupulatności i specjalizacji, której nie potrzebują rynek ani polityka, a przede wszystkim media – współczesne targowisko. Dlatego nie mam wątpliwości, że ani rynek, ani polityka nie potrzebują mojego jednostkowego, zawodowego dociekania nad językiem, formą i znaczeniem pojedynczego, historycznego tekstu. Nie potrzebują tego w nadmiarze nawet studenci.

Tylko teksty mnie potrzebują<sup>10</sup>.

<sup>9/</sup> F. Nietzsche *Narodziny tragedii albo Grecy i pesymizm*, przekł. i przedm. B. Baran, Inter-Esse, Kraków 1994, s. 147.

<sup>10/</sup> Inspirująca dla tego fragmentu była złość na artykuł Stanleya Fisha (*Theory's Hope*, „Critical Inquiry” Winter 2004, zwłaszcza wywód na s. 378), do którego też bardzo mi blisko, jednak pozycja podmiotu (o nazwie „Stanley Fish”) nadaje jego refleksji kompletnie odmienne znaczenie.

Kiedy przyglądam się książkom, które cenię, zauważam, że łączy je wąski zakres dociekań; ryzyko komentarza, którego autor powierza swą wiedzę i pracowitość jednemu dziełu, fragmentom kilku, jednemu opowiadaniu czy wierszowi. Decydują się badać mały fragment terenu; to dłubacze, ale i ryzykanci, hazardziści, którzy swoje jednokrotne istnienie poświęcają przysłowiowemu przypisowi do *Pana Tadeusza*. A jednak nie widzę innej rady, jak powierzyć się z rozpaczliwą ufnością tekstowi, który przyzywa (we mnie) mój komentarz. Tam jest moje miejsce w języku, w pewnym przypadku dziwacznej lektury: historycznej, ograniczonej, skończonej, wąskiej i specjalistycznej; oraz tym, co nadaje jej posmak absurdałnego hazardu: że jestem raz i nigdy mnie już więcej nie będzie.

## Abstract

**Ryszard KOZIOŁEK,**  
University of Silesia (Katowice)

### A rank-and-file literary-science employee on himself, language, and a great cemetery of literature

A sketch attempting at unveiling two effects of the literary-scientist profession: a specific alienation from the language and the sense of social and professional uncertainty of the function of literary scholar, proving rather sharp at present. The poetics of a personal confession applied in this essay is intended to reinforce the utterance's credibility.

# Pożegnania

## Edward BALCERZAN

Późna przyjaźń.  
Pamięci Andrzeja Litworni (1943-2006)

Podobno tylko w młodości zawiązują się przyjaźnie; moja z Andrzejem Litwornią zrodziła się w czasie, gdy on miał do pięćdziesiątki jeden rok, a ja do sześćdziesiątki trzy lata. Wyrastaliśmy w różnych regionach. Byłem dzieckiem nauczycielskim; on, co uroczyście podkreślał, ilekroć upominał się o ład w moim księgozbiorniku lub w lodówce, synem farmaceutki. W maju 1961 roku Andrzej składał egzamin maturalny, ja magisterski. Moglibyśmy sobie z tego później przy kieliszku grapy skomponować mały mit, przekładając metafizykę przypadku na metafizykę przyjaźni, ale uświadomiłem sobie tę możliwość poniewczasie, słuchając mów pożegnalnych w dniu jego pogrzebu.

Spotkaliśmy się w lutym 1967 roku, w Połczynie Zdroju. Szary jak era Gomółki dom wczasowy gościł uczestników Konferencji Teoretycznoliterackiej Pomocniczych Pracowników Polonistyki, która stanowiła jeden z wielu etapów przełomu metodologicznego. Czulem się sprzymierzeńcem Nowatorów, którzy spadkobierców genetyzmu, biografizmu, psychologizmu etc. określali niepocholebnym mianem Archaistów, nie mając zresztą na myśli nikogo z obecnych na sali. A tymczasem oni byli pośród nas: nierozpoznani, milczący. Do niejawniej opozycji należał asystent z Wrocławia, Andrzej Litwornia. Wysoki, wyprostowany, siadywał jak najdalej od mównicy, na końcu długiej sali, nie reagował na nasze konferencyjne aktorstwo ani na „podniebne loty” naszych myśli. Ukończył właśnie dołnośląską polonistykę (ja zamykałem pracę nad dysertacją doktorską). Raz się przysiadłem do posępnego drągala, próbowałem żartobliwym komentarzem sprowokować go do wymiany spojrzeń porozumiewawczych, nic, bez echa, jakby odlano go w żeliwie.

Źle trafił, nie czuł się teoretykiem literatury. Pochłaniało go naładowane zagadkami, wyłaniające się z tumultów historii życie literackie dawnych wieków.

**Balcerzan** Późna przyjaźń. Pamięci Andrzeja Litworni

Z kolei ja lubiłem kombinację pojęć abstrakcyjnych, co prawda tylko gdy pomagały mi opisać napięcia literackie. Zbliżenie obu stanowisk, na zdrowy rozum nieantagonistycznych, wydawało się w tym czasie niemożliwe.

Do Połczyna przyjechał z kolegą; opowiadał mi w wiele lat później, jak to w nocnych rodaków rozmowach „podsumowywali” nas bezlitośnie. Kto czcił konkret, wielbił rzeczywistość, ten mógł liczyć na ich akceptację. Nie dowierzali abstrakcjom, spekulacjom, obietnicom bez pokrycia. Ponoć ja nie byłem pozbawiony szansy ocalenia: „Balcerzan coś wie o poetach, tłumaczach, grupach... najgorsi są ci, którzy wymyślili «instrukcje obsługi», pielęgnują je, konserwują, ale do żadnego świata nie odnoszą”.

Na długo, na 27 lat, straciłem go z oczu. Zgubiłem nawet z pamięci nazwisko! W 1994 roku sławista włoski, Anton Maria Raffo, zaproponował mi wygłoszenie wykładu na temat polskiej poezji międzywojennej. Do Włoch wybrałem się z żoną autobusem, który przedzierał się z trudem przez granice celne i kwietniowe deszcze, na każdym postoju biegliśmy do telefonu, by zameldować, że spóźnienie wzrosło o kolejne pół godziny. Uspokajał nas, instruował, komunikując się jednocześnie z osobą oczekującą pod piramidą w Wiecznym Mieście, głos profesora, o którym wiedzieliśmy, że jest Polakiem i że nazywa się Andrzej Litwornia.

Od tego dnia zaufanie do jego umiejętności logistycznych stało się jednym z najtrwalszych pewników w moim systemie wartości. Anton i Jędrzek chcieli, bym raz w roku pojawiał się we Włoszech, nieodmiennie w Udine, Florencji i Pizie, a jak dobrze pójdzie, to i w Genui, w Mediolanie, słowem tam, gdzie mogli liczyć na zaprzyjaźnione instytuty sławistyczne, mieli znajomych chętnych do opieki, gościnne mieszkania rodzin polskich i włoskich. Podróżnicze lęki neutralizowała świadomość, że czuwa Jędrzek, który pojawi się na pewno na udińskim dworcu w środku nocy, sprawdzi kolejowe połączenia, zaopatrzy w mapy, wskaże ukryte przed tłumami turystów tanie restauracyjki, zadba o honoraria, wygospodaruje wolny czas, by oprowadzić po Wenecji, Padwie, Cividale...

Stał się naszym *n a u c z y c i e m* *W ł o c h*. Obdarowywał swoją wiedzą, lubił dzielić się nią – rozrzutnie – przy każdej sposobności. Nie pamiętam, by jakkolwiek obiekt zabytkowy, oglądany z okien auta lub pociągu, pozostawiał bez komentarza. Jego rozległa, z książek i z autopsji pochodząca, znajomość architektury, biegłość w przenikaniu przez szyfry historii, odczytanie w żywotach świętych, rozeznanie we włoskich peregrinacjach Polaków, od Kochanowskiego i Mickiewicza po Herlinga Grudzińskiego, były materiałem barwnych opowieści. Najwspanialszy koncert erudycyjny, jakim nas obdarzył, odbył się w weneckim Pałacu Dożów (spędziliśmy tam sześć godzin). Jędrzek ukazał nam – zapisany w organizacji przestrzeni i w alegorycznych malowidłach – kodeks przesłań etycznych, przykazań, ostrzeżeń, które dyscyplinowały dawno temu moźnych tego miasta. Ale Wenecję znał i studiował wielokrotnie wcześniej. On umiał wejść do pierwszej z brzegu budowli, w której nigdy przedtem nie był, i rozpocząć na ten temat wykład. Kilka lat temu, gdy z żoną Krystyną odwiedził nas w Poznaniu, zaproponowaliśmy im spacer na Ostrów Tumski. Gdy weszliśmy do Katedry, w której po-

chowani są pierwsi królowie polscy, Mieszko Pierwszy i Bolesław Chrobry, Jędrzek rozejrzał się dookoła, obiegił dostojne wnętrza, pochylił się nad paroma nagrobkami, przeczytał kilka łacińskich inskrypcji, zidentyfikował świętych na obrazach wedle ich stałych atrybutów i po poznańskiej świątyni zaczął oprowadzać nas, Poznaniaków.

Zadawałem sobie raz po raz pytanie, czym się zajmuje jako dydaktyk i badacz. W pierwszych latach naszej przyjaźni nie umiałem na to odpowiedzieć. Jego jedyna wówczas książka (rozprawa doktorska), poświęcona Sebastianowi Grabowieckiemu, mało znanemu poecie polskiego baroku, wyznaczała zakres stanowczo za wąski, jak na potrzeby zagranicznej polonistyki. A przecież on, jak większość polonistów poza krajem, musiał poruszać się swobodnie po całym materiale historycznoliterackim, montować cykle tematyczne z różnych epok, korzystając nie tylko z twórczości rodzimej (w pewnym momencie poprowadził w Udine kurs kultury czeskiej).

Im więcej brał na siebie obowiązków, także administracyjnych, tym mocniej niepokoił się jego koledzy i bliscy, kiedy – i czy – ogłosi drukiem nową książkę. Paru osobom wydawało się, że może właśnie ja umiałbym z nim w tej delikatnej kwestii porozmawiać... Zapytałem go kiedyś (jechaliśmy samochodem), co z jego nową książką. – Którą? – Z tą o włoskich podróżach wybitnych Polaków – odpowiedziałem bez namysłu. – A co, masz w głowie kilka? – Mam w głowie trzy – oświadczył. I nie przestał o nich opowiadać, zanim nie wysiedliśmy z auta.

Owe trzy książki, lęgające się „w głowie” Litworni, dojrzewające w notatkach na marginesach licznych lektur, miały opowiadać o związkach kulturalnych włosko-polskich, już to utrwalonych w polskich przekładach z Dantego, Petrarke i Leopardiego, już to widocznych w śladach rzymskich dziejów Mickiewicza, a także w innych biografiach i peregrynacjach<sup>1</sup>. Pytałem go o coś, co powinno być widoczne gołym okiem, skoro znajduję się w samym środku jego badań, które nie zmieniły się od półczyńskiego spotkania, nadal bowiem pociąga go c z ł o w i e k w ś w i e c i e, o tym opowiada jako przewodnik i który prowokuje do detektywistycznych ekspertyz.

Gdybym pomyślał wtedy dłużej nad reakcją Jędrka na moje pytanie, nie namawiałbym go przez tyle lat (namolnie) na pokochanie komputera, nie dziwiłbym się oporom przed rzekomo dla jego dłoni „za małą” klawiaturą laptopa, doszedłbym bowiem do wniosku, że Jędrzek tekstów nie pisze, on je mówi, a d r e s u j e d o k o g o ś (kogo zna). Pracując nad artykułami dla „Pamiętnika Literackiego”, powtarzał, że robi to dla Zofii Stefanowskiej. Eseje drukowane w poznańskim „Arkuszu” posyłał nie tyle „Arkuszowi”, ile zaprzyjaźnionej z nim

równie serdecznie jak ja Bogusławie Latawiec, redaktorze tego miesięcznika, mojej żonie. Zajął się zagadkami italskich wypraw Juliana Przybosa, którym nigdy przedtem się nie interesował, ponieważ ja go poprosiłem o udział w poznańskiej sesji „Stulecie Przybosa” (zrobił to dla mnie – z przyjaźni). Nic też dziwnego, że narracje jego prac – meandryczne, dygresyjne, dowcipne – miały coś w sobie ze skazu. Podobnie p r z e m i e n i o n ą w p i s m o ż y w ą m o w ą stały się jego t r z y książki (tak, jak obiecywał!). Zdążył je przed śmiercią podyktować sekretarce, zadbać o ilustracje. W październiku 2005 roku, na rzymskiej konferencji, dedykowanej śmiertelnie już wtedy choremu Litworni, niecierpliwie czekał na egzemplarze sygnałne *Rzymu Mickiewicza*; chciał porozdawać je z dedykacjami.

Na tej właśnie konferencji wygłosiłem referat *Komparatystyka według Andrzeja Litworni*. Była to próba rekonstrukcji podstaw metodologicznych jego rozpraw. A zarazem, po 39 latach od czasów Połczyna, próba pojednania mojego „strukturalizmu” z jego „genetyzmem”. Bogusława przedstawiła esej wspomnieniowy o Jędrku w „Arkuszu”. Nie mając pewności, jak zareaguje na nasze teksty, wysłaliśmy mu je wcześniej pocztą elektroniczną. Tak nam odpowiedział:

Najukochańsi,

oba teksty mnie zachwyciły, choć każdy inaczej. Tekst Bogusi to poetycka prawie fantasmagoria o dodatkowym zmyśle, jakim dysponuje w Jej przekonaniu bibliofil, to najcieplejsza rzecz, jaką o mnie kiedykolwiek chyba wypowiedziano, to sama czułość, która mnie rozczuliła. A po uczonym wywodzie Edwarda, podlanym sosem teoretycznoliterackich cytatów, czuję się jak karp w galarecie, który przeczytawszy odpowiedni ustęp w książce kucharskiej zrozumiał, jak wielka i odpowiedzialna czeka go rola na zbliżającej się wigilii. Nie, że nie ma w obu Waszych peanach drobnych literówek czy nieścisłości – oczywiście, jeżeli pozwolicie, postaram się je skorygować, skoro sokolim okiem udało mi się dostrzec. Chodzę dumny po domu i czytam, chwilami na głos.

Całuję Was serdecznie, szczerze wzruszony Jędrzek

P.S. Ukłony od równie wzruszonej Krystyny i do zobaczenia, oraz usłyszenia niebawem. Za kilka dni gościć będziemy Marinę Fabbri, u której w Rzymie się macie zatrzymać, ustalimy więc wszystkie detale i ewentualne instrukcje.

K+A

<sup>1</sup>/ Andrzej Litwornia *W Rzymie zwyciężonym Rzym niezwykłym. Spory o Wieczne Miasto (1575-1600)*, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2003; „Dantego któż się odważy tłumaczyć?” *Studia o recepcji Dantego w Polsce*, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2005; *Rzym Mickiewicza. Poeta nad Tybrem 1929-1831*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2005.

Pożegnania

## Abstract

**Edward BALCERZAN,  
Adam Mickiewicz University (Poznań)**

**Late-date friendship. (In the memory of Andrzej Litwornia,  
1943–2006)**

Professor Edward Balcerzan recalls the late Andrzej Litwornia, a friend of his, who was a scholar of Polish living and lecturing in Italy, and an expert on Italian culture and literature, who has authored dissertations on Polish-Italian literary and cultural liaisons and relations.

# Listy do redakcji

Szanowna Redakcjo,

Zwracam się z prośbą o opublikowanie w „Tekstach Drugich” poniższego listu. Jest on polemiką z omówieniem mojej książki *Zrozumieć swój czas* autorstwa Marka Zielińskiego, które to omówienie ukazało się w dodatku do „Rzeczpospolitej” z dnia 16 IX br., a które w sposób niezgodny z prawdą przedstawia zawartość i intencje tej książki. List ten miesiąc temu wysłałam do redakcji „Rzeczpospolitej”; ani jednak nie został tam wydrukowany, ani też nie uzyskałam na niego żadnej odpowiedzi. Zdaję sobie sprawę, że publikowanie go teraz i w innym miejscu nie ma większego znaczenia praktycznego, ci bowiem, co przeczytali recenzję, niekoniecznie natrafią na tę polemikę. Gest ten wszakże ma dla mnie znaczenie moralne: jest znakiem sprzeciwu wobec obyczaju, jaki wytworzył się dziś w debacie publicznej, a który charakteryzuje się tym, że wypowiedziane o innych opinie przestały mieć jakąkolwiek moc. Nie wiążą ani tych, którzy je wypowiadają, ani tych, których dotyczą, ani tych, którzy są tego świadkami.

Otóż opinie o sobie traktuję serio; a ponieważ uważam, że w recenzji Marka Zielińskiego zawarte są twierdzenia nieprawdziwe, które wprowadzają czytelnika w błąd i rysują mój fałszywy obraz jako autorki, proszę więc – jako że jestem autorką wciąż żywą i mogę skorzystać z prawa do repliki – o jej opublikowanie na łamach „Tekstów Drugich”.

Łączę wyrazy szacunku i serdecznej przyjaźni

T.W.

W dodatku do „Rzeczpospolitej” z dn. 16 września br. ukazała się recenzja mojej książki *Zrozumieć swój czas. Kultura polska po komunizmie. Rekonesans* pióra Marka Zielińskiego. Książka ta, wydana dwa lata temu, doczekała się kilku omó-

wień i była przedmiotem dyskusji, co stanowi dowód, że odczytanie jej właściwej intencji nie nastęczało na ogół większych problemów. Omówienie dokonane przez Marka Zielińskiego przedstawia tę intencję w sposób tak tendencyjny i na tyle odbiegający od prawdy, że pozwałam sobie zabrać głos we własnej sprawie.

Każdy autor opublikowanej książki musi się liczyć z nieprzychylną także jej oceną i przyznać czytelnikowi prawo do polemiki. Pod jednym wszakże warunkiem: że opiera się ona na uczciwej lekturze i rzetelnej argumentacji. W recenzji Marka Zielińskiego negatywnej ocenie podlega nie tylko moja książka, ale i osobowość; typ wszelkie lektury, jaki autor uprawia, i sposób referowania jej rezultatów daleki jest od lojalności. Przeciwnie, jest to lektura kierowana złą wolą, fałszywym rozumieniem i łatwo wyczuwalną insynuacją. Ponieważ nie mam ochoty uchodzić za kogoś, kim nie jestem, pozwolę sobie skorygować nieco ten obraz autora, jaki w swojej recenzji zarysowuje Marek Zieliński.

Książka moja ma charakter opisowy i diagnostyczny, zarówno w tym, co mówi o przeszłości, jak i w tym, jak przedstawia teraźniejszość. Jej intencją było pragnienie wyjścia poza język ideologii, polityczne optyki, obszary uczuciowej identyfikacji i pokazanie – we względnie obiektywnej perspektywie (i to jest zapewne rzecz, która Zielińskiego najbardziej drażni) – niektórych mechanizmów kultury czy zjawisk współczesnej świadomości; toteż w żadnej mierze książka ta nie jest „projektem ideologicznym”, jak ją Zieliński nazywa. Ponieważ przedmiotem mojej analizy są wypowiedzi ideologiczne, referuję więc i omawiam m.in. poglądy Żółkiewskiego czy Żygulskiego oraz pokazuję ich pragmatyczne uwikłanie. Zajmuję się tym nie dlatego, że sprawia mi to szczególną rozkosz intelektualną, lecz z tego względu, że dziś dopiero można bez przeszkód analizy takiej dokonać. I w takim samym stopniu jestem zwolenniczką ich poglądów, w jakim ktoś, kto zajmuje się filozofią Sade’a, jest sadystą. Zieliński zaś nazywa ich moimi mistrzami, pisząc na dodatek, że poglądy te doprowadzam do skrajności. Którą to konstatację redaktor kolumny wybija, czyniąc ją „chorągiewką” całego tekstu.

Autor recenzji robi też ze mnie apologetkę kultury PRL-u, eskamotując wszystko, co w mojej książce jest jej krytyką. Z zakończenia tekstu wynika, że piszę o tej kulturze „w poetyce rozrzwienia i fascynacji jej – trudnymi do wykazania – sukcesami”, czego dowodem mają być wcześniejsze cytaty wyrwane z całości wywodu. To sprawdzony, choć nie przynoszący chluby sposób polemizowania, za pomocą którego można bez trudu dowieść, że na przykład Jan Paweł II był lewicowym intelektualistą. Choć akurat przytoczony przez Zielińskiego cytat mówi głównie o tym, że w tamtych czasach profesjonalizm był w większej cenie niż dziś, czego – żeby sprawa była jasna – nie uznaję za zasługę komunizmu, lecz za przykład tzw. wartości sytuacyjnej. Myślę, że w tym przymamniej punkcie Marek Zieliński, który jako profesjonalny redaktor „Nowych Książek” współtworzył kulturę PRL-u, powinien przyznać mi rację.

Dalszy wywód Marka Zielińskiego tak jest prowadzony, że zanim się obejrzałam, znalazłam się w pobliżu „grupy trzymającej władzę”, gdzie podobno sytuują się pozytywni bohaterowie moich rozważań. A negatywni, wygnani przeze mnie

poza obręb sensownego dyskursu, właśnie przejmują ster chichoczącej ze mnie historii. Jak Krzysztof Koehler, którego rzekomo wykluczam z sensownego dyskursu, wyrzucając jego poglądy w sferę ekscesu. Tymczasem ja piszę, że proponując polskiej kulturze współczesnej wzorec osobowy sarmatyzmu w stylu Paska, Koehler wybiera strategię ekscesu. I nie tylko go nie wykluczam, lecz przeciwnie, pokazuję jako osobnika w wartym uwagi uzbrojeniu. Podobnie, jak nie wskazuję na nikogo jako na ciemnogród, a jedynie – opisując dyskurs stygmatyzujący uprawiany po obu stronach politycznej sceny – zdaję sprawę, jak pojęcie to funkcjonuje w polemikach. Tak samo jak nie dokonuję żadnych zabiegów na pojęciu demokracji – próbuję tylko pokazać, jak zmienia się zawartość semantyczna tego słowa w zależności od sytuacji i użytkowników.

Marek Zieliński ma też zastrzeżenia do moich uogólnień, nieuniknionych w esejistycznym trybie wywodu; ale ani nie przeciwstawia im uogólnień celniejszych, ani nie podważa ich zasadności za pomocą żadnych konkretnych argumentów. W końcu ucieka się do analizy psychologicznej, by znaleźć przyczyny mojego umysłowego zaćmienia i moralnych niewątpliwie defektów, i bierze do ręki subtelny instrument – argument *ad personam*. Najpierw zwraca uwagę na złe towarzystwo, w jakim się obracam – „przyjaźnie z uformowanymi w tamtym czasie postaciami”, jak to ładnie określa. Ale ta skaza na moim życiorysie wszystkiego jednak nie wyjaśnia (tym razem nie dojdzie więc zapewne do sprawdzania bllingów). Głównym źródłem wszystkich ułomności mojej książki okazuje się *hybris*, czyli obłąd pochodzący z pychy. Bo piszę, jakbym wszystko na pewno wiedziała. Choć wiadomo, że pisać należy raczej wtedy, gdy się czegoś na pewno nie wie.

Na koniec więc i ja spróbuję sił w psychologii, choć będzie to raczej psychoanaliza niż teoria klasyczna, a ograniczę się w niej – w przeciwieństwie do autora recenzji – jedynie do przypuszczeń. Książka moja najprawdopodobniej Marka Zielińskiego mocno zirytowała; być może nawet wytrąciła z równowagi. Sądę jednak, że nie tym akurat, co głośno w niej piętnuje, bo większości z tego w niej po prostu nie ma. Zapewne natknął się tam na taki sposób widzenia rzeczywistości i mówienia o niej, który nie przystaje do jego własnej perspektywy, ale nie daje się zakwalifikować jako bezwzględnie obcy. Być może znalazł tam jakąś myśl naruszającą bezpieczną powłokę jego własnego ideologicznego projektu. By się od tego dysonansu uwolnić, stosuje znany sposób tłumienia niepokoju: agresję. Musi więc przekształcić mnie w coś absolutnie obcego i absurdałnego; powiesić mnie głową na dół, dojrzeć na moim umyśle komusze znamię, a w duszy ogień szaleńczej pychy. Taki rytualny zabieg zwalnia go z obowiązku rzeczywistej z moją książką dyskusji i przywraca w jego świecie ład. Dzieje się to jednak nie tylko moim kosztem, lecz także kosztem prawdy i obowiązującej w polemice przyzwoitości. A to, że reguły tej przyzwoitości są dziś w życiu publicznym powszechnie naruszane, w niczym samego Marka Zielińskiego nie usprawiedliwia.

# Noty o autorach

**Bogusław Bakula**, prof. dr hab., kierownik Pracowni Komparatystyki Literackiej Instytutu Filologii Polskiej UAM. Rektor Wyższej Szkoły Zawodowej „Kadry dla Europy”. Polonista, kulturoznawca. Zajmuje się problematyką porównawczą kultur i literatur Europy Środkowej oraz Wschodniej. Opublikował m.in.: *Skrzydło Dedala. Szkice, rozmowy o poezji i kulturze ukraińskiej lat 50.-90. XX wieku* (1999); *Historia i komparatystyka. Szkice o literaturze i kulturze Europy Środkowo-Wschodniej XX wieku* (2000).

**Edward Balcerzan**, profesor zwyczajny, kierownik Zakładu Teorii i Historii Literatury XX w. w Instytucie Filologii Polskiej UAM. Autor kilkunastu książek, m.in. *Przez znaki. Granice autonomii sztuki poetyckiej* (1972), *Kręgi wtajemniczenia. Czytelnik, badacz, tłumacz, pisarz* (1982), *Poezja polska w latach 1939-1965*, cz. I: *Strategie liryczne* (1982), cz. II: *Ideologie artystyczne* (1988), *Śmiech pokoleń – płacz pokoleń* (1997), *Literatura z literatury (strategie tłumaczy)* (1998).

**Ewa Bińczyk**, dr, pracuje w Instytucie Filozofii UMK. Stypendystka FNP i Fundacji Fulbrighta. Zajmuje się filozofią współczesną, socjologią wiedzy i filozofią języka. Publikowała w „Zagadnieniach Naukoznawstwa”, „Przeglądzie Religioznawczym”, „Er(r)go”, „Studiach Socjologicznych”, „Kulturze Współczesnej”. Autorka książki *Socjologia wiedzy w Biblii* (2003).

**Włodzimierz Bolecki**, prof. dr hab., pracuje w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk w Warszawie oraz UW. Opublikował m.in. *Poetycki model prozy w Dwudziestoleciu Międzywojennym* (1982, 1996), *Pre-teksty i teksty. Z zagadnień związków międzytekstowych w literaturze polskiej XX w.* (1991, 1998), *Polowanie na postmodernistów* (1999), *Rozmowy z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim* (1997, 2000).

**Danuta Danek**, prof. dr hab., pracuje w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Opublikowała m.in. *Sztuka rozumienia. Literatura*

## Noty o autorach

*i psychoanaliza* (1997); wstęp i opracowanie: G. Bychowski, *Słowacki i jego dusza. Studium psychoanalityczne* (2002); tłumaczenia i rozprawy wstępne: B. Bettelheim *Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni* (1985), *Rany symboliczne. Rytuały inicjacji i zazdrość męska* (1989), *Freud i dusza ludzka* (1991); rozprawy dotyczące literatury romantyzmu publikowane w „Pamiętniku Literackim” i „Twórczości”.

**Teresa Dobrzyńska**, prof. dr hab., kierowniczką Pracowni Poetyki Teoretycznej i Języka Literackiego Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, autorka prac z dziedziny poetyki, stylistyki, teorii tekstu; ostatnio opublikowała *Tekst – styl – poetyka* (Kraków 2003). Redaktorka zbiorów studiów poświęconych strukturze tekstu i tropom, m.in.: *Tekst i jego odmiany* (1996).

**Paweł Dybel**, profesor w Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, autor m.in.: *Dialog i represja. Antynomie psychoanalizy Zygmunta Freuda* (1995), *Freuda sen o kulturze* (1996), *Urwane ścieżki. Przybyszewski. Freud. Lacan* (2001) *Granice rozumienia i interpretacji. O hermeneutyce Hansa-Georga Gadamera* (2005); redaktor wielu prac zbiorowych, tłumacz.

**Michał Larek**, doktorant w Instytucie Filologii Polskiej UAM, krytyk literacki, współpracownik „Zdaru Kultury”, redagował „Nowe Pismo”. Przygotowuje rozprawę poświęconą „polskiej poezji lingwistycznej”. Publikował m.in. w „Kresach”, „Studium”, „Tekstualiach”, „LiteRacjach”.

**Ryszard Koziołek**, dr, pracuje w Instytucie Nauk o Literaturze Polskiej UŚ. Autor książki *Zdobycie historii. Problem przedstawienia w „Twarzy księżycy” Teodora Parnickiego* (1999) oraz wstępu do *Tylko Beatrycze* Teodora Parnickiego, w serii „Biblioteka Narodowa” (2002). Przygotowuje książkę: *Sienkiewicz i prawo literatury*.

**Anna Krzywania**, absolwentka Filologii Polskiej UJ. Zajmuje się współczesną poezją polską i dramatem. Przygotowuje rozprawę doktorską na temat literackiego obrazu cierpienia w poezji ostatniego półwiecza.

**Zbigniew Majchrowski**, dr hab., profesor UG, kierownik Zakładu Antropologii Literatury i Krytyki Artystycznej w Instytucie Filologii Polskiej. Zajmuje się związkami kultury współczesnej z formacją romantyczną oraz dramaturgią widowisk. Autor książek: „*Poezja jak otwarta rana...*” *Czytając Różewicza* (1993), *Gombrowicz i cień wieszcz* (1995), *Cela Konrada. Powracając do Mickiewicza* (1998), *Różewicz* (2000), a ostatnio *Mickiewicz i wiek dwudziesty* (2006).

**Piotr Michałowski**, dr hab., profesor Uniwersytetu Szczecińskiego zatrudniony w Zakładzie Teorii Literatury; autor książek *Miniatura poetycka* (1999), *Granice poezji i poezja bez granic* (2001, 2003); redaktor tomu *Presja i ekspresja. Zjazd szcze-*

*ciński i socrealizm* (2002), autor wstępu i opracowania *Kwiatów polskich* J. Tuwima (2004); publikował także w czasopismach naukowych („Pamiętnik Literacki”, „Teksty Drugie”, „Ruch Literacki”, „Napis”, „Przestrzenie Teorii”) i literackich oraz w zbiorach pokonferencyjnych. [www.us.szc.pl/michalowski](http://www.us.szc.pl/michalowski)

**Andrzej Wojciech Nowak**, doktorant w Instytucie Filozofii UAM. Interesuje się filozofią współczesną w tym filozofią społeczną i polityczną. Przygotowuje rozprawę doktorską *Podmiotowość jednostkowa w funkcjonalistycznych i historycznych teoriach systemów społecznych*. Publikował w „Czasie Kultury”, „Lewą nogą” oraz w pracach zbiorowych.

**Ryszard Nycz**, profesor w Instytucie Polonistyki UJ i Instytucie Badań Literackich PAN. Kierownik Katedry Antropologii Literatury i Badań Kulturowych IP UJ. Red. naczelny dwumiesięcznika „Teksty Drugie” IBL PAN i serii „Horyzonty nowoczesności” (wyd. Universitas). Autor książek: *Sylwy współczesne* (1984, 1996), *Tekstowy świat* (1993, 2000), *Język modernizmu* (1997, 2002), *Literatura jako trop rzeczywistości* (2001).

**Piotr Sobolczyk**, doktorant na Wydziale Polonistyki UJ. Przygotowuje rozprawę doktorską o recepcji poezji i prozy Białoszewskiego. Autor książki *Tadusza Micińskiego podróż do Hiszpanii* (2005), artykułów w czasopismach i książkach zbiorowych oraz książek literackich: *Samotnienie* (2002), *Opowieści obrzydliwe* (2003), *Homunculus* (2005).

**Dariusz Śnieżko**, adiunkt w Zakładzie Teorii Literatury Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Szczecińskiego. Zajmuje się tematologią, poetyką historyczną i dawnymi narracjami historycznymi. Ostatnie publikacje książkowe: *Mit wieku złotego w literaturze polskiego renesansu. Wzory – warianty – zastosowania* (1996), *Mikołaj Sęp Szarzyński* (1996).

**Aleksandra Ubertowska**, dr, adiunkt na Uniwersytecie Gdańskim. Publikowała w „Tekstach Drugich”, „Pamiętniku Literackim”, „Tytule”. Autorka książki *Tadeusz Różewicz i Niemcy. Strategie intertekstualności* (2002).

**Maciej Urbanowski**, dr hab., adiunkt w Katedrze Krytyki Współczesnej Wydziału Polonistyki UJ. Specjalizuje się w historii literatury polskiej XX w. Ostatnio wydał: *Oczyszczenie. Szkice o literaturze polskiej XX wieku* (2002), *Człowiek z głębszego podziemia. Życie i twórczość Jana Emila Skiwskiego* (2003) oraz wyborów pism m.in. F. Goetla, S. Piaseckiego, A. Trzebińskiego, K. Wyki, S. Pieńkowskiego.